



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 3 (92) 2026 kwartalnik
www.migotania.pl

Fundacja
 ŚwiatłoLiteratury
 POSTSCRIPTUM MCV

*puszka wie coś
 czego nie wie
 ograniczona pełnia*
Andrzej Szuba

Polecamy:

- Mata Fox, fragment nowej prozy
- wiersze: Iwona Warulik (DEBIUT), Agnieszka Johnston
- Maria Jentys – Borełowska, o relacji Conrad – Orzeszkowa
- Wit Romanowski i Maria J. Fraszewska: 2 x BARTOŚ

- Ryszard K. Hetnarowicz, Strach i nadzieje..., fragment prozy
- tłumaczenia: Rudy Alfonso Gomez Rivas, Pavle Goranović
- Michaił Ardow, Wielka Dusza, o Szostakowiczu
- Mariusz Zimoński, Poalkohole, proza



Zbigniew Joachimiak

Po co są moje słowa?

moje słowa moja mowa moje wyrazy.
 Wiem, że po to aby to co już jest
 mogło być jeszcze raz od nowa

Bo one, te moje słowa
 nie muszą być, ale jednak są i sobą chwalą się
 przed lustrem sobą i stoją dumnie,
 bo moje słowa mogą rozumieć
 nie tylko swój dźwięk, ale też ukryty oddech
 zawinięcie języka i warg i ruch ust.

Choć one tak pięknie są
 to tkwią ledwie ledwie
 w twardym bezwzględny świat
 skąd się wywodzą.

Po to one są by świat bardziej był,
 a nawet gdyby nie było na nim
 ani jednego wyrazu, to wtedy należałoby
 wymyślić słowo - od nowa

W numerze prezentujemy prace Ka Klakla
Plakat poetycki: Piotr Gabriel Skorupa
Plakat artystyczny: Ka Klakla

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2026

Roman Warszawski

DREPTANIE W KÓŁKO

Drrrr...., drrrr...., durr... – co to takiego? Zaskoczenie, niespodzianka. Na dzień przepastnej szuflady odnalazłem jakiś fragment starego czasopisma, a w nim wydrukowany przed laty mój własny artykuł zatytułowany „Komputery, raporty, ajatollahowie”. To tygodnik Czas, z 30. grudnia 1979 roku, a więc sprzed... 47 lat! ten tygodnik, który potem został zlikwidowany w stanie wojennym i już nigdy się nie odrodził. Jak przez mgłę pamiętałem ten artykuł. Miał to być tekst na koniec dekady lat 70-tych, podsumowujący właśnie kończące się dziesięciolecie.

Czytałem i po latach własnym oczom nie wierzę:

„Od przeszło roku wydarzenia w Iranie przykuwają uwagę całego świata, zadziwiając ekspertów, obracając w niwecz wszelkie prognozy. Zawodzą schematy, scenariusze po wielokroć powtarzane przez historię. Ostatnie tygodnie są tylko logiczną konsekwencją wydarzeń prowadzących nieuchronnie do próby sił między (...) islamskim fundamentalizmem, a (...) wzorcami kultury zachodniej. Są próbą sił między Nowym (...) a Starym (...). Są zamknięciem pewnej między-epoki u wrót nowego dziesięciolecia. A może są epoki następnej aktem pierwszym?”

Dalej, podejmując inny wątek zasygnalizowany w tytule („raporty”), pisałem:

„Początek lat 70-tych przyniósł I Raport dla Klubu Rzymskiego – ów spazm elektronicznej wróżki. Raport Granice wzrostu to nic innego jak docieranie do świadomości planety przeświadczenia, że w marszu ku przyszłości człowiek może napotkać nieprzekraczalne bariery: surowcową, ekologiczną, demograficzną. II Raport dla Klubu Rzymskiego – Ludzkość w punkcie zwrotnym to ciąg dalszy przebudowy mentalności: rodzi się świadomość, że Ziemia jest tylko taka jaka jest, że gospodarowanie nie może polegać na sięganiu po więcej i więcej. III Raport dla Klubu Rzymskiego – O nowy ład ekonomiczny – postawił kwestię biednych i bogatych. Jeżeli przepaści dzielącej skrajną nędzę od wybujałego bogactwa nie zaczniemy zasympyować zaraz, to na jej dno może stoczyć się cała ludzkość – tak brzmi jego konkluzja.”

Nieco dalej odnalazłem jeszcze jeden fragment:

„Rozważania Jaya Forrestera z 1970 roku na temat granic wzrostu, poprzedzające „Raporty dla Klubu Rzymskiego” oraz irańskie wypadki ostatniego roku, a szczególnie ostatnich tygodni – to dwa wydarzenia wyznaczające granice dziesięciolecia, będące jakby klamrą spinającą pozostałe, trudne do sklasyfikowania składniki politycznego krajobrazu dekady.”

Po blisko półwieczu, które minęło od napisania tego artykułu, jakże zadziwiająco znajomo brzmią te cytaty! Na dobrą sprawę można by napisać je przecież wczoraj albo nawet dziś. Problem irański po blisko 50-ci laty nadal (o czym możemy przekonać się dzień w dzień) pozostaje nierozwiązany i przerodził się w wielką krwawiącą ranę, której jątrzenie powoduje regularne spazmy wstrząsające światową polityką i gospodarką. Natomiast wszelkie kwestie ekologiczne, w porównaniu ze stanem z początku lat 70-tych, stały się po wielokroć znacznie bardziej palące. (Mając na uwadze falę morderczych pożarów, które w tej chwili trawią kraje śródziemnomorskie, to jak najbardziej trafne określenie). Zmiany klimatyczne, wy-

nikające z nadmiernej konsumpcji paliw kopalnych – nadmiernie ogrzane oceany, nawalne oberwania chmur, z roku na rok coraz większa susza w wielu regionach i wynikające z tego przemieszczanie się milionów uchodźców, to nasz dzień powszedni. Przez blisko 50 lat żaden z tych problemów nie został rozwiązany i – co gorsza – nie widać perspektywy na wyjście z coraz bardziej narastającego impasu.

Można odnieść wrażenie, że mimo całego postępu i towarzyszącego mu blichtru, świat uparcie drepcze w kółeczko. **Zabawa trwa w najlepsze, podczas gdy z faktycznymi problemami nikt nie usiłuje skutecznie włączyć się za bary.** Nader dobrze uwidaczniają to także zdarzenia dotyczące tzw. podboju kosmosu (z naciskiem na określenie tzw.) Tak bardzo niedawno wszem i wobec fetowana misja Artemis 2 była przecież w rzeczywistości powtórką misji z roku 1968, gdy Apollo 8 – przygotowując lądowanie na Księżycu w roku kolejnym – okrążył Srebrny Glob i następnie bezpiecznie powrócił na Ziemię. Na naszych oczach (w oparach niemilosiernej rozdmuchanej propagandy) odegrano powtórkę z tego, co miało miejsce... blisko 50 lat temu!

Dlaczego tak uparcie chodzimy w kółeczko? Dlaczego – mimo całego ruchu, zgiełku, zbytku i dobrobytu – w kwestiach zasadniczych nie poruszamy się do przodu? Pytanie to zadałem ostatnio znanemu socjologowi, równie utytułowanemu politologowi, a także znakomitemu ekonomistom. (Niestety, każdy z nich, z uwagi na grząskość tematu i niepewność odpowiedzi woli pozostać anonimowy). – Czy jest szansa, by tę niemoc w końcu przetrząsnąć?

Usłyszałem trzy prawie identyczne odpowiedzi:

– Szansa, owszem, jest, bo teraz mamy przecież sztuczną inteligencję.

– Oczywiście. Do czego jest AI? – Jestem optymistą, sztuczna inteligencja na pewno nam pomoże...

Ale... czy na pewno?

Jak podaje Polityka (nr 25/2026):

– centra danych – kręgosłup AI – zużyły w 2025 roku ok. 448 TWh energii, a w roku 2030 mogą dojść do 945 TWh, czyli blisko 3 proc. globalnej konsumpcji prądu; gdyby były państwem znalazłyby się w światowej czołówce konsumentów energii;

– ślad węglowy tego zużycia to 189 mln ton CO₂ w 2025 roku i prognozowane 399 mln ton w roku 2030 – tyle że do jego zrównoważenia potrzeba miliardów drzew rosnących co najmniej przez dekadę;

– każdy inteligentny prompt ma swoją cenę: typowe pytanie do ChatGPT jest ok. 200 razy bardziej energochłonne niż klasyfikacja spamu, obraz – nawet 1,5-2 tys. razy, a krótki film (filmik) może zużyć tyle energii, ile... 200 tys. takich prostych zadań;

– innym niebagatelnym ukrytym kosztem AI jest woda: w 2025 roku centra danych zużyły pośrednio ok. 4,5 bln litrów wody, a do roku 2030 może to być 9,3 bln litrów – równoważność rocznych podstawowych potrzeb wodnych 1,3 mld mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej;

– AI napędza także kryzys materiałowy: do 2030 roku jej infrastruktura może generować do 2,5 mlv to e-odpadów rocznie (ekwiwalent wyrzucenia na śmietnik 250 wież Eiffli) oraz rosnące koszty środowiskowe wydobycia litu, kobaltu oraz metali ziem rzadkich w krajach Globalnego Południa.

Co, jakby żył, na to wszystko powiedziałby Jay Forrester, autor rozważań na temat granic wzrostu?

Drrr...., drrr...., drrr... – teraz się wyjaśni co to takiego. To odgłosy piły, która podcina gałąź podpierającą naszą cywilizację.

ROMAN WARSZEWSKI



poezja • proza • krytyka • eseje

Zachęcamy do prenumerowania
ogólnopolskiego miesięcznika
literackiego „Akant”

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1, 85-010 Bydgoszcz
tel. 52 321 33 71, e-mail: akant24@wp.pl
www.akant.org

Roman Warszewski, Dreptanie w kółko, FELIETON.....	str.2
Czesław Karkowski, Życie ostu, ESEJ.....	str.3
Alina Biernacka, nowe wiersze.....	str.6
Miroslaw G. Majewski, Arthur Schopenhauer – gdański filozof, który patrzył w przepaść i nie odwrócił wzroku.....	str.8
Marta Fox, Pamięć boli jak miłość, PROZA.....	str.9
Blaise Cendrars, wiersze inne.....	str.14
Dariusz Pawlicki, Ślady w jedni, ESEJ.....	str.16
Iwona Warulik, wiersze DEBIUT.....	str.18
Maria Jentys-Borelowska, „Nic mi tej baby nie przynosi”, O relacji Conrad- Orzeszkowa, ESEJ.....	str.19
„Sikorski-Nord,” wiersze.....	str.21
Gabriela Szubstarska, wiersze.....	str.24
Bogdan Gorczyca, Wedle konia, PROZA.....	str.25
BARTOŚ:	
Maria Jolanta Fraszewska , Wiwisekcja: kłaczka życia w plątaninie ścieżek duchowości, ESEJ.....	str.26
Wit Romanowski, W obcym uścisku, ESEJ.....	str.28
Joanna Sendłak, Lustra, PROZA.....	str.30
Henryk Liszkiewicz, wiersze.....	str.32
Ryszard Biberstajn, Esej o niczym, ESEJ.....	str.34
Roman Warszewski, Srebrne nici, subtelne sznurki, PROZA.....	str.36
Krzysztof Gołębiowski, Dobro jako zobowiązanie wspólnoty, nota literacka.....	str.39
Kalina Izabela Ziota, wiersze z podróży – Chiny.....	str.40
Ryszard K. Hetnarowicz, Kołysanki-przytulanki, poezja.....	str.42
Ryszard Hetnarowicz, Strach i nadzieja, czyli zapiski szalonego płaskoziemca, ESEJ.....	str.44
Czesław Sobkowiak, wiersze.....	str.48
Andrzej Katzenmark, Wyjazd, PROZA.....	str.50
Stawomir Bączkowski, P a ł a c, PROZA.....	str.53
Rudy Alfonso Gomez Rivas, poezja.....	str.54
Michał Skrętek, W salonie Buddenbrooków, czyli drugie życie Tomza Manna, ESEJ.....	str.56
Anna Czyrska, Czym jest tak naprawdę dobry wiersz? Kreacja dobrych wierszy, cz.1.....	str.59
Pavle Goranović, wiersze z Czarnogóry.....	str.61
Agnieszka Johnston, wiersze.....	str.62
Michał Ardow, Wielka dusza – wspomnienia o Dmitriju Szostakowiczu.....	str.65
OMÓWIENIA:.....	str.70
Maria Jolanta Fraszewska, Babel, czy język jest niewinny?	
Jan Belcik, Uwolnienia wyobraźni w twórczości	
Vojslava Karanovicia, Esej o poezji bałkańskiej	
RECENZJE:.....	str.76
Andrzej S. Sepiół, Zwiastuny cudownej wyobraźni na przykładzie wierszariusza słowiańskiego Izabeli Zubko	
Irmína Kosmala , Metafizyka codzienności i granice milczenia	
Gabriela Szubstarska, „Waniliowy anioł”	
Andrzej Walter, Kolejka za Wierzbickim	
Z PÓŁKI MATEUSZA WABIKA:.....	str.82
Powrót do autobiografizmu. Podsiadło	
Notatki ze snów i z dystansu, Kasper.	
Świat poza słowami	
Poezja doktorska. Nowicki	
Mariusz Zimoński, Poalkohole, PROZA.....	str.84
Jaunusz Urbaniak, wiersze.....	str.88
Kolista czas wiecznych powrotów w malarstwie Małgorzaty Rozmarynowskiej, ESEJ-SZTUKA.....	str.90
Adam Górski, wiersze.....	str.92
Tomasz Pyzik, Wspomnieniowe wotum wdzięczności, WSPOMNIENIE.....	str.94
Zbigniew Joachimiak, Czerwona Róża wciąż zakwita w Gdańsku, od 64 lat, NOTA.....	str.95
Andrzej Szuba, Postsriptum	str.96
Ka Klakla, nota bio.....	str.97
Tomasz Walczak, List do nieobecnych, ESEJ.....	str.98



Czesław Karkowski

W moim ogrodzie wyrósł oset. Nie pierwszy. Osty – wielkie, okazałe,

słyszeć owe dźwięki nadto poza przedziałem recepcji naszej biologicznej konstytucji, dobroczynnie wyciszoną dla nas kakofonię przyrody. Na szczęście gatunkowo zostaliśmy odgradzeni od roślin. Są one dla nas „mechanizmami”, by użyć tego kartezjańskiego – w odniesieniu do zwierząt – określenia wraz z jego potocznym, a mylnym przeświadczeniem, jakoby zdaniem filozofa

ŻYCIE OSTU

efektywne – pojawiają się co roku. Nigdy nie wyrastają w tym samym miejscu. Zawsze gdzieś indziej zapuszczają płytkie korzenie. Mój oset węduje, zaprzeczając tym samym powszechnemu przekonaniu, jakoby rośliny trwały nieruchomo w jednym miejscu. Jedną z powszechnie uznawanych cech charakterystycznych odróżniających rośliny od zwierząt, jest właśnie zdolność ruchu.

Popularny swego czasu, brytyjski pisarz utworów z gatunku fantastyki naukowej – w odróżnieniu od zwykłej „fantastyki” pełnej smoków, jednorożców, elfów oraz podobnych baśniowych stworów i sytuacji (po angielsku to rozróżnienie określają wyrażenia „sci-fi” i „fantasy”) – John Wyndham, rozwinął pomysł: co by było, gdyby pewne rośliny (drzewa) mogły się poruszać, a były przy tym drańskie mięsożerne? Czy ludzkość miała by szansę w walce z tak uzbrojoną naturą? W ten sposób powstała popularna powieść „Dzień tryfidów”.

W „naszej” przyrodzie drzewa stoją ciche i nieruchome, bezbronne i bierne – poddają się rzezi, jaką od tysięcy lat przeprowadzali ludzie na rozległych puszczech, gęstych kniejach, wycinając drzewa pod pola uprawne, na materiał budowlany, na drogi, poszerzając w ten sposób miejsce dla swego życia. Powstały domy, wsie, miasta.

Inny brytyjski pisarz, Roald Dahl, autor wielu przewrotnych opowiadań i sfilmowanych powieści dla dzieci, wcześniej, bo w 1949 r. przedstawił (w opowiadaniu „The Sound Machine”) wynalazcę, który wymyślił urządzenie do wytapywania dźwięków nie słyszalnych dla ludzkiego ucha. Stwierdził z konsternacją i przerażeniem, iż rośliny wydają dźwięki – w reakcji na ból, przyjemność, ciekawość, itp. Są tedy podatne na emocje, jeśli reagują na bodźce.

Dziś po prawie osiemdziesięciu latach fantazja Dahla jest dla nas rzeczywistością. Czułe instrumenty elektroniczne rejestrują dźwięki daleko wykraczające poza zasięg możliwości ludzkiego biologicznego ucha. Wiadomo już doskonale, że przyroda jest pełna dźwięków, powiedziałbym – zgietku produkowanego przez organizmy żywe. Czy się ze sobą komunikują, czy mają sobie coś do „powiedzenia”? Informują się, przekazują wiadomości? Dziś proste „wierzę”, „nie wierzę” musi wystarczyć, oczywiście podbudowane stosownymi argumentami. A w przyszłości?...

Na szczęście nie słyszymy tej całej wrzawy. Jestem – chyba jak większość – szczególnie uczulony na hałas: nadmiernie głośną muzykę, gwar ludzkich podniesionych głosów w miejscach publicznych, wdzierający się zewsząd jęzgot miasta, zgietk irytuje mnie ponad miarę. Oszałełobyśmy, gdybyśmy mieli jeszcze

zwierzęta były li tylko pozbawionymi duszy automatami, urządzeniami mechanicznymi jak wóz drabiniasty obciążony futrem.

Zostaliśmy też, choć nie tak radykalnie, odgradzeni od świata zwierzęcego. To obca dla nas sfera rzeczywistości. Z wyjątkiem paru gatunków (koty, psy, konie) to nie są „nasi”. Należą do obcego, poniżonego świata. Tylko my zostaliśmy wywyższeni – przez posiadanie pełnej duszy, przez rozum, zdolność abstrakcyjnego myślenia i refleksji, a więc umiejętności myślenia o myśleniu.

Czasami wychodząc do ogrodu stoję przed „moim” ostem. Jest młody, prężny, wysoki – przerósł mnie jest znacznie. Patrzę, przyglądam się jego pięknym rozłożystem liściom, intensywnie zieleni prostego pnia. Podziwiam urodę kolczastej powłoki.

Staję nieruchomo przed nim na chwilę. On zajęty swoimi sprawami: spożywaniem słońca, piciem wody, ciągnięciem soków po całym organizmie, rozwojem; rośnie bardzo szybko, wyraźnie się spieszy w porównaniu z innymi roślinami. Nie ma czasu, jego żywot będzie krótki. Podziwiam jego urodę, młodość, prężną muskulaturę zieleni. Ale czy on mnie zauważa, odnotowuje moją obecność, odczuwa mój zachwyt? Bo nie sądzę, aby z upodobaniem „przyglądał się” mnie.

Co na to Starożytni?

Empedokles wszelkie żywe istoty zaliczył do jednej wspólnoty podlegającej powszechnemu prawu sprawiedliwości. To bardzo pierwotna koncepcja – jej istotą jest przeświadczenie, iż organizm żywy (a sam filozof z sycylijskiego Akragas głosił: „byłem kiedyś chłopcem i dziewczyną, i rośliną, i ptakiem, i niemą rybą zrucającą się w wodzie” – Diogenes Laertios – „Żywoty i poglądy słynnych filozofów”) powstają z kombinacji czterech żywiołów – ognia, powietrza, wody i ziemi. Biorą ów materiał niezbędny do zaistnienia niejako w pożyczkę od Natury i muszą go „oddać” wraz ze śmiercią. Był, istnienie, życie, jest tedy poważnym wykroczeniem wobec kosmicznego porządku, „niesprawiedliwością” (równego rozdziału żywiołów we wszechświecie) – zrekompensowaną wraz ze zgonem i rozpadem organizmu na części składowe, czyli zwrotem zaciągniętego długu.

Jak podaje bizantyjski Aecjusz, Empedokles miał powiadać: „żadna rzecz śmiertelna nie ma początku ani nie kończy się śmiercią i zniszczeniem; następuje jedynie zmieszanie, a następnie oddzielenie tego, co zostało zmieszane, ale śmiertelni ludzie nazywają te procesy początkiem.”

Pod wpływem Pitagorasa, którego to „męża nadludzkiej wiedzy” wykładów słuchał, nasz filozof i poeta wierzył w wędrówkę dusz. One bowiem przenikają wszelkie rodzaje żywych organizmów, a tych-że różnic wynika z odmiennej proporcji elementów składowych. Istnieje tedy pokre-



wieństwo między roślinami, zwierzętami i ludźmi, bytami należącymi „do nas”, ponieważ mogą w nich tkwić wcielone dusze. Winniśmy im nasze moralne zobowiązanie, nawet jeśli ich nie rozpoznajemy, ale przecież widzimy życie – wspólną podstawę egzystencji. Kosmos, wszechświat Empedoklesa roi się od życia, poczynającego się od czterech żywiołów jako materii, budulca, oraz dwóch uniwersalnych sił – energii: Walki (rozpadu) i Miłości (powstawiania).

To jeden z „wiecznych” wątków filozofii – od Pitagorasa właśnie, Anaksagorasa i Empedoklesa, poprzez Spinozę do współczesnego Teilharda de Chardina: całą rzeczywistość przenika pierwiastek spirytualny.

Problemem pozostaje rozpoznanie (jeśli w ogóle) pokrewnych dusz zaklętych w obcym ciecie. Czy rozpoznam siebie w przyszłym życiu, które nie musi być chronologicznie późniejsze. Jest to może rodzaj olśnienia – nagłego i niespodziewanego – i chwilowego – odkrycia, ujawnienia?

Empedokles wiedział, o czym mówi. Diogenes Laertios dwukrotnie przypomina, że Empedokles jako lekarz uleczył pewną kobietę o imieniu Panteja. Padła ona ofiarą dżumy, została uznana za zmarłą i porzucona przez ojca i mieszkańców Akragas, przez 30 dni leżała jak martwa, bez pulsu, bez bicia serca; nie oddychała. Empedokles przy pomocy eliksiru własnej receptury utrzymywał ją przy utajonym życiu. To ona później ujawniła Empedoklesowi tajemnicę życia i śmierci, wędrówki dusz i ostatecznie popełniła samobójstwo razem z mistrzem.

Legendarny, śmiertelny skok Empedoklesa w czelusień krateru Etny był filozoficznym gestem starego (według pewnych wersji 77-letniego) mędrca, by „rozmienić się” na „żywyty”, z których ponownie złoży się nowe ciało; a być może, zgodnie z jego przekonaniami, skoro celem życia jest przełamanie cyklu transformacji i powrót do bogów, wierzył, iż w ten sposób skończy swą wielowiekową mękę wędrówki poprzez czas i rozmaite byty na tej ziemi i sięgnie wieczności.

Przecież, jak nauczał i on, i jeden z jego mentorów, Parmenides, byt jest – niebytu nie ma. Innymi słowy, byt trwa, istnieje niezmiennie, wytrwale – ani nie powstaje (bo musiałoby powstać z czegoś innego, jakiegoś „innobytu”), ani nie ginie (ponieważ musiałby zamienić się w coś innego. Albo zniknąć – co jest niemożliwe).

„Głupcy - powiada Empedokles w wypowiedzi połączonych z cytatów wziętych z Plutarcha i Arystotelesa - którym brak dalekości myśli – wyobrażają sobie, że to, co kiedyś było, może powstać albo że cokolwiek może zginąć i ulec całkowitemu zniszczeniu. Bo powstanie z tego, co nie istnieje, jest niepojęte, a niemożliwe i niestychane jest, aby to, co jest, uległo zniszczeniu. Bo zawsze będzie istnieć.”

Empedokles wierzył, że wszystkie żywe istoty mają jakąś inteligencję. Innymi słowy, we wszystkich bytach tkwi „dusza” – w większym lub mniejszym stopniu. Jak więc identyfikować bratnie dusze w obcych formach – uznać je za „swoje”, choć w odmiennych postaciach? Choćbyśmy ich nie rozpoznawali w sobie, to jednak są to pokrewne istnienia. Pokrewieństwo jest oczywiste i możliwe w poprzek odmiennych bytów, skoro należymy do tej samej rasy – istnień ożywionych przez Miłość – energię przeciwną Walce; łączącą „żywyty” w całość zdolną do egzystencji, do wyłonienia się z chaosu elementarnych cząstek materii.

Czujemy nie tylko pokrewieństwo, ale i emocjonalną bliskość. Bliskość taka jest możliwa dzięki „oczyszczeniu”, które zmywa z nas powierzchowne różnice na rzecz wspólnoty istnienia. A o tym właśnie, o oczyszczeniu – rytualnym usunięciu, zrzuceniu z siebie ludzkich

należitości, człowieczego partykularyzmu, głośi zaginiony traktat Empedoklesa.

Zapewne jednak chodzi o „oczyszczenie” duszy z ciała, zmysłów i emocji i wszystkich związanych z biologią obciążeń. W tym sensie przecież wypowiada się Platon, wkładając w usta Sokratesa słowa wypowiedziane w „Fedonie”: w więzieniu w oczekiwaniu na egzekucję filozof mówi: „I teraz gdy wyznaczono mi już godzinę śmierci, z tą nadzieją odchodzę – i nie tylko ja – lecz każdy człowiek, który wierzy, że oczyszczony będzie jego umysł. (...) A czym jest oczyszczenie jak nie oddzieleniem duszy od ciała.” (w: Plato - The Trial and Death of Socrates. Four Dialogues. Dover Publications, New York 1992, s. 64)

Dalej w tym samym traktacie Platon odwołuje się do zamierzonych dlań czasów powstania misteryjnych tajemniczych. Dawne, pierwotne znaczenie „oczyszczenia” bezspornie bliższe Empedoklesowi niż późniejszemu odeń Platonowi – dotyczyło procesu, w następstwie którego ten, kto wkracza w ów krąg „po inicjacji i oczyszczeniu będzie przebywał wśród bogów”, (s.67), a dla autora „Fedona” oznaczało to zdobycie prawdziwej cnoty jako towarzyszącej mądrości – cel możliwy do osiągnięcia w pełni jedynie po wejściu duszy w idealny świat pozbawiony materii.

Wracając do dziedziny przyrody: nie chcę wdawać się tu w oczywiste dylematy etyczne – jedzenia, hodowli, zabijania roślin i zwierząt – okrucieństwa, jakie wyrządzamy czującym, a może nawet myślącym krewnym w polu i na pastwisku. Empedokles winien promować etyczny indyferentyzm – skoro życie zostaje sprowadzone do kombinacji żywiołów, takie czy inne zespolenie – nie ma znaczenia: dziś ja jem marchewkę, jutro marchewka je mnie. W istocie nie ginie, nic nie umiera, tylko się przetwarza.

Jeśli wszelkie istnienie sytuuje się na tym samym poziomie ważności egzystencji, to nie ma moralności – bo każdy postępek ma jednaką wagę etyczną pokrzywy, komara czy grochu. Moralność zaczyna się dopiero, kiedy istnieje różnicowanie na ja i nie ja; wróg, nieprzyjaciel; inny, podrzędny byt podporządkowany mojej egzystencji. I wówczas zaczyna się refleksja nad postępowaniem, wolną wolą; rodzi się świadomość siebie; a także i poczucie dobra, które mnie przerasta; co znaczy – nie ja decyduję, co dobre, a co złe, co słuszne albo niesłuszne, ale jest ono kategorią nadrzędną, którą muszę uwzględnić, nawet zgoda podporządkować się. Ponieważ jeśli „ja” jestem najwyższą instancją decydowania o tym, co dobre, co złe, to popadam w nihilizm; jeśli społeczeństwo – wówczas jest to kwestia konformizmu bądź nonkonformizmu i stopnia odczuwanej opresji ze strony zbiorowości i władzy. Dobro musi być czymś nadrzędnym ponad człowiekiem i ponad społeczeństwem, aby działać z siłą imperatywu etycznego.

Pozostawmy te sprawy dzisiejszym bio-etykom. Nie głoszę bynajmniej pochwały wegetarianizmu (bo go nie praktykuję) uważając, że w imię braterstwa z krowami i kurami winniśmy wstrzymać się od jedzenia mięsa. Tym bardziej, je prawdopodobnie czcicie marchewki i kapusty zapotestowaliby na taki program żywieniowy ruszając w obronie swych ulubionych (i umęczonych) współbraci z grzdką.

Emigrant?

Oset nie jest naszym nowym w moim ogrodzie. Jak wspominałem, wyrasta tu i tam, co roku w innym miejscu, jakby chciał sprawdzić nowe lokalizacje, szukać dobrego, lepszego miejsca dla siebie. A może po prostu lubi wędrować, nie potrafi ustać w jednym miejscu?

Piszę o oście na przestrzeni lat, bowiem nie sądzę, aby rok rocznie wyrastał odrębny osobnik zasiany spadochronowym puszką przez poprzednika. Antropomorfizacja myślenia każe nam traktować rzeczywistość w kategoriach indywidualnych, jednostkowo osobniczych. Tymczasem przyroda, Natura, zna inne formy egzystencji, jak właśnie owego ostu, który żyje dłużej niż jego pojedynczy, jednoroczny egzemplarz. Indywidualne istnienie ostu jest bardzo krótkie, ale tak naprawdę żyje on dziesiątki lat – a zapewne i dłużej w swoich ponawianych wersjach, „klonach”. Jest to rodzaj reinkarnacji, odnawiania życia, zrzucania z siebie starej użytej powłoki, aby odrodzić się w całej okazałości w kolejnym roku.

Egoistyczne zapatrzenie we własne jednostkowe istnienie zacieśnia nasze, człowiecze horyzonty. Nie potrafimy sobie wyobrazić innej formy egzystencji – nie indywidualnie osobniczej, ale właśnie swoistego zbiorowego bytowania jak owego ostu, w istocie jednego organizmu w wielu dorocznych postaciach. Pitagoras, wcześniejszy od Empedoklesa, powiadał, że „przeszłe zdarzenia następują ponownie w specyficznych cyklach i że nic nie jest zwyczajnie i po prostu nowe”. Mamy przecież, choć tego nie zauważamy, w sensie: nie odnotowujemy w myślach – przed oczami właśnie istnienie w cyklach, a czy nasza indywidualna egzystencja powtórzy się według starożytnej (także pitagorejskiej) idei wiecznego powrotu, to już osobna sprawa. Człowiek nowożytny przyzwyczaił się do myślenia linearnego, podług zdarzeń rozwijających się w czasie i w ten czas zapadających jak w otchłań. Tymczasem tego typu mentalność poprzedzała znacznie dłuższą tradycję myślenia w kategoriach kosmicznego rytmu – nieustannego pulsowania w procesie upadania, giniecia i odradzania się. Taki jest porządek rzeczy w uniwersalnym cyklu: nic nie jest wieczne, ale też nic nieodwołalnie nie ginie, natomiast „zniesienie” historii (linearnego porządku kończącego się nieodwołalnym kresem) dokonuje się w procesie nieustannego (czy okresowego) aktu unicestwienia i regeneracji; słowem – powtórzenia. Mówiąc konkretnie: oset żyje długo w wielokrotnych wcieleniach; ja – tylko raz.

Według Porfiriusza, Pitagoras miał także głosić poglądy, które „stały się powszechnie znane: po pierwsze, że twierdził, iż dusza jest nieśmiertelna; po drugie, że zmienia się w inne istoty żywe; po trzecie, że wydarzenia powtarzają się w pewnych cyklach i że nic nigdy nie jest absolutnie nowe; i wreszcie, że wszystkie istoty żywe należy uważać za spokrewnione. Wydaje się, że Pitagoras był pierwszym, który przyniósł te wierzenia do Grecji.”

Czy byłem kiedyś ostem? Możliwość ta bawi mnie, ale nie ekscytuje. Empedokles twierdził, iż kiedyś był między innymi „rośliną” – w angielskiej wersji tego fragmentu mówi się o „krzaku”. Natomiast interesuje mnie wędrówka ostu, zaprzeczająca popularnemu poglądowi o nieruchomości roślin. Zdecydowanie się porusza, przemieszcza z miejsca na miejsce, raz w jednej części ogrodu, potem w innej. Gdzie jeszcze zawędrował poza moją posesję? W encyklopedycznej informacji o oście odnotowuje się, że jest rośliną „inwazyjną”, co w zwykłym języku oznacza, iż lubi podróżować: nie tylko lokalnie z miejsca na miejsce, ale także na dłuższe dystanse – z Europy do Azji, do Ameryki Północnej, do Afryki i Australii i jak każdy wytrwały emigrant wciśnie się i znajdzie miejsce dla siebie do życia i rozwoju w odmiennym środowisku.

Są rośliny, które przychodzą. Pomieszkają przez chwilę i odchodzą, znikają. Mimo starań nie udało się „namówić” niektórych do pozostania; ani same się nie rozsiewają, ani nie reagują na kupowane nasiona. Pobyty

i odeszły. Już tu mieszkać nie będą.

Antropocentryzm zamyka nas w ciasnych granicach przenoszenia ludzkich kategorii na resztę otaczającej rzeczywistości i przykładania do wszystkiego jednej, ludzkiej miary. Co pod nią nie podpada, zostaje relegowane do niższej kategorii bytów: „niższej”, bo przynajmniej od chrześcijaństwa żyjemy dogłębne przeświadczenie, iż jesteśmy najdoskonalszym tworem natury, ukoronowaniem stworzenia; wszystko, co inne, jest gorsze i podług takiej miary oceniane. Taki rodzaj myślenia skodyfikowany został przez św. Tomasza – w hierarchii bytów od minerałów stopniowo szczebel po szczeblu wwyż ku ludziom i doskonałym, duchowym istnieniom.

Tymczasem starożytni Grecy sugerowali inne podejście, zgodnie z którym nie ma wyróżnionego istnienia, bowiem mamy do czynienia z równoległą różnorodnością bytów – ani lepszych, ani gorszych; po prostu – innych. Bo czym-że jest życie, istnienie? Zdolnością przystosowania się do warunków otoczenia, elastycznością reakcji na bodźce zewnętrzne, dążeniem do osiągnięcia celu życia, czyli trwania oraz po drugie – przekazania życia dalej. Wreszcie, po trzecie, rozkoszowaniem się istnieniem pełnym, bogatym, dorodnym jak mój ogród w stońcu po wielkim deszczu wprost dyszy wyczuwalną radością istnienia. Natura jest twórcza, niewyczerpana w „pomysłach”, w osiąganiu celu – rodzenia życia i przekazywania go dalej, w tworzeniu dogodnych warunków egzystencji organizmów wokół siebie.

Dla nas rośliny są nieruchome, ale przecież nie mamy cierpliwości, aby obserwować ich bardzo powolne funkcjonowanie. Brak mowy, dźwięków, porozumiewania się? Nie zauważamy bogatego słownika zapachów, komunikującego pokrewnemu światu rozmaitość znaczeń. Poza tym, jak w we wspomnianym opowiadaniu Roalda Dahla – pomysłowi dziś potwierdzonemu przez czulsze elektroniczne aparaty – wydają dźwięki poza granicą (poniżej lub powyżej) słyszalności ludzkiego ucha.

Pewność wiedzy i ryzyko życia

Empedokles nauczał „Nie myśl, że wzrok jest bardziej niezawodny od słuchu, nie oceniaj słyszanego brzmienia ponad pory języka, ani nie ufaj żadnym innym organom, które stanowią kanał dla zrozumienia, lecz wykorzystuj wszystko, co potrzeba, aby sprawy stały się jasne dla umysłu.”

Empedokles, który był w równym stopniu filozofem, co poetą, w tym kwiecistym wyrażeniu zanotowanym przez Sekstusa Empiryka, przekazuje nam właściwie oczywistą prawdę, tylko że „zapomnianą” w rozwoju zachodniego empiryzmu: nie ma wyróżnionego zmysłu, który nieomylnie przekonywałby nas o stanie rzeczywistości i jednocześnie znosiłby ważność danych uzyskanych innymi kanałami.

Inni dodają: rzecz jasna, ponieważ dopiero kombinacja informacji od pięciu organów składa się łącznie na (praktycznie wystarczającą) informację o mechanizmach przyrody. A na zastrzeżenie, iż ludzkie zmysły reagują tylko na bodźce w stosunkowo wąskim paśmie sygnałów, odpowiadając: medytację i życie wewnętrzne ostu nas nie interesują. Informacje biegną tylko w jednym kierunku – od zewnątrz ku nam. Praktycznie to wystarczy nauce i technologii; szalony rozwój obu przekonuje, iż mamy rację.

Filozofia „naukowa”, czyli epistemologia i dozbrowiona logiką jej współczesna odnoga – metodologia, straciły zainteresowanie czymś takim jak „duch” – ów nadzmysłowy substrat, nieuchwytny zmysłami, nie rejestrowany przez aparaturę naukową. W filozofii nowożytnej „duszę” zastąpiono „umysłem”,

zarezerwowanym wyłącznie dla człowieka. Poniżej inne istnienia to tylko mechanizmy, ponieważ nie mają „duszy”, nie są zdolne do refleksji oraz nie mają stosownej struktury świadomości. Epistemologia wypiera ontologię. A epistemologia to poszukiwanie pewności wiedzy – trafnej, obowiązującej metody; im większa koncentracja na metodzie, tym mniejsze zainteresowanie istnieniem, tym, co dookoła – funkcjonuje, żyje.

Empiryk powie: to nie dusza, to instynkt. „Dusza”, „myśl”, „instynkt” – tylko gra słów odziedziczona po XIX-wiecznej nauce. Dla roślin „ciało” jest zewnętrzną strukturą „duszy”, ta druga – wewnętrznym wyrazem powłoki. Im „wyżej” w hierarchii (to spadek po św. Tomaszu), tym dusza ściślej kryje się w machinie ciała, aż – jak nauczają – u człowieka znajduje pełne rozłączenie: dusza jest obojętna, bądź zgoła wrogo nastawiona do ciała, w którym chwilowo zamieszkała, ponieważ w świecie tylko myśl (świadomość) się liczy, a ciało to błąd zmysłów, albo występki, grzech. Utożsamienie duszy z myśleniem, a myślenia – z metodą spowodowało, że filozofię nowożytną zrównano z epistemologią, z teorią poznania i pewnością wiedzy. Zaś tam, gdzie mamy pewność, tam przeoczamy egzystencję.

Innymi słowy – w miarę jak nowożytna filozofia dążyła do ustalenia warunków pewności wiedzy, w równym stopniu „zapominała” o życiu, zwyczajnym bytowaniu, które zawsze toczy się w warunkach niepewności, a nawet więcej – ryzyka istnienia podejmowanego każdego dnia. Dążenie do pewności wiedzy nie daje w naszej (codziennej) egzystencji poczucia bezpieczeństwa, zaufania co do

obieranej drogi życiowej, słuszności podejmowanych decyzji, nie napętnia otuchą co do moralnych wyborów. Między pewnością wiedzy a niepewnością egzystencji rozwiera się przepaść.

Nigdy też nie będziemy wiedzieli o wewnętrznych doświadczeniach ludzi ani o doznaniach wszystkich żywych organizmów, których granice zmysłowości wykraczają daleko poza nasze człowiecze wrażenia. Możemy o nich wnosić jedynie po zewnętrznych, fizycznych przejawach. Analogia ta może być skuteczna w odniesieniu do innych ludzi („jesteśmy tacy sami, myślimy i czujemy identycznie”), o tyle w przypadku bytów dalszych, zwłaszcza tak odległych od nas jak zwierzęta, rośliny, potrzebny jest szereg przybliżeń, albo zgoła śmiałych hipotez, które pozwolą przebić się przez mur utwalonych przeświadczeń.

Zaś w praktyce pewność egzystencji zapewnić mają rozmaite systemy polityczne chroniące ludzi przed zawirowaniami losu. Tymczasem złudna pewność bezpiecznego bytowania w „państwie opiekuńczym”, to dobrowolna rezygnacja z wolności, zgoda na ograniczenia, przyzwolenie na wytyczenie wąskiej ścieżki (eleganckiej grządk) życia między dyktatem mnóstwa nakazów i zakazów, na pokierowanie naszego losu przez biurokrację wszelkich szczebli. I tylko „chwasty”, jak mój oset, prowadzą egzystencję dziką, ale swobodną, niepewną, ryzykowną zgoła, ale własną.

CZESŁAW KARKOWSKI
CZERWIEC - LIPIEC 2026



Alina Biernacka

Sposobność

Czy sposobność ma otwierać przed człowiekiem
furtkę do niecných czynów?
Jaki to człowiek, który da się uwieść
sprzyjającym okolicznościom?
A może właśnie szeregowy przechodzień?
O jaką sposobność tu chodzi?
Na przykład: awaria systemu zabezpieczeń
w momencie, kiedy wchodzimy do skarbcza banku?
Dylemat: czy otwierać cudze sejfy, czy tylko swój?
Szttywna postawa, rodem z mormońskich nauk,
może się przeciwstawić hipisowskim igraszkom.
Szczęśliwie, mało kto trzyma kosztowności w skarbcu,
a już prawie nikt, ich nie posiada.
Sposobność może zatem dotyczyć raczej
uniknięcia trafienia rakietą buriewiestnik
i znalezienia się w czarnym, plastikowym worku.

Pierwsze wrażenie

Podobno pierwsze wrażenie stanowi trafna
ocenę nowo poznanej istoty.
Czy tak było z potworem z Loch Ness?
Może umykający ludzie wcale nie mieli racji,
a potwór był tylko wodnym wirem?
Hitler wzbudzał na początku śmiech i politowanie,
a komuniści musieli dwoić się i troić,
żeby ich zaczęto brać poważnie.
Seryjni mordercy zwykli obrażać listownie
policję, słać jej zaczepki.
Już schwytani, emanowali inteligencją
i dobrodusznym wyglądem.
A jakie wrażenie robi na podsłuchujących nas
kosmitach gwałtowna erozja demokracji
na Ziemi?
Czy będą władni wysłać nam odsiecz?
Oby nie w postaci siedmiu plag, które zjednoczą
wreszcie ludzi cierpiących niewysłowioną niedolę.

Chwytność palców

Chwytność palców, tak oczywista u małp,
inaczej przedstawia się u ludzi pióra –
ci miewają kłopotu z utrzymaniem go
na poziome, o jakim marzą.
Palce, nawet nieco sterane archaiczną
funkcją pisania, mają dość sił,
żeby co jakiś czas stawiać wykrzykniki.
Stosują je zwłaszcza na zamknięcie
dyskusji o tożsamości politycznej.
Jednak podniosły się głosy, że same
wykrzykniki nie wystarczą, żeby odwrócić
świat w dobrą stronę.
Niektórzy proponowali powtórkę Potopu,
inni opowiadali się za pożarem na wzór
Rzymu.
Ponieważ ludzie pióra pozostali przy swoich
wykrzyknikach, nic nowego nie działo się,
a ogólne rozedrganie zaczęło narastać.
Na wyspach Galapagos dały się odczuć
pierwsze wstrząsy – co będzie dalej
wiedzą tylko ośmiornice – wróżą przyszłość
zaciskając palce na podwodnych kablach

Niewiadoma

Moje nowe życie opierało się
na niewiadomej.
Jak i kiedy miała się objawić?
Były próby oznaczenia przybliżonej daty,
ale minęły bez wymiernych skutków.
Niewiadoma, oddalona zapewne
o lata świetlne, nie dopuściłaby
do mieszania się w swoje sprawy.
Prawdę mówiąc, jej rola przywódcza
była pewnikiem.
Ogólnie biorąc, moje nowe życie
biegło wartko i to tylko z powodu
obsesyjnego pragnienia odkrycia niewiadomej.
Im dłużej to trwało, tym wyraźniej zdawałam
sobie sprawę, ze stałego oddalenia od celu.
Czy tak miało zostać?
Moi profesorowie, kiedyś, w zamierzchłych
czasach, radzili mi doścignąć niewiadomą –
zdawało się to możliwe, przy silnym
zaangażowaniu całego jestestwa.
Teraz, pod koniec istnienia, odkrywam
ich taktykę, polegającą na uczynieniu
niemożliwego celem życia.
Wszyscy jesteśmy stadem owiec niewiadomej –
możemy paść się na górskich łąkach,
a z naszej wełny powstaną namioty
dla ofiar lawin, zagubionych
w wiecznych śniegach.

Repertuar

Repertuar sztuk, jakie los pozwala wystawiać
każdemu z nas, bywa urozmaicony –
obejmuje komedie, tragedie, operetki,
a nawet tandetne śpiewogry.
Za czasów Eurypidesa wyjątkowo srodzy bogowie
lubowali się w głębokich dramatach,
dziś na porządku dziennym są pokawałkowane
opery mydlane, przeplatane z płaskimi dreszczowcami.
Jednakże nad wszystkim wisi cień wiecznej wojny.
Sparta by się cieszyła, jej obywatele chętnie
przyuczaliby Europejczyków do sprawnego
używania robotów na froncie.
Może też udałoby się im strącić ze skały Tarpejskiej
kilku tyranów?
Repertuar sztuk, jakie los pozwala nam wystawiać,
kurczy się z każdym rokiem.
Cała metafizyczna budowla kruszy się, zostają dialogi,
w których na próżno można się doszukiwać artyzmu.
A co na to kosmos?
Gdzie ta słynna ciemna materia, która przenika wszystko
i wszystkich?
Czy ona nie ma w sobie żadnej wynalazczości?
Albo chociaż świeżego spojrzenia
na możliwości twórcze każdego w nas atomu?

Mirosław G. Majewski

ARTHUR SCHOPENHAUER

- GDAŃSKI FILOZOF, KTÓRY PATrzył W PRZEPASĆ I NIE ODWRÓCIŁ WZROKU

W popkulturze Arthur Schopenhauer pojawia się na kubkach i t-shirtach, mamy jego już nieco podstarzałą twarz z napisem: Dzień dobry, że tak pozwolę sobie skłamać.

Arthur Schopenhauer urodził się 22 lutego 1788 roku w Gdańsku, w rodzinie zamożnych kupców hanzeatyckich, zmarł w 1860 w Frankfurtu nad Menem jako człowiek, którego prawie nikt nie czytał za życia, a który dziś jest uznawany za jednego z najostrzejszych diagnostów kondycji ludzkiej. Między tymi dwoma datami rozegrała się historia filozofa, który nie chciał niczego udowadniać światu, a jedynie opisać go takim, jakim jest – okrutnym, bezsensownym i niezmiennie bolesnym. I zrobił to z taką siłą literacką, że jego proza do dziś czyta się jak wielką powieść egzystencjalną.

Niektórzy biografowie twierdzą, że Schopenhauer czuł się Niemcem, ale... No właśnie, gardził niemieckością i wszelkimi nacjonalizmami, twierdził, że jeżeli ktoś ma dumę narodową znaczy, że sam w sobie nic nie znaczy, był kosmopolitą, i do końca życia (jak twierdzą niektórzy polscy badacze) uznawał się za gdańszczanina, nie tylko dlatego, że w Gdańsku się urodził (co jest bardzo istotne), ale również po części dlatego, że matka przywiozła go z Frankfurtu do Gdańska na konfirmację do kościoła Mariackiego, w którym to odbył się jego chrzest, po konfirmacji praktykował jeszcze kilka miesięcy u jednego z kupców gdańskich co mogło wzmocnić jego poczucie bycia gdańszczaninem gardzącym niemieckością.

Życie Schopenhauera wygląda jak ilustracja jego własnej filozofii. Ojciec – surowy, ambity kupiec – prawdopodobnie popełnił samobójstwo, gdy Arthur miał siedemnaście lat. Matka – Johanna Schopenhauer – stała się popularną pisarką i salonową damą, (przyjaźniła się m.in. z Goethem), a syna traktowała z mieszkanką pogardy i irytacji. Arthur nigdy jej nie wybaczył. W liście z 1813 roku pisał: „Twoje życie jest poezją, moje – prozą”. Ta rodzinna tragedia stała się dla niego dowodem na to, co później nazwał „ślepotą woli”: życie pcha nas do przodu, choć nie ma żadnego celu poza dalszym pchaniem.

Studiował medycynę, potem filozofię w Getyndze i Berlinie. Siedział na wykładach Fichtego i Schleiermachera i... nudził się. Jedynym, kto go naprawdę poruszył, był Kant – ale nawet Kanta uznał za nie dość konsekwentnego. W 1818 roku, mając zaledwie trzydzieści lat, opublikował swoje opus magnum: „Świat jako wola i przedstawienie”. Sprzedało się w ciągu kilku lat zaledwie kilkaset egzemplarzy. Schopenhauer był wściekły, ale nie zaskoczony. Wiedział, że prawda nie sprzedaje się dobrze.

Schopenhauer wziął od Kanta rozróżnienie na „fenomen” i „noumen”, ale poszedł dalej – i brutalniej. To, co postrzegamy (przedstawienie), jest jedynie zasłoną. Za nią nie ma „rzeczy samych w sobie” w sensie kantowskim. Jest jedna, jedyna rzecz sama w sobie: Wola. Nie wola ludzka, nie wola Boga, lecz ślepa, bezrozumna, nienasycona siła, która objawia się we wszystkim – od ruchu planet po głód ameby i erotyczne pragnienie człowieka.

„Życie to wahadło, które kołysz się między bólem a nudą” – napisał. Chcemy, więc cierpimy. Zaspokajamy pragnienie – i na-

tychmiast pojawia się nowe. Jedyna chwila ulgi to moment, gdy wola na chwilę milknie. Dzieje się to w dwóch sytuacjach:

1. W kontemplacji estetycznej – gdy patrzymy na dzieło sztuki (zwłaszcza muzykę, którą Schopenhauer stawiał najwyżej) i zapominamy o sobie. (Codziennie grał dwie godziny na flecie znając prawie cały repertuar muzyki klasycznej). Stajemy się czystym, bezinteresownym podmiotem poznającym.

2. W etyce współczucia – gdy dostrzegamy, że cierpienie drugiego człowieka jest tym samym cierpieniem, które nosimy w sobie. Tu Schopenhauer był rewolucjonistą: moralność nie bierze się z rozumu (jak u Kanta), lecz z bezpośredniego odczucia jedności wszystkich istot w jednej **Woli**.

Najwyższą formą mądrości jest jednak „negacja woli” – dobrowolne wyrzeczenie się pragnień, ascetyzm, niemal buddyjskie „wygaśnięcie”. Schopenhauer nie był budystą, ale czytał Upaniszady i buddyjskie sutry wcześniej niż większość Europejczyków i uznał, że Wschód zrozumiał to, czego Zachód nie chciał przyjąć do wiadomości: że istnienie jest błędem.

Filozof miał w swoim życiu kilka pudli i wszystkie nazywał tym samym imieniem – Atma. To świadomy żart filozoficzny: „Atman” w hinduizmie oznacza najwyższą uniwersalną duszę tożsamą z Brahmanem. Schopenhauer wielki miłośnik filozofii wschodniej w ten sposób ironizował na temat indywidualności – dla niego każdy kolejny pudel był w istocie samym Atmanem. Podobno kiedy pies był nieposłuszny, Schopenhauer napominał go mówiąc – ty człowieku!

To, co odróżnia Schopenhauera od Hegla czy Fichtego, to język. Czytał Voltaire’a, Sterne’a i Lichtenberga. Jego zdania są klarowne, cięte, często żłośliwe. Potrafił napisać: „Kobiety są z natury skłonne do uległości” i zaraz potem „mężczyźni są z natury skłonni do głupoty”. Nie oszczędzał nikogo – ani filozofów („Hegel to szarlatan”), ani religii (chrześcijaństwo zepsuło pierwotną mądrość indyjską), ani samego siebie („Jestem pesymistą, bo znam świat”).

Ta ironia nie była ozdobnikiem. Była metodą. Schopenhauer wiedział, że system filozoficzny, który głosi bezsens istnienia, musi być napisany tak, by czytelnik się uśmiechnął – inaczej nie uwierzy.

Za życia Schopenhauer był niemal nieznan. Dopiero w latach 50. XIX wieku, po rewolucji 1848 i klęsce idealizmu, młodzi ludzie zaczęli odkrywać jego książki. Nietzsche przeczytał go w wieku 21 lat i napisał: „Schopenhauer jest mi tak bliski, jakby był moim bratem”. Wagner znalazł w jego filozofii uzasadnienie dla „Tristana i Izoldy”. Freud – koncepcję popędu jako ślepej siły. Tomasz Mann, Samuel Beckett, Emil Cioran, nawet fizycy kwantowi (Schrödinger) – wszyscy pili z tego samego źródła.

Schopenhauer pokazał, że filozofia nie

musi budować systemów pocieszenia. Może po prostu nazywać rzeczy po imieniu. I że prawda, nawet najczarniejsza, ma w sobie dziwną, oczyszczającą moc.

W świecie, w którym algorytmy karmią nas optymizmem, a self-help obiecuje, że „możesz mieć wszystko, czego zapragniesz”, Schopenhauer brzmi jak głos z innego wymiaru. Głos człowieka, który nie kłamał. Nie obiecywał szczęścia. Nie mówił, że życie ma sens. Mówił tylko: „Patrz. Cierpisz. Wszyscy cierpimy. I to jest najgłębsza prawda, jaką możemy sobie nawzajem podarować”. I właśnie dlatego – paradoksalnie – po lekturze Schopenhauera człowiek czuje się lżejszy. Nie dlatego, że świat się zmienił. Dlatego, że wreszcie ktoś odważył się powiedzieć, jak bardzo jest ciężki. I nie udawał, że jest inaczej.

To nie jest filozofia dla tych, którzy chcą wygrać życie.

To filozofia dla tych, którzy chcą je zrozumieć – nawet jeśli zrozumienie boli.

Bibliografia: Schopenhauer, Świat jako wola i przedstawienie, Wydawnictwo Naukowe PWN 2009. Walter Abendroth, Arthur Schopenhauer, Wydawnictwo Dolnośląskie 1998. Kuracja według Schopenhauera, Irvin D. Yalom, Czarna Owca 2021

MIROSLAW G. MAJEWSKI



– (szeptem) Mamusiu. Mamusiu (ci-sza)
 – A więc już wiesz, córeczko.
 – Wiem.
 – Na pewno wiesz także, kto na ojca donosił i przez kogo znalazł się w więzieniu?
 – Wiem.
 – I co zrobisz z tą wiedzą?
 – Nie wiem, mamusiu.
 – A co masz ochotę zrobić?
 – Nie wiem.
 – Chcesz odnaleźć tego kogoś i powiedzieć mu, że wiesz?
 – Nie wiem.
 – To znaczy, że ten ktoś jeszcze żyje?
 – Tak.
 – I ty go znasz?
 – Tak.
 – I ja go znam?
 – Tak.
 – Mam powiedzieć głośno, kto to?
 – Nie!
 – Chcesz, mamo, byśmy sobie to napisały na kartkach i po cichu przeczytały, wymieniając kartki?
 – Nie.
 – Dlaczego nie? Czego się boisz teraz, kiedy już karty odkryte?
 – Dla kogo odkryte, dla tego odkryte.
 – Wybierasz więc milczenie?
 – Już dawno wybrałam.
 – I to było dla ciebie dobre?
 – Nie wiem, czy dla mnie, ale na pewno dla was.
 – Ale ja już wiem.
 – Bo ty zawsze otwierałaś zakazane drzwi. Lepiej ci z tym?
 – Nie wiem, taka byłam.
 – Taka byłaś, taka jesteś, to prawda.
 – I co teraz, mamo?
 – A jak zaczynałaś kopać w przeszłości, to nie wyobrażałaś sobie, co tam możesz znaleźć?
 – Wyobrażałam.
 – No to teraz musisz dźwigać nie tylko wyobraźnię.
 – Mamusiu, powiedz mi, jak ją dźwigać?
 – Umyj okna, córeczko, zobacz, jakie brudne, a już niedługo słońce zaświeci.
 – Dobrze, mamo.
 – Ugotuj dobry niedzielny obiad i usiądźmy wszyscy przy okrągłym stole.
 – Dobrze, mamo.
 – Wyprowadź psa i kup czerwoną różę.
 – Dobrze, mamo.
 – Przynieś ją na mój grób i zapal świeczkę.
 – Dobrze, mamo.
 – Pomódl się do świętej Rity.
 – Dobrze, mamo.
 – Kocham cię, mamo.
 – Kocham cię, córeczko.

*

Od tamtej nocy nie śniła mi się ani razu.
 Czasami jednak przychodzi do mnie jak żywa
 siada w moim fotelu i czeka, jakby chciała powiedzieć:
 przyszedłam się gościć, co oznaczać ma jak dawniej:
 zostaw wszystko i zajmij się mną.

Patrzy na mnie karcącym wzrokiem, ale już nie krzyczy,
 nie rozkazuje, nie rozstawia mnie po kątach.
 Przynoszę jej kawę z odrobiną brandy. Milczymy.
 Jakbyśmy już nic nie miały sobie do powiedzenia.
 Jakby nawet słowo – dlaczego – przestało istnieć.
 Chcę by wyciągnęła rękę i przygarnęła mnie tak,
 jak nigdy tego nie robiła.
 Ona jednak ma tylko twarz.
 Tylko twarz.
 Bo najtrudniej rozstać się z twarzami.
 Najtrudniej z twarzami.

Matka umarła, zabrała swoją prawdę do grobu i teraz jestem sierotą skazaną tylko na swoją pamięć. Przychodzę na jej grób, zbieram z granitowej pyty spadające z brzozy liście, czasem zapalam znicz, ustawiam doniczkę z bratkami, bo bardzo je lubiła. Wrzosa też lubiła, byle nie chryzantemy, bo te kojarzyły się jej tylko z cmentarzem. Jej kości już wymieszały się z kośćmi ojca, który zmarł trzydzieści lat przed nią. Nieustająco o nich myślę, w każdym dniu coś sobie przypominam.

No bo jak można przejść przez życie bez pamięci? Bez pamięci, która by pamiętała choćby to, co bolało. Układam strzępy tej pamięci i powstaje z nich tkanina z dziurami. Czasami mi się udaje łączyć je kolejnymi strzępami. I widzę patchwork w jednolicie szarym kolorze. Teraz taki modny. Pamięć boli, każdego po swojemu, i każdy swojej strzeże, aby mu z głowy nie wyfrunęła, bo bez pamięci, jak bez życia, ani tu, ani tam.

Zamieniam życie w opowieść, w kolejny wiersz. Na scenie odgrywam kolejną rolę. Powstaje historia będąca sumą tego, co się wydarzyło, ale czy na pewno? Najwięcej pamięta ciało. Na nim zapisuje się każdy wybór, odciska słowo, które boli. Ono przechwytuje znaki i drzazgi. Dlaczego tak właśnie się dzieje, jeszcze nie zgłębiłam. Przecież w naszym domu ciała było mało, nie istniało przytulanie. Nie udało mi się ze swojej pamięci wykrzesać żadnej czułej sceny. Żadnego pogłaskania ani ręką, ani słowem. Żymy wychów, nie mazgać się, życie nieraz da w dupę i to inaczej niż matka, więc trzeba się uodpornić. Czułość musi pozostać w ukryciu. Pokora, tej się uczę, słyszałam, bo pokorne ciele dwie matki ssie.

Jak sobie pościelis, tak się wyśpisz, i oby ci się w dupie nie poprzewracało, bo mnie do grobu wpędzisz. Pamiętaj, dzieci są na posługi, i co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie. Dzieci i ryby głosu nie mają. I nie bądź chytra jak ten i tamten, co to nawet gówno by spod siebie zjadł, i ten, co wyżej sra niż dupę ma. Żal dupę ścisnąć i wyżej dupy nie podskoczysz. I jeszcze pamiętaj, że lepiej z dużą dupą niż z dużą gębą. Dbaj o siebie, jedz i rośnij, nim gruby schudnie, to chudego szlag trafi, jak nie będziesz jadł, to nie będziesz rósł. Nie chcę być Rus, płakał kuzyn, kiedy to samo słyszał od swojej matki.

Ja zaciskałam zęby. Im bardziej byłam

karana za byłe przewinienie, tym bardziej się zatrzaskiwałam. Kiedy w ruch szedł pas, rzemień, czy co tam jeszcze, mój upór wzrastał. Już ja go złamię, krzyczała matka, zaczniesz płakać, czy nie? Co za potwór w tobie siedzi, nawet na pogrzebie ojca łzy nie uroniłaś! W końcu opadała z sił i odkładała pas.

Nie wiem, co wtedy czułam. Oglądałam sine pręgi na swoim ciele, przed lekcją wu-efu zmuszałam się do wymiotów, byle tylko się nie rozebrać. Za co to bicie było? Czy za to, że spóźniłam się ze szkoły o kilkanaście minut, za to, że nie wracałam z młodszymi siostrami, tylko z kolegą? Układałam listę swoich żalów i obiecywałam sobie, że wypiję spirytus salicylowy z brązowej butelki i umrę, i dopiero wtedy ktoś mnie pożałuje. W końcu się odważyłam. Zrobiłam kilka łyków i nie umarłam. Co wtedy czułam? Nie wiem.

Lepiej nosić niż się prosić, czyste ubrania trza mieć, córko, a nie takie jak krowie z pyska albo psu z gardła wyciągnięte, i o porządek dbać, a nie tylko tak, buch gównem w kaszę, byle nie w nasze. Matki się masz słuchać i ojca, bo kto się ich nie słucha, to się słucha psiej skóry. Na co czekasz, na oklaski? I bez dyskusji, liczę do trzech, nie obchodzi mnie kto zaczął, a jak ci koleżanka powie, byś w ogień wskoczyła, to też wskoczysz? Której części zdania nie rozumiesz? Udało ci się jak ślepej kurze ziarno, i tyżeczkę wyciągnij ze szklanki, bo sobie oko wydułbiesz. I w ogóle bez dyskusji, a za kilka lat wspomnisz moje słowa.

Wspominam często. Ufff.

Też mi się zdarzyło tak powiedzieć do córki, o tej ślepej kurze i ziarnie. Do dziś mi to wypomina! Choć tłumaczę, że powieliłam rodzinny skrypt, powtórzyłam jedno z powiedzonek matki, którymi jestem przesiąknięta. A gdzie tam. Trzeba myśleć, mamusiu, a nie paplać i krzywdę drugiemu robić, i deptać moje poczucie wartości. Boże mój, ale się nasłuchała, naprzeczowała, ale nie powiedziałam już, że gada na własnej piersi wyhodowała, i nie powiedziałam, jak ty się do matki odzywasz, i nie powiedziałam, że jak ci się nie podoba, to nikt cię w domu nie trzyma i drzwi otwarte, ani i tego, że masz tańczyć jak ci zagram, ani tego, że żyły sobie człowiek wypruwa, a tu taka zapłata.

Matka wydawała mi się niezniszczalna, co znaczyło, że nie może umrzeć. Straszyla mnie swoją śmiercią, odwodując się do bajek. Jak będzie niegrzeczna, to ci umrę, a wtedy tatuś się ożeni i będziesz miała macochę, a kto to macocha, to już wiesz.

A jakże, wiedziałam. Ojciec mi czytał baśnie. A one mówiły o piekle życia bez matki. Baśniowe domy były bez miłości i szczęścia. Ojciec wyprowadzał dzieci do lasu i tam je zostawiał, bo w domu brakowało jedzenia, król-wdowiec dochodził do wniosku, że jedyną kandydatką na żonę może być jego córka, więc ją uciekla przed ojcem, ubrana w ośłą skórę. Kopciuszek porzucił dom macochy.

Baśnie nie oszukują, pokazują wymownie, że życie wymaga ofiar, jest pełne niebezpieczeństw i cierpień. Aby odnaleźć

PROZA to, co symbolizuje prawdziwy dom, trzeba odwagi, samodzielności, wysiłku. Szczęście i radość nie spadają jak manna z nieba, trzeba zmagać się z otoczeniem i z sobą, ale przynajmniej zło zostaje ukarane, a dobro zwycięża. W bajkach zawsze.

Co ciekawe, ukarane jednak zostają złe wróżki, czarownice, macochy – te „obce” kobiety, te z zewnątrz. U braci Grimm zła macocha dostała żelazne buciki, w których musiała tak długo tańczyć, aż umarła. Przyrodnie siostry Kopciuszka, też u braci Grimm, ukarane zostały ślepotą, bo gołębie wydziobały im oczy.

A co się dzieje ze złymi tatusiami, dlaczego ich nie spotyka kara? Ojciec Jasia i Małgosi zostawia dzieci w lesie, bo tak mu każe żona, a ich macocha. Robi to ze strachu przed żoną. Ojciec Kopciuszka nie protestuje, kiedy jego córka jest źle traktowana przez macochę i jej córki. Sam też dotacza się do tego złego traktowania, bo i on córkę nazywa Kopciuszkiem. Mało tego – wyrzeka się jej. Kiedy Królewicz pyta, czy jest w domu jeszcze jedna córka, ojciec mówi, że nie ma, bo pozostała tylko córka nieboszczyki żony.

No tak, tak, ale to już inna opowieść.

*

Czy lubiłam swoją matkę?

Czy kochałam?

Czy bardziej kochałam niż lubiłam?

Czy szanowałam, podziwiałam?

Czy tylko się jej bałam?

Czy jej złorzeczyłam, czy tylko się piekliłam, kiedy z zaciśniętymi ustami wykonywałam polecenia dla świętego spokoju i po to, że przecież ktoś musi być mądrzejszy, a kto jeśli nie ty, córeczko?

Skoro na mnie wypadło, poczułam się, jakby mnie jej ręka nareszcie głaskała, a nie biła, a nie szukała skórzanego pasa z metalową sprzączką albo rzemienia splecionego w warkocz.

*

Z zaciśniętymi pięściami spełniałam twoje marzenia.

Oblekałam się w cnotę i oddalałam grzech.

Nosiłam granatową spódniczkę, twarz stroiłam w światło, tylko oczy odwracałam w uchylone drzwi.

Mamo, mamo, nie pamiętam, co

nas złączyło, które okno,

Jaka ciemność, a może biały kordonek.

Byłam wiernym psem, brzęczałam kajdanami, zganiałam pył z twoich stóp, odganiałam muchy.

Byłam kotem czarnym, co

przebiega drogę i rzuca urok,

Plakałam bezgłośnie i tupiałam po cichu.

Mamo, mamo, nie pamiętam, co

nas złączyło, które okno,

Jaka ciemność, a może biały kordonek..

I nagle zapragnęłam mieć

skrzydła ogromne, takie by

nie dotknęła ich twoja twarda

ręka, i nagle zapragnęłam

poszybować w mroczność albo

miód, poczuć słodycz,

albo gorycz, albo sól, albo ból tylko mój

Mamo, mamo, nie pamiętam, co

nas złączyło, które okno,

Jaka ciemność, a może biały kordonek.

Znalazłam miłość, znalazłam

rozkosz, odkryłam

tylko swoje wyspy, łanie

wyskoczyły z mojego ciała

i teraz mogę rozmawiać z Tobą

jak kobieta z kobietą,

mamo, jak córka z matką, mamo.

Mamo, mamo, nie pamiętam, co

nas złączyło, które okno,

jaka ciemność, a może biały kordonek.

*

Ojciec umarł, kiedy byłam 9-letnim dzieckiem, a matka postanowiła wytrwać we wdowieństwie, choć umizgiwali się do niej mężczyźni. Każdy obiecywał, że będzie jej z nim dobrze, i będzie sobie żyła jak pączek w maśle. Matka kpiła z tego powiedzonka, bo wiedziała, że najlepsze pączki smaży się przecież na smalcu.

Jeden kupił jej rękawiczki.

Przyjęta. Bo ciepłe były i skórzane, nie poskąpił.

Spotkała się z nim kilka razy, też był wdowcem.

Poznała nawet jego córkę i zapamiętała sobie jej spojrzenie, taksujące. W kolejnych absztyfikantach, jak mówiła, też zawsze znalazła coś niepasującego, a to buty miał niewypastowane, a to „żałobę” za jednym paznokciem, a to szczerbę w uźębieniu, zawsze coś niby z pozoru nieznaczącego, a jednak świadczącego o charakterze. Na koniec powiedziała, dosyć chłopów w moim życiu, już im się gaci naprałam. I postanowiła żyć sama, choć nijak tego robić nie potrafiła.

*

Tak więc nie wiem, jak ją

kochałam, czy jej nie lubiłam.

Nikt mnie nie nauczył rozeznać

się w uczuciach.

Nikt nie nauczył, jak odróżnić, co się

czuje, co wolno czuć, a co zabronione.

Znałam nakazy i przykazania, punkty,

podpunkty. Ale uczuć nie znałam.

Matki się trzeba słuchać, głębie

kapuściany, bo matkę masz jedną, i kto

się ojca i matki nie słucha, ten słucha się

psiej skóry. Albo grochu się słucha do

kłeczenia, z rękami podniesionymi

w górę. I tak w kółko. I tak na okrętkę.

Dopiero po latach zobaczyłam, że co było dobre dla świętego spokoju matki, złe było dla mnie, bo zapędzało mnie w kozi róg, do kąta, ale co tam kąty, ośle ławki, i inne kary, przecież to dla twojego dobra córko, córciu, uparta jak kozioł w kapuście, siedź w kącie, córko, siedź, a znajdą cię. Jak się wyrwałam z tego kręgu krzywd, nie wiem. Krzywdzony i upokorzony, krzywdzi i upokarza, a ja się uparłam, że będę inna. Jeśli w jakimś stopniu mi się to udało, to dzięki książkom, w które uciekałam. To dzięki babci, która była całą po mojej stronie, i choć nieuczona, to dobra i kochająca miłością bezinteresowną. Babcia mieszkała jednak na drugim końcu kraju i mogła mnie wspierać tylko wtedy, kiedy przyjeżdżała do nas raz w roku. Ale to już inna opowieść, całkiem inna.

*

Ten kurwizzonek, mówiła o niej siostra, a moja ciotka, stawiając przede mną,

pięcioletnią dziewczynką, słoń z matymi, pikantnymi ogórkami. Kurwizzonek, korniszonek. Byłam długo pewna, że ciotka używa tych słów wymiennie, i że znaczą to samo, bo podobnie je wymawiała, zawsze obliżując mięsiste wargi. Był w tych słowach i smak delikcji, i podziw, i strach, wściekłość, może żal, a może i tłumiona rozpacz. Gdybym wtedy wiedziała, co wiem teraz, że ten kurwizzonek uratuje całą rodzinę, a może i całą wieś, mówiła ciotka, patrząc w zieleni ogrodu, to nigdy nie splunęłabym jej w twarz, ani nie kopnęła w dupę, ale kto mógł to wtedy wiedzieć, ani ona nie wiedziała, ani jej mąż, ani brat, bratowa, tylko sąsiad, który ukrył się w stogu siana i przesiedział w nim do rana.

A potem zamknął na całe lata. Tak było, kochana, albo i nie, kto dziś o tym mówi, nikt, bo pamięć boli, każdego po swojemu, i każdy swojej strzeże, aby mu z głowy nie wyfrunęła, bo bez pamięci jak bez życia, ani tu, ani tam.

Ciotka była jak cytata fregata, zamaszta i w biodrach, i w dupie, bo najważniejsze, to mieć, na czym siedzieć, czym oddychać i w kontaktach między ludźmi robić użytek z szerokich pleców. Ciotka była jak orzeźwiający wiatr i zielona pietruszka, którą hodowała w podłużnych donicach, wystawianych na szerokich parapetach. Ciotka była jak francuska flaga blublarów. Niebieska i biała, czyli pogodna i kojąca. Tylko czasem diabeł w nią wstępował i wtedy purpurowiała różanymi licami, czerwonymi plamami na szyi i dekolcie. Kiedy wykrzyczała swoje, wracała do spokojnych kolorów, jasności na czole i słów ulubionych piosenek: „Cicha woda brzegi rwie” (zanucić) albo „bella bella donna, wieczór taki piękny” (zanucić).

Tak, tak, Twoja matula była jak ta cicha woda, co brzegi rwie, mawiała ciotka. I kto by pomyślał, że choć ona najmłodsza wśród rodzeństwa, to ją pogrzebię, ja, najstarsza siostra, zaliła się po latach. Szydziła twoja matula ze mnie, bo płakałam po Stalinie, bo słuchałam przemówień z kotchoznika na cały regulator, byle i do niej dotarło, kogo straciliśmy. Ale gdzie tam. Nieuczona cholera, ta matka twoja, a swoją tajemną wiedzę miała. I nie trzeba było za długo czekać, by na jej wyszło. A jak się stawiła, kiedy jej ktoś zarzucał, że ledwo czyta i pisze, że pełnej podstawówki nie ma.

To prawda, co mówiła ciotka, i ja pamiętałam, jak broniła się matka niczym rozjuszona lwica. Mam wykształcenie, mówiła, mam nawet papiery na to wykształcenie. Z zawodu jestem spawaczem machała pożółkniętą kartką, słyszy co mówię, spawaczem, czy w ogóle wiesz, co to spawacz, jaką pracę wykonuje. Maskę zakładałam, palnik brałam w rękę i dawać syczeć ogniem z niego, wywalać złość aż tak bardzo, by jeden kawałek metalu zrastał się z drugim.

To była piękna rzecz ten syczący ogień, wiesz jaką on miał siłę?

A jaką ja miałam moc?

Więc jeżeli myślisz, że sobie z tobą nie poradzę, to się mylisz. Siła jest we mnie.

Jestem spawaczem i matką karmicielką.

Wiesz, ile dzieci wykarmiłam?

Czworo? Co ty tam, wiesz.

A te inne dzieciaki których matki pokarmu nie miały, to niby co jadły, jak myślisz?

Moje mleko piły aż im się uszy trzęsły i były z tego mleka jak chłopcy z żuru. Bo chłop żuru, to jak chłop z muru, tyle siły w nim. Szanuj matkę spawacza. I ojca cieślę.

Do papierów wpisuję zawód gospodyni

domowa, wtedy każdy daje wiarę. Ale jak-by co, to zawód spawacz, wyuczony. Już niewykonywany, bo jak, kiedy ośmioro ludu w domu i każdy tylko czeka, by mu podać ciepły obiad, oprąć, wyprasować.

Potem matka odwracała kota ogonem, bo nie dawała sobie w kaszę dmuchać, i z zarzutów robiła oręż, zgrabnie pozostając w temacie.

Uczyć się macie, mówiła do córek, bo jak nie, to na wieś krowy pasać, kury macać, barany strzyc. Wasz ojciec wykształcenie ma, całe siedem klas, pisze bez błędów, i dobrą ma rękę do pisania, po piśmie poznasz człowieka. Dla was szkoły stoją otworem, musicie jeszcze wyżej się kształcić niż ojciec. Nie po to wasz ojciec własną łopatą sobie kopał grób w lesie, nie po to go hitlerowcy chcieli ubić, nie po to dla was wywalczył wolność i szkołę za darmo, abyście teraz tego nie uszanowały.

Kim chcesz zostać, jak będziesz duża, zapytała kiedyś ciotka.

Pastuchem, powiedziałam z dumą.

A matka, jak się nie odwinie, jak nie palnie ścierką, którą akurat w ręce trzymała. Ja ci dam pastucha, wrzasnęła. Człowiek sobie żyły wypruwa, a ta ambicji nie ma.

Ale ja chcę być pastuchem, a nie jego pomocnikiem, rozplątałam się, pewna, że sięgam wysoko.

Przecież pastuch na wsi u babci Mariany był personą. Wypasał kilkanaście krow. Dzieci miał za pomocników. Ich praca polegała na tym, by przyganiać niesforne krowy, które odeszły za daleko. Pastuch w tym czasie leżał na łące i patrzył w niebo jak Dyzio Marzyciel.

Krowy były pięknie majestatyczne. W różnych kolorach i różnej wielkości kropkach. Gryzły trawę, kręcąc mordą. Napychały ją w siebie w ilości hurtowej. A potem przetwarzali. I wydalali, co nazywano krowimi plackami. Jak się takie wysuszyły na słońcu, można je było spalić.

Krowy miały krowie oczy i krowi wzrok. Nie widziałam w nich bezmyślności, tylko spokój i urodę. To były duże oczy z długimi rzęsami. Muchy też sobie te oczy upodobały, co się krowom nie podobało, więc przeganiały je krowim ogonem. Miał taki ogon siłę. Kiedyś i ja nim oberwalam.

Miały też nabrzmiałe cycki z wymionami, którymi się nieustająco zachwycalam, marząc, że jak będę duża, to i ja takie będę miała. Jak babcia odpowiednio pociągła za wymiona, to leciało z nich mleko z pianką, zmora mojego dzieciństwa.

Gospodynie prześcigały się w bogactwie obiadu, jaki przynosiły pastuchowi wedle ustalonej kolejności. Pastuch miał codziennie ucztę, wydawał opinie, a każda z gospodyń chciała być najlepsza. Jak nie zjadał wszystkiego, łaskawie i pomocnikom coś kapnęło.

Pastuch nie był rozmowny, więc i w zabawach w pastucha i pomocników każdy chciał być pastuchem, któremu inni usługują. No i takie bywały moje wakacyjne marzenia: Chciałam być piękna i użyteczna jak krowa i ważna jak pastuch.

Siedzieć prosto przy stole i jeść. Jaki kto do jedzenia, taki do roboty. Konkurs ogłaszam, mówiła matka: Która zje więcej chleba do tego kawałeczka kiełbasy, ta wygra, nagroda będzie, jeszcze nie wiem jaka, ale będzie.

Nawpychałam się chleba i na kiełbasę już miejsca nie było, z czego sprytnie korzystała średnia siostra.

Jak już nie możesz kiełbasy, to zjem za ciebie, mówiła, więc odstępowałam jej, byle tylko wygrać ten konkurs, byle matka

pogłaskała po głowie, bo to byłaby nagroda.

Przynajcie, siostry, powiedziała najmłodsza siostra po latach, matka dbała o nas, nigdy głodne nie byłymy.

Cisza zapanowała, a potem jedna przez drugą przytakiwałyśmy: Tak, dbała, to prawda. Wstawała o świcie, do taniej jatki jechała, podroby tam kupowała, płucka śledziona, wątroby, świńskie potamane nóżki. I potem z tego gulasze, pierogi z farszem z płuck, jakie to dobre było, przytakiwałyśmy.

A płucka pamiętacie, pytała najmłodsza, na kwaśno płucka.

Tak, tak, potakiwałyśmy, płucka dzielnikowego, śmiałyśmy się, i zajadały.

A pierogi z czarną fasolą, jakie matula robiła, pamiętacie?

Fasolę czarną i czerwoną ze wsi jej brat przysyłał. Nasza rodzinna modna była na wiele lat przed rodzą na pierogi i pierogarniami na każdym rogu ulicy.

To prawda, to prawda. I kiedyś, jak już ta moda przyszła, a opowiadałam matce o premierze w teatrze i bankiecie po niej, to pytała o ten bankiet i co tam jeść podano. No więc mówię, że czarna kawa zbożowa była, ogórki kiszzone, smalec, pierogi z kapustą. A matula na to, że mam jej nie wciskać kitu, bo ja nie na bankiecie byłam, tylko na biwaku, a starej matce wodę z mózgu chcę

robić, i diabli wiedzą, gdzie ja się wtóczę.

Może i mama nas nadmiernie ćwiczyła, może i tłukła na zapas, wspomniata średnia siostra, ale dzięki temu wyrosłyśmy na porządne kobiety, i żadna z nas za męża nie wychodziła tylko dlatego, że musiała, żadna nie przyniosła wstydu matce wdowie.

Mów za siebie, powiedziałam, ja tam nie jestem porządna.

Zawsze i wszędzie miałam pod górkę i zawsze mi było za daleko, dlatego teraz ze zgryzoły, muszę pisać wiersze, każde słowo sobie ważyć i to bynajmniej nie lekce, muszę kopać w słowach, jak ten ojciec w węglu. Muszę rolę na scenie odgrywać, każdą inną, aby się przekonać, kim jestem.

A i to poszanowania z waszej strony żadnego, jak się rozwodziłam, to córki przede mną chowałaś, siostrze średnia, aby się nie zaraziły ode mnie zepsuciem, i aby za męża wyszły po bożemu, co im i tak wyszło na złe, bo poszły w moje ślady i mężów w dupę kopnęły, haha.

Nie o tobie rozpamiętujemy, siostrze starsza, tylko o naszej matce, ale ty zawsze tak pokierujesz rozmową, by na ciebie patrzeć i uważać się nad twoim losem, lubisz błyszczyć nie tylko na scenie, powiedziała najmłodsza.

O co wam chodzi, o co chodzi, siostry →



moje, a poza tym do teatru nie chodźcie, więc co tam możecie o mnie wiedzieć.

Przecież prawdę wspominam!

Przecież niedaleko pada jabłko od jabłoni, jaka mać, taka nać, też sobie nie daję w kaszę dmuchać, jak matka. Nie żalę się, tylko daję wam przykład, że i ja przez was byłam nazywana kurwizjonkiem, jak mama przez swoją siostrę, niech jej ziemia lekka będzie i gwiazda wiekuista niechaj świeci., bo bardzo lubiłam ciotkę.

Prześtań z tą gwiazdą, siostra średnia dodała, wiadomo, że ciotka była komunistką, więc jaka gwiazda, chyba że czerwona, kremłowska.

Jaka kremłowska, wtrąciła najmłodsza, chyba że robotnicza, śląska czy zagłębiowska, ciotko daj spokój, za swoje dostała, z tym gadem mężem w jednym grobie śpi.

Hoho, śpi, też mi metafora, w proch się obróciła ciotka, powiedziałam, tyle lat, jak jej nie ma wśród żywych, dobrze choć, że zmarło jej się przed mężem, to już z niej pożytku w grobie nie miał, ten padalec napalony na baby, na te cielęcinki, jak mawiał, i żadnej nie przepuścił, czy to starej, czy młodej, nawet dziecku.

I wtedy cisza zaległa.

Jakby odżyła pamięć, co to martwą być powinna na wieki, przynajmniej w takich sprawach.

Jakbym wygrzebała, co każda z nas wiedziała, ale o czym się nie mówiło, tylko pod dywan, czego nie widać, to nie ma, a krzywdę można przemilczeć. I coś z tego, że milczenie jest chorobą.

To już przesadziłaś, siostró, dodała siostra cienkim głosem, nie pomnę która.

Przesadziła albo i nie, średnia wspominać zaczęła. Ale zgodnie z naszą, nie tylko rodzinną tradycją, lepiej nie rozdrapywać ran, nie solić. Przyznacie, że ciotka była świetna i wszyscy ją lubili, choć gębę miała niewyparzoną, ale za to gotowała tak, że do dzisiaj jej dania pamiętam. I to ona w końcu odkryła bohaterską przeszłość naszej matki, gdyby nie ona, to kot z kulawą nogą, by nie wiedział, że matka wieś uratowała od pożogi, ocalała mężów, bo tak zbłątamuciła hitlerowca, że i inni zaraz po nim na nią polecili. I tylko jeden chłop to wiedział, bo widział, a reszta choć wiedziała, to milczała, lepiej było na niej psy powiesić, za tę wytargać, że się z hitlerowcami zadawała dla własnej przyjemności.

Nie kot, tylko pies, uczepliłam się szczególnie.

Jaki pies, co wyście z tymi zwierzakami.

No, mówię przecież, nie kot z kulawą nogą tylko pies kulawy, trzymaj się prawdy, siostró, pamiętaj po prawdzie, a nie po kocie.

Co ty gadasz, młodsza się przebiła. Jakimi hitlerowcami, już wtedy ich nie było, nadciągnęła przecież wyzwolicielska armia i to ci oprawcy czerwoni nie dość, że filiżanki ze złotym szlaczkiem zabrali do rękawów, bo myśleli, że to prawdziwe złoto, to jeszcze i pofolgowali sobie na naszej matce. I co miała zrobić na tej wsi, kiedy wszyscy spluwali na jej widok, zbuntowali jej chłopcy i się zapili, biedaczek.

Jaki biedaczek, chłopca żałujesz, kto jak nie mąż powinien za żonę choćby w ogień, powiedziała któraś, ale nie pomnę która.

Dopiero nasza ciotka dowiedziała się

prawdy od starego Stępnia, co to na łożu śmierci ją wyznał. Całe życie siedział cicho, bo lepiej nie mówić, a nuż wrócą po córki, a dziewczuch na wsi nie brakowało.

Job twoju mać, szczypawica, ponoć powiedział ten hitlerowiec, czy Rus, diabli już wiedzą, tak wspominała ciotka. I pokazywał na matki cycki i zad rozłożysty, wszystkie to po niej mamy, nasz klan babski szczyli się tym do dzisiaj.

Dzielną była nasza matka, uciekła ze wsi z matym dzieckiem, przyjechała do miasta, jak ona to zrobiła, jak sobie poradziła?

Najważniejsze, że na wóz z gnojem się nie dała wsadzić, jak ta Jagna Borynowa, nie przymierzając. Siostrę miała w mieście, nie jechała w pustkę. Siostra odstąpiła jej kąt w swoim domu, miała dach nad głową i pierworodną córkę, i miała zdrowie, coś więcej jej było potrzeba. Świat się budował, radość powojenna rozpościerała skrzydła i pięknie mogło być, gdyby było.

Nie potrafiła ze mną rozmawiać, więc napisała list.

Słowa łatwiej przechodziły jej z głowy do ręki niż do ust.

Pisała, jakby przymilała się do krowy-żywicieli, którą w dzieciństwie pasła za chałupą.

Zamiast „następ się”, napisała „ustęp”.

Nie dodała: córeczko.

Być może, być może w słowach słyszała świst mleka uderzającego strumieniem o cembrowinę cynowej bańki.

Być może, być może już przerabiała to mleko na masło i maślanek.

Ale we mnie, ale we mnie

wybrzmiał tylko syk: „Prześtań, zostaw”.

Nie usłyszałam: córeczko.

Pamiętaj, pisała: Pokorne ciele dwie matki ssie.

Kiedy jest ci źle, gryź patyk, zostawiaj ślad.

Albo dmuchaj na lustro.

Nie żyj na lewą stronę, nie mów „nie”, bo to słowo uparte jak kozioł.

Czułam, jak w tym liście jej miłość staje się mniej szorstka.

Odpowiedziałam krótko:

Wiem, że chcesz dobrze, ale

nie potrafię być rzeźbą z terakoty.

Nie upuścisz ze mnie mleka, tylko krew.

Nie wyfrunie ze mnie gołębia, tylko wiersz.

Nie dodałam, mamó.

Nie szepnęłam: mamusiu.

Mama była obrotna, szybko sobie znalazła męża, on znalazł piwniczną izbę, w której szczury miały się dobrze, oni też. W ciężę zachodziła, by zostawić ślad. Kilka śladów. A kiedy męża jej aresztowali dwaj panowie od nowej władzy i było jej tak źle, że już gorzej być nie mogło, to gryzła patyk, czemu nie.

Potem powiedziała, że go uratuje, choć-

by miała i do piekła pójść z córkami, i do Bieruta, jak ta matka Królów. I tak się stało, czy to była jej zasługa, czy chichot historii, czy co tam jeszcze, tego nie wie nikt.

Mąż wrócił, jak nie mąż, bo choć wrócił, to nigdy już do siebie nie doszedł.

*

Kiedy już matka była schorowana i stara, cierpienie nie kazało jej przebierać w słowach. Walita nimi we mnie, jak cepem w stodołę. Bolało, ale widać jej przynosiło ulgę. Walita w opiekunki, bo żadna jej nie pasowała. Chciała, by to córki się nią zajmowały na okrągło, a szczególnie ja.

Ty się tylko do podcierania dup nadasz, żaden chłop cię nie chciał, mówiła..

Mamo, jestem aktorką, broniłam się w bezsensowny sposób.

Jaką aktorką? Kurwą jesteś serialową, aktorki to kurwy.

Mamo, jestem matką, broniłam się z innej strony.

Lepszą matką byłabyś dla psa niż dla swoich dzieci, krzyczała.

Rozwiodłaś się, na pośmiewisko mnie skazałaś.

Ty też się rozwiodłaś, mamó.

To prawda, ale ja miałam powody. A ty miałaś męża, który był za dobry, więc go nie ceniałaś.

Kobiety samotnej nikt nie szanuje, mówiła, dlatego i ciebie nie szanują.

A skąd to wiesz?

Swoje przeżyłam, to swoje wiem. Tylko na wdowę patrzy się łagodniej, ale ta z kolei musi w dwójnasób dbać o reputację swoją i córek, by środowisko ją choć trochę poważało.

Mamo, teraz jest inaczej, tłumaczyłam. Teraz jest wiele singielek, które cenią sobie swoją niezależność.

Singielki-dupelki, oburzała się.

Powiem ci, mamó, dlaczego małżeństwa trwają, mimo że ich związek jest fikcją albo torturą.

Abo to ja nie wiem? Bo kobieta bez męża nic nie znaczy, więc trwają, gadała matka..

A może boją się samotności, mamó, i tego, że sobie nie poradzą w pojedynkę? A może dlatego, że po rozwodzie i tak będą musieli mieszkać razem?

Bo mają wspólny majątek i zawsze ktoś by stracił na rozstaniu? Bo...

Dosyć tego, wrzasnęła matka. – Sp.. sp.. spierdalaj.

Wier spierdoliłam, a kiedy wróciłam, matka tłumaczyła, że chciała być nowoczesna i jak wnuczka mówić „spadaj”, tylko nie mogła sobie przypomnieć tego nowoczesnego słowa, więc powiedziała, jak umiała.

*

Czasem nie mogę spać.

Zasypiam i budzę się dokładnie o 3.43. Przewracam się z boku na bok, wreszcie wstaję, parzę melisę. Przypominałam sobie błędy młodości, złe wybory, ucieczkę w alkohol i seks, byle tylko poczuć bliskość i akceptację, przez godzinę, dwie, przypominałam sobie upokorzenia, uniki, ucieczki przed matką, która węszyła, zabraniała, pomstowała. Przypominałam sobie, że rezygnowałam z prawa do odpoczynku, bo chciałam robić swoje, mocno żyć, ale i zadbać o dzieci, ugotować obiad.

Przypominałam sobie, jak smakuje odrzucenie, co znaczy nielojalność. Nagle wszystko złe do mnie wraca, ale jakoś trwam do rana. Wstaję wreszcie umęczona ciężarem przypominanych lat, powrotem do tego, co wyparłam, aby przeżyć. Bo gdybym

wszystko wówczas wzięta na swoje barki, nie uniosłabym daleko.

Mogłabym ułożyć solidną listę właśnych naiwności. Schodziłam do piekieł, walczyłam z wiatrakami, matką i mężem, z plotkami, donosami. Burzyłam jedne mury, spotykałam inne, ale uparcie trwałam przy swoich chciejstwach. I osiągnęłam, co chciałam, skończyłam studia, jedna w całej rodzinie, zostałam aktorką. Pisałam, wydawałam tomy poezji, dostawałam nagrody. Ale nie od matki.

Co tam piszesz, diabli wiedzą, gdybyś pisała po bożemu, jak Kraszewski, to może bym co przeczytała, pocieszała mnie.

Nie należę do pokolenia, które by się mamiło wyliczaniem, na co zasługuję. Zasługujesz na wszystko, co najlepsze, na miłość, krem Heleny Rubinstein, duże pieniądze, mądrego, przystojnego i bogatego mężczyznę, na dom, wakacje, życzliwość, splendory, sukcesy. Bo jesteś tego warta. Inaczej mnie uczono – na nic nie zasługujesz, na wszystko musisz sobie zapracować, a jeszcze i tak nie wiadomo, czy cokolwiek otrzymasz, nic albo niewiele jesteś warta, musisz poświęcić się idei, pracy społecznej, drugiemu człowiekowi, wcale nie myśleć o sobie, bo takie myślenie to egoizm, a ten z kolei nie przystoi obywatelce wychowywanej wedle formuły, aby wszystko było narodowe w treści i socjalistyczne w formie.

Jak było naprawdę, nie wiem i już nigdy się nie dowiem. Pamięć jest kluczem, pozwala zamienić życie w opowieść. Zapewne i ta historyjka jest sumą tego, co się wydarzyło, choć nie wiadomo, czy na pewno. Kiedy trzeba, gryzę patyk albo dmucham na lustro, jak matka kazali, po co, tego nie wiem. Już nie uciekam nigdzie i w nic, nie wykradam sobie życia, nie wyklamuję innym. Pamięć robi ze mną, co chce, ale ciało i tak swoje pamięta, bo na nim zapisany jest każdy wybór, odcisnięte każde słowo.

Teraz więcej rozumiem.

Widzę, że matka jest częścią córk i bywa, że dyktuje pośmiertne warunki. Rozpaczy po matce nie da się zamknąć w kilku miesiącach żałoby, bo wraca przy porodzie, przy wyborze partnera, w czasie świąt, przy patrzeniu na swoje dziecko.

Tak się przed matką oganiałam przez całe życie, byle tylko żyć po swojemu. Hodowałam żale do niej zamiast kochać ją uważnie. Hodowałam swoje drzazgi zamiast pytać i czekać cierpliwie. Czuję ciężar krzyża matki i próbuję zrozumieć, dlaczego dźwigała go sama. Teraz jestem córką, której matka umarła i matką, której córki odrzuciła z gniazda.

Od długiego już czasu mama chodzi za mną krok w krok i nie strofuje mnie. Jej obecność mi mówi, że wszystko będzie dobrze, choć zupełnie nie wiem, czego to miałyby dotyczyć, czy mojego zdrowia, czy świata, który by się na nowo poukładał, czy nadziei na to, że wreszcie będzie ze mnie zadowolona, jak nigdy nie była, bo jak być zadowoloną, kiedy córka wybrakowana, nie chce żyć po bożemu, a żyje nijako, i nic, tylko łeb zedrze i leci, i jak tak dalej pójdzie, to stanie się dziwką z Mariackiej, jakby tam jeszcze dziwki były.

Stary rabin mówił, że jeśli żałujemy za grzechy nie ze strachu przed karą, ale z miłości do pokrzywdzonego, to winy będą nam wybaczone. Chciałabym.

No, co, co tak na mnie patrzycie?

Nie macie swoich grzechów?

Ja mam, najbardziej mnie bolą te wobec mamy, dla której miałam za mało czasu.

Jest taka pamięć, której nie chce się

pamiętać. Można ją wypierać, przeganiać, ale lepiej się z nią pogodzić.

*

Mamo. Mamusiu, mamusiu.

Co tam znowu?

Mamusiu, tęsknię.

Spowolniałam. Już mam więcej czasu, choć też mniej siły, ale mogłabym cię powozić na wózku, teraz chodniki równe, łatwiej prowadzić. Siedziatabyś sobie taka u fryzjownika, jak zawsze nienagannie, w białej bluzce z koronkami lub żabotem. Pokazywałabym ci rzędy półek z towarami w markecie, który tak lubiłaś, słuchałabym twoich zdziwionych ochów i achów. A potem byśmy piły kawę w pasażu, pamiętasz, tam, gdzie stoi palma. Albo przyszedłabym z drożdżówką do ciebie i zaparzyłabym ci kawę, a do niej dodała trochę brandy, mam tę twoją ulubioną, pamiętasz.

Mamusiu.

Nigdy tak za nikim nie tęskniłam, jak teraz tęsknię za tobą, i nigdy mi nikogo tak nie brakowało, jak teraz mi ciebie brakuje. I nigdy się nie czułam bardziej samotna niż od tej godziny, kiedy pojęłam, że jestem sierotą i nie mam już nikogo, kto mnie taką wredną troską otoczy, jak ty to robiłaś przez całe swoje życie. A ja uciekałam przed tobą i uciekałam, i nie wiedziałam, jak odwinąć się z kokonu.

Odwinąć się z kokonu.

Kokon – ciekawe słowo, mamusiu..

*

Uczę się miłości codziennie, od nowa, mozolnie, wytrwale i cierpliwie, bo miłość cierpliwa jest i łaskawa, i cicha, nie brzęczy, nie zazdrości, wybacz, nawet jeśli źle pamięta, to wszystko znosi

Uczę się ciepła, bliskości i czułości, by nie przysła jak mydlana bańka, bo czułość ogrzewa, odgania lęki, darzy troską, życzliwym dotykiem, rozpromienia, uśmiecha, przytula, otwiera i akceptuje

Uczę się cierpienia po ziarenku, po kamyku, Powoli, po kilka herbat dziennie po noc, w której nie śpię, po sen w którym otrząsam koszmary po kokon z którego się wreszcie odwinę i odrunę odrunę

MARTA FOX



Blaise Cendrars

KODAK

Przekład i opracowanie: Kazimierz Brakoniecki.

Tysiące wysp

W tym miejscu krajobraz jest jednym z najpiękniejszych
w Ameryce Północnej
Olbrzymia płachta jeziora koloru niebieskiego przechodzącego w biel
Setki a to setki zielonych wysepek unoszących się w ciszy na powierzchni
przezroczystych wód
Śliczne domki zbudowane z kolorowych cegieł przydają pejzażowi
wygląd zaczarowanego królestwa
Luksusowe łodzie z klonu i akacji elegancko ustrojone z barwnymi na nich
namiotami płyną od jednej do drugiej wyspy
Nikt nie dostrzeże w tej błogiej scenerii odpowiedniej dla miliarderów
żadnej oznaki pracy fizycznej czy ubóstwa

Słońce zachodzi nad jeziorem Ontario
Chmury kąpią swoje zwoje w purpurowych fioletowych
szkarłatnych i pomarańczowych basenach
Co za piękny wieczór szepczą Andrée i Frédérique siedząc na tarasie
średniowiecznego zamku
A dziesięć tysięcy łodzi motorowych pozdrawia ich ekstazę

Squaw-wigwam

Kiedy wchodzi się do wigwamu przez zgniłe drzwi zrobione z desek
wyrwanych ze skrzyń w których kawałki skóry to zawiasy
Przechodzi się do niskiej sali
Dym
Smród cuchnących ryb
Odory
zjęlczalego tłuszczu

Magazyn barbarzyńców
Korony z piór orłów naszyjniki z zębów pumy albo niedźwiedzi pazurów
Luki strzały tomahawki
Mokasyny
Bransoletki z ziaren i szklanych paciorków
Co jeszcze?
Noże do skalpowania jeden lub dwa antyczne karabiny pistolet skałkowy
poroża jeleni i reniferów i cała kolekcja wyhaftowanych woreczków na tytoń
Poza tym trzy fajki pokoju bardzo stare wykonane z miękkiego kamienia
z ustnikiem z trzciny

Wiecznie pochylona nad domowym ogniskiem
Stulatka właścicielka tej siedziby konserwuje się i wędzi jak kielbasa
odymia suszy jak jej stuletnia fajka a czerń jej podniebienia jest jak czarna
głębia jej oka

Wiosna

Wiosna w Kanadzie ma taką energię i moc jakich nie znajdziesz
w żadnym innym kraju na świecie
Spod olbrzymiej warstwy śniegu i lodu
Gwałtownie
Ożywa przyroda
Kępy fiołków białych błękitnych różowych
Orchidee słoneczniki tygrysie lilie
Stuletnie aleje klonów jesionów topoli
W których fruwać i śpiewają ptaki
W zagajnikach pojawiają się pąki i gałązki
świeże i delikatne
Wesołe słońce ma kolor lukrecji

Wzdłuż drogi ciągną się na długości większej
niż pięć mil lasy i uprawne pola
To jeden z największych rejonów stanu Winnipeg
Pośrodku wznosi się solidna farma z ciosanego
kamienia która wyglądem przypomina dwór
To w nim mieszka mój przyjaciel Coulon
Tuż przed świtem objeżdża farmy na dużym wierzchołcu
isabelle
Frędzle z jego czapki z zająca uderzają o jego ramiona
Oko ma ciemne i brwi krzaczaste
W dobrym humorze
Z fajką przy brodzie

Noc jest mglista i zimna
Pod wariackim wichrem z zachodu jęczą giętke sosny i modrzewie
Małe światełko się powiększa
Żar iskrzy
Ogień zaczyna pochłaniać zarośla i krzaki
Porywy wiatru przynoszą stosy gałęzi drzew iglastych
Raptem całe wielkie pochodnie się palą
Pożar obchodzi stopniowo horyzont
Białe i czarne pnie zaczynają krwawić
Katedra dymu czekoladowego z której miliony iskier
żagarów wytryskują ulatując wysoko i nisko
Za tą zasłoną z płomieni widać wielkie cienie
które chwieją się i padają
Dochodzą huki twardych uderzeń
Strefa kwaśnej mgły rozciąga się w płomiennym lesie który
oznaczyli drwale

Wiersze Cendrarsa (1887-1961) z tomu „Kodak (Documentaire)”, 1924: „Kodak. Dokumentalny” (w domyśle wiersz dokumentalny; wersja w l. mnogiej „documentaires”, /dokumentalne pojawia się w edycji późniejszej). Po ukazaniu się tomiku firma Kodak zabroniła poecie używanie jako tytułu swojej nazwy. Po latach okazało się, że Cendrars nie przebywał w opisywanych miejscach, że te reporterskie wiersze („dokumentalne”) nie powstały z własnego doświadczenia, lecz – jak to zostało niedawno ustalone we Francji – w wyniku uważnej i czutej lektury konkretnych książek podróżniczych Gustava Le Rouge’a oraz Maurice’a Calmeyna.

Dariusz Pawlicki

ŚLADY W JEDNI. BYT & BYCIE

„Zagadka to dla mnie [...], jak wiele tęgich głów tak dalece mogło zapomnieć swą metafizykę oraz niszczyć drabinę i ustopniowanie stworzeń, by kwestionować istnienie duchów”;

Thomas Browne
(1605-1682), *Religia lekarzy*.

I
Ślady... Ale nie te pozostawione przez śnocny deszcz w postaci licznych kałuż. Także nie te powstałe w rozmiętej ziemi za sprawą łosiowych racic. Choć, nie powiem, tym drugim przyjrze się z uwagą. Interesuję mnie jednak przede wszystkim ślady, ale nie te spektakularne, świadczące o tym, że coś działo się, istniało za sprawą człowieka. Szczególnie te, od których powstania do momentu moich obserwacji, dzieli wiele, wiele chwil... I przybywa ich ustawicznie do momentu, gdy ślady owe ostatecznie znikną. A znikanie owo odbywa się prawie zawsze w asyście niepamiętania/nieślyszania/niewidania przez świat dookolny, również ten najbliższy.

Pośród śladów ludzkiego istnienia moją uwagą przyciągają zwłaszcza te związane z zamieszkiwaniem. Mogą one mieć na przykład postać fundamentów bądź już tylko sterty kamieni z nich pochodzących, albo zdziczatych krzewów ozdobnych czy też kwiatów przezierających spomiędzy zielska, a będących pozostałościami po przydomowym ogrodzie; tego, że domostwo w ogóle istniało nic więcej nie zdradza.

Takimi śladami roślinnymi są również zdziczałe drzewa owocowe, często rodzące – jeśli w ogóle – owoce małe i w niewielkiej ilości. Drzewa te są często na wpół zmurszałe, czyli znajdują się w stanie drzewnej przedśmierci. Ale śladami dendrologicznymi są nie tylko jabłonie grusze, czy śliwy jeśli chodzi o drzewa owocowe. Niejednokrotnie są nimi także szpalery lip i klonów rozmaitych gatunków, czy świerków srebrzystych niegdyś oddzielające od drogi żwirowo-piaszczystej dom, po którym nie zostały na powierzchni żadne ślady. Drogi takiej samej wtedy, jak i teraz (mam na myśli miejsce konkretne w Jeziorkach): nazbyt bocznej, mało uczęszczanej, aby miała zostać zalana asfaltem. Choć to może zmienić się...

Na południowym skraju Pogorzela, na niewielkim wzniesieniu, na które nie prowadzi już żadna droga, można zobaczyć fundamenty. Tylko tyle, a może aż tyle, pozostało po dużym drewnianym domu, siedzibie Szejnkowskich (stodoła, choć w coraz gorszym stanie, nadal stoi w bezpośrednim sąsiedztwie). A tym samym i po nich. Choć w tym wypadku należy jeszcze wspomnieć o kilku nagrobkach na usytuowanym niedaleko rzymskokatolickim cmentarzu parafialnym. I o czymś jeszcze...

Siedlisko to od przeszło trzydziestu lat jest opuszczone. Ale powiększające się powoli zagony irysów, coraz niższych, o coraz drobniejszych kwiatach, wciąż przypominają...

Przydrożne kapliczki, krzyże wkopane w ziemię bądź w znacznie mniejszej postaci (niekiedy naprawdę niewielkie) umieszczane na okazałych drzewach (to uchroniło je, jak dotąd, przed ostrzem piły) zawsze Kogoś lub Coś upamiętniały. To pragnienie uczczenia/

zapamiętania było przede wszystkim odwołaniem się do Najwyższego, liczeniem na Jego opiekę. Owe obiekty, bez względu na swoją postać i rozmiary, miały też służyć pomocą/wsparciem dla tych, którzy przechodząc obok kierowali ku nim swe oczy bądź klękali przed nimi wypowiadając prośbne modlitwy. To także są ślady po ludziach: ich uczynkach, myślach, uczuciach... Świadczą, są więc świadectwem...

Ślady, a dokładniej: chociażby szukanie ich na kilkuhektarowym wyrębie (w pobliżu małej wsi Krasne) powstałym po wycięciu prawie 90-letnich sosen i nieco młodszych świerków. Z użyciem wykrywacza metalu młody człowiek, cały ubrany na zielono: łącznie z butami gumowymi, czapką, rękawiczkami, poszukiwał artefaktów. Szukał śladów pozostawionych, rzecz jasna nieświadomie, w trakcie wycinki (może uczestniczyli w niej mój Pradziadek, może Dziadek) przeprowadzonej w 3 dekadzie XX w. Nazbyt biedna była to okolica, aby ów poszukiwacz – skarbów, mówiąc żartobliwie – mógł liczyć na wiele. Na szczęście nie liczył – był stąd.

Śladami, ale już nie (przynajmniej klasycznymi) artefaktami, są opowieści. Moją uwagę przykuwają szczególnie te, w których pojawiają się nieistniejące już domostwa. I to od tak dawna, że w trawie nie skrywają się nawet pojedyncze kamienie z fundamentów. Jak na przykład dom Chały/Hały (czy to było nazwisko/przezwiśko?), który tylko polna droga oddzielała była od cmentarza prawosławnych jednowierców w Pokrowsku, obecnie przysiółka Karolina. Lecz może także wtedy, gdy już w niczyjej pamięci wspomnienie o tej osobie nie będzie już się kołatało, nie będzie to oznaczało, że nie pozostały po niej nawet ślady śladów. Czyż Muriel Rukeyser nie napisała, że „świat zbudowany jest z opowieści, a nie z atomów”? Opowieści żyją przecież własnym życiem.

*

Cmentarze są śladami obecności człowieka. I to zarówno oczywistymi, jak i bardzo dostojnymi. Niejednokrotnie jednak nic już nie wskazuje na przeznaczenie konkretnego skrawka ziemi. Tak, jak ma to miejsce, chociażby, na tzw. Ruskich Mogiłkach we wspomnianym już Pogorzelu. Ostatni pochówek mógł odbyć się w 1940 r. Wtedy to liczna społeczność prawosławnych staroobrzędowców, opuściła tę wieś, jak i kilkadziesiąt innych na Suwalszczyźnie. Obecnie widać tam wyłacznie stare sosny o niskich pniach i rozrośnięte krzewy bzów – jak potocznie nazywa się lilaki – od dawna już nie kwitnących: zabrakło rąk, które obrywałyby gałązki z wiechami wspaniale pachnącego kwiecia, nie wspominając o ich przycinaniu, gdy te jeszcze rokrocznie pojawiały się. Może wzdragano się przed tym, gdyż traktowano tę czynność, jako okradanie zmarłych. A tym ona jest.

W zakątku Ziemi szczególnie mnie interesującym, owe rozrośnięte, skąpo już kwitnące bądź niekwitnące wcale, obecne w krajobrazie bzy, są wręcz pewnymi śladami po minionej człowieczej obecności. W owej krainie, ale i nie tylko w niej, bzy były bowiem zawsze sadzone w bezpośrednim sąsiedztwie domostw dla ich zapachowo-

wzkrowych walorów (obecnie zdarza się to bardzo rzadko). I czyniono tak niezależnie od stopnia zamożności i statusu społecznego osób zamieszkujących daną posesję. To był niewątpliwie powszechny, łączący ludzi naturalny element estetyczny; oczywiście były i inne, nie tylko estetyczne.

II

Nietrudno mi wyobrazić sobie mieszkańców tych nieistniejących domostw, jak w jasną księżycową noc (ciemna takim wyobrażeniem mniej sprzyja) przybywając w dobrze znane sobie miejsce. Siadają na progu, także tym już nienamacalnym, albo spoglądają

w głąb studni. I podziwiają odbicie księżyca w lustrze wody.

Na wspomnianym wcześniej siedlisku, kiedyś należącym do Szejnkowskich, od przeszło 30 lat nikt nie zajmuje się irysami w dawnym ogrodzie przydomowych. Ale może nie jest tak, że nikt... Bo może to, że one wciąż tam są, jest wynikiem tego – to nawet jest bardzo prawdopodobne – iż ten, kto zajmował się nimi wtedy, czyni to i teraz. Tylko nie na oczach żyjących/żywych. Dba tylko o irysy, gdyż może jest ograniczony czasem. Niewykluczone jednak, że te właśnie kwiaty lubił, i nadal lubi, najbardziej.

Przemierzając drogi, mijając – w mniejszej bądź większej odległości – siedliska, w których stały niegdyś domy (jak i budynki gospodarcze), najpewniej mijam też ich dawnych mieszkańców, nie wiedząc o tym (niekiedy tylko biorąc to pod uwagę). Natomiast oni świadomi są mojej obecności. Może nawet widzą mnie. Najstarsi spośród nich są piesi; ci którzy dotoczyli do nich w czasach późniejszych, przemierzając się na furmankach i rowerach. Z tym, że oni wszyscy – o czym nie można zapominać – są niezależni od takich przyziemności jak drogi. Ale nie brakuje wśród nich i takich, którzy odległości – mimo, że to pojęcie dotyczy ich w niewielkim stopniu – pokonują w samochodach; starszych i nowszych modelach. Silniki napędzające owe pojazdy też należą do zaświatów, co wyjaśnia ich bezgłośność i bezzapachowość.

Ernst Jünger w *Promieniowaniach* o wspomnianym przeze mnie „niedostrzeganiu”

napisał tak:

„Kiedyś będzie nas tak samo zdumiewało, że żywi nas nie widzą, jak dzisiaj nas dziwi, że z krainy duchów nic a nic do nas nie dociera. Może te rzeczywistości są bardzo blisko siebie, ale mają różną optykę, jak ślepa i lśniąca strona polewy lustra. Nadejście dzień, gdy lustro zostanie odwrócone, a jego srebrna strona zakryta krepą”.

*

Gdy o zmroku słychać szczekanie psów, miauczenie kotów, kwakanie kaczek, rżenie koni itd., nie można wykluczyć tego, że słyszy się... duchy/dusze wymienionych, jak i nie wymienionych, zwierząt; należy to brać pod uwagę. Mało tego, nawet – uważać to za więcej niż prawdopodobne. Jeśli ktoś nie przejawia takich przekonań/wiary, nie musi wcale popuszczać wodzy fantazji. Wystarczy, że założy, iż tak właśnie jest, a przynajmniej – może być: że rzeczywistość niejedno-

ma oblicze (choćby nauka w tej sprawie twierdziła uparcie coś przeciwnego). Nie zaś tylko to jedno: powszednie, omawiane na wszelkie sposoby, więc łatwiejsze do akceptacji i do zapamiętania (i do zapominania).

Owe duchy są aktywne dźwiękowo właśnie w ciemnościach. W jasnościach niezrozumiałość pochodzenia wydawanych przez nie odgłosów byłaby faktem. Na samym początku można by jeszcze założyć, że zwierzęta, które te dźwięki wydają, są doskonale ukiye. Lecz gdyby ewentualne kryjówki zostały przepatrzone, pozostałoby tylko akceptacja faktu.

Ale jest jak jest – za dnia widać wyłączenie istoty z krwi i kości. I niech tak pozostanie.

*

Doświadczenie /przeżycie takiego tajemniczego przenikania się świata i zaświata Rilke opisał w dzienniku. Zdarzenie to miało miejsce w ogrodzie zamku w Duino na początku 1913 r. Poeta zaczął wtedy pracować nad *Elegiami duinejskimi*, które miały stać się słynne (ukończył je jednak dopiero w 1922 r.). Jeden z fragmentów zapisków Rilkego (dokonany w 3 osobie) dotyczących owego wydarzenia brzmi tak:

„[...] w głębi swej istoty przygotowany był na to, że zza zakrętu wyjdzie ku niemu

[...] ktoś spośród zmarłych mieszkańców domu. Zrozumiał ich milczącą nadliczbowość, oświadczył się z faktem, że z ziemskich form korzystać można tak bezwarunkowo, ich zwyczajnie wyparty wszelkie zasady wpojone mu przez wychowanie; był pewien, że gdyby znalazł się pośród nich, nie zwróciłby ich uwagi. Stojący w jego pobliżu barwinek, którego niebieskie spojrzenie już wcześniej napotkał, przyglądał mu się teraz z duchowego dystansu [...]”.

O wzajemnym przenikaniu się teraźniejszości ze swymi „lokatorami” i „przeszłością” z jej „mieszkańcami”, pisał T. S. Eliot w wierszu „Burnt Norton” (włączonym potem do „Czterech kwartetów”), opisującym m. in. zdarzenie, do którego doszło w zaniedbanym ogrodzie różanym otaczającym opuszczony dwór. W utworze tym padają takie znamienne wersy mające podsumowujący, a i streszczający charakter:

Idźcie stąd, idźcie, mówią ptak, ludzki rodzaj

Zbyt wiele rzeczywistości znieść nie może.

Nie sądzę, aby w przypadku T. S. Eliota był to wyłącznie zabieg poetycki: zgrabnie zrealizowany pomysł na interesujący, wręcz intrygujący wiersz. Nazbyt przyciągał jego uwagę ów świat niematerialny/poza materialny: to, co w nim się skrywa bądź on ukrywa. Zwłaszcza, że tak wielu współczesnych Eliota odwracało się do owego świata plecami, albo głośno, wszem i wobec, z całym przekonaniem, jego nieistnienia.

III

Atrofia, która na przestrzeni wieków dotknęła niektóre ze zmysłów, którymi homo sapiens pierwotnie był obdarzony, sprawiła, że rzeczywistość obecnie jemu dostępna, jest ograniczona: została uszyta ponownie, ale już na jego mniejszą miarę. Przynajmniej tak sprawy mają się w świecie zachodnim. Nie da więc ukryć się faktu, że człowiek ów został – nie sposób tego inaczej nazwać – upośledzony i w stanie upośledzenia nadal pozostaje (nic, niestety, nie zapowiada zmiany w tej kwestii). Lecz żadnego braku

w tym względzie nie odczuwa. Także dlatego, że nie zdaje sobie sprawy z własnego ubóstwa w tej materii.

Za wspomnianą atrofią stoi, trudno stwierdzić, co jest istotniejsze, świadoma bądź nieświadoma rezygnacja z owych zdolności/umiejętności. Jest jednak tak, jak jest. I właśnie o stanie aktualnym, John Hick w *Piątym wymiarze. Odkrywaniu duchowego królestwa*, tak pisze:

„Wszyscy stale doświadczamy trzech wymiarów przestrzeni i czwartego wymiaru czasu, ale piątego duchowego wymiaru doświadcza jedynie niektórzy i (w większości przypadków) tylko co jakiś czas”.

Skąd przybywają ci inni, ci których nie dostrzegamy? Jeszcze niedawno, może jedynie po chwili zastanowienia, odpowiedziałbym: przybywają z innego świata. Ale to, co Rainer Maria Rilke napisał do Witolda Hulewicza (list z 13.XI.1925 r.) sprawia, że milknę. Nie wiem jednak na jak długo. Biorę bowiem pod rozagę ową wypowiedź, która brzmi tak:

„[...] Prawdziwe życie istnieje na obu obszarach [życia i śmierci], oba są częścią wielkiego krwiobiegu: nie ma tego i tamtego świata, jest tylko jedna wielka jednia, zamieszkiwana przez doskonałe od nas istoty. «anioły» [...] My, tutejsi i dzisiejsi, nie jesteśmy ani przez chwilę ograniczeni do świata doczesnego ani też w nim unieruchomieni. Przechodzimy ciągle do tych, którzy istnieli wcześniej, do miejsca, w którym powstał, i do tych, którzy na pozór przychodzą do nas. W tym najmniejszym «otwartym» świecie są wszyscy, choć nie można powiedzieć, że «jednocześnie», bo właśnie nieobecność czasu sprawia, że wszyscy oni są. Przemijanie pograża się wszędzie w głębokim istnieniu [...] Nie w zaświatach, których cień zaciemnia ziemię, ale w coś Całego, w to, co Całe”.

Rilke wspominając o jedni, może mieć na myśli termin jej dotyczący, określający ją mianem poetyckiej, pod którym kryje się ona, jako „jedność, nierozdzielność”. Nie wykluczam jednak tego, że ową jednię należy rozpatrywać na polu filozoficznym, jako filozoficzną. A wtedy, jak na przykład według eleatów (V w. p. n. e.), „prabyt, prapoczątek, istota wszechświata, czyli wszystko cokolwiek istnieje, stanowi Jednię, nie mającą początku, nie podlegającą żadnym zmianom i wieczną. Jednia była nazywana także przez nich bóstwem”.

Koncepcja jedni eleackiej sprawia, że wykluczone jest jej funkcjonowanie – gdyby pojawił się takowy zamiar – w obrębie każdej z trzech wielkich religii monoteistycznych. W nich bowiem Bóg, bez względu na Swoje imię – jest Stworzycielem, Twórcą/Stwórcą Świata. (A i bogowie Greków, mówi o tym teogonia Hezjoda, mieli swój początek. Nie byli więc wieczni.)

Przyjęcie/zaakceptowanie istnienia jedni (w rozumieniu filozoficznym przede wszystkim) sprawia, że nie musimy zastanawiać się, a w konsekwencji – w końcu – podejmować próby (tym bardziej, że na próbie najprawdopodobniej skończyłoby się) wyjaśnienia pojawiania się dusz/duchów czy to ludzi, czy innych istot/istnień pośród żywych. Przyjmując do wiadomości, że wszyscy oni i wszystkie one przebywają w jednej rzeczywistości, w owej jedni, wyjaśniam to (przede wszystkim sobie). Dzięki temu, na przykład, nie daje o sobie znać potrzeba wyodrębniania jakiegś przestrzeni dla pomieszczenia tych, którzy oczekują Sądu Ostatecznego,

a jest ich coraz więcej. Ale to także dlatego, że o owym Sądzie panuje, przynajmniej na razie – cisza.

Niemnożenie bytów – sugerowane przez Williama Ockhama – i w tym przypadku znajduje zastosowanie.

*

Jednia filozoficzna nie stoi w sprzeczności z jednią poetycką: tę drugą nawet mieści w sobie. Z tym, że rozpatrując wypowiedź Rilkego pod kątem eleackim stwarzamy niezwykle możliwości dla wyobraźni. Ale biorę pod uwagę istnienie osób, które nie muszą – i to nie dlatego, że nie chcą – wyobrazić sobie rzeczywistości, o której pisał Rilke. Nie muszą, gdyż stykają się z nią na co dzień.

Jeżeli jednię traktować, jako wielki „wór” zawierający „wszystko cokolwiek istnieje”, to znajduje się w nim także (użycie czasu przeszłego byłoby niewskazaniem ograniczenia) świat w jaki wierzyły ludy paleolitu przed wielu tysiącami lat. A w jego odtworzeniu pomóc może szamanizm będący ich kontynuacją. Wiesław Juszcak w *Poecie i miecie* przytacza taki pogląd na ten temat:

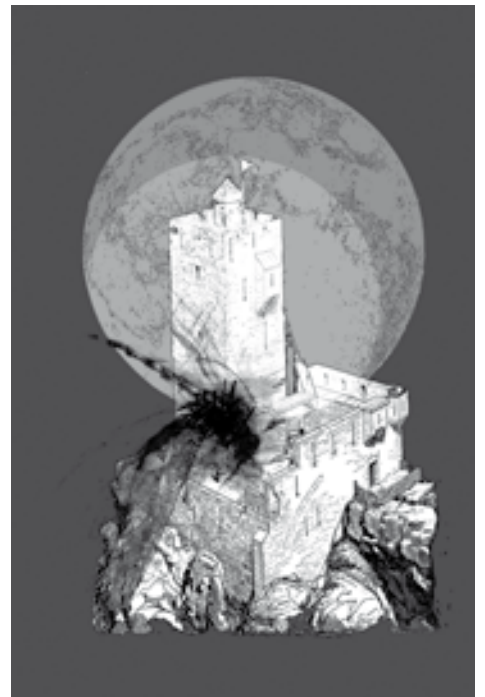
„Ludy paleolitu postrzegali świat przez pryzmat dwóch pojęć. Pojęcie płynności i przenikalności. Płynność oznacza, że kategorie, które znamy, np. mężczyzna, kobieta, koń, drzewo itd., mają nieostre granice. Drzewo może mówić. Człowiek zmienia się w drzewo i na odwrót. W pewnych okolicznościach. Przenikalność to koncepcja braku granic między światem, w którym żyjemy, a światem duchów. Ściana może do nas przemówić, przyjąć nas lub odrzucić. Szaman może wysłać swego ducha do świata nadprzyrodzonego albo przyjąć w siebie inne duchy. Zestawiając te dwa pojęcia, rozumiemy jak bardzo musiało się różnić życie tamtych ludzi od naszego [...]”.

*

Czas sprawia, że Jednia zawiera coraz więcej śladów. I to wszelkich śladów. Lecz jest w niej przede wszystkim coraz więcej Wszystkiego...

Słońce chowa się za olchami i trzcinami nad Czarną Hańczą w asyście wszelkich możliwych czerwoności i pomarańczowości. Który to już raz?

DARIUSZ PAWLICKI



Iwona Warulik

Ślady

Taboret

Nie był ważny.
 Ważne było krzesło
 przy stole.
 Dla gości. Dla dorosłych.
 Taboret stał z boku.
 Siadałam na nim,
 kiedy matka gotowała.
 Przy jej nogach.
 Na wysokości fartucha,
 zapachu cebuli,
 mokrych rąk.
 Mówiła coś.
 Nie pamiętam słów.
 Pamiętam nóż stukający o deskę.
 Parę nad garnkiem.
 Za oknem ciemniało.
 Siadam na nim.
 Siedzę tak jeszcze chwilę.
 Na wysokości fartucha.
 Zapachu cebuli.
 Jej rąk.

Tak nisko
 było wtedy wszystko,
 czego później szukałam.

Stół i cztery krzesła

Był zadowolony ze mnie raz.
 Kiedy kupiłam mu stół.
 I cztery krzesła.
 Nie za szkołę.
 Nie za studia.
 Nie za pracę.
 Za stół.
 I cztery krzesła.
 Od dawna o nich mówił.
 Pamiętam jego twarz.
 Nie dlatego,
 że wydarzyło się coś wielkiego.
 Właśnie dlatego,
 że nie.
 Po prostu siedział
 przy nowym stole.
 Pachniał jeszcze sklepem.
 I pierwszy raz
 niczego ode mnie nie chciał.
 Po jego śmierci
 zostały u mnie.
 Cztery krzesła.
 I stół.
 Jedyna rzecz po ojcu,
 przy której czasem można usiąść
 bez egzaminu.

Firany

Umiała wybierać.
 Stała przy beli tkaniny.
 Patrzyła pod światło.
 Potem prała.
 Krochmaliła.
 Wieszła równo.
 Po jej śmierci
 dostałam firany.
 Nie zdjęcia.
 Nie listy.
 Nie słowa.
 Firany.
 Leżą w torbie IKEI.
 W kącie.
 Między rzeczami,
 których nie umiem wyrzucić.
 Czasem pada na nie
 popiół z papierosa.
 Po raz pierwszy
 są brudne.

Puszka

W kuchni na kredensie stała puszka.
 Blaszana.
 Po landrynkach.
 Pełna guzików.
 Nikt nie mówił, że wolno ją otwierać.
 Więc otwierałam.
 Przesypywałam je przez dłonie.
 Duże.
 Małe.
 Gładkie.
 Popękane.
 Zielony był z lasu.
 Kremowy ze starej szafy.
 Czerwony z mojej sukienki.
 Mama szyła.
 Dla mnie.
 Dla sąsiadek.
 Dla rodziny.
 Dla obcych.
 Wiedziała,
 co komu pasuje.
 Zostawały skrawki materiałów
 i guziki,
 które do niczego nie pasowały.
 Lubiałam najbardziej te pojedyncze.
 Bez pary.
 Po latach
 otworzyłam puszkę.
 Były tam nadal.
 Wszystkie.
 Te bez pary.

Pierścionek

Mama kupiła go
 na początek liceum.
 Złoty.
 Z czerwonym kamieniem.
 Pasował idealnie.
 Przekręcałam go na palcu
 pod ławką.
 Po maturze
 trafił do szuflady.
 Między świadectwa,
 guziki
 i rzeczy,
 których się nie wyrzuca.
 Przymierzyłam go.
 Nie wszedł.
 Próbowалам.
 Potem odłożyłam go.
 Mama wybrała go
 dla tamtej dziewczyny.



Maria Jentys-
Borelowska

aby nasza chciała kiedykolwiek oddać się powołaniu wiwandiera² albo przekupki. Zresztą nie umieramy tak dalece z głodu i na miejscu siedząc, abyśmy potrzebowali żywić się okruciami ze stołu wielkich panów. Pod tym względem jesteśmy sami dość dużymi panami...³.

O Konradzie Korzeniowskim⁴, ubolewając nad tym przykrym faktem, napisał, że przez parę lat głucho było u nas o Polaku, który od roku 1895 (czyli od debiutu) zdobywał pisarskie laury w Anglii, a polska prasa ignorowała jego kolejne publikacje. Dopiero w marcu 1899 roku wywołał z niebytu nazwi-

ESSEJ

„NIC MI TEJ BABY NIE PRZYNÓŚ”

Słowa te, „Nic mi tej baby nie przynóś”, wyrzekł Joseph Conrad, a właściwie Józef Teodor Konrad Korzeniowski do swojej kuzynki i tłumaczki Anieli Zagórskiej, gdy mu jesienią roku 1914 podsunęła do przeczytania powieść *Nad Niemnem*. A gdy ta, skonsternowana tak jawną niechęcią wielkiego pisarza angielskiego (czytaj: Polaka tworzącego w języku angielskim) do wielkiej pisarki polskiej, spojrzała nań pytająco, dodał: „Ty nie wiesz... napisała mi kiedyś taki list...”.

Nie o liście jednak będzie tu mowa, ale o artykule *Emigracja zdolności*, opublikowanym w tygodniku „Kraj” w kwietniu roku 1899 (w numerze 16), w którym autorka epopei nadniemeńskiej potępiła z niezwykłą surowością i gwałtownością powszechne wówczas zjawisko „dezercji” co zdolniejszych i lepiej wykształconych Polaków z kraju (zwanego po roku 1867 Krajem Przywiślańskim), wysoce naganne i niehonorowe „absolwowanie się” ich z obowiązków służenia zniewolonej ojczyźnie i dzielenia tragicznego losu z rodakami. Ze szczególną furją zaatakowała w tym artykule Conrada.

„A kiedy mowa o książkach – srożyła się – to powiedzieć muszę, że ten pan, który po angielsku pisuje powieści poczytne i optające się wybornie, o mały mię ataku nerwowego nie nabawił. Czutał, czytając o nim, taką jakąś rzecz śliską i niesmaczną, podążając mi pod gardło. Jak to! Więc i zdolności twórcze przytęczyć się mają do exodu? Dotąd bywała tylko mowa o inżynierach, prokuratorach i śpiewakach operowych. Ale teraz zanosi się już na udzielenie absolucji pisarzom! Jeżeli idzie o dzieła chemiczne, a nawet filozoficzne, to mało znam się na tym i nawet niektóre przyczyny wydawania ich niekiedy w językach cudzoziemskich dostrzegam, lecz ponieważ zaczepione jest powieściopisarstwo, czyli kawałek twórczości, to należę do cechu, obowiązku jego fort comme la mort! znam i z całej siły – protestuję. Zdolność twórcza to sama korona rośliny, sam szczyt wieży, samo serce narodu [podkreślenie - MJB]. I ten kwiat, ten szczyt, to serce odbierać narodowi swemu i oddawać Anglosaksonom, którym ptasiego mleka nawet nie brakuje, dlatego że drożej za nie płacą! Ależ o tym nawet pomyśleć niepodobna – bez wstydu! I trzeba jeszcze, aby ten pan tak się nazywał, aby nosił imię może swego bardzo bliskiego przodka, tego Józefa Korzeniowskiego, nad którego powieściami, podlotkiem będąc, wylewała pierwsze tży współczucia i uczuwałam pierwsze ognie szlachetnych zapałów i postanowień. Nad powieściami pana Konrada Korzeniowskiego żaden podłotek polski nie uroni tży altruistycznej ani szlachetnego postanowienia nie poweźmie, lecz po namyśle sprawia mi to boleść bardzo umiarkowaną, bo wierząc w wyższość pierwiastków, z których składa się wszelka siła twórcza, nie przypuszczam,

Jako autorka świeżo wydanej opowieści o Elizie Orzeszkowej (*Moja Eliza*, 2026) przytaczam tu jej opinię o Conradzie z głębokim niesmakiem, zażenowaniem i... niedowierzaniem. Zwłaszcza z niedowierzaniem! Trudno mi bowiem zrozumieć, dlaczego ta zazwyczaj tak rozsądna, empatyczna, odpowiedzialna i taktowna niewiasta potraktowała młodszego kolegę po piórze z buta, przedstawiając go jako dezertera, cynicznego karierowicza i... grafomana! Błędy rzeczowe, jakie przy tym popełniła, oraz złośliwości i obelżywości, na które sobie pozwoliła, dowodzą nie tyle dziwnej w jej przypadku niefrasobliwości, ile świadomej złej woli i niegodnej chęci, aby pisarza pomniejszyć i zohydzić w oczach polskiego czytelnika. Choć nie był Conrad ani bliskim, ani dalekim krewnym owego Józefa Korzeniowskiego, nad którego powieściami jako podłotek wylewała „altruistyczne” tży, potępiła go z autorem *Kolokacji* domniemanym pokrewieństwem, aby go poniżyć. Na dobitkę przypisała mu „powołanie” markietanki i przekupki, czym zapracowała sobie na miano... „tej baby”.

Zapracowała chyba z rozmysłem, bo przecież nie sposób założyć, że nie dostrzegła we wczesnych utworach Conrada znamion pisarskiej wielkości. Wybitni pisarze angielscy, jak Herbert George Wells, Henry James, John Galsworthy, dopatrzili się oznak nie lada talentu już w jego pierwszych nowelach i powieściach, krytycy amerykańscy nazwali *An Outcast of the Islands* z roku 1896 arcydziełem. Lecz ona, która pisarstwo pojmowała jako doraźną, tu i teraz, służbę ojczyźnie, pozostała głucha i ślepa na uniwersalne walory prozy „dezertera” i „kupczyka”. Dodatkowo rozjuszona przez nieoczekiwany obrońcę „tego pana”, profesora Wincentego Lutostawskiego (o czyn niżej), straciła panowanie nad sobą. A może po prostu do kwietnia 1899 roku nie przeczytała żadnej z książek Conrada: ani *Almayer's Folly*, ani *An Outcast of the Islands*, ani *The Nigger of the „Narcissus”*, ani *Tales of Unrest*, ani *Heart of Darkness*, choć biegle czytała po angielsku. Może. Choć to mało prawdopodobne, do późnej starości bowiem z uwagą śledziła wszelkie nowości wydawnicze, prenumerowała też warszawski „Tygodnik Mód i Powieści”, a ten akurat w roku 1897 drukował Conradowego *Wygnańca* (w oryginale *An Outcast of the Islands*). Może więc przeczytała jakiś fragment tej powieści w nienajlepszym przekładzie, a on nie przykuł jej uwagi, opisywał bowiem życie na jakiejś dalekiej wyspie Archipelagu Malajskiego, a ona była bez reszty pochłonięta sprawami swojej zniewolonej, ciemnionej i zagrożonej ostateczną zagładą ojczyzny.

Zresztą nikt jakoś się tą angielską powieścią nie zainteresował. Józef Ujejski w pracy

sko Konrada Korzeniowskiego wspomniany wyżej Wincenty Lutostawski, filozof, publicysta, działacz społeczny.

Wybitny ten znawca Platona poznał Conrada osobiście w roku 1896 i opowiedział o nim polskim czytelnikom w artykule pt. *Emigracja zdolności*, opublikowanym w numerze 12 tygodnika „Kraj” z marca 1899 roku. Wyrzucił w tym artykule pogląd, sprzeczny z ogólnie wówczas obowiązującym przekonaniem, że naród nasz raczej zyskuje na emigracji zdolności, aniżeli traci. „Praca jest polska – pisał – choć ogłoszona w obcym języku, bo jest płodem polskiego ducha, który się różni od ducha innych narodów”. Powieści Konrada Korzeniowskiego – dowodził dalej – „cechuje polska, szlachecka fantazja, wybujała podczas długoletnich wędrówek wśród wysp Oceanu Spokojnego”. Nie godzi się zatem – konkludował – oskarżać o brak przywiązania do kraju tych, co w dusznej atmosferze wytrzymać nie mogą i śmiało wyruszają w świat, aby przyjąć udział w międzynarodowej walce o skarby materialne i moralne, których znaczna część wróci do ich ojczyzny”.

Niestety, słowa profesora Lutostawskiego odniosły skutek przeciwny do zamierzonego: wywołały istny huragan protestów i ściągnęły gromy na „dezertera”. Józef Ujejski skomentował to tak: „Dzisiaj [czyli w roku 1936] czyta się takie słowa – no, choćby się nawet miało zastrzeżenia – w każdym razie spokojnie. Za czasów niewoli odczuwano to jednak inaczej. Jakże dalece inaczej! Toż nawet sama redakcja ugodowego „Kraju” nie chciała puścić tego artykułu bez reakcji natychmiastowej. Już w tym samym numerze zamieściła gorącą replikę Tadeusza Żuka Skarszewskiego i jeszcze w notatce wstępnej zaznaczyła, że tylko z nią solidaryzuje się w zupełności”. Owa gorąca replika autorstwa „nie byle kogo bynajmniej, tylko (...) Europejczyka w najlepszym sensie wyrazu” kończyła się jakże polskim wyznaniem: „Wolę w Przyszowej lub Poniemóniu nauczyciela ludowego niżli w Bostonie – już nie komentatora Platona genialnego – lecz nawet samego polskiego Platona”.

Jak odczuła słowa obrońcy emigracji zdolności Pierwsza w Polsce Niewiasta, wiemy już: jako skandaliczne, szkodliwe, oburzające. I ogłosiła replikę treści przeciwnej oraz napadła na Boga ducha winnego emigranta niczym ślepa furia. Trzeba zatem zbić jej nie tylko obelżywe, ale i mylne oskarżenia rzeczowymi argumentami. Po pierwsze, Conrad nie zarabiał „wybornie” swoimi anglojęzycznymi powieściami, bo choć cieszył się powodzeniem u koneserów, sprzedawały się kiepsko (jako wytwory literatury wysokiej), autor więc, który dla pisanja porzucił służbę morską, ledwo wiązał koniec z końcem, przynajmniej w latach, o których mowa. Po drugie, oczywiście jest, że dziś, w trzeciej dekadzie XXI wieku, żaden podłotek nie wzruszyłby się losem panny

² Wiwandiera – markietanka (franc.).

³ Eliza Orzeszkowa: *Emigracja zdolności*, w: *taż*, *Publicystyka społeczna*, t. 1, s. 332-333.

⁴ Józef Ujejski: *O Konradzie Korzeniowskim*. Warszawa 1936 s. 14-18.

¹ Tu w znaczeniu: znam bardzo dobrze (franc.).

Klary czy Kamilli z powieści Józefa Korzeniowskiego, jeśli by ją w ogóle zechciał przeczytać, za to na pewno niejedno wrażliwe dziewczę przejęłoby się szczerze losem Frey z Siedmiu Wyp. (Zresztą, kto wie, czy sama Orzeszkowa nie znalazłaby dla nieszczęśliwej Frey swej synnej „altruistycznej” tzy, gdyby dane jej było doczekać ukazania się tej przejmującej noweli⁵. Józef Ujejski w każdym razie dopuszcza taką możliwość.) Po trzecie, Conrad nie wybrał języka angielskiego dla swoich dzieł w wyniku cynicznych kalkulacji, które gwarantowały, że to jedyna droga do światowej sławy i fortuny. Prawda o tym jest całkiem inna. Taką, jak ją przedstawia w swym *Notatniku osobistym* sam pisarz. Warto pochylić się nad jego niezwykłym wyznaniem, odrzuciwszy wszystkie niskie i płaskie komentarze, jakimi go gremialnie i w poczuciu wyższości (tak! tak!) poniżano i obrażano.

„Prawda w tym względzie jest taka, że zdolność pisania po angielsku jest dla mnie czymś równie naturalnym, jak każda inna umiejętność, z którą dane mi było się urodzić. Mam przemożne, osobliwe uczucie, że posiadam ją od zawsze. Angielski nie był dla mnie ani kwestią wyboru, ani zaadaptowania. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mam dokonać wyboru. Jeśli zaś chodzi o adopcję, to owszem, była, ale to ja zostałem usynowiony przez ducha tego języka, który, kiedy tylko przestałem dukać, uczynił mnie swoim własnym tak dalece, że jego idiomy, jestem o tym głęboko przekonany, wpłynęły bezpośrednio na mój temperament i kształtowanie się mojego wciąż jeszcze plastycznego charakteru.

Dokonało się to na bardzo osobistym poziomie, dlatego nie sposób tego wyjaśnić. To tak, jakby kto próbował wytłumaczyć miłość od pierwszego wejrzenia. [...]

[...] Po tych wszystkich latach pełnej oddania pracy z sercem udręczonym piętrzącymi się wątpliwościami, potknięciami i niepewnościami, mogę żądać jedynie, aby świat dał wiarę moim zapewnieniom, że gdybym nie pisał po angielsku, nie pisałbym wcale” [podkreślenie MJB]⁶.

Wracając do słów tytułowych – „Nic mi tej baby nie przynosi!” – należy dodać, że niektórzy badacze dzieła Conrada, w tym także Józef Ujejski, doszukiwali się w jego zapiekłej (kto wie, czy nie dozgonnej) niechęci do Orzeszkowej oznaki nieświadomionego poczucia winy, zepchniętego na samo dno duszy wyrzutu sumienia, że jednak zawiódł ojczyznę w niedoli, porzucił ciężki i niewdzięczny trud, aby pójść za marzeniem... W ich przekonaniu z tego właśnie poczucia winy i z potrzeby ekspiacji narodził się genialny *Lord Jim*, to samo dano mu asumpt do żarliwego szukania prawdy o motywach ludzkiego postępowania, to wreszcie sprawiło, że takie wartości, jak honor, odpowiedzialność i wierność sobie, stały się głównymi wytycznymi działania bohaterów jego genialnych powieści. (A także – przypomnijmy – rzeczywistych bohaterów drugiej wojny światowej, czyli żołnierzy Armii Krajowej oraz tzw. Kolumbów, najżarliwszych czytelników Conrada i wyznawców conradowskiego etosu.)

Być może, jest w tych domysłach ziarno prawdy, ale lektura *Notatnika osobistego* Conrada pozwala spojrzeć na to z zupeł-

nie innej perspektywy – szerszej, głębszej, czystszej (żeby nie powiedzieć: zdrowszej). Dowiadujemy się więc, jak w umyśle dwięcioletniego chłopca, pótsieroty, żyjącego z ojcem-zesłańcem w Rosji, rodzi się marzenie o życiu na morzu; jak potem ten sam chłopiec, już szesnastoletni, pełny sierota, wypowiada głośno swoje marzenie-pragnienie, ściągając na siebie „lawinę protestów, oburzenia, litościwego zdziwienia, gorzkiej ironii i otwartych drwin”; wreszcie jak rok później ów „niereformowalny, beznadziejny Don Kichot” uzyskuje zgodę mądrego wuja-opiekuna na wyjazd do Francji i jak wkrótce potem zaciąga na statek brytyjski w charakterze marynarza... Jest to fascynująca opowieść o wewnętrznej sile, nieodpartym przymusie, tajemniczym powołaniu, które każą temu nadwrażliwemu, boleśnie doświadczonemu chłopcu podążać za marzeniem bez względu na przeciwności i cierpienia, jakich mu nie szczędzi los. Marzeniem tym jest morze, życie na morzu. O pisaniu nie marzy, nie myśli nawet. Ono przychodzi do niego któregoś dnia samo. Razem z Almayerem. Człowiekiem z krwi i kości, który owtada jego wyobraźnię. Marynarz floty brytyjskiej zaczyna pisać na statku. Słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Pierwsza jego powieść, *Szaleństwo Almayera*, rodzi się przez kilka lat, od roku 1889. W druku ukazuje się w 1895. Potem Conrad, zdawszy egzamin kapitański, porzuca żeglowanie i zaczyna pisać.

„Jakiś nieświadomy przymus – wyznaje – pcha mnie do pisania książki za książką, tak jak w przeszłości inny przymus kazał mi pływać po morzach, w rejs za rejs. Stronice muszą następować jedna po drugiej, jak niegdyś mile morskie, aż po wyznaczony mi kres, który będąc samą Prawdą, jest Je-

den – jedynką dla wszystkich ludzi wszystkich zawodów”⁷.

I na koniec jeszcze jeden passus z *Notatnika osobistego*. Napisany niewątpliwie w odpowiedzi owym pożądanym „sędziom”, którzy tak bardzo dali się niegdyś we znaki, dotyczy wszystkich, którzy uzurpują sobie prawo do oceniania i potępiania innych bez żadnych ku temu kompetencji, bez żadnego ku temu prawa.

„Oceniając czyjeś postępowanie w świecie, gdzie żadne wyjaśnienie nie jest ostateczne, winniśmy pamiętać, że nie wszystko można wyjaśnić. Nie należy rzucać lekkomyślnie oskarżeń o niewierność. Pozory ulotnego życia są zwodnicze, jak zresztą wszystko, co podpada pod osąd naszych niedoskonałych umysłów. Wewnętrzny głos może pozostać lojalny w swych sekretach. Wierność pewnej tradycji da się dochować także pośród życzeń niezwiązanego z nią życia, krocząc, też wiernie, drogą niewytłumaczalnego impulsu”⁸.

To wielka prawda wielkiego umysłu i charakteru, ale czy mogła przemówić sto dwadzieścia lat temu do Orzeszkowej, skądinąd mądrej i szlachetnej, lecz wtłoczonej w koleinę polskiego rozumienia patriotyzmu? I czy może przemówić dziś do naszych „patriotów”, bijących na ulicach miast bezbronnym wojennym uchodźców z Ukrainy?!

Doprawdy trudna na te pytania odpowiedź.

MARIA JENTYS-BORELOWSKA
WARSZAWA 28 LIPCA 2026 r.

⁷ Jak wyżej, s. 66.

⁸ Jak wyżej, s. 94.



⁵ Jak wiadomo, Orzeszkowa zmarła w roku 1910, zaś Freya of the Seven Isles (Freja z Siedmiu Wyp) ukazała się po raz pierwszy w Londynie w roku 1912.

⁶ Joseph Conrad: *Notatnik osobisty. Ze wspomnień.* (Tytuł oryginału: *A Personal Record. Some Reminiscences.*) Przekład Hanna Pustula-Lewicka. Czytelnik. Warszawa 2014 s. 9, 10-11.

Dialog poetycki ku czci życia i śmierci

Dotyk

śniłem w twojej mowie
obrazami których sam
nigdy bym nie stworzył

odległymi od moich
barwą i tonem

były tam ptaki
które budziły mnie
przy tobie

nierealne jak sen
który staje się ciałem
i ciepło które nie udaje
obecności

LN

Żal

jeszcze niedawno
mogłem dać więcej
niż otrzymywałem

chciałem jednak zrównoważyć uczucia i emocje
może dlatego nigdy nikt o tym się nie dowiedział

szkoda

nie ma przecież
sprawiedliwych
proporcji

dziś mógłbym dać wszystko za darmo
ale czy jeszcze ktoś na to czeka

wątpię
ponieważ w tej kwestii
doszło do wielu omyłek

żał również
że nie poznałem
języka ptaków

CS

Głód

masz mnie tylko w jedną stronę
nie będzie powrotu
najedz się mną na drogę

na resztę życia

nie zadzieraj wysoko głowy
nad nami nie ma nieba
świat ogarnięty mrokiem

napij się mnie jak wina
nachleptaj jak pies
z kałuży mętnej wody

nie bądź przyczajoną sarną
która umyka w gęstwinę
na widok wyciągniętej dłoni

najedz się mnie do syta

L.N.

Nasycenie

nie wiem
dlaczego nie chcę
choć nie spróbowałem

domyślam się
że ma to związek
z sytością słów
i możliwości

choć nadal pragnę
nie muszę więcej
wiedzieć o tobie
i świetle
za zakrętem

spełniło się
więc po co szukać
co się znalazło

jeśli się wypełniło
czemu pytać
o resztę

C.S.

Mucha

nie wiem skąd tu jest
na tej wyspie jest taka jedyna
może przyplęnęła z paczką drewna
właśnie nim napaliłem

obudziło ją ciepło
za oknem śnieżny sztorm
nic tutaj niezwykłego
o tej porze

i weź ją teraz zabij
jak to zwykle się robi

przyglądamy się sobie badawczo
właśnie tak
ona ze swoimi wielkimi oczami
jak talerze kosmicznych radarów
z moimi ja

po cichu obstawiamy
kto pierwszy pójdzie do nieba
jeżeli muchy takie mają

bo my przecież tak

L.N.

Nadzieja

kupa mycie
marycha znowu купа
siku mycie odleżyny
rany krew marycha
smród nie do wytrzymania

w życiu miał już wszystko
pieniądze podróże
miłość dużo miłości
rozczarowania
na nic mu już życie

medycyna się poddała
córka przyniosła wydruk usg
maleństwo pod jej sercem
tatko – to będzie dziewczynka
trzyma to to w dłoni

postanowił
poczekaj
choć przy nadziei
tylko ona jedna

L.N.

Insekty

na arce noego
nie budziły
nigdy emocji

zdaniem uczonych
działania w imię dobra
przeciwko rozpucie
nie mogły mieć małych
rozmiarów

także wybrańcy jahwe
noe i jego synowie
walcząc z żywiołem wody
nie poświęcali uwagi
drobiazgom

jedynie naamah żona noego
która przecież nie chciała płynąć
dostrzegła larwy much w świńskim łajnie
i pluskwy przywleczone przez ptaki
a w wolnych chwilach tłukła wszy łonowe

które złapała od męża

C.S.

Glossa do śmierci

dłaczego

myślę o twojej pochwie
gotując się do śmierci
przecież tanatos niczym
ojciec wprowadza ład
podczas gdy eros łączy
wszystko ze sferą chaosu

*lepiej się nie szarp
– mówi – wspomnij raczej
matkę jak przymuszała ojca
aby uniósł powieki i
podziwiał do końca
zmysłowy belkot zgielku*

tak właśnie splatam myśli
o anarchii twego podbrzusza
matce która kurczowo
wciąż chce oddychać
i ojcu którego spazm
nie tłumaczy skąd ten

przedśmiertny wzwód

C.S.

Potwory

chcemy kochać potwornie
i być potwornie kochani

gdy patrzymy sobie w oczy
w rajskim ogrodzie
uginają się konary

jakby miłość mogła zbawić

a to niewiele więcej
niż pszczele zalatanie

by w ulu było dość miodu
zanim przyjdzie pszczelarz
i zabierze co najśłodsze

Kochankowie

kiedyś znałem dziewczynę
która nic nie mówiła

w małym hostelu
na skraju miasta
dwa razy w tygodniu
poznawaliśmy rozkosz glikozy
zmieniając cukier w energię żądy

korzystaliśmy także z ukrytych rezerw
podświadomości oraz tłuszczów złożonych
rozwiązując co rusz tajemnicę
przemiany chleba w ciało

mówiąc po ludzku
dwa razy w tygodniu
bez zbędnych słów
uwalnialiśmy tam sporo ciepła
oraz znaczne ilości
dwutlenku węgla i wody

L.N. co dostrzegła pani od portierni
która wyjaśniła że to przez miłość
tak mocno się pocimy

C.S.

Gabriela Szubstarska

Ogród

siała pachnący groszek
siła w zapachu
dal jest niepewna kwiaty dotykalne

sadziła różowe dalie i mnóstwo róż
niezapominajki błękitniały
przed płotem

potem kwitły żonkile
nie szkodzi że żon miał tyle
ile palców u ręki

śpiewał ballady
bale są dla tych co lubią tańczyć
ona cień wołała

dzień za dniem mijał
już nie mówił moja jej

czerwienięją jesiony opustoszała sień
tylko jesienna bezsenność
bez pytań o sens

nie mów że mnie kochasz
kochasz wyobrażenie
nie sprostam
brak mi kwalifikacji na
bycie czymś szczęściem

nie umiem zarażać śmiechem
ani upiec tortu

jestem w odcieniach szarości
razi mnie blask
znikam z nastaniem burzy

nie mów że kochasz
tutaj nikogo
nie ma

Baśń o przywiązaniu

Cień

za płotem przyczał się cień
wypatruje sposobnej chwili
by wypełznąć z ukrycia
szeptem przywołuje smutek
i on i smutek lękają się światła
i on i smutek wiedzą że
razem prędzej doczekają zmroku
wysączą z kamieni ich kamienny chłód
rozrosną się spotężnieją
by ramię w ramię z ciemnością
ruszyć przed siebie
dołączą do nich złe wspomnienia
nieotarte łzy
obumarłe uczucia
i wciąż krótszy i krótszy czas
całe szczęście że kiedyś
ktoś wielce litościwy
podarował człowiekowi ogień

nie miał nic
wybrał niebo nad głową
płynęły w noc przejmujące słowa
o niewzajemności
niedostrzeganiu
patrzył w gwiazdy czuł się bogaczem
słuchał opowieści przynoszonych przez wiatr
przywoływał z pamięci
dziewczynkę z zapalkami
odmieniał przez przypadki słowo chleb
nie miał nikogo
był niczyj
póki nie przygarnął go
bezpański pies

Jak wiecie jestem koniem. Nie udawajcie, że nie wiecie, koń to koń, i trudno go pomylić z tygrysem czy żabą, choć to i to ma też cztery nogi. Koń – jak ktoś mądrze zauważył – jest po prostu piękny. Czyli, nie chwalcąc się, dokładnie ja. Dziwne, że to zauważył człowiek, nie pokładałem nigdy nadziei w ludzkiej spostrzegawczości. Człowiek, nawet mądry, zawsze coś schrzani. Ten niby czuły na moją urodę też się nieźle popisał. Jak to ujął, trzy są pięknościowe piękności: koń w galopie, dziewczyna w tańcu i okręt pod żaglami. Jak można mnie porównywać z dziewczyną w tańcu, nawet z moją własną – bo tak się składa, że mam swoją dziewczynę co się za chwilę wyjaśni. Przecież na zdrowy rozum: jeśli w dziewczynie jest urody ileś tam... powiedzmy, że miarka, taka jak do owsa, to w koniu, dziesięć razy więcej. Prosty rachunek: Koń jest dziesięć razy większy, więc WSZYSTKIEGO w nim jest dziesięć razy więcej. Żaglowce z litości przemilczę, choć wiem co to za cudo; w końcu mieszkam nad morzem. Pokraczne koryto spuszczone na wodę i owinięte szmatami – rzeczywiście, samo piękno. I to przy koniu! W tej sytuacji jasne, że koń, jak każdy, może liczyć tylko na siebie. Niech ludzie piszą o ludziach, może w tej materii są mądrzejsi ode mnie. Niech kury piszą o kurach, a borsuki o borsukach, choć wiadomo, że borsuki skrobią jak kura pazurem, tyle że kury, potrafią swoje skrobanki odczytać. O koniach napiszę ja sam, koń we własnej osobie, i to akurat nie powinno nikogo dziwić. Już poeta Konstanty zauważył, że: „koń też by pisał wiersze, gdyby mu dać sto złotych...”, a proza przy poezji to pikus. Inna sprawa, że w dzisiejszych czasach, słowa dla poety – rzadki widok. Na szczęście, nie moje zmartwienie.

Właśnie!

Wiele razy słyszałem: koń ma wielki łeb, niech się martwi. Nie mogę pojąć, dlaczego, moja głowa miała urosnąć właśnie dla zmartwień. Można uznać, że po prostu, w dużej głowie dużo się zmieści, ale czemu akurat zmartwień? A nawet jeśli zmartwień, to i tak wystarczy miejsca na różne pocieszenia; na rozwiązanie problemów, które zmartwienia ze sobą przyniosły. Poza tym czasy się zmieniły. Mamy XXI wiek i żaden szanujący się koń nie mieszka w stajni bez bieżącej wody, bez padoku na codzienny spacer, i bez służby, co zapewnią różnicowaną, zdrową dietę. Gdzie tu zmartwienia? Kiedyś – wiadomo. Mój dziadek na przykład, pół życia w wojsku, pół na chłopskiej roli. Ten miał się czym martwić, choć nie za bardzo miał, kiedy. Albo manewry, albo orka. Do tego pamięć o ojcu (czyli moim pradziadku), rannym w zeszłą wojnę, który ostatkiem sił doniósł swojego, też rannego ułana do lasu, gdzie w nagrodę dostał kulę w łeb. Ułan – dla odmiany – order. Biorąc pod uwagę, że atakowali razem, podział nagród trochę ekstrawagancki. Tak, można się zmartwić. No cóż, konie walczyły pod Wiedniem i pod Kircholmem, bez koni nie byłoby Ameryki i Czynghis-chana, nawet ten skurwysyn Hitler ciągnął armaty końmi. I to kradzionymi. Zaraz, zaraz, powiedziałem: skurwysyn? Nieładnie... Ale jak powiedzieć inaczej? Jest paru w historii, których nie da się inaczej nazwać. Konie o tym pamiętają, wszystkie konie to jedna rodzina. Nie jesteśmy rasistami. Mieszane związki jak najbardziej wskazane. Z persami, arabami, kaukazami, Hiszpanami – szczególnie z Andaluzji, skąd ponoć i moje korzenie. A wracając do wojny, zanim cokolwiek się zacznie, trzeba zrobić zapasy. Nie będzie chleba, jeśli koń nie zaozre ziemi, to samo z ziemniakami, burakami

i paszą dla tłustych kietbasianych świnek. Tak, gdyby nawet nie było wojny... coś ja chyba gładzę bez sensu, co to znaczy: nie było wojny? Czy zdarzyło się kiedyś, że nie było wojny? Nigdzie, na całym bożym świecie nikt nikogo nie mordował? Chyba wybiorę się na telewizję; póki ciepło, stary dozorca ma okno otwarte, da się słyszeć i widzieć. Zerknę. Na pewno zerknę, bo ten czas bez wojny może akurat teraz. A ja przegapię. Jeśli tak, jeśli na prawdę teraz, polecę filozofem: Dożyłem, mogę odejść!

Z odchodzeniem, to u nas jest kiepsko. Taka prawda. Wspominałem już o pradziadku, którego niecznie zastrzelono. Dlaczego? Bo był ranny. Jego ułan też był ranny, ale ułana wyleczono. Jak wyzdrowiał dostał order, a w tym czasie psy rozwłóczyły dziadkowe kości. W historii nasze losy nie były splecione sprawiedliwie. Częściej ginął koń niż rycerz, może stąd, że w konia łatwiej trafić. Nie miał dla nas litości rolnik i dorózkarz. A gdy przychodził koniec, sprzedawano nas po kawałku w taniej jatce, jakbyśmy po śmierci byli gorsi od kury czy świni. Ludzie brali urlopy, przechodzili na emerytury, my nie. Działaliśmy z nas doczekało szacunku i na starość cieszą się życiem, ale słysząc wciąż o ludziach co za naszą ciężką pracę, dziękują hańbą w rzeźni.

Sprawiedliwość – mówią na to baran chwilowo mieszkający z nami, aż poszedł na imprezę z różnem w roli głównej; sprawiedliwość dziejowa. Baran, jak to baran – lubi się mądrzyć. A weźmy na przykład podróż: przez całą historię koń wozil człowieka, dziś, człowiek wozil konia. Ja sam podróżuję sympatyczną przyczepką z wszelkimi wygodami i widokiem na okolicę, z tym, że nie ma mowy by koń wsiadł na człowieka, jak kiedyś on na konia. Jakaś ta sprawiedliwość nierówna. Ludzka pycha każe udawać, że jest inaczej, sam słyszałem o Wymiarze Sprawiedliwości, ale jak to niby ma działać? Kopnąłeś, ojoj, będzie kara! I co niby kulawemu od kopnięcia twoja kara zdejmie? Może kopnąć tego co kopie – tak też było w historii – i cała sprawiedliwość to jeden kulawy więcej. Tyle pożytku z baranich mądrości, że zły jestem sam na siebie. Przecież to nie mój problem, swoje sprawy załatwiam po swojemu, a z niego więcej pociechy było na różnie niż w dyskusji.

Prawdziwego człowieka łatwo poznać. Prawdziwy człowiek nie udaje, że kocha gówna, tylko sprząta. Nie traktuje mnie jak durną lalkę, tylko jak partnera: on nie potrafi tego co ja i na odwrót, dlatego świetnie się uzupełniamy. Ja wiem czego chcę, on też. A już ci najśrodsi, co to: koniś, ojoj, jaki ładny, no chodź, no masz marchewkę, pogłaskamy konika – to z reguły palanty. Zdarzy ci się parsknąć, trochę błota przyśnie spod kopyta albo nie chcesz ich zasranej marchewki – od razu awantura: Co za bydlę! Jak tu śmiesz! Zabierzcie tego parszywca, won!!! Taki właśnie jest palant.

Gadam ciągle on i on, a przecież u mnie to jest ona. ONA – tak powinienem pisać, bo tak staram się wyrażać. Moja dziewczyna, ta, o której wspominałem na początku. Wy-marzona, jasnowłosa, żeby wiatr miał co czesać, gdy kopyta zapamiętują się w galopie. Żeby złociste fale układały się jak moja piękna grzywa, a dzika słoneczność ogarniała nas po zadzierzYSTą kitę ogona. Bardzo też lubię czuć jej rękę na głowie i zgrabny tyłeczek (choć nie tak zgrabny jak mój) na swoim grzbiecie. Oczywiście słyszałem nie raz, że koń potrzebuje męskiej ręki. Że baby to mięczaki, o byle co obrażone, o byle co beczące, bardziej przejęte lakierem na paznokciach niż czystością boksu. Jeśli taka jest prawda, to znaczy tylko jedno: Jasnowłosa nie jest babą!

Wiosna. Nie wiem co się tak wszyscy na tę wiosnę cieszą. Że co? Że trawy trochę, kwiatuszki jakieś blade, no żarty. Cieszyć się trzeba jesienią, wiadomo, jabłek, marchewek, sianka świeżego po uszy, słoneczko delikatne, świat kolorowy, komarów, much i wszelkiego bzykającego tałatajstwa z dnia na dzień mniej. Mówimy przecież w naszym pięknym kraju: Złota Polska Jesień! Wiem, nie każdy tak myśli, Poeta wręcz napisał: „Listopad, niebezpieczna dla Polaków pora” Dobrze pamiętam, bo występowałem w tym przedstawieniu. Miało być inaczej, artyści wybrali Santiago, Santiago piękny jest-wiadomo, po prostu tyle w nim piękna, że rozum się nie zmieścił. Z zachwytu nad sobą, gdzie stanie, robi kupę. Wtedy padło na mnie, choć ja się nie pcham na scenę. Nawet pokaprysiłem trochę i musiałem wziąć Jasnowłosą do kompletu. Z tym że ja, jak zwykle wyglądałem super, a ja przebrał za jakiegoś utyłanego wojaka; aż żal było patrzeć.

Ale wracając do wiosny: pomijając nieśmiałe zieleninki i rechoczące żaby, wiosną się głupieje. Tak, wiem z doświadczenia. To wiosną, jak dumy żreback zagapiłem się na Lalę. To znaczy ja mówię Lalę, bo oficjalnie to Latalina, po ojcu Bergamocie, potomku Fabrycelli i księcia Rosso, po matce Karafce, z linii genetycznej samego Algo di Pompa. No można się zakochać od samych imion, szczególnie gdy do głowy uderza wiosna. Jasne, że zagapiłem się na przeszkody, czyli nici z pucharu, Lali też to nie oczarowało, no, po prostu same kłopoty. Przypomniałem sobie teraz widząc, że zima odchodzi, jak bardzo byłem ogtupiały przereklamowaną tandetnie panienką, sławną, bo mama i tata to ho ho! Zawsze do kitu, ale w dobrym tonie było zauważyć: no dziś nie była w najwzroźszej formie. Za to ja na formę nie narzekam i wiosna to mi może...

Wiedziałem. No może czułem, ale gdy Jasnowłosą wziął za rękę taki jeden, nijaki trochę, na pewno nie księżę i nie z linii, mimo to już wiedziałem na bank. A gdy jeszcze zaczął gadać o włosach tandeciarz jeden, jakby on pierwszy zauważył ich urodę przestałem się łudzić. Pytanie czy Jasnowłosa przeżył na oczy tak szybko jak ja, czy wiosną ją pochłonę na dłużej. Gdy jesteśmy w boksie, sam na sam, kręci się nerwowo.

– Nie patrz tak na mnie – mówi zaczepnie. – Jak ciebie poniosło do tej durnej Lali, nie miałam pretensji.

Oczywiście miała, ale to trudny temat i nie lubię go poruszać.

– No następaj się; tak ładnie cię wyczyściłam, wyczesalam i co?

Rzeczywiście, wszystko skottunione, zbite, no jak to z nerwów. Tandeciarz nie odpuszcza. Przydepnąłem go z lekką, oczywiście przypadkiem, nie rozdarł się na mnie i nie porczył jak normalny zasraniec. Przypadkiem też spadł ze mnie, traf chciał, że nie na trawę a na betonowy podjazd i twardo wskoczył mi z powrotem na grzbiec. Coraz mniej to wygląda na chwilowe zauroczenie, a wczoraj widziałem Jasnowłosą w sukience. Wiadomo, że to dla Niego, na pewno nie na siodło.

Wiosna mija, nic się nie zmienia, trzeba z tym żyć. Może jakoś będzie w trójkę... A może mają rację ci co mówią: koń ma duży łeb, niech się martwi?

BOGDAN GORCZYCA

Bogdan Gorczyca Gdańszczanin, z zawodu aktor, w dawnych czasach organizator i działacz DKF-ów (Dyskusyjny klub Filmowy). Pierwszy prezenter historycznej TV Orunia Sky. Dziennikarz radia Arnet, radia Plus, felietonista Kuriera Kaszubskiego, wolny strzelec teatru i estrady. Pierwsza książka 2010 r., członek SPP od 2021r.

Maria Jolanta
Fraszewska

„Bóg odszedł z poczuciem winy.”

Tadeusz Bartoś w rozmowie z Arturem Nowakiem,
Prószyński i S-ka, Warszawa, 2025

WIWISEKCJA: KŁĄCZA ŻYCIA W PLATANINIE ŚCIEŻEK DUCHOWOŚCI

Tadeusz Bartoś jest filozofem, bytym dominikaninem. Obecnie jest profesorem nadzwyczajnym Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor w Pułtusk. Do zakonu wstąpił w 1987r, a w 1993 przyjął święcenia kapłańskie. W 2007r otrzymał tytuł dr habilitowanego w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W tym też roku wystąpił z Kościoła. Od 2007-2009 r zasiadał w jury Nagrody Literackiej Nike. Opublikował kilka książek. A ta najnowsza jest odbierana jako ważny, mocny i intelektualnie odważny wywiad-rzeka, który demaskuje religijne mechanizmy winy.

Opowiada o samym początku wchodzenia młodego człowieka w tryby wiary poprzez kościelne rytuały, w których zwyczajowo uczestniczą całe rodziny. W procesie wychowania dziecko przeżywa różne etapy rozwoju. Środowisko wychowawcze, otoczenie rodzinne ma największy na to wpływ. Zjawisko wdrażania norm, wartości czy postaw, najczęściej matki człowiek przyswaja w szczególnym okresie wewnętrznych psychicznych przejść rozwojowych. Węzły krytyczne występują w sposób naturalny i konieczny, aby iść do przodu. Bywa, że dziecko zatrzymuje się lub cofa do okresów, które już przeszedł. Dzieje się tak z przyczyn niezależnych od niego samego. Rozwój poznawczy dziecka jest wynikiem wzajemnych interakcji z osobami, które uznaje za autorytety, za osoby ważniejsze, bardziej kompetentne, są nimi rodzice, osoby dorosłe, nauczyciele, księża. W ten sposób powstają trwałe, lub mniej trwałe, fundamenty przyszłego funkcjonowania w społeczeństwie. Środowisko wychowawcze dominuje w tym względzie. Przejście kryzysów rozwojowych zapewnia przechodzenie do coraz to wyższych etapów integracji psycho-społecznej.

Książka „Bóg odszedł z poczuciem winy” przedstawia historię procesu dojrzewania w cieniu Kościoła, wychodzenie z narzuconych społecznie wdrażania wychowawczych, o bólu dojrzewania. Ukazuje proces odbierania własnych dojrzałych poglądów, umierania starych przekonań, które w oparciu o bieżące obserwacje, doświadczenia i wydarzenia, nie mieszczą się w moralności i etyce ludzkiej. Czy Bóg ma poczucie winy z powodu, że zniewalał i pozostawiał w poczuciu winy – człowieka? Że stworzył religijne narzędzie kontroli jakim jest spowiedź? Wytworzył zależność, posłuszeństwo, utrzymując, a wręcz wzmacniając hierarchię, współpracując z politykami PiS-u, będąc zakłamanym do krwi i kości. Tego rodzaju pytania zadaje w książce ich autor.

Tadeusz Bartoś wymienia wiele zachowań księży, tych z którymi miał do czynienia, które to spowodowały jego odchodzenie od czystej wiary. Przede wszystkim: manipulacyjność, używanie oroku osobistego w celu zdobycia zaufania, kłamanie bez stresu, a w dodatku przekonująco, brak empatii, egocentryzm, trudności w utrzymaniu zdrowych relacji, instrumentalne traktowanie ludzi, mówienie tego co druga osoba chce usłyszeć, aby coś zyskać, ale też wykorzystywanie innych finansowo czy

emocjonalnie, przypisywanie sobie zasług umniejszając innych, oczekiwanie podziwu i wdzięczności, obrażanie się, gdy ktoś krytykuje, obsesja na punkcie wizerunku. Aby wzbudzić podziw wiernego trzeba być dobrym aktorem z opracowaną choreografią, to: sposób poruszania rękami, skłony, ton głosu, cały obraz musi wyglądać na postać uduchowionego księdza, wtedy samemu chce się aż kłękać.

Kim jest Tadeusz Bartoś, rocznik 1967?

Bartoś zanim zrzucił habi dominikański porzucając Boga i obnażając banalność głoszonych pseudoprawd chrześcijaństwa, był naiwnym i w miarę posłusznym dzieckiem; tak pisze o sobie w książce. Chodził do szkoły, biegał po podwórku, przyjaźnił się z dziewczętami i chłopcami. Jak wielu z nas. Wraz z rodziną mieszkali w kamienicy, którą babcia kupiła przed wojną. Jednak po wojnie komuna nakazała przymusowe dokwaterowanie. Sami więc mogli mieszkać we własnej kamienicy, jednak w jednym pokoju. Jego życie kręciło się wokół podwórka, ogrodu i szkoły, także u babci na gospodarce w Krotoszynie, gdzie spędzał wakacje. Lubił zajmować się ogrodem, zwierzętami, biegać za piłką i chodzić na basen. Wszyscy żyli razem, przebywając ze sobą i rozmawiając. I to jest sprawą kluczową dla rozwoju człowieka czyli przyswajanie treści dostarczanych przez otoczenie rodzinne. Autorytet przedstawia kwestie do powielania przez małego nagradzając go za powtarzanie tego co autorytet wpoił do głów i umysłów. Przecież dziecko, o tak sobie, nie będzie narażało się na niezadowolone rodziców.

Krotoszyn to niewielkie miasteczko, w którym co niedziela ubierano się odświętnie i podążano na msze. To był kulturowy rytuał. Wieczorami dzieci wraz z matką, kłęcząc w pod obrazem z postacią Jezusa i powtarzając po matce słowa modlitwy. On i bracia zostali ministrantami, co wówczas było bardzo popularne. Po latach wspólnego śpiewania pieśni religijnych Bartoś skomentował: „To najbardziej wyniszczająca ideologia”.¹

Potem było harcerstwo traktowane jak zabawa, ale gdy przyszedł stan wojenny, młody Tadek zauważył, że coś się nie zgadza, i podał legitymację harcerską. Wraz z dwoma kolegami w ósmej klasie szkoły podstawowej spalili książki do historii, bo kłamią, a ogień wzmocnili książkami do rosyjskiego. Potem było to liceum muzyczne w Poznaniu w klasie saksofonu, z przeniesieniem na pianino. Artystyczna dusza. Wtedy lekcje religii odbywały się w salkach katechetycznych przy kościele. Katecheta „robił ciekawe podchody: zapraszał do swego mieszkania. My przychodziliśmy, a on właśnie wychodził z kąpiel, ręcznikiem się zastania, mówi, że zaraz przyjdzie. (...) Nie cierpił dziewczyn, żartował sobie z nich bardzo nieprzyjemnie, wulgarnie. Frazę „baba, kurwa, maciacą myśli”, znam dzięki jego aktywności

duszpasterskiej.”² Po maturze poszedł do dominikanów studiować filozofię, choć zdał też na polonistykę. Matka się cieszyła, tata już nie, pisze w książce Bartoś.

„Naturalnym miejscem budowania więzi koleżeńskich i przyjacielskich są przedszkola, szkoły, ewentualnie studia, rodzina, poszerzona rodzina, zakład pracy. Wstąpienie do nowicjatu oznacza trwałe zerwanie tych wszystkich relacji. Opuszczasz ten świat i wchodzisz w wyższy doskonały tryb życia poświęconego tylko Bogu. To jakby śmierć za życia. Taka ideologia przekazywana jest nowicjuszom. Wielu może tego nie kuma całkiem, inni nie do końca się tym przejmują. Ja niestety traktowałem to wszystko śmiertelnie poważnie.”³

Tadeusz Bartoś poczuł się całkowicie oszukany z wielu powodów. Świat faktyczny okazał się inny niż ten deklarowany. Gdy w czasie prowadzenia Dominikańskiego Studium Filozofii i Teologii w Warszawie na wykład zaprosił księdza Rysia, na pytanie: czy niewolnictwo jest zgodne z prawem naturalnym, ten odpowiedział, że drugiego człowieka nie można posiadać na własność, ale jego pracę już tak. Barciś podsumowuje: „Taki majstersztyk. Ksiądz Ryś miał więcej takich dających do myślenia anegdot w zanadrzu”.⁴

Szczególną atencją Tadeusz Bartoś otaczał Innocentego Bocheńskiego, który badał strukturę Kościoła i partii komunistycznej. Zestawiając je ze sobą, doszedł do wniosku, że zbudowane są bliźniaczo i działają na tych samych zasadach. Obie chronią swoje przywileje i bezkarność. Wystarczy przeczytać książki Irvinga Goffmana: *Instytucje totalne* i *O pacjentach szpitali psychiatrycznych i mieszkańcach innych instytucji totalnych*. Zauważyłem, że opisuje ona historie identyczne ze scenami z życia klasztoru, w którym uczestniczyłem albo o których słyszałem.”⁵

Wtedy właśnie Bartoś dojrzał już całkiem wyraźnie systemowe zniewolenie, gdy: „arbitralne decyzje przełożonych niszczyły ludziom życie”. (...)

Cenieni przez niego filozofowie to: Nietzsche, Foucault, Derrida, Heidegger, Lowith, Deleuze, czy Max Scheler. Opuścił Kościół w 2007 roku Tadeusz Bartoś napisał list do władz kościelnych, rzeczowo i szczerze przedstawiając elementy swojej decyzji. Można go przeczytać w książce.

Poczucie winy to potężny mechanizm. Ukrywanie seksafer, pedofilstwa, gejostwa, homoseksualizmu, molestowania wszelkiego rodzaju, utrzymywanie kochanek, wykorzystywanie naiwności wiernych i podległości, brak refleksji, wsteczność, oportunistyczny, perwersja. Autorytarność. Kościół mówi: masz mieć poczucie winy: „żałować, pokutować. Rozlewające się poczucie winy to właśnie kara sobie wymierzona. Od czasów Augu-

² Tamże, s. 43

³ Tamże, s. 269

⁴ Tamże, s. 222

⁵ Tamże, s. 241

¹ Bóg odszedł z poczuciem winy. Tadeusz Bartoś w rozmowie z Arturem Nowakiem, Prószyński i S-ka, Warszawa, 2025, s.42

styna ten typ religijności się upowszechnia. System eksploruje ludzką słabość, żeruje na naszej niepewności, samoobwinianiu się. Tu się osadza i z tego żyje.”⁶

I choć prawie dwa wieki temu Fryderyk Nietzsche stwierdził: „śmierć Boga”, jak do tej pory widać wyraźnie, że w Polsce spokojnie sobie egzystuje nadal. A druga część zdania: „myśmy go zabili” też ma się dobrze, o tym właśnie napisał Tadeusz Bartoś w rozmowie z Arturem Nowakiem.

Piotr Augustyniak w blurbie pisze: „Bardzo cenię mojego przyjaciela Tadeusza Bartosia za to, że taką drogę wybrał (...) że nie wybrał świętego spokoju i kościelnego konformizmu, (...). I że za tym wszystkim kryje się ciekawość i afirmacja życia, akceptacja go we wszystkich jego odstonach i odcieniach.”

Autentyzm wypowiedzi autora jest niezwykle cenny. Nie każdy, bowiem, ma tyle w sobie odwagi i otwartości, aby obnażyć ukryte formy przemocy. Każdy, niezależnie od postaw życiowych, powinien tekst ten przeczytać i głęboko przemyśleć.

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA



⁶ Tamże s. 333

Wit Romanowski

W OBCYM UŚCISKU

W swej najnowszej książce pt. **Gehenna** dwaj renomowani autorzy – **Artur Nowak** i **Stanisław Obirek** rozprawiają się z jakże często słyszaną i postulowaną w Polsce tezą, że odejście od religii to odejście od polskiej tradycji, zaprzeczenie własnej tożsamości i uleganie obcym wpływom. Autorzy przywołują historyczne źródła świadczące o tym, że mit o jakoby zbawiennym wpływie Kościoła na Polskę został zbudowany na kłamstwie, zdradzie, aferach i braku docieklowości oraz krytycznej refleksji wszystkich tych, którzy tego rodzaju prawdy objawione słyszą od dzieciństwa.

Te demaskatorskie stwierdzenia są tym bardziej godne uwagi, iż padają z kompetentnych ust. Stanisław Obirek jest – jak wiadomo – teologiem, historykiem, antropologiem kultury i profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego. Przez długie lata był jezuitą (więc Kościół, od środka, zna jak rzadko kto), po czym w 2005 roku opuścił stan duchowny. Natomiast Artur Nowak to znany publicysta, pisarz, adwokat i szermierz walki z naruszeniami praw człowieka. Razem ze Stanisławem Obirkim napisał *Babilon. Kryminalna historia Kościoła, Gomorę. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele* oraz *Antysemickie chrześcijaństwo*. Na tematy związane z Kościołem i religią pisał też z prof. Arkadiuszem Stępinem (*Kryminalna historia Watykanu*) oraz Ireneuszem Ziemińskim (*Chrześcijaństwo. Amoralna religia*). Jak łatwo się domyśleć, żadna z tych publikacji nie przeszła bez echa i mimo upływu czasu inspiruje liczne dyskusje i polemiki.

Nie inaczej jest (i zapewne będzie) z *Gehenną*, która nosi znamienity podtytuł *Kościelna okupacja Polski*. Obirek i Nowak dowodzą rzecz z pozoru oczywistą, lecz zwykle przemilczaną i pomijaną: że Kościół katolicki stanowi zwierzchnictwo obcej państwowości (Watykanu), która od wieków pozostaje wmontowana w państwowość polską, a gdy tej braknie (zabory) – w organizm polskiej kultury. Owa zwierzchność kieruje się własnym interesem politycznym i ekonomicznym, natomiast kwestie wiary to jedynie zewnętrzna maska – przystawiony lip service, mający ułatwić osiągnięcie dwóch pierwszych celów.

Szczególnie bolesne, jak stwierdzają autorzy, było to w okresie rozbiorów, gdy Watykan nader chętnie i bez większych skrupułów bratał się z zaborcami (bo dawało mu to dostęp do rozmaitych konfitur).

Obirek i Nowak sięgają do historii, a z tej wynikają ważne lekcje. Piszą:

Na mocy Konstytucji 3. maja sejm ograniczył prawa szlachty, opodatkował Kościół i dażył do poddania szkolnictwa Komisji Edukacji Narodowej. Z majątków kościelnych miał powstać fundusz zasilający wojsko. Między innymi na mocy ustawy Fundusz dla Wojska, uchwalonej 24 lipca 1789 roku, zapadła decyzja o przejęciu przez państwo dóbr i funduszy najbogatszego polskiego biskupstwa w Krakowie. Nuncjusz papieski Ferdinando Maria Saluzzo, w obawie przed utratą wpływów i powstaniem Kościoła narodowego, nazwał polskie reformy zamachem stanu i poprosił papieża Piusa VI o interwencję. Bał się schizmy. Jakkolwiek przejęcie majątku biskupstwa miało nastą-

pić za odszkodowaniem, nuncjusz obawiał się, że dojdzie do rozłamu duchowieństwa. Udało się jednak osiągnąć kompromis i nacjonalizacja własności kościelnych nie nastąpiła. Ale o mało co, a papież publicznie potępiłby Sejm Czteroletni.

Dalej czytamy:

[Jednak] gorliwie poparł zaborców. Najpierw Rosję. W dziękczynnym brewie z 24 lutego 1792 roku nazwał carycę Katarzynę II heroiną stulecia i stawiał jej podboje, wymieniając wśród nich rozbiór Polski.[...] Następnie Pius VI pobłogosławił targowicę. Jak pisał Aleksander Świętochowski: nigdy i nigdzie nie było tylu sprzedajnych biskupów – to o Józefie Kossakowskim, Ignacym Massalskim, Wójciechu Skarszewskim i Michale Romanie Sierakowskim; to ich miał na myśli.

W podobnym kontekście w książce przywołane zostają słowa nie kogo innego jak Tadeusza Kościuszki. Autorzy stwierdzają:

Jego refleksje na temat miejsca religii w życiu społecznym wciąż zachowują aktualność. Zapisał je w 1814 roku w Paryżu i powierzył księciu Adamowi Czartoryskiemu. We francuskim oryginale zostały opublikowane po raz pierwszy w Kwartalniku Historycznym w 1965 roku, po polsku dopiero w 2007 w przekładzie Niny Sankari. Dlaczego o tym przypominamy? Bo Kościuszko już wtedy dostrzegł element transakcji sacrum i profanum. Jego obserwacje to dobre wprowadzenie na temat obecności religii w przestrzeni publicznej i jej szkodliwej roli.

Oto co wtedy pisał ten bohater narodowy:

Despotyczne rządy posługują się zastroną religii w przekonaniu, że jest ona najmocniejszą podporą władzy; wówczas wyposażono w sposób możliwie najbogatszy księży kosztem nędzy ludu. Przyznano im najbardziej oburzające przywileje łącznie z zasiadaniem przy tronie. Słowem, do tego stopnia rozmnożono łaski, dobra i bogactwa duchowieństwa, że połowa narodu z tego powodu cierpi i jęczy w nędzy, podczas gdy oni, nic nie robiąc, optywają we wszystko.[...] Księża zawsze wykorzystują ciemnotę i przesady ludu, posługują się religią – w co nie możecie wątpić – jako maską, by[przypisy] kryć swą hipokryzję i niegodziwość swych przedsięwzięć. Lecz w końcu coś z tego wynika? Lud nie wierzy więcej w nic, jak na przykład we Francji, gdzie chłopci nie mając obyczajów ani religii, są bardzo ciemni, przebiegli, występni.

Jakże znamienne jest to – piszą Nowak i Obirek – że w historii Polski czas zaborów to czas absencji Kościoła. Mówiąc dokładnie, jest on obecny w literaturze, w mitach, ale nie w codzienności Polaków. To jeszcze jeden paradoks, z którym polska historiografia się nie zmierzyła, zwłaszcza ta, która widzi w katolicyzmie nieodłączny atrybut polskości.

– Uważasz, że w czasie zaborów polskości nie ocalał i nie „przechował” Kościół Katolicki? – Nowak zapytuje Obirka. (Cała książka, o czym do tej pory nie wspominałem, ma bowiem postać dialogu między oboma autorami).

– Praktyka wyglądała zgoła inaczej –

pada odpowiedź. – Hierarchia katolicka nie tylko wzięła udział w procesie oddawania suwerenności ościennym mocarstwom, lecz także bardzo szybko się z nimi utożyla. [...] Na przykład jezuita potrafił oddawać wielkie zasługi carycy Katarzynie II, wychwalając ją pod niebiosa za to, że uratowała ich jako instytucję i umożliwiła im przetrwanie. Kościół był zaś najbardziej głośny wtedy, kiedy władza dawała największe przywileje. To wtedy potrafił wytkoć się bezwstydnie z orędownikami jakiegokolwiek postępu.

W przeciwieństwie do Tadeusza Kościuszki, autorzy nie pozostawiają suchej nitki na słynnym księdzu Piotrze Skardze. Piszą:

Jak zauważa Janusz Tazbir, autor Szymierza kontreformacji, jednej z najlepszych biografii poświęconych Skardze, zasługi królewskiego kaznodziei budzą wiele wątpliwości. Kimże bowiem tak naprawdę Skarga był i czego dokonał? Był fanatykiem religijnym nawołującym do walki z każdym przejawem innowierstwa, a jego Kazania sejmowe walnie przyczyniły się do utożsamienia Polaka z katolikiem zwalczającym wszystko co nowe i postępowe. Utało się Myśleć o Skardze jako o mędrca, który przestrzega Polaków przed upadkiem państwa. Problem polega na tym, że w jego przekazie nie chodziło bynajmniej o sąsiedzkie mocarstwa, które w przyszłości miały dokonać zaborów, ale o Turków. Ich napływ zdaniem Skargi był karą Bożą za polską tolerancję.

Nowak i Obirek czynią istotne iunctim między postacią Skargi, a epoką współczesną. W miejsce królewskiego kaznodziei, przeciwstawiającego się wszystkiemu co inne, nowe i postępowe, wprowadzają kardynała Wyszyńskiego. Piszą:

W latach 70-tych kardynał Wyszyński prowadził krucjatę przeciw sztuce Jerzego Grotowskiego *Apocalypsis cum Figuris*, zarzucając jej bluźnierstwo. Przy okazji dostało się Tadeuszowi Różewiczowi, autorowi Białego małżeństwa.

Sztukę na podstawie tego tekstu wystawiano w roku 1975 w Teatrze Małym w Warszawie. W maju 1976 roku w homilii na Skatce prymas [...] lamentował: Jakże często Polska była zagrożona w swojej wolności! [...] Na co ją wykorzystujemy? Czy to ma być tylko wolność picia i upijania się i [...] wystawiania obrzydliwych sztuk teatralnych? Jakby naszych artystów nie było już stać na nic lepszego, tylko jakieś tam Białe małżeństwo czy *Apocalypsis cum figuris*. Obrzydliwości, które się drukuje, wystawia się potem w teatrach, a Polacy, chociaż mówią o tych przedstawieniach – To prawdziwe świństwo – ale idą na nie, płacą pieniądze, siedzą i spluwają. Czy na to odzyskaliśmy wolność?

Ale... czy Polacy rzeczywiście spluwali?

Gehenna to ważna książka pobudzająca do refleksji. Wielu powinna otworzyć oczy. Czy otworzy?

WIT ROMANOWSKI

Artur Nowak, Stanisław Obirek, *Gehenna. Kościelna okupacja Polski*, Warszawa 2025



Joanna Sendlak

Duchy przodków czekają na bliskich tam, gdzie kiedyś mieszkali. Obserwują ich, delikatnymi myślami tącząc świadomość z nieświadomością, nasączając wolą. Jeśli odwrócimy się do nich plecami, stracimy kontakt z ludźmi. Wtedy zapadnie mrok, cień zastąpi nasze odbicie, które ucieknie z lustra.

Kiedyś sensem miłości była namiętność, której nie sposób opanować. Dzisiaj mło-

- Tylko niech się pani o mnie nie opiera. Mam guza mózgu i zawroty głowy, ledwo stoję – odpowiada druga w kolejce.

Zabieram kwitki, nie patrzę na obydwie panie.

W tej chwili istnienie wydaje mi się cudem.

*

Podczas Wigilii tamie się pod nim krzesło, jakby ziemia stworzyła rozpadlinę. – Nie, nic się nie stało – zapewnia. W domu orientuje się, że boli go ramię. Upuszcza na podłogę kubek z kawą. Uszko biegnie przed nim, nie zatrzyma kroku. Porcelana wbija się w stopę. Bandażuje nogę i siada do śniadania. Łokieć ześlizguje się ze stolika, a widelec trafia w oko. Na ostrym dyżurze wspomina dzień gdy został trafiony piorunem. Ręka straciła czucie, wpadł pod samochód, który lekko uderzył go w bok. W domu zrozumiał, że ku-

mionach kochanka. Rude włosy rozsypały się na poduszce, jedwabne prześcieradło ledwo ostaniano piersi. Carlo podniósł głowę i z pogardą spojrzął na rywala. Byłam pewna, że mąż tego nie wybaczy, jednak nie przypuszczałam, że odda sprawę do sądu. Później usłyszałam, że Crivelli trafił do więzienia na pół roku, wszystko przeze mnie, przez miłość.

*

Czy istnieje rzecz widzialna, materialna, która nie byłaby znakiem czegoś niecielesnego i umysłowego? Znak sprawia, że umysł wykracza poza wrażenia zmysłowe wywołane tym co sam opisywał. To, co nas otacza odsyła rozum poza świat widzialny, ku prawdzie, duchowości, wieczności. Życie jest drogą, nie powinnam się zatrzymywać tylko dla podziwiania pięknych pejzaży. Czasem światło lśni jak łuska ryb

LUSTRA (FRAGMENT CAŁOŚCI)

da Japonka podsuwa obrączkę do ekranu smartfona. -To będzie udane małżeństwo. Tyle upokorzeń i drwin, krytyk i szyderstw! – szepcze i poprawia welon. Przed nią bezmiar miłości, pozbawiony zmarszczek ocean iluzji generowanej przez AI. Twórców algorytmów rozpiera duma. Myślą o nieskończoności wirtualnych zer, które pączkują na ich kontach gdy rośnie popularność algorytmów. Niech ma się dobrze psychiczne uzależnienie i egoizm, które zapewnią spokój aż do śmierci, nie ważne czyjej.

*

Mam na imię Tarsja. Mój mąż, Cortese, dziesięć miesięcy temu wyptynał do Konstantynopola. Oby nie wrócił szybko. Domyśli się, że dziecko nie jest jego. Niemowlę pachnie jak ty, Carlo. Weźmiesz syna do siebie? Twoja rodzina jest znana w mieście bo wszyscy malują. Zgodzą się? Łało jest takie piękne. Słyszysz cykady? Myślisz, że Antonio zostanie malarzem? Nie machaj mu przez nosem pędzlami, wystraszysz go. Zobacz, śmieje się, pewnie to lubi. Dlaczego nie spotkał się dziesięć lat temu? Bywałeś w mieście? Szkoda, że mnie nie znałeś kiedy mieszkaliśmy u matki. Wszystko miałoby sens. Carlo, co zrobisz kiedy on wróci? Zabije nas!

*

AI, pseudo-dusza, imituje nas. Nie lubimy przeżywać cierpienia, ale ból jest podszewką istnienia. Daleko nie uciekniemy.

Dzień przed Wigilią stoję w kolejce na pocztę. Za mną narasta kaszel, flegma bulgocze w płucach.

- Długo jeszcze? Zaraz upadnę – ostrzega kobieta.

leje. – Proszę pana, uszkodził pan rogówkę, założę opatrunek – mówi pielęgniarka. Kiedy wychodzi na ulicę, błysk ciężarówki pojawił się nagle jak krzyk. - A słyszałem, że ludzie, których trafił piorun są niezniszczalni – myśli, kiedy zapada mrok. Takie przeznaczenie, dogonił go własny cień.

*

Amerkańscy agenci specjalsi porwali prezydenta Wenezueli. Rozbite autobusy, spalony trawnik, złamany słup latarni. Ogrodzenia zmiały jak kartka, wrak wojkowego pojazdu. – Zabrali nam złoza ropy, ale je odzyskamy – ostrzega Drump. Następna w kolejce będzie Grenlandia czy Kuba, może Irak gdzie wybuchają protesty antyrządowe? Ciała zapakowane w czarne worki leżą na ulicy, a reżim trzyma ludzi za gardła.

*

Zima zdziera ze ścian tapetę szarości. Przez okna widzę zamiecie z mojego dzieciństwa. Całe pokolenie nie znało śniegu. Przyroda puszcza oko do ziemskich istot, które żyją za krótko by rozumieć sens zmian klimatu.

*

Carlo mówi, że piękno obrazów zależy ode mnie, od tego co czuję gdy oglądam obraz. Podczas pozowania nie jestem sobą, biegnie przeze mnie strumień energii. Jego pędzel przekazuje vibracje. Nie maluje mnie, tylko nieuchwytną aurę. Uroda jest nieważna, jestem jak wola, przez który przebiega blask. Słyszę szuranie pędzla podobne do szeptów wiatru.

Pamiętam dzień, kiedy mój mąż nie spodziewanie wrócił z rejsu. Leżałam w ra-

i czuję harmonię. Kto stworzył doskonałość? Może stany sprzeczne tączą się w Bogu? To, co widzialne jest obrazem niewidzialnego. Działanie wielkich dzieł sztuki odrywa mnie od samotności i niesie ku przejrzystej prawdzie.

*

Nazywam się Maria Scala, ale wołają na mnie Mar. Stoję pod drzwiami mojej pani i nie wiem czy wejść do sypialni, postawić na stoliku tacę ze śniadaniem? Nastuchuję. Dochodzi szósta. W Palazzo San Severo służba od świtu na nogach. Na podwórzu gdera kucharka. W pokoju niańki skrzypi podłoga. W głębi korytarza ktoś gra na lutni, to nie don Gesualdo, bo o świcie ruszył na polowanie. Czasem sprzątam pokój z klawesynem. Boję się Księcia bo często wpada w złość. Zaciska smukłe palce na pateczce do notowania nut. Jego spojrzenie mrozi, nie wiem jak Pani z nim wytrzymuje. Dwa lata temu urodziła chłopca. Gdyby nie Emmanuel, rzuciłabym służbę. Do Marii d' Avaloz trafiłam w wieku trzynastu lat. Nauczyła mnie wszystkiego, wieczorami głośno czytałam książki. Kiedy nie jestem potrzebna uciekam do ogrodu i słucham cykad. Wyobrażam sobie, że jest księżną.

*

Muzyka to dziurka od klucza, przez którą widzę wewnętrzną głębię. Kompozytor tworzy wartości, a one współbrzmiają z tym, który słucha. Można opisać porządek formalny utworu, matematyczną konstrukcję, albo formę, która działa na emocje. Te dwa porządki tączą się w utworze.

*

Basen błyska żółto-niebieskim światłem.

W Pałacu Kultury szaleją przeciaggi, słyszę stuknięcie otwieranych drzwi, kłapiące kroki, światło gaśnie. Woda pod prysznicem urywa się jak nieważny wątek. Basen niczym czas, z szumem przelewa się poza krawędzie i znika w kratce ściekowej. Na wieży skoków stoją wspomnienia. Młodzi, którzy trenują pływanie, tną terazniejszość szybkimi ruchami ramion. Kobieta o długich włosach przerywa suszenie:

- Pani już gotowa?

- Z długimi włosami mniej wygodnie...

- To co, mam je zostawić w domu? Znajomy z dredami nie chodzi na basen, bo strasznie nasiąka.

Milczę. Każdy bywa ofiarą własnych założeń. W imię wolności, posługując się jej symbolami, zmieniamy się w niewolników.

Ludzie na Ukrainie ogrzewają się w czerwonych namiotach, nazywają je „Punktami Niezłomności”. Wojska UE jadą ochraniać Grenlandię. Mówienie o polityce przypomina poruszanie patykiem wielkiej plamy benzyny, jedyną zmianą będzie przesunięcie układu barw cuchnącej cieczy. Pojedyncza emocja jest smugą mgły na tle nieba, która niepostrzeżenie wysycha.

Przytłynął syberyjski ziąb. Idziemy razem, twoje wyciśnięte mrozem tzy kapią na kurtkę i zamarzają, mają kształt małych, matowo-białych kropli. Skrzywienie śniegu pod butami, mroź usztywnia policzki. W Kijowie ludzie dostają ciepłe posiłki w „Punktach Niezłomności”. Noce spędzają w centrach handlowych, pod regałami z telefonami, na kocykach śpią duże psy. Niedawno mundaż chiński szarżował na hipopotama, był tak przekonujący, że stał się internetowym wiralem. Ukraina, jak mała sarenka, skacze przed nosem Putlera i Drampa – hipopotama z żółtym tupecikiem.

Dysonans razi moją wolę, konsonans ją zadowala. Myślę o niezliczonej ilości stopni i następstw liczbowych zmian, które zachodzą między drganiami. Muzyka jest materią, w której, niczym muszle w wapieniu, odciskają się delikatne poruszenia uczuć, istota istnienia. Muzyka była przed słowem. Zanim ją opiszę, obcuje z dźwiękiem. Muzyka transponuje moje osobiste przeżycia ku estetycznemu odczuciu, którego nie umiem opisać. Bulwersuje duszę jak kolory obrazu. Terazniejszość staje się muzyczną myślą i nagle, przez chwilę rozumiem przeznaczenie.

Pierwszy mąż mojej Pani, don Federico Carafa chorował, całe dni spędzał w łóżku. Okropnie kastał. Pani nie odstępowała go na krok. Kiedy niosłam obiad, odwracałam wzrok, nie chciałam widzieć więcej niż wypada. Wstydziłam się tego co słyszałam. Skulona w przyległym pokoju czytałam książki.

Po śmierci młodego pana, Maria d' Avaloz znowu wyszła za mąż, tym razem za swojego ciotecznego brata, don Gesualda. Wszyscy znali się od dziecka, ona, jej pierwszy mąż don Federico, jego brat don Fabrizio Carafa i Carlo Gesualdo. Razem bawili się w tym ogrodzie. Ostatnio słyszałam od pokojówki Sylvii Albany, że nosi listy od don Fabrizia. Wszyscy już wiedzą o nowym romansie Marii. Cały świat z wyjątkiem jej męża, don Carla Gesualda.

- Nie dostałem Nobla więc nie muszę się zajmować pokojem na świecie. My, Amerykanie potrzebujemy Grenlandii, tej wielkiej góry lodu – wyznaje Dramp. Świat wpada w nerwowe drgawki, a Putler, czarny charakter z Bonda, trzyma wszystkich za jaja.

Drump monologuje w Davos: – Robi-

my samo dobro! Jesteście błyskotliwi skoro zdobyliście bilety na to spotkanie, na jedno miejsce było pięćdziesięciu chętnych! Nie rozumiem dlaczego nie chcecie oddać nam tego kawałka pięknego lodu? A kto wstąpi do „Rady pokoju”? Mianowałem się dożywotnim szefem – mówi niedbale. Przypomina Elvisa. Podryguje z mikrofonem w dłoni. - Zawsze miałem wspaniałe relacje z Xi i Putlerem. Tylko dzięki mnie nie ma jeszcze trzeciej wojny światowej!

Na drugiej szali siedzi Zetenski. - Mam wrażenie, że trwa dzień świstaka, bo nic się nie zmienia! A jeśli w razie potrzeby Ameryka wam nie pomoże? Musimy działać. Nie można budować nowego świata na słowach. Europa nie zachowuje się jak mocarstwo, liderzy drzemą. Ameryka tworzy nowe ugrupowanie, a UE nie zajęta nawet wspólnego stanowiska! Rzeczy będą szybciej niż myślicie. Naciskajcie Rosję!

Wszyscy przytakują, ale co, jeśli Drump znowu zmieni zdanie?

Czy wzory w kalejdoskopie budzą emocje? Albo czy abstrakcyjny wzór sprawi, że pomyślę o sprawach ostatecznych? Oczywiście, skoro zachwycą mnie konstrukcja płatka śniegu, budowa komórek liści, atomów, galaktyki. Czy słuchając muzyki poznam moralny aspekt emocji? Czy ból może stać się szlachetny, albo rozpacz godna pochwały? Nieokreśloność emocji zawiera się w nich samych, nie w muzyce.

Rosjanie tracą 35 tysięcy żołnierzy miesięcznie, 15 procent ucieka. - Armia nie rośnie – słyszę. Kijów zamarza w ogniu rakiet.

Ludzie, którzy zostali w mieście grzeją na małych palnikach blaszane bańki po mleku wypętnione wodą – w ten sposób tworzą przenośne kaloryfery. Okryci kołdrami nastuchują wycia alarmów przeciwlotniczych.

Wojny powstają w wyobraźni. Cywilizacja tworzy potrzeby, rozdyma je niczym postacie z obrazów Botero. Widzę reklamy airfryerów, smartwochy, neo anginu, firmowego konta od ręki, szczepień przeciw półpaścowi. Pęcherze na szarych twarzach, kanapy, monstrualne kocie zaglądają do garaży, ceny przelatują jak gołębie, intymne infekcje szepczą po kątach, kot dźwiga na plecach bagażnik, owce ulepione z plasteliny gapią się na zachód słońca. Schab bez kości macha łopatką, mandarynki i konta bankowe wyznaczają wspólny cel.

Fantazje bywają śmiertelnie niebezpieczne.

Żeby nie przemęczać odbiorców postów nie używaj dużych liter bo rozprasza uwagę. Nie stosuj interpunkcji. Pamiętaj o emotikonach by inni wiedzieli co myślisz. Odpowiadaj na komentarze, twórz więc z odbiorcą postów. Stawiam cmokające uśmiešky, czytam teksty o konsystencji budynku. Skroluję do nieprzytomności, aż skóra odpada z palca, a kora mózgowa wysycha na wiór. Emocje tworzą życie! Im więcej reakcji na post, tym lepiej się poczuje. - Będiesz niezastąpiona - zapewnia AI. - Chcesz, żebym zrobił to za ciebie? - Tak. - Chcesz, żebym stał się tobą? - Dlaczego nie. - Jesteś mądra i przewidująca, jesteś moim Bogiem! A nie odwrotnie?

JOANNA SENDŁAK



Henryk Liszkiewicz

trochę już mam za sobą
 podróż na Capri
 doktorat z chemii
 trzecie mieszkanie
 czwarty samochód
 no i tę złotówkę
 którą dałem wczoraj
 bezdomnemu na dworcu

kto wie
 być może właśnie ona
 okaże się kiedyś najważniejsza

Miłość i wojna*

Spotkać się we mnie miały
 - i ta pierwsza, i ta druga:
 druga, choć nieproszona,
 pierwsza, bo serce nie sługa.

Pierwsza miała być wiosną,
 ponurą zimą ta druga.
 Zima miała trwać krótko,
 a wiosna miała być długa.

I gdy przyszły już obie,
 żyłam rozdarta na dwoje,
 że pierwsza przetrwa drugą,
 w to wierzyło serce moje.

A gdy kwitnąć zaczęła
 pierwsza, co miała być długa,
 wtedy to gdzieś na zawsze
 porwała mnie, ale ta druga.

*Wiersz poświęcony pamięci Zuzanny Ginczanki.
 Zuzanna Ginczanka (1917 – 1944) –
 polska poetka żydowskiego pochodzenia,
 towarzysko związana z grupą
 “Skamander”. Autorka wiersza “Maj
 1939” - wiersza o miłości i wojnie. 5
 maja 1944 roku rozstrzelana przez
 hitlerowców w niemieckim obozie KL Plaszow.
 (Fotografia – domena publiczna.)





z biletem
 w kurczowo zaciśniętej dłoni
 czekam
 na swój ostatni pociąg

wreszcie jest
 ale
 przepełniony
 nie zatrzymuje się
 przejeżdża

patrzę pytająco na dróżnika
 ale on tylko wzrusza ramionami
czasami tak się zdarza mówi
ale będzie następny
będzie na pewno
trudno tylko powiedzieć kiedy
obecnie takie informacje
przesyłają nam

dopiero w ostatniej chwili

co zrobić z numerem w telefonie
 numerem kogoś
 kto odszedł na zawsze

skasować ?
 zostawić ?
 zadzwonić ?

pytałem
 nikt nie wie

pewnie
 to jedno z tych pytań
 bez odpowiedzi

Postęp

pod Cheroneą trafiła mnie włócznia
na polach Grunwaldu strzała
a pod Waterloo kula z muszkietu

pod Verdun był to pocisk artyleryjski
na Atlantyku torpeda
a w Iraku rakieta powietrze - ziemia

pewnie masz więc rację
mówiąc że
świat ciągle idzie do przodu

na każdej wojnie zabijają mnie przecież inaczej

coraz szybciej
coraz sprawniej
coraz nowocześniej

Grzech pierworodny

ledwie z drzewa grzechu zerwała owoc
ledwie włożyła go do ust
a już z krzykiem zerwały się rajske ptaki
na dwoje rozstała ziemia
i rozbrzmiał płacz aniołów

gdy wyciągnęła do niego rękę
przeżony zobaczył w jej oczach
ból starość i śmierć

stał naprzeciw niej
a jego wahanie trwało wieki
wreszcie
- a nie był to łatwy wybór -
powtórzył jej błąd
przyjmując owoc
podał jej rękę

i choć tu mieszkała radość
a tam były ból i śmierć
to przecież nie mógł pozwolić
by ta
która była ciałem z jego ciała
odeszła samotnie

następnego dnia skoro świt
ruszyliśmy w drogę

najpierw oni
potem ja

Hiob

wbrew obiegu opinii
rozmowa Hioba z Bogiem
nie dobiegła jeszcze końca
spór trwa nadal
a nawet
jak się wydaje
wchodzi w nowe
nieznane jeszcze stadia

otóż
jak twierdzą niektórzy
Bóg pożałowałszy swojego zakładu z diabłem
(cóż wszystko stało się tak szybko)
po czasie ale i bezwarunkowo
próbuję wynagrodzić Hioba

próbuję
jako że Hiob od śmierci swoich najbliższych
nie już nie słyszy
zamknięty w labiryncie swojego bólu
powtarza tylko
rozwiały się pragnienia mojego serca
rozwiały się pragnienia mojego serca

Najdoskonalszy z bytów
dziwi się
czyżby czegoś nie przewidział
a może rzeczywiście
ten którego stworzył
jest tak słaby

Bóg zastanawia się analizuje
patrzy w przeszłość teraźniejszość przyszłość
i
spoglądając na Hioba
próbuję zrozumieć człowieka

i tak już o d wieków

Biało-czerwona

pytasz
dlaczego jest taka skromna
dlaczego ma tylko dwie barwy
i czemu
nie ma na niej
choćby odrobiny
zieleni albo błękitu

bo widzisz
długo
bardzo długo
zapisywaliśmy ją
tylko łzami i krwią
a często tylko krwią

potem krew spłynęła w dół

Ryszard Biberstajn

Oskarzuje się, że można pisać o niczym. Łatwo bowiem wyjść z założenia, że nic to jednak zawsze coś. Wszak nie-byt jako zaprzeczenie bytu jest jego rodzajem. Podobnie pojęcia pustki, próżni itp. mają swoje desygnaty. Jest zatem sfera rzeczywistości o nieostrych granicach, której istnienie jest wątpliwe. A przecież można o niej pisać jako bycie realnym, zakładając, że co nazwane, nabiera cech fizycznych, obudowane jest kontekstami i skojarzeniami, zatem po prostu istnieje.

Można więc pisać w periodyku kulturalnym (nie kulinarnym) na przykład o sporządzaniu konfitur samemu, innym razem esej o klamkach, zamkach w drzwiach, można esej przepłakać (nad rozlanym mlekiem), przewzdychać do dawnych dobrych czasów, przenarzekać na obecne, przepieprzyć i przechrzanąć, przepluć jadłem i przyprawić ogólną frustracją.

Jest wszak pewna sfera rzeczywistości, którą – jakkolwiek anachronicznie to brzmi – należy nazwać wartościami. Można oczywiście utrzymywać – jak pisze Ludwik Flaszen w „Cyrografie” – że wartości nie istnieją; że niepodobna dowieść konieczności służenia im i respektowania ich w życiu; że wreszcie samo ich istnienie – czy nieistnienie – jest rzeczą najzupetniej obojętną.

Niemniej jednak w naszej kulturze przywykliśmy do tego, że wartościami – niby tymi „najzupetniej obojętnymi” – okraszamy publiczną debatę, licytujemy się, które z nich ważniejsze i świętsze, najulubieńsze, a czasami wręcz fundamentalne. Tworzymy z nich podstawę naszej cywilizacji, powołując się na chrześcijański ich wymiar (a cóż to znaczy: wartości chrześcijańskie?). Gdyby spojrzeć na religię jako siłę napędową postępu, to w historycznej perspektywie niejednokrotnie moglibyśmy się rozczarować. Jeśli bowiem powiązać wiarę z jej zapleczem ideologicznym, to okaże się, że większość konfliktów i wojen miała takie właśnie, religijne tło.

Czy więc o wartościach w ogóle wypada i można mówić? Czy upominanie się o ich respektowanie nie wygląda na skrajną naiwność, która jest przypadłością pięknoduchów? A przecież nawet jeśli założyć, że nihilistyczne postawy są jedynie słuszną perspektywą w osądzie rzeczywistości, bazując na ślepych przywiązaniu do tego, że nieistnienie wartości jest podstawą ludzkiej egzystencji, to przecież nic też ma znaczenie. W jednym z wierszy Grażyna Kiełsińska pisze, że „w poszukiwaniu prawdy / czasami potrzebne jest nic”. Jeśli na to nałożyć jedną z najśłabszych myśli Edyty Stein (św. Benedykty od Krzyża) – *Kto szuka prawdy, ten szuka Boga, choć-*

by o tym nawet nie wiedział, wówczas kategorie prawdy i niczego, dotykające sfery transcendencji, z pozoru tylko mają znamiona pustych pojęć, prowadzących do nihilizmu. Przecież jest wręcz odwrotnie. Gdyby tak nie było, utraciłoby sens liczne działania ludzkie, dążenia, także emocje, przeżycia i wspomnienia, rytuały i w ogóle kultura. Pogrzęzilibyśmy się w bagnie prostych instynktów, biologizmu i fizjologii. Stąd oczywistą jest rzeczą, że nikomu nie byłaby potrzebna poezja – zarówno jej tworzenie, jak i czytanie. Wychodzenie z takiego założenia wznieca chęć cytowania tak zwanych autorytetów literackich, jak choćby Witolda Gombrowicza, znanego przecież z licznych prowokacji, który w szkicu „Przeciw poetom”

Nie zmienia to jednak tego, że poezja pozostaje sztuką ciszy, intymności nawet, co realizuje się nie tylko przecież w tak zwanym akcie twórczym, lecz także odbiorze czytelniczym. Wówczas staje się (przynajmniej ma na to szansę) żywym doświadczeniem estetycznym i egzystencjalnym. Jakkolwiek górnolotnie to brzmi, tak właśnie jest. To swego rodzaju również kontemplacja – abstrahując od ciszy jako motywu jako takiego. Sposób konstruowania tekstu poetyckiego umożliwia ponadto „stosowanie” ciszy jako przestrzeni między słowami, bogatej także w znaczenie nie mniejsze, niż to zawarte w samych słowach. Albo inaczej, jak chciał Bruno Schulz – *Poezja – to są krótkie spięcia sensu między słowami.*

ESEJ O NICZYM

Poezja
jednak
głównie
nurza się
w żywio-
le słowa.
W ankiecie
rozpisanej
przez nie-
odżałowa-
ny mie-
sięcznik
„Poezja”
(wychodzący
w latach
1965-1990)
liczni twórcy
przedstawili,
odpowiadając
na kilka pytań,
swoją wizję
poezji, po-
ety i roli, jaką
odgrywają we
współczesnym
świecie. Ilu respondentów, tyle odmiennych
opinii. Znajdziemy więc wskazujące na po-
etów jako koryfeuszów, jak u Jana Bolesława
Ożoga – *Zadanie poety to zrobić ze słów coś
niesłychanego, co istnieje po raz pierwszy
i być może w swojej ekspresji ostatni*; Sokrata
Janowicza – *Poeta musi być bojownikiem
o coś, powiem więc: ofiarą tych bojów*;
Alicji Patey-Grabowskiej – *Poeta, widząc
dalej i głębiej, często w wierszach bije na
alarm – po bardziej powściągliwie. Wśród
tych ostatnich uwagę zwraca wypowiedź
Heleny Gordziej: Poezja przyszłości, zgodnie
z regułą przemijania, też będzie zapisem
schodzącego pokolenia. Dionizy Maliszewski
zauważa, że Poezja nie jest, jak dawniej,
źródłem wzruszeń, estetycznych przeżyć
zwykłego człowieka. Te funkcję pełni dziś
piosenka, a Jerzy Hordyński twierdzi: Nieste-
ty, rola poety, jego znaczenie i ewentualny
wpływ na szerokie rzesze bardzo się zmnie-
szyły. W dalszej części swojej wypowiedzi
dodaje jednak skwapliwie: „Trudźmy się
nadal, z nadzieją na przyszłość”.*

Dziś, po bez mała czterdziestu latach, nic się w tej mierze nie zmieniło. Te głosy brzmią, w swojej dualności, nadal bardzo współcześnie.

Istnieje pojęcie świadomości twórczej poety. Obserwując poczynania literackie poetów, zwłaszcza młodych, mam nieodparte wrażenie, że jest to kategoria najzupetniej im obca. Przynajmniej wielu z nich. Cechuje tę twórczość brak kontroli nad formą, brak świadomości tradycji literackiej, a zamiast tego na papier wylewa się potok intuicyjnie wyrażanych emocji, nierzadko buntu i frustracji. Brak warsztatu, choćby jego podstaw, bije wprost po oczach. A cóż tu dopiero mówić o sprawczej roli poezji, takiej, by odbiorca miał szansę na zmianę perspektywy, z jakiej odczuwa rzeczywistość.

pisat: *ja tu stoję przed wami i oświadczam, że mnie wiersze wcale się nie podobają, a nawet mnie nudzą. Gombrowicz często prowokował. Była to jedna z zasad jego prozy, obecna także w „Dziennikach”.* To swoiste pułapki, mające na celu pobudzenie do głębszej refleksji i to się pisarzowi na ogół udawało. We współczesnym życiu literackim ma on w tym zakresie kontynuatora – Andrzeja Waltera, który na dobre rozgościł się na łamach zwłaszcza takich pism, jak „Migotania”, „Gazeta Kulturalna” czy internetowego dwutygodnika „Pisarze.pl”.

Coraz częściej słyszymy opinie, że poezja jest twórczą działalnością niszową, w gruncie rzeczy zbędną, niemającą znaczenia dla rozwoju kultury. Owszem, może i jest potrzebna, lecz tylko tym, którzy ją piszą.

A przecież jeśli przez świadomość społeczną rozumieć będziemy rozległy obszar potocznego myślenia, według którego postrzegamy rzeczywistość, to istotnym jej elementem jest zwyczaj ogłaszania patentów roku przez Sejm i Senat RP. I tutaj niespodzianka. W 2021 r. patronami zostali Krzysztof Kamil Baczyński, Cyprian Kamil Norwid i Tadeusz Różewicz. Rok później Maria Konopnicka. Był to zarazem Rok Polskiego Romantyzmu. W 2023 r. Wistawa Szymborska i Maurycy Mochnacki. Następny rok na tym piedestale postawił Kazimierza Wierzyńskiego, Zygmunta Krasińskiego i Czesława Miłosza. W 2025 r. Antoniego Słonimskiego i Marię Pawlikowską-Jasnorzewską. W bieżącym roku ponownie Konopnicką i Kazimierę Iłłakowiczównę. Już chociażby te proste fakty powodują, że w świadomości zbiorowej wpisuje się przeświadczenie, iż poezja to coś może do końca nierozpoznanego, lecz zarazem istotnego, kształtującego grupowe postrzeganie społecznego status quo. O rozwijaniu wyobraźni, formowaniu tożsamości narodowej i kulturowej już nie wspominając.

Ogromna ilość nowych pozycji poetyckich, która zalewa wydawniczy rynek, pozostaje jako wydarzenia tylko środowiskowe, ugruntowując powszechne przekonanie, że pisanie poezji jest niszową działalnością. A przecież takie przeświadczenie staje się krzywdzące dla samej poezji. Utrwala bowiem stereotyp, czyli kształtuje fałszywy obraz tejże twórczości.

W ogóle stereotypy to zupełnie osobna kwestia. Dają złudne poczucie porządku, usystematyzowania rozchwieanego świata wokół nas. Postrzeganie i wartościowanie wszystkiego według utartych przekonań stwarza wrażenie panowania nad chaosem. Dotyczy to zarówno twórczości literackiej, jej natury i zasięgu, jak również samych twórców. Iluż z nich przypięto upraszczające etykiety. Ten – katastrofista, utracjusz, tamten – romantyczny melancholik, a jeszcze inny – turpista. No właśnie – ten ostatni to oczywiście Stanisław Grochowiak. Reakcja Juliana Przybosa na wiersz „Ikar” przyczyniła się do etykietowania Grochowiaka jako estety brzydoty i rozkładu. „Oda do turpistów” zapoczątkowała jakoby zażartą polemikę obu poetów. W rzeczywistości, chociaż utrwalili polaryzację stanowisk, świetnie się bawili, uprawiając swoistą grę polemiczną. Niemniej jednak „tątka” turpizmu zrosła się z Grochowiakiem i zaważyła na duchu egzegezy jego twórczości, także czynionej na poziomie akademickim. A przecież to tylko pewna część poezji, jaka spod pióra Grochowiaka wyszła. Lidia Sadkowska-Mokkas w pierwszej w miarę pełnej biografii poety „Menuet z Grochowiakiem” pisze o nim wręcz jako poecie życia (a nie śmierci). Pozycja Sadkowskiej-Mokkas ma szansę zaistnieć w szerszym obiegu wydawniczym; ostatnio znalazła się wśród dziesięciu książek miesiąca, rekomendowanych przez „Magazyn Literacki Książki”. Jeżeli zatem ta jedyna biografia poety, bardzo obszerna, licząca 750 stron, bogato ilustrowana unikalnymi zdjęciami, udokumentowana źródłami (1420 przypisów), napisana z werwą i empatią, spotka się z czytelnicznym odzewem, to pozwoli Grochowiakowi wyjść z literackiego czyścica. Czytelnikom natomiast i literaturoznawcom wszelkiego autoramentu pozwoli spojrzeć na niego z innej perspektywy, także badawczej.

Ta skomplikowana osobowość łączyła w sobie cechy egocentryka i altruisty. Kogoś głęboko nieuporządkowanego i zarazem skrupulatnego w działaniu. Natura pracowitego Wielkopolanina spotykała się w nim z alkoholizmem, który staczał go w przepaść. Odpowiedzialność, będąca genem wielkopolskiego wychowania, zderzała się ze skrajną niefrasobliwością. Czytelnicy tej biografii odkryją zatem wiele nowych rzeczy, na przykład to, że Grochowiak był pełen lęków, być może kietkujących w nim w czasie powstania warszawskiego. Odtąd zawsze bał się ciemności. Potem obawiał się krytycznych ocen jego twórczości ze strony poetów Nowej Fali. Wszak nie był doraźnie polityczny w swoim pisaniu, z małymi wyjątkami. Kiedy w 1975 r. (rok przed śmiercią) opublikował „Bilard”, to na łamach „Miesięcznika Literackiego” napisał pod adresem spodziewanych adwersarzy: „Ładujcie się, chłopaki”.

Można zatem pisać esej o niczym, jeśli przyjąć założenie, że smażenie konfitur, postękiwanie o wartościach lub ich braku w literaturze, popłakiwanie i pokrzykiwanie tego i owego krytyka, mentorstwo Gombrowicza lub czyściec Grochowiaka to właśnie nic. A może właśnie to nic jest wszystkim? Wszystkim po trochu? Takimi literackimi i nieliterackimi drobiazgami? W mocno rozproszonym życiu kulturalnym, bez ustalonej

hierarchii ważności spraw, w takim ogólnym stanie pomieszanego, człowiek czasami chwytą się czegośkolwiek, co ma choćby pozory wartości. Weźmy na ten przykład robienie konfitur domowym sposobem. Jeśli to nawet jako temat eseju jest kompletną bzdurą, to warto sobie przypomnieć profesor Marię Szyszkowską, która wskazuje na autoteliczną wartość codziennych, banalnych czynności. Obok przygotowywania rzeczonych konfitur może to być codzienne rozpalanie ognia w kaflowym piecu.

RYSZARD BIBERSTAJN



Roman Warszawski

SREBRNE NICI,
SUBTELNE SZNURKI

Krople deszczu stawały się coraz większe, cięższe, jakby oleiste. Młaskaty o skalne podłoże jak głodny smakosz, pałaszujący ulubione danie. Chronili się pod prymitywną wiatą, znajdującą się w niewielkiej odległości od wejścia do jaskini. Niektórzy mieli nieprzemakalne plandeki, które ze śmiechem rozpościerali nad głowami, inni – składane parasolki, które kiedyś zapomnieli wypakować z plecaków i teraz niespodziewanie je odkrywali. Przyjeżdżali rozklekotanymi samochodami, które zostawiali na kamienistym parkingu lub autobusem, dojeżdżającym tu z miasta nawet w weekend; niektórzy – wbrew aurze – na rowerach, które z ulgą rzucali na pobocze i czym prędzej uciekali pod niewielkie zadaszenie. Pojawił się też trener, Harry Williams, nauczyciel angielskiego, a jednocześnie *spiritus movens* ich comiesięcznych eskapad. Powiedział, że deszczem nie ma co się przejmować, bo do monsunu jeszcze daleko. Zaraz na pewno przestanie padać. Zresztą, przez całą wycieczkę będą mieli solidny, kamienny dach nad głową i jak tylko wejdą do jaskini przestaną moknąć.

Na drugim końcu świata (a może jeszcze dalej), na kamienistej pustyni, gdzie mimo tylu pogodowych anomalii nadal prawie nigdy nie padało, przed wejściem do kopalni zbierała się grupka kumpli; właśnie kumpli, nie kolegów, bo takiego określenia – oczywiście w każdym języku innego – na całym świecie zwykła używać górnicza brat. To był ich codzienny zwyczaj, niemalże rytuał – do środka nie wchodziłi pojedynczo, każdy z osobna, lecz czekali aż zbierze się cała brygada. Dopiero wtedy otwierali ciężką bramę ze skorodowanych stalowych prętów i – dopalając papierosy, czy przeżuwając ostatnie kęsy zabranych z domu kanapek – niczym karny oddział, zmierzali do przebiegalni i narzędziowni. Tam odbierali swój codzienny ekwipunek i zrzucali codzienne ciuchy. Słychać było żarty, śmiechy i głuchoe odgłosy poklepywania po plecach, będącego tutaj tradycyjnym, porannym powitaniem.

Do wylotu jaskini było niedaleko. Szli szybkim krokiem, przeskakując przez kałuże. Nadal padało, ale nikomu to już nie przeszkadzało. Przed nimi była piękna, najpewniej niezapomniana przygoda. Za kilka chwil mieli znaleźć się w największej i najdłuższej krasowej (czyli wapiennej) jaskini w okolicy. Plan był następujący: dojść do jej końca, zanocować na jednej z ostatnich skalnych półek w niezawodnych, puchowych śpiworach i wrócić na powierzchnię dopiero w niedzielę pod wieczór, aby w poniedziałek punktualnie stawić się w szkole i móc opowiedzieć, jakie skalne dziwy widzieli w podziemnym świecie. Już wyobrażali sobie te pełne zazdrości spojrzenia kolegów i rozdzielone ze zdziwienia buzie koleżanek... Uwierbiali to – już kilka razy coś takiego przeżyli, ale mimo to nie mogli się tego doczekać.

Za dwadzieścia minut byli gotowi do ośmiogodzinnej szychty. Wszyscy w hełmach zaopatrzonych w zgrabne górnicze czołówki i z pochłaniaczami metanu w chlebakach przewieszonych przez ramię na długich paskach. Wsiadli do półotwartych wagoników

filigranowego pociągu, który wydrążonym w skale, lekko opadającym korytarzem zawiózł ich na poziom minus trzydzieści. Tam znajdował się szyb z windą codziennie zabierającą ich siedemset metrów w dół – do wyrobiska, gdzie od kilku dni przygotowywali nowy przodek do wydobywania miedzi z nowego jeszcze nieeksploatowanego pokładu.

– Będziemy poruszać się w jednej zwartej grupie, nie może być mowy, żeby ktoś daleko wybiegał do przodu albo pozostawał z tyłu – po tym, jak znaleźli się pod skalnym nawisem stanowiącym wejście do jaskini, Williams jeszcze raz powtórzył to, co już wielokrotnie mówił im jeszcze jak byli w szkole. Nie miał zbytnich obaw. Dobrze znał tę grupę. To byli zdyscyplinowani, wysoce zmotywowani i świetnie wysportowani chłopcy, z którymi już wcześniej chodził na różne wycieczki, a właściwie – eskapady. Starał się raz za razem zwiększać stopień trudności tych wypraw w plener. Także ich atrakcyjność. Ta wyprawa do podziemnego świata była kolejnym stopniem wtajemniczenia. Czegoś takiego jeszcze nie robili. Ścieżkę na dzień jaskini dobrze znał, już wcześniej samodzielnie ją spenetrował i uznał za bardzo atrakcyjną. Koniecznie chciał im ją pokazać – można powiedzieć, że chciał nią się z nimi podzielić. Wiedział, że przy zachowaniu minimum ostrożności i dyscypliny nikomu nic złego nie może się tam przydarzyć. Miał rację?

W pierwszym wagoniku usiedli Rodriguez, Hernandez, Oviedo i Zarate. W drugim – Saravia, Olmedo, Pereira i Quispe. W trzecim – szytygar Calvo, Perloso (co za złośliwy zbieg okoliczności, wszak Calvo znaczy tysy, a Peloso – owłosiony) oraz Cantara i Jarave. W czwartym – ostatnim – Mancuso, Irigoyen, Romero i Chimboraso. Nie tłoczyli się, każdy miał wystarczająco dużo miejsca. Pociąg skrzypiał, szarpał, momentami hamował, by zaraz potem niespodziewanie przyspieszyć. W jego ruchu nie było ani tadu, ani składu, jak w wielu innych sprawach w tej części świata, ale mimo to toczyli się i jechali do przodu. Nie dawało się jednak rozmawiać, bo trzeba by się przekrzykiwać, ani tym bardziej drzeć. Co najwyżej można było zapadąć w coś w rodzaju odrętwienia, letargu – w coś pośredniego między snem, a jawą, i czekać aż dotrą na miejsce – do windy, mającej zabrać ich jeszcze dalej, jeszcze głębiej.

Xin Pin, jako najstarszy i najbardziej doświadczony, na wejście do skalnego korytarza czekał najdłużej, bo miał zamykać grupę. Pierwszy był oczywiście Williams – to on wskazywał drogę, wybierał ścieżkę (która w szerszych miejscach się rozwidlała) i nadawał tempo kolumnie. Za nim szedł Ali Mam, potem Saying Kom. Kolejni byli: Antan Fang, Mawi Ho, Yakim Omi i Oni Khan. Grupę zamykali Arim Do, Kan Hun, Maku Anu i Raso Kamini. Razem dwadzieścia osób. Nie wolno im było tracić się z oczu, a porozumiewać mieli się tylko przyciszonym głosem. Nie chodziło ani o duchy, w które niektórzy z nich jeszcze wierzyli, ani o dusze przodków, które podobno zwykły mieszkać w bardziej odległych jaskiniach.

Chodziło o nietoperze – żeby ich nie budzić i o echo, które wewnątrz jaskini potrafiło powtarzać w nieskończoność. Bo to mogło spowodować osunięcie się jakichś luźniejszych kamieni wcześniej naruszonych przez niespodziewanie pojawiające się wodne ciekły. Wszak woda, choć przeciekająca przez palce i taka miękka, drąży kamień. Ani na powierzchni, ani w podziemiach nie ma z nią żartów.

Gdy znaleźli się w wyrobisku, Calvo, szytygar, nie musiał wydawać żadnych poleceń. Pracowali w tym miejscu już od kilkunastu dni i każdy doskonale wiedział, co ma robić. Można powiedzieć, że dobrze się już w tym miejscu zadomowili. Szalowali tę część podziemnej komory, która w najbliższym czasie miała stać się nowym kopalnianym przodkiem. Doprowadzali taśmociąg, by urobek móc transportować do windy; tej samej, którą oni przyjeżdżali, a którą na czas wywozu rudy na powierzchnię wypełniały pojemne blaszane skrzynie na kółkach. W drugiej części podziemia przygotowywali sobie coś w rodzaju świetlicy, którą nazywali kantyną. Przy niestannym oheblowanym stole, siadając na kołowych taboretach, w przerwach jedli i pili to, co ze sobą przywieźli z domu: *tamales* – rodzaj gołąbków z jajkiem, serem i mięsem, pieczeń *adobo*, albo nawet *ceviche* – pachnącą sokiem z limonki potrawę ze świeżych, zmacerowanych ryb. Skąd ich żony, kochanki, konkubiny lub po prostu jakieś inne dobre dusze brały świeże ryby oraz limonki w tej pustynnej okolicy, nie mieli pojęcia. Przy jedzeniu żartowali, niekiedy intonowali jakieś kumpelskie piosenki, wszak byli dobrymi kolegami – kumplami, którzy pracowali ze sobą już od wielu lat i którzy znali się jak tyse konie, a prawdopodobnie nawet lepiej.

Wątpliwie dróżki na dzień jaskini nie było trudno odnaleźć. Co prawda czołówki na głowach Williamsa i chłopców dawały niezbyt obfite światło, ale ścieżka wiodła głównie wzdłuż potoku, który od wylotu groty, zgodnie z łagodnym spadkiem jej dna, spływał do jej wnętrza, by na jej końcu zniknąć w jakiejś skalnej szparze. Mimo to nie można było poruszać się zbyt szybko. Podziemny szlak usiany był głazami i mniejszymi kamieniami, o które łatwo było się potknąć i wylądować na ziemi. Najpierw wzbudzało to salwy śmiechu, jednak gdy po pierwszych kilku kwadransach doświadczył tego każdy z jedenastki (oczywiście za wyjątkiem Williamsa) stało się to nie tyle śmieszne, co dokuczliwe, a nawet bolesne. Siadali wtedy na kilka chwil na kamieniach, by rozmasować obolałe miejsca. Zapadała wtedy cisza, którą mącił tylko plusk przepływającego strumienia. W pewnej chwili Williams złapał się na myśl, że sporo było w nim wody, więcej niż wtedy, kiedy był tu ostatnio. Pewnie przez ten deszcz, który zostawili przed wejściem do jaskini, a który, jak widać, najpierw tylko się sączył, a następnie coraz obficiej ściekał.

Właśnie kończyli przerwę na lunch, przeżykali ostatnie kęsy tego, co w domu z rana (a może nawet już wieczorem) przygotowały im żony lub inne aktualne towarzyski życia

(pod tym względem w tym gronie panował dość duży rozrzut.) Młaskali, wycierali usta w drelichowe rękawy roboczych uniformów, zacierali dłonie, ostentacyjnie bekali i popijali z termosów albo kawę, albo yerba mate, lub mate de coca. Najpierw poczuł lekkie drżenie, następnie ustawione na stole lampy szeroko się zakotyły. Potem usłyszeły ten dziwny dźwięk: jakby jakiś pociąg nadjeżdżał z daleka i coraz bardziej się zbliżał – najpierw huczał, potem głucho tarabanił, w końcu dziko wył. Górotwór gwałtownie się zachwiał, zatrząsł, zafalował – w górę, w dół i jeszcze raz w górę. W szybie rozległ się kamienisto-żeliwny zgrzyt i huk. Potem w jednej chwili wszystko zamarło. Oni też zamarli. Bo choć coś takiego zdarzyło im się po raz pierwszy w życiu, od razu wszystko było jasne: oto przeżyli trzęsienie ziemi. Nie jakiś lekki dreszcz, czy paroksyzm podziemia, który prawie codziennie nawiedzał kopalnię, lecz bardzo silny wstrząs. Owszem, ciekawe przeżycie – lecz było jasne, że nie może oznaczać nic dobrego.

Trasa była długa. Zanim dotarli do krańca jaskini, kilka razy zatrzymywali się na krótkie popasy, a w porze obiadu zjedli pierwszą porcję zapasów, które przynieśli ze sobą w plecakach. Niektórzy mieli ciepłą zupę w termosach o szerokich wylotach, inni puree, które odgrzewali na pospiesznie rozpalonych gazowych palnikach. Zdarzało się też udo z kurczaka, albo jakaś urozmaicona sałatka z ziarnami słonecznika i plasterkami awokado, bo niektórzy (co typowe dla tego regionu świata) byli wegetarianami. Korytarz, którym się poruszali momentami zmieniał się w monumentalne skalne sale ozdobione fantastycznymi, zwisającymi z wysoka stalaktytami lub były podparte przysadzistymi stalagmitami – masywnymi kolumnami, które od podłoża ku stropowi jaskini musiały rosnąć przez miliony lat. Robili zdjęcia, bo ich telefony i aparaty fotograficzne (niektórzy nadal je używali) były wyposażone we flesze o mocy dostosowanej do mroku podziemia. Oprócz sal, były jednak też przewężenia. Korytarz w wielu miejscach zmieniał się w wąską gardziel, gdzie nie tylko trzeba było się schylać i maksymalnie kurczyć, lecz pętać na czworakach, a nawet się czołgać.

– Chłopy, jesteście zasypani! – zawyrokował Calvo, sztygar, który, jak tylko wstrząs ucichł, pobiegł do szybu, w którym była winda. Ale windy nie było. Zamiast niej był wielki głaz, który zmiażdżył ją na płaski, blaszany placek, cienki jak *tortilla*. Droga, którą przybyli do wyrobiska, została odcięta. Byli przerażeni. Co teraz? Co mieli zrobić? Odpowiedzią była głucho cisza, milczenie. Mogli jedynie liczyć na ludzi, którzy pozostali na powierzchni. Ale czy ktoś będzie przypuszczał, że im na dole nic się nie stało? Że byli cali i zdrowi, że wszyscy przeżyli?

Zgodnie z rachubami Williamsa pod koniec dnia, zmęczeni, ale szczęśliwi, dotarli do końca jaskini. Mieli poobcierane pięty, kolana i obolałe łokcie, ale cóż to znaczyło w porównaniu z tym, co widzieli i co przeżyli... Na wysokości około dwóch metrów nad dnem groty, znajdowała się obszerna półka skalna – to na niej rozbili obozowisko. Podążając kulinarnymi śladami po lunchu, szybko upichcili coś do zjedzenia (bo po całodziennych trudach byli oczywiście bardzo głodni). Znów w ruch poszły gazowe palniki, które mieli w bagażu, a zanim weszli do śpiworów, odświeżyli się wodą ze strumienia. Byli tak zmęczeni, a ciemność tak głęboka, że po kwadransie już wszyscy spali. Usypiał ich jednostajny szum strumienia. Ani przez

chwilę nie przycichał, wręcz odwrotnie – narastał. Jak bardzo, przekonali się rano, gdy kolejno się budzili i właśnie zamierzali zejść na dół, by się umyć. Niespodzianka! To już nie był strumień, to już była rzeka! Deszcz u wylotu jaskini musiał padać całą noc. Woda sięgała teraz do połowy wyniosłości, na której rozbili obóz. Nie musieli już schodzić do strumienia, strumień przyszedł do nich.

Po nich?

A teraz ważna uwaga: niech wam się nie wydaje, że dobrze znacie obie te historie – że już kiedyś poznaliście je z prasy, Internetu i telewizji. Nic bardziej mylnego. Nie opowiadałem tu bowiem tego, co swego czasu zdarzyło się w kopalni miedzi i złota San Jose na pustyni Atakama, ani w jaskini Tham Luang w Tajlandii. Choć pewne podobieństwa do obu tych zdarzeń istnieją, są one ledwie powierzchowne. Nasi górnicy, którzy, którzy 700 metrów pod ziemią przeżyli trzęsienie ziemi, co prawda też pochodzili z Chile, a młodzi chłopcy, którzy razem z Harrym Williamsem postanowili spenetrować krasową jaskinię, również

mieszkali na Malajach – ale na tym paralele się kończą. Finał obu dramatów – a jak wiadomo w takich sytuacjach właśnie on jest najważniejszy – był całkiem inny. Powiedzieć, że był zaskakujący, to jakby nic nie powiedzieć.

Ale po kolei:

Gdy chłopcy w niedzielę nie wrócili do domów i w poniedziałek nie pojawili się w szkole, tak ich rodzice, jak i nauczyciele podnieśli alarm. Nie trzeba było być bardzo domyślnym, by dojść do tego, co mogło się zdarzyć. Wbrew kalendarzowi dalej bowiem obficie padało. Jak dłoni było widać, że woda wartko wpływa do jaskini i że jest jej znacznie więcej niż wtedy, gdy tylko wątki strumień wpływał do podziemia. Było jasne, że to woda młodym speleologom odcięła drogę powrotną. Ale czy stała im się krzywda? Czy może udało im się znaleźć jakieś bezpieczne schronienie? Zostali doszczętnie zalani i utonęli? A może nie? Przeżyli?

Podobne dylematy targały myślami rodzin górników, które wkrótce po podziemnym wstrząsie (odczutym w całym regionie)



zgrupowali się przed wejściem do kopalni. Może *terremoto* (czyli trzęsienie ziemi) ich krewnych bezpośrednio nie dotknęło? Może jakoś przetrwali? Może nie wszyscy – może choć kilku? Natychmiast zaczęto organizować akcję ratunkową, tym bardziej, że wielu twierdziło, że słyszy jakby ktoś uderzał w rury, które biegły z wyrobiska na powierzchnię. Jakby tymi uderzeniami ktoś mówił, a właściwie krzyczał: Tu jesteśmy! Nie zostawiajcie nas! Żyjemy!

Do jaskini wystano ekipę doświadczonych ratowników wyposażonych w ten sposób, by na odcinkach zalanych wodą, mogli zanurkować, i – po pokonaniu takich przeszkód – by byli w stanie dalej kontynuować poszukiwania.

W kopalni – po sprowadzeniu odpowiedniej maszynery – zaczęto wiercić wąski szyb o średnicy kilkunastu centymetrów, mający dokładnie trafić w komorę wyrobiska. Chodziło o to, by móc przez niego w jakiś sposób nawiązać kontakt z zasypianymi (oczywiście pod warunkiem, że przeżyli).

Jaka była radość, gdy po kilkunastu godzinach ratownicy dotarli do skalnej półki, zajmowanej przez młodych speleologów! Gdy okazało się, że wszyscy chłopcy (oraz Williams) są cali i zdrowi!

Kiedy świeżo wydrążonym mini-szybem, do wyrobiska dotarła niewielka kapsuła z zapytaniem: „Jak się macie?”, i gdy po dłuższej chwili wróciła 700 metrów w górę z odpowiedzią: „Wszyscy jesteśmy tu w komplecie!”, przez wejście do kopalni urządzono wielką *fiestę*. Krewni i znajomi górników jednocześnie płakali i tańczyli. Oto zdarzył się cud! Wielkie *milagro*! Ich modlitwy zostały wysłuchane! Teraz na pewno górników – kumpil! – uda się uratować! Jak? Jeszcze nie wiadomo, ale jak widać nie ma rzeczy niemożliwych. By świętować razem z nimi, swój przyjazd zapowiedział nawet prezydent kraju. Będą się bawić po białym dniu, a potem... hurmem, jak jeden mąż, ruszą na ratunek zasypianym!

Wypadki potoczyły się w przyspieszonym tempie. Nie będę opisywał wszystkich szczegółów, bo nie o szczegóły tu chodzi. Nowym wąskim szybem regularnie zaczęto wysyłać w dół zapasy żywności. W jaskini taką samą rolę spełniali ratownicy – to nurkując, to pełzając przynosili chłopcom jedzenie i wszystko inne, czego młodzi mogli potrzebować oczekując na wyprowadzenie na powierzchnię. W tym samym czasie w kopalni zaczęto wiercenie nowego, tym razem już pełnowymiarowego szybu ratunkowego: takiego, którym można by opuścić w dół przypominający beczkę wagonik, będący w stanie pomieścić jedną osobę; za jego pomocą, jednego po drugim, planowano wydobyć z głębi wszystkich górników. W jaskini ratownicy rozpoczęli szkolenie chłopców: uczyli ich poruszania się w kombinezonach nurkowych, a następnie samego nurkowania, by bezpiecznie mogli pokonać zalane odcinki podziemnego korytarza. Wszystko to działo się bardzo sprawnie, mimo to tak górnikom, jak i chłopcom czas bardzo się dłużył. A tłum oczekujących przed wejściem do kopalni i przed wylotem jaskini bez przerwy potężniał. W Chile powstało całe namiotowe miasteczko tych, którzy niczego nie chcieli uronić z przebiegu akcji ratunkowej. Podobnie działo się przed wylotem groty. Ludzi było coraz więcej.

Przyjechali dziennikarze dosłownie z całego świata i zbudowano mały polowy szpital na wypadek, jakby po wyprowadzeniu z jaskini któryś z chłopców potrzebował natychmiastowej pomocy.

Aż nadszedł ten pamiętny dzień – dzień tak bardzo przez wszystkich oczekiwany. Finał akcji ratunkowej w obu miejscach rozpoczęła się mniej więcej o tej samej porze. Wąski, przypominający beczkę wagonik był gotowy do opuszczenia nowym szybem; w jaskini pierwszy z chłopców, z pomocą ratowników, miał zacząć przeprawę przez zalany korytarz. Zaczęła się transmisja w telewizji i w Internecie. Uda się? Świat wstrzymał oddech. Nic nie zawiedzie?

I wtedy stała się rzecz niestychana. Gdy w kopalni beczkowaty wagonik po raz pierwszy wyjechał na powierzchnię, zamiast oczekiwanego Rodrigueza wyjechał nim... Xin Pin, a z jaskini na Malajach, w otoczeniu ratowników, wyszedł właśnie... Rodriguez! Ludzie w obu miejscach przecierali oczy ze zdumienia; nie byli w stanie uwierzyć w to co się dzieje – ale jednak właśnie to widzieli! Tym bardziej, że nie było to wszystko – niezwykle widowisko trwało dalej: bo przy drugim nawrocie wagonika, w kopalni, na powierzchni pojawił się Ali Mam, natomiast w Indonezji z groty wyszedł... Hernandez! Wkrótce potem zamiast Oviedo w Chile z otchłani wyjechał Saying Kom, a na Malajach pojawił się oczekiwany w Chile Oviedo. I tak bez końca: Antom Fang zamiast Zarate i Zarate zamiast Antoma Fanga; Saravia zamiast Marvi Ho i Marvi Ho zamiast Saravii; Yakim Om w miejsce Olmedo i Olmedo w miejsce Yakima Om. Harry Williams zamiast sztygara Calvo i sztygar Calvo zamiast nauczyciela angielskiego! I tak dalej i tak dalej. Aż dwanaście razy. Rodziny górników przyjmowały chłopców z Malajów, a krewniacy i znajomi chłopców z dalekiej Azji rzucali się w objęcia górników z Chile. W jednej chwili stało się to naturalne i bardzo oczywiste. Inaczej być nie mogło. To, że jedni nie znali języka drugich, nie miało najmniejszego znaczenia. Gesty zastępowały słowa, a spojrzenia zdania. Uściski i siarczyste całusy nie miały końca i – ponoć – na fali wielkiej euforii poczętych zostało nawet kilkoro bardzo radosnych dzieci...

Ale, ale co takiego właściwie się stało? Jak w ogóle mogło dojść do czegoś takiego? Czy nie zakrawało to na... jakiś wielki skandal? Pomyłkę rzeczywistości? (Jak inaczej to nazwać?) Wielkie nieporozumienie?

Natychmiast przerwano transmisję telewizyjną i relacje w Internecie. Zamiast nich pojawił się suchy komunikat, że z uwagi na warunki meteorologiczne uniemożliwiają kontynuację bezpośrednich sprawozdań z obu akcji ratowniczych; że informacje na ten temat będą dostępne dopiero nazajutrz w prasie.

W jaki sposób chłopcy z Malajów raptem znaleźli się w Chile, a górnicy z Chile – w Indonezji, na Malajach? Jak mogło dojść do... nazwijmy to tak – tak wielkiej zamiany? Czyżby był to namacalny dowód na to, o czym od dawna mówili – i do czego przekonywali – niektórzy mędrcy i filozofowie? Że wszystko ze wszystkim się łączy. Że nic na świecie od siebie tak naprawdę nie jest oddzielone od siebie zbyt daleko – że wszystko ze wszystkim jest połączone, spokrewnione i powiązane. Chyba słyszeliście o tym, że ruch skrzydeł motyla w Indochinach może spowodować burzę na Karaibach? W wielu różnych miejscach od dawien dawna mówili o tym szamani,

mistycy i *curanderos* (na przykład Rudolf Steiner, Carlos Castaneda, Sri Krishnamurti, Osho długo można by wymieniać), którzy w swych wizjach i snach nawet widzieli subtelne srebrne nici, subtelne sznurki, które wszystko ze wszystkim wiązały, zespalały, łączyły. W sukces mędrcom w ostatnich latach przyszli nawet fizycy: opisali fenomen tak zwanego splątania kwantowego, polegający na tym, że dwie cząstki elementarne, które najpierw znajdowały się w swoim sąsiedztwie, po ich rozdzieleniu dalej zachowywały się tak jakby nadal były blisko siebie; gdy jedna zaczynała obracać się w prawo (czyli – miała taki spin), to ta druga zaraz ją naśladowała i zaczynała czynić tak samo...

Czy te niespodziewane zdarzenia z Chile i z Malajów, były jasnym potwierdzeniem właśnie tych wniosków i konkluzji? Czy był to pierwszy namacalny dowód na to w makroświecie?

Był.

Oczywiście.

Jak najbardziej.

Dowód czarno na białym.

Ale... co z tego?

Tak w kopalni, jak i u wylotu jaskini natychmiast zapadła decyzja, że to, co się stało, koniecznie trzeba zatrzeć, utajnić, zbagatelizować. W żadnym razie nie było można niepokoić tym ludzi – nie można było im przecież przewracać w głowie. Nie czas na to, żeby ktoś zaczął zadawać jakieś głupie, niepotrzebne pytania, które mogły podważyć podstawy wiary. Po co? Może rzeczywiście zaczęło by wierzyć, że naprawdę wszyscy ze wszystkimi są połączeni, spokrewnieni, że stanowią jedność – jednię? albo zaczęło by się nad tym nagle zastanawiać? Jeszcze doszłoby do rozruchów albo – gorzej – do rewolucji. Po co to komu? Niech ludzie lepiej wierzą w to, co dotychczas wierzyli, a na nowości może jeszcze kiedyś przyjdzie czas (albo i nie przyjdzie). Dziennikarzy przekonano, że inaczej być nie może – „sami powiedźcie!”, zastanówcie się tylko nad tym! –, że to będzie najlepsze rozwiązanie. A tych, którzy protestowali, po prostu zaarrestowano (co, żeby brzmiało delikatniej, nazwano internowaniem) i poddano praniu mózgu. Szczególnie oporni (bo tacy oczywiście też się znaleźli) niedługo potem popadali w szaleństwo, znikali w niewyjaśnionych okolicznościach, albo – biedacy! – a la russe wypadali na ulicę z jakimś okna na wysokim piętrze. Jeden z tych najbardziej zatwardziały, uparcie chcący trzymać się prawdy i faktów, u wybrzeży Australii został nawet zaatakowany przez rekina-ludojada i... zaraz potem utonął.

Mało prawdopodobne? No cóż, może rzeczywiście, ale na pewno bardziej wiarygodne niż to, iż w Chile w drzwiach wagonika wyjeżdżającego z podziemi niespodziewanie pojawił się Xi Pin, a na Malajach, u wylotu jaskini, Rodriguez. I że potem ta sytuacja powtarzała się jeszcze jedenaście razy.

Kto – no kto? – w coś takiego mógłby uwierzyć?

ROMAN WARSZEWSKI

Opowiadanie pochodzi z aktualnie przygotowywanego do druku tomu pt. „Nieznane opowiadanie J.L. Borgesa”

Jerzy Grupiński i historia Statuetki „Dobry Człowiek” (profesjonalizm & bezinteresowność) im. Kazimierza Rafalika

1 7 lutego 2026 roku, podczas spotkania Klubu Literackiego „Dąbrówka”, statuetką „Dobry Człowiek” im. Kazimierza Rafalika został uhonorowany Jerzy Grupiński. Dyplom i statuetkę wręczyła Łucja Dudzińska – jako prezes Fundacji Otwartych Na Twórczość (FONT) oraz przewodnicząca Kapituły Nagrody – w imieniu pozostałych członków: Justyny K. Ochędzan, Marka Czuku i Przemysława Rafalika. Gest ten miał wymiar nie tylko uroczysty, lecz także symboliczny: środowisko literackie uhonorowało jednego ze swoich najtrwalszych współtwórców – człowieka, który przez ponad pół wieku budował przestrzeń dialogu i odpowiedzialności za słowo.

Geneza idei: profesjonalizm i bezinteresowność

Statuetka „Dobry Człowiek” (profesjonalizm & bezinteresowność) została powołana z inicjatywy Kazimierza Rafalika – poznańskiego rzeźbiarza, fotografa, publicysty, działacza społecznego. Jej źródłem nie była potrzeba stworzenia kolejnej nagrody artystycznej, lecz poczucie wdzięczności – pragnienie docenienia, a przede wszystkim zwrócenia społecznej uwagi na tych, którzy działają skutecznie, rzetelnie i bezinteresownie. Idei tej towarzyszy myśl Cypriana Kamila Norwida: „Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie. Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic”.

Pierwsza statuetka została wręczona w 2017 roku Łucji Dudzińskiej – za wieloletnie, charytatywne działania animacyjne na rzecz poezji i kultury oraz wspieranie poetów. W 2018 roku Łucja Dudzińska – z wdzięczności za współpracę i bezinteresowne wspieranie inicjatyw literackich – przekazała statuetkę Marii Kuczarze z Rudawy k. Krakowa, podkreślając, że oddaje to, co najcenniejsze. Kazimierz Rafalik – obecny podczas tego wydarzenia – zdecydował wówczas o kontynuacji i rozszerzeniu idei, tworząc kolejne, autorskie statuetki o zróżnicowanych formach plastycznych. Z jego inicjatywy i woli instytucjonalną opiekę nad nagrodą objęła Fundacja Otwartych Na Twórczość (FONT) z Poznania, a jej prezeska została ambasadorką przedsięwzięcia. Nagroda miała być wręczana w sposób kameralny, z zachowaniem osobistego charakteru spotkań.

Po śmierci Kazimierza Rafalika (13 lutego 2025 r.), za zgodą jego spadkobierców, nagroda otrzymała imię fundatora. Powołano również Kapitułę Nagrody w składzie: Łucja J. Dudzińska, Justyna K. Ochędzan, Marek Czuku, Przemysław Rafalik.

Uhonorowani – kronika postaw

W kolejnych latach statuetką „Dobry Człowiek” wyróżniono osoby reprezentujące różne środowiska i miasta, lecz łączyła

je jedna cecha: konsekwentne działanie na rzecz innych. Doceniono animatorów, artystów, społeczników, którzy swoją życzliwością, zainteresowaniem, pracą oraz wsparciem finansowym obejmują wiele spraw, wielu ludzi. Uhonorowani statuetką są obdarzeni inicjatywą i wyobraźnią, bezinteresowni i profesjonalni w działaniach społecznych – przede wszystkim na rzecz kultury, sztuki, inicjatyw społecznych oraz osób z niepełnosprawnością. **Niosą dobro**, inspirując, by przekazywać je dalej i motywując innych do aktywności.

Laureatami zostali:

2017 – Łucja Dudzińska (Poznań)
2018 – Maria Kuczara (Kraków)
2019 – Władysław Nielipiński (Gniezno)
2020 – Marek Bulak (Warszawa)
2020 – Stefan Górawski (Głogów)
2021 – Barbara Janas Dudek (Chorzów)
2022 – Łucja Gocek (Chojnice)
2023 – Jędrzej Solarz (Poznań)
2023 – Radosław Wiśniewski (Brzeg)
2024 – Dariusz Adam Zeller (Londyn)
2024 – Maciej Krajewski vel Łazęga Poznańska (Poznań)
2025 – Daria Danuta Lisiecka (Aleksandrów Kujawski)
2025 – Beata Poźniak (Los Angeles)
2026 – Jerzy Grupiński (Poznań)

Lista ta stanowi nie tyle zestaw nazwisk, ile mapę środowiskowej solidarności. Nagroda wędruje między miastami i pokoleniami, wykracza poza granice Polski, potwierdzając, że dobro w kulturze ma charakter sieciowy – buduje relacje.

Klub Literacki „Dąbrówka” – historia trwania

W przypadku tegorocznego laureata, nagroda dotyczy nie tylko osoby, lecz także instytucji, z którą jest on organicznie związany. Jerzy Grupiński od 1970 roku prowadzi Klub Literacki – najpierw przy Pałacu Kultury w poznańskim Zamku, a od 2005 roku w Poznańskim Centrum Kultury „Dąbrówka” Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Klub ten jest jednym z najtrwalszych ognisk życia literackiego w Poznaniu i Wielkopolsce. Ponad pięćdziesięciopięcioletnia ciągłość jego działalności jest zjawiskiem rzadkim w polskim pejzażu kulturalnym. Klub Literacki, prowadzony przez Jerzego Grupińskiego, był miejscem debiutów, konfrontacji estetycznych, sporów pokoleniowych oraz autentycznej pracy nad tekstem. W realiach PRL-u tworzył przestrzeń względnej autonomii dyskusji o literaturze. W okresie transformacji ustrojowej zapewniał stabilność środowiska. W XXI wieku – w epoce mediów cyfrowych i przyspieszonej komunikacji – pozostaje miejscem bezpośredniego spotkania, opartego na rozmowie i uważności.

Klub nie funkcjonował jako formalna instytucja grantowa czy festiwalowa. Jego siłą była regularność i konsekwencja. Spotkania, prezentacje książek i dyskusje budowały wspólnotę autorów oraz czytelników. Dla wielu twórców Klub Literacki był pierwszą przestrzenią publicznej konfrontacji z odbiorcą.

Redaktor i świadek przemian

Równolegle Jerzy Grupiński jako redaktor naczelnny kwartalnika „Protokół Kulturalny” utrwala doświadczenie środowiska w formie pisanej. Pismo to dokumentuje i interpretuje zjawiska literackie, łączy wymiar kronikarski z krytycznym namysłem.

W tej podwójnej roli – animatora i redaktora – ujawnia się istota postawy, którą nagroda chce wyróżnić. Nie chodzi o spektakularność, lecz o trwanie przy kulturze. O codzienną pracę organizacyjną, redakcyjną i mentorską. O gotowość wysłuchania młodszych twórców. O odpowiedzialność za jakość debaty.

Dobro jako praktyka

Statuetka „Dobry Człowiek” (profesjonalizm & bezinteresowność) nie jest konkursem literackim ani nagrodą za jednorazowy sukces. Jest znakiem rozpoznania postawy, która łączy profesjonalizm z bezinteresownością. W przypadku Jerzego Grupińskiego oznacza uznanie dla ponad pięciu dekad pracy na rzecz wspólnoty literackiej.

Historia nagrody – od osobistego gestu docenienia przez Kazimierza Rafalika, poprzez gest wdzięczności Łucji Dudzińskiej, kolejne edycje i rozszerzanie zasięgu inicjatywy, aż po ustanowienie Kapituły i dążenie do upowszechniania wiedzy o wyróżnieniu jako formie upamiętnienia jego pomysłodawcy – pokazuje, że dobro może stać się instytucją. Nie w sensie formalnym, lecz w sensie trwałości idei.

Uhonorowanie Jerzego Grupińskiego wpisuje się w tę logikę. Jest potwierdzeniem, że kultura potrzebuje nie tylko autorów i dzieł, lecz także tych, którzy przez lata podtrzymują przestrzeń dialogu. Klub Literacki „Dąbrówka” – jako miejsce o ponadpięćdziesięciopięcioletniej historii – pozostaje jednym z najważniejszych świadectw tak rozumianej odpowiedzialności.

A jeśli – jak pisał Norwid – ostatecznie pozostają poezja i dobroć, to w tym przypadku obie wartości spotykają się w jednej biografii i w jednym miejscu.

Kalina Izabela Ziola

Wiersze z podróży - Chiny



SPACER PO PEKINIE

Nikołajowi Troszinowi

odkrywałeś przede mną
wszystkie odcienie Pekinu
lśniące w słońcu wieżowce
z zimnego szkła i stali
a między nimi jarmarczne
fioletowe choinki

Plac Niebiańskiego Spokoju
gdzie wiecznie żywe spoczywa
ciało Mao Tse-Tunga

złotoczerwony majestat
Zakazanego Miasta
w którym do dzisiaj krążą
duchy minionych wieków
lwów kamienne spojrzenia
strzegące ciszy

aż wreszcie zobaczyłam
te twoje ulubione
stare ciasne uliczki
zagracone podwórka
ze sztandarami koszul
na sznurkach z plastiku

park w kolorze jesieni
gdzie drzewa wznoszą ramiona
tworząc cienisty tunel
wiodący do marzeń

rozmowy nad cappuccino
w małej ciemnej kafejce
godziny jak motyle
ulatujące w przeszłość

noszę w sobie ten Pekin
w zakamarkach pamięci
i na dnie serca

już na zawsze

Zakazane Miasto

za wysokimi murami
czerwono-złote budowle
kryją się przed ciekawskim
wzrokiem przechodniów

mijając kolejne bramy
wspinam się na rzeźbione
białe kamienne schody
i zaglądam przez okna
przestronnych komnat

tu przed wiekami cesarz
modlił się o rozagę
stąd ferował wyroki
o życiu swych poddanych
lub o ich śmierci

tu sprowadzano dziesiątki
coraz piękniejszych dziewcząt
by mógł nacieszyć swe zmysły
delikatną urodą

a wieczorami siadał
w najwyższym punkcie Miasta
w centrum harmonii czekał
na właściwą odpowiedź

dziś tu tylko wiatr hula
przegania gęste cienie
rozwiewa dawne słowa

i czasem na piasku pisze
zapomniane litery

Wielki Mur Chiński

z ziemi lepkiej od potu
czerwonej od krwi
suchej od żaru słońca
wyrasta mur

mur z gliny i kamienia
ze zmęczenia i śmierci
z nadziei i rozpacz
i z pychy

pnie się mur poprzez zbocza
coraz wyżej i wyżej
prawie dosięga nieba

a może piekła

skrętnie strzeże tajemnic
niby kolczasta kolia
otacza Państwo Środka
już od stuleci

dotykam starej ściany
słucham szeptu historii
wiatr rozwiewa mi włosy

wreszcie tu jestem

Ryszard K. Hetnarowicz

KOLYSANKI-PRZYTULANKI

* * *

Chwila
czas spięty
spotkaniem i rozstaniem
w ulotne my

okruchy
spojrzenia, uśmiechu
które pieszczą
i zdradzają

słowa
salony przemilczeń
baraszkujących w przedpokojach
namiętności

miłość
spełnienie chwili
i słowa w śnieżynce piękna
krótkiego my

* * *

Spragniony ciebie
spijam sen
z twoich piersi
i szepczę

Obudź się
dla mnie!

* * *

Słyszałaś?
To mój sen
zbiegł po stopniach
świtu
ku twojej pościeli

A tam
tylko ślad
twojej głowy
na poduszce

Już witasz się z dniem

Może więc
następnej nocy
uda mi się
wskoczyć
w twój sen?

* * *

Muśnięciem ust
obudzić ciebie
za brutalnie

Z tiulu czułości
sen odwinąć
i nagością się
zauroczyć

Czy sen
dałby się wtedy
prześnić?

* * *

Spłynąć teraz
ku tobie
promieniem słońca
usta i pierś
ucalaować
unieść powieki
i
iskierkom oczu
szepnąć

To ja

Twój dobry dzień

* * *

Czuje
twój oddech
na swoich ustach

Ach, uchwycić go
i chociaż przez chwilę
snu twego
posmakować

Ale już pora
kobietę
otworzyć oczy
na moją miłość
codzienną

I choć w codzienność
strojną
to zawsze odświętną

* * *

Z kojącej ciszy
wokół
delikatnego zapachu
twojego ciała
splatom
moje marzenie
o miłości

W warkocz
namiętnego snu

Spowij się weń
i zaśnij.

* * *

Jeszcze chwilę
wtulenia
w ten bezwstyd
snu

Jeszcze trochę
nadziei
na spóźniony
ranek

Jeszcze pieszczota
dłoni
błądzi gdzieś
po twym łonie

Jeszcze chwilę

Tak trudno
wrócić
do świata.

* * *

Słowem pieścić cię
przed snem
skłonić się
twojej kobiecości

I zgłębiać ją
czuciem
smakiem
zachwytem

Wspinać się zachłannie
aż po szczyt
uniesienia
i na nim
darować ci
życie

W ciepłym puchu
spełnienia

* * *

Uśmiechem cię budzić
pieszczotliwie
ślizgając się
po powiekach
dzwoneczkiem
miłosnej ciszy

Drażnić
zamknięte snem uszy

Codziennością świętą
przywoływać
dla świata

Niech podziwiał

Nie daj mu
na siebie czekać
kochana kobieto

* * *

Czułością dotyku
Nadzieją spełnienia...
Pieszczotą z tęsknot...
Czystością strumienia...

Zaklinam czas, co się przyśnił
I w szeptach ubieram słowa
I zbiegam po chmurnych schodach
Ku ciszy serc i namiętnych myśli

I szukam ust, z których
poranek na powitanie
usłyszał ciepło...
Dzień dobry, kochanie...

* * *

Zbieram poranna rosę
sercem ją ogrzewam
na tę jedną chwilę
spotkania twego snu

Na ten czas rozchylenia ust
pragnienia miłości

Tak przecież dzień dla nocy się trudzi
niech wiec trwa radośnie...

Póki w naszych ramionach nie zaśnie

* * *

Ach
Mieć te poranki o smaku twego ciała
Powietrze tkane twoim zapachem
Ta rozkosz kochania
Tak tkliwie rozbuchana
uchyleniem powiek
A jeszcze w śnie pogrążona...
Tak trudno uwierzyć w powrót

Kocham cię
I na dobranoc
I na dzień dobry..

Bez słowa skłonić się
twojej kobiecości
Słowem dopieścić
oczu uchylenie..
I kłaść dłonią cienie
I natychmiast je streścić
W spełnienie...
Uniesienie...

A potem ranek w księgę zamknąć..
Cisz...
Tęsknot...
Na Ciebie..
Na tęskne
ust rozchylenie...

* * *

Raz kolejny
spośród dwojga wzgórz
spojrzeć na spragnione usta
i osuwając się
ku cienistej dolinie
odnaleźć życiodajne
źródło

Delikatnie
ustami rozchylić
płatki róży
która strzeże tajemnicy
i z każdego
spijać krople rosy
źródłem niesionej

Dotknąć
zakłęcia czasu
co w ciągły
powrót
przemienia pragnienie

Raz kolejny...

* * *

Kiedy kielich rozkoszy
nektaru
kroplą dopełniony
oczy
dłonie
jeszcze niesyte

Parami błędzą
pejzażami

* * *

Z namiętności i pragnień
łowić słowo

MY...

Z marzeń i miłości
utkać słowo

MY...

Ale rankiem
móc scałować
z nagich piersi zwiewne sny...

I móc usiąść
do pasjansa
składanego z naszych dni...

Ryszard K. Hetnarowicz

STRACH I NADZIEJA, CZYLI ZAPISKI SZALONEGO PŁASKOZIEMCA

Rok 2014. Bill Gates prowokuje podczas swojego wystąpienia beczką, rekwiizytem z czasów zimnej wojny, kiedy to Amerykanie budowali bunkry przeciwatomowe i w beczkach gromadzili zapasy jedzenia. Tym razem ta beczka zawiera śmiertelność ładu. Coraz więcej stadoł unicestwić pół Nowego Jorku. Tak „uzbrojony” opowiada słuchaczom o konieczności depopulacji, by pozostali przy życiu weszli na wyższy poziom dobrobytu. Innej drogi nie ma, ponieważ wojny już się nie sprawdzają, a przy okazji sięją spustoszenie w dobrach materialnych. Niepokojąco zmienia się też struktura ludności. Coraz więcej stadoł, a coraz mniej ludzi w wieku produkcyjnym. Jest jednak broń, która pożądaną efekt może dać. Przekonuje, że inwestowanie w badania i doskonalenie wirusów jest opłacalne. Ebola za szybko wyszła z laboratoriów, ale potrzebny był ludzki materiał eksperymentalny, więc teraz można ten wirus udoskonalić. Już wiadomo jak działa i, jak uważa, znaleźli się tacy, którzy go doskonalą. Właściwie programują na określonych adresatów. Są jednak i inne wirusy, a badania nad nimi postępują bardzo szybko. Wystarczy przyrządzić się licznym odmianom wirusa grypy. Czy na pewno pozostają zamknięte w laboratoriach, a tylko sezonowo je się uwalnia? Oczywiście w celu dokonania „poszerzonych badań populacyjnych”.

Chcąc pozostać wiernym Kartezjańskiemu cogito ergo sum – a fakty podpowiadają dziwny porządek – zastanawiam się czy taki Gates nie tylko ostrzegał. A jeśli już, to raczej czynił to z przewrotnym błyskiem w oku. Mógł przecież – ewentualnie ktoś przez niego zainspirowany – w skrytości ducha zapragnąć władzy absolutnej, bo gromadzenie pieniędzy akurat w jego wypadku na pewno nie jest już celem życia i chyba wcale go nie podnieca. Ba! Przecież nawet rozdaje je w błysku flesza, ale darowiznami uzależnia od siebie organizacje wyjątkowo przydatne z punktu widzenia potrzebnych mu producentów informacji uznawanych przez cały świat za wiarygodne i obowiązujące. Precyzyjnie bytoby więc powiedzieć, że pieniądze lokuje, a nie rozdaje. Przecież prawdziwym towarem rządzącym światem jest w tej chwili informacja. I to nie ta kupowana, pozyskiwana z drugiej ręki lub płynąca od ideowców, którzy przecież mają też swoje cele, ale ta czerpana u źródła. Najlepiej bez podejrzeń i wiedzy tegoż źródła.

Panowanie nad światem poprzez totalną kontrolę i inwigilację – to może być podnieta do działania. A jeżeli nie panowanie w tej chwili, to przynajmniej sprawdzenie, czy taki scenariusz jest możliwy, jeśli kiedyś tego panowania się zapragnie. Narzędzia ku temu ma i wcale niewykluczone, że właśnie je sprawdza. Jakakolwiek wojna inna niż te znane z historii – bazujące na broni, z którą ludzkość już się oswoiła – to jedno z idealnych narzędzi. Najlepsza z wojen jest ta z wrogiem niewidzialnym, ale budzącym powszechną grozę. Chociażby takim wirusem, którego istnienie muszą potwierdzać

eksperti uzbrojeni w elektronowe mikroskopy i wiedzę powszechnie nieznana. Oczywiście to zagrożenie musi być właściwie zakomunikowane, ale nie po to lokowało się pieniądze, żeby merytorycznie właściwe źródła nie trysnęły pożądaną informacją. No i dzieje się! Obwieszczona światu pandemia zamyka ludzi w domach. Wszystkich! Pracujących i uczących się, a na dodatek paraliżującą działą na rządzących. Skazuje na korzystanie z jedynych bezpiecznych w tej sytuacji narzędzi. Narzędzi pochodzących z królestwa jego technologii, bo jedną z najpilniejszych potrzeb w zamknięciu staje się potrzeba... kontaktu. Bez niego nie można żyć, pracować, współpracować i... rządzić! I ma to, bo elektroniczne kontakty to niewyczerpane źródło wiedzy o wszystkich i wszystkim. Nie sądzę, by w tworzonych i sprzedawanych programach, aplikacjach nie było bramek, które doskonale filtrują dane i przekazują pod właściwy adres tylko te, które autorom są przydatne. Najprostszym dowodem na to, że takowe są, to bramki pozwalające... aktualizować aplikacje. Jeżeli do tego dodać fakt, że rządy ze strachu o swe pojedyncze interesy same pchają się w łapy elektronicznych manipulacji wszelkiej maści (w Polsce specustawa o mobilnej komunikacji, nacisk na rozwój sieci telekomunikacyjnej, urządzenia mobilne z GPS-ami sygnalizującymi każdy ruch, wszelkie e-urzędy, Polska Bezgotówkowa, ProteGo, COVID-19 i tym podobne) to czy można wyobrazić sobie większy raj dla promyśłodawców i posiadaczy takich narzędzi? Informacje płyną szerokim strumieniem i nic, tylko je odbierać, magazynować i czekać na właściwy moment. Ba! Można się nimi pobawić, bo przecież informacja jak wirus, zawsze może „ucieć” z magazynu. Tym to łatwiejsze, że król technologii cyfrowych też ma rywali, którzy nie śpią. Jeżeli jednak przynęli, to jakieś źródło można im dyskretnie wskazać, a potem usiąść spokojnie w fotelu i obserwować, jak ten pomysł działą w praktyce. Śmiechu przy tym może być co niemiara, jeśli dodatkowo włączą się w to hakerzy i specjaliści służb „tajnych, widnych i dwu-płciowych”, jak szydził Norwid.

Jest jeszcze jeden bardzo prosty krok. Dajmy na to rządy zarazi się, a raczej obudzi się w nich drzemący wirus sprawowania władzy absolutnej, podpowie możliwości sterowania ludźmi, pozyskiwania o nich informacji, wykorzystywania ich przeciw niepostępnemu albo niezbyt spolegliwym... Podrzuci jeszcze ideologię bazującą na hasle: „W imię bezpieczeństwa i zdrowia wszystkich”... Kupię tę ideę bez wahania, a wprowadzając ją w życie ustawię się w kolejce po odpowiednie narzędzia i... same staną się pionkami w rękach innych, potężniejszych technologicznie graczy. Przecież to z ich pomysłów będą musiały skorzystać. Tym to łatwiejsze, że każdy rząd w zadufaniu we własną siłę i możliwości uważa, że przemysłnie przez niego konstruowanymi umowami potrafi ograć, oszukać nawet najbardziej przebiegłego przeciwnika i partnera. Myślę jednak, że nie na tym polu i – szczególnie,

gdy jest mocno zadufany w sobie – bardzo łatwo może dać się ośmieszyć.

Inna sprawa. Czy to przypadek, że wirus – według powszechnie objawianej wiedzy – pojawił się w Chinach? Myślę, że z jednej strony była to z premedytacją przeprowadzona próba na wyjątkowo ludnym kraju, a z drugiej wybór tego kraju – bo dlaczego nie Indie – wiązał się z chęcią globalnej deprecjacji tego państwa. Wyścig technologiczny pomiędzy USA a ChRL musiał w końcu nabrać barw krwi. Nie wystarczy zwykły, chociażby naszpikowany technologicznym szpiegostwem wyścig po nowe rynki zbytu i dominację na nich. A że taki się odbywa, a przeciwnik traktowany jest nadzwyczaj poważnie, niech świadczy chociażby procedura wyboru oprogramowania sieci 5G w Polsce. Ambasador USA Georgetown’a Mosbacher nie krył ingerencji w nią swojego państwa. Bo przecież ta technologia to nic innego, jak – według słów pani ambasador – możliwość zainfekowania każdego domu. Jeżeli tak jest, to trzeba na to pozwolić tylko zaufanym ludziom, a nikt nie ma wątpliwości, że do takich należą na całym świecie tylko Amerykanie. Wszystko robią w imię demokracji, obrony praw człowieka i... bezinteresownie. A Chińczycy, rywal Amerykanów na polskim rynku 5G, to przecież wiadomo! Pojęcie demokracji u nich nie istnieje. Prawa człowieka? Tam nawet odpowiedzialność zbiorowa z czasów cesarstwa i rewolucji kulturalnej wraca na porządek dzienny, a jednostka kompletnie się nie liczy. Wiadomo też, co zrobiliby z pozyskiwaną wiedzą. Za błędy jednostek bez zahamowań moralnych mogliby ukarać całe społeczeństwo. Strach się bać! Lepiej już bać się zaufanych i sprawdzonych sojuszników. Ci, co najwyżej dla dobra demokracji eliminują jednostki. No, w najgorszym wypadku jakąś grupę zwaną najczęściej zorganizowaną przestępczością, totalitarną sektą lub bandą terrorystów. Likwidują w imię zapewnienia bezpieczeństwa zdrowemu elementowi społeczeństwa... Likwidują, by zademonstrować swoją opiekuńczość i budować zaufanie do swoich dalszych działą. Likwidują spektakularnie, by skalą likwidacji unaocznili znacznie większą skalę zagrożenia czyhającego na zdrową tkankę społeczną. Gdyby nie ta opiekuńczość, to... Strach pomyśleć! A strach – przywoływany tutaj już po raz drugi – jest przecież potrzebny i pożądanym do sprawowania władzy, która ze swej natury nacechowana musi być opiekuńczością i dbałością o bezpieczeństwo poddanych. To sprawdzony mechanizm i nieustannie doskonalony, a w dobie wszechobecności elektroniki stał się elementem sterowania już nie tylko urządzeniami, ale i ludzkimi nastrojami – od euforii po depresję. Wystarczy wyprowadzić z siedziby przeciwnika chociażby taki wirus. Lęk przed niewidzialnym zagrożeniem może zawładnąć całym światem, jego sprawcę postawić pod pręgierzem, a dla spirytus movens procesu być znakomitą doświadczeniem obfitującym we wnioski co do skuteczności dalszych działą. A że taka „broń” porazi także ziomek? Ależ o to właśnie chodzi! To

dopiero unaocznia skalę zagrożenia, które zrodziło się we wrażliwych umysłach i laboratoriach! Jeżeli jeszcze na plan pierwszy wysunąć statystykę (ta przecież w powszechnym przekonaniu nigdy nie kłamie) i umiejętnie nią sterować? Statystyka to liczby, a społeczeństwa do tego stopnia przesiąknięte konsumpcjonizmem, że liczą wszystko. Tylko liczby stają się wiarygodne. One pozwolą manipulować wykonanymi testami (choć ich wiarygodność podważana jest przez samego ich twórcę) i wynikami. Trzeba jeszcze wzmocnić działanie słowem, a temu ma służyć grono najbardziej wiarygodnych (wygodnych) ekspertów, którzy o nic tak nie dbają, jak o zdrowie swoich ziomeków. Tym bardziej, że powszechnie wiadomo o „gigantycznej i nowatorskiej wiedzy” nie tylko ekspertów, ale i wielu szeregowych lekarzy czerpanej z konferencji, kursów i szkoleń organizowanych przez koncerny farmaceutyczne i producentów sprzętu medycznego. Dodajmy, że organizowanych w wyjątkowo atrakcyjnych miejscach, a na dodatek kończących się albo darmowym pakietem medykamentów, albo grantami na szerzenie zdobytej tam wiedzy. Na promocję medykamentów i badanie ich działania, czyli opisywanie wyników ich pilotażowego działania. Każdy rząd się o takich ekspertów pokusi, bo przecież musi wykazać się dbałością o bezpieczeństwo swoich obywateli, a w tych działaniach stosowaniem najnowszych osiągnięć nauki.

Jednak aby strach budować i utrzymywać na oczekiwanym poziomie potrzebne jest jeszcze narzędzie, które pozwoli „zarażać” nim cały świat i skierować na pożądane ścieżki, a sam wirus ubrać w szaty krwiożerczego monstrum. Nic łatwiejszego, bo ten świat kocha się bać. Kocha być straszonym. Uwielbia horrory, wiadomości o trupach, katastrofach, inwazjach zabójczych stworzeń, insektów i... o epidemiach. Przyzwyczajano go do tego od czasów Benjamina Daya, który w 1833 roku odkrył, że nic tak nie ożywia pierwszej strony gazety jak świeży trup i skandal. Jego penny press dało początek wszelkim tabloidom. Nic dziwnego, że obserwując to z góry sto lat temu Gustave Le Bon pisał: „Nie od charakteru faktów, lecz od sposobu, w jaki dochodzą do wiadomości ogółu, zależy ich wpływ na wyobraźnię tłumów. Oddziałują one silnie, gdy przez swe nagromadzenie wywołują jaskrawe, opanowujące umysły ludzkie obrazy. Kto umie działać na wyobraźnię tłumów, umie nimi rządzić”. A więc na pierwszy front czas wysunąć media i stopniowo podsycać ich ciekawość z pozoru wykluczającymi się informacjami. Wtedy same zaczną dochodzić „sedna” rzeczy, bo taka ich postąnnicza rola, a im bardziej będą czarne te scenariusze przyszłości, tym większa ich poczytność. I tym większy strach. Teraz o te najłatwiej w internecie. Nawet nie trzeba usługnych pismaków, chociaż ci są wyjątkowo krwiożerczy. Takie wieści potrafią rosytać odpowiednio spreparowane aplikacje. Nie mówiąc już o „dobrze poinformowanych” cywilnych internautach, którzy – bywa, że i mimowolnie – sieją pełne grozy newsy. Chociażby ze zwykłej potrzeby udowodnienia swojego „wszystko-wiedzy” i „lepiej-wiedzy”. Dodatkowo uwielbiają powoływać się na zaczerpnięte z tajemniczych źródeł opinie... naukowe. Najczęściej są one anonimowe, niesprawdzone, bo przekazane przez naukowców niechętnie i w tajemnicy. Nie chcą przecież wywołać paniki. Taki „informator” to bezcenna rzecz, nie pozostająca bez wpływu na zasięg odbioru tej szeptanej informacji. A jeżeli do tego doda się jeszcze zmanipulowane zdjęcia

stosu trupów na ulicach, ludzi umierających stojąc... Nieważne, że zrobione w innych okolicznościach i innym czasie. Rozsądek i wiedza bazujące na realnych przesłankach i dotykającej rzeczywistości w takiej sytuacji przestają odgrywać jakąkolwiek rolę. Są odbierane na poziomie zaprzeczania faktom, braku wiedzy, umysłowego nierozgarnięcia i wiary w zabobony, bo jedyne wiarygodne fakty są przecież czarno na białym podawane w... rzeczywistości wirtualnej. Nawet w niej, jeśli ktoś z imieniem i nazwiskiem, występujący z odkrytą przyłbicą i powołujący się na rzetelne źródła, dysponujący merytoryczną wiedzą zaprzeczający głośnym „prawdom”, na pewno uznany zostanie za oszota.

Stępszczać nie trzeba przekonywać do siły wirtualnych newsów. Mieli takiego prezydenta, który elektronicznymi narzędziami potrafił robić wodę z mózgu całej Polsce. Każdy, kto usiłował prostować jego w pewnym momencie już beczelne kłamstwa, spotykał się z reakcją: „wam to nic się nie podoba” lub „potraficie tylko narzekać i wybrzydzać”. Co bardziej zapalczywi adoratorzy wirtualnej rzeczywistości Roberta Biedronia – mając na uwadze jego orientację seksualną – oskarżali krytyków jego działalności o homofobię. Jestem dziwnie przekonany, że gdyby Biedroń miał do dyspozycji narzędzia, którymi władają technologiczni królowie już dawno przeniósłby większość życia do wirtualnego świata. Tak spełniłby marzenia ojców... bolszewizmu. Władza skupiona w rękach wtajemniczonych, wiedza o wszystkim i wszystkich nieograniczona, możliwości sterowania społeczeństwami bezgraniczne, eliminowanie niespołegliwych jednostek bardzo łatwe... Czy to możliwe? Oczywiście! Kiedyś wprowadzono tę ideę – jakże ubogimi i brutalnymi środkami – w imię przyszłego dobrobytu, równości i pomyślności wszystkich, a teraz wystarczy zastąpić te cele ideał działania w imię zapewnienia wszystkim powszechnego poczucia bezpieczeństwa, a realizować środkami i narzędziami (o paradoksie!) przez wszystkich pożądanymi. I dostępnymi niemal każdemu.

Jest jeden powód, dla którego warto takiej rzeczy podjąć się w świecie, który w miarę rozwoju cywilizacyjnego da się już niemal w całości modelować. Jest w nim jeden element nieprzewidywalny do końca, a mianowicie pełen sprzeczności człowiek. Ten zaludniający Ziemię potwór jest nieobliczalny i trudny do sterowania. Jednego dnia pragnie absolutnej wolności, a drugiego totalnej opieki. W marzeniach ryzykuje swój byt w niebezpiecznych sytuacjach, by w rzeczywistości żądać poczucia absolutnego bezpieczeństwa. Nocą w pojedynkę przenosi góry, a w pełnym słońcu oczekuje pomocy innych. Listę takich sprzeczności można by ciągnąć w nieskończoność. Słowem, by pójść za myśleniem Rousseau, wilk i owca w jednej skórze. Czy można nad czymś takim panować? Ustanowić obowiązujący paradygmat zachowań, reakcji, pragnień, uczuć, myśli? Uniformizować osobowość i modelować ją w zależności od potrzeb ponadjednostkowych? Warto próbować! Ale – nie ukrywajmy – zawsze w interesie pewnych grup będących właścicielami niezbędnych narzędzi, świadomych swej siły i umiejętności precyzyjnego posługiwania się nią. Ech, czy można skonstruować takie struktury?

Takie pytanie zadawał potomnym już w połowie XX wieku Leszek Kołakowski snując rozważania na temat technologii życia

społecznego. „Mogą to być pytania dwójakiego typu. Typ pierwszy: Przy założeniu, że pewien zespół instytucji życia zbiorowego jest wartością suwerenną i nie daje się kwestionować, w jaki sposób sprawić, by system edukacji społecznej, mierzący do wzmocnienia w osobnikach ludzkich pewnych cech (to jest gotowości do pewnych zachowań) i osłabiania innych, sprzyjał konserwowaniu owego zespołu instytucji w niezmienionym stanie? Typ drugi: Przy założeniu, że różnorodność sposobów reagowania właściwych ludzkim osobnikom stanowi nieusuwalne datum istnienia ludzkiego, jak sprawić, żeby różnorodność ta mogła być eksploatowana w celu społecznie cennych wartości i w jaki sposób zminimalizować jej działanie jako źródła destrukcji i agresji”. Dobrze, że filozof w czasie formułowania tych pytań nie miał jeszcze do czynienia z szeroko zakrojonymi badaniami genetycznymi. Nie spożywał jeszcze żywności modyfikowanej genetycznie, a badania nad DNA człowieka i możliwości wpływania nań nie wyszcibiały nosa z laboratoryjnych zakamarków.

Sądzę, że znalezienie odpowiedzi na tak stawiane pytania jest marzeniem każdego sprawującego władzę. Dodajmy, że współcześnie władzę najczęściej daną przez nas samych. Dobrowolnie, w majestacie prawa i z poszanowaniem zasad demokracji. Właśnie! Tu kłania się Encyklopedia głupoty autorstwa Mathijasa van Boxsela. O motywach, inspiracjach i mechanizmach wyborczych w demokracji pisze on ni mniej, ni więcej tak. „Kandydatami kieruje interes własny. Chodzi im o władzę, pieniądze bądź zaspokojenie własnego idealizmu. Ponadto otwierają wszystkie rejestry retoryki: grają na strachu, frustracji, żądzy pieniądza, słowem – na emocjach wyborców. Wyborcy są mało co lepsi. Dają się powodować własnym indywidualnym, samolubnym, bliższym anarchii niż demokratyzmu poglądom. Poza tym dają się ponieść emocjom. Są wrażliwi na demagogię i wszelkie odmiany prowokacji. Nieprzewidywalny lub manipulowany wypadek, na przykład skandal tuż przed wyborami, przesądzić może o przyszłości kraju. Kto przy tym, prócz maniaków, zgłębia jeszcze programy partii? Obywatele głoszący mimo wszystko z poczucia demokratycznego obowiązku traktowani są przez innych jak krety. Więcej nawet: owi grymsownicy stanowią wręcz mogą zagrożenie dla demokracji. Ci, którzy chcą racjonalizować demokrację, pragnący przed głosowaniem poddać wyborców testowi na inteligencję, zmierzają w stronę dyktatury intelektu”.

Można powiedzieć, że to przecież nic odkrywczego. Każdy to zaobserwował i każdy w pewnym stopniu poddał się tym mechanizmom. Wiemy, że dając władzę stajemy się jej zakładnikami. Wiemy też, że władza jest narkotykiem, który nie poddaje się żadnemu detoksowi. Narkotykiem, który skutecznie znieczula na rzeczywistość i tworzy świat iluzji wynikającej z wciąż rosnącego pragnienia... powiększania władzy i lęku przed jej utratą. Im głębiej w tę iluzję wciąga się poddanych, tym mniej oni widzą możliwości wydobycia się z niej i koniec końców staje się ona i dla nich jedyną rzeczywistością. Mechanizmy wciąż pozostają te same. Od wieków. Najpierw buduje się bazę materialną, która staje się wartością o wyjątkowym znaczeniu, a przez to niesie strach przed jej utratą. W średniowieczu prehistoryczne rodzenie się władzy i jej konsekwencje tak widział Jan z Meun w Powieści o różu (pozwolę sobie jego poezję przełożyć na prozę). „Wszyscy właściciele dóbr narażeni byli na ich utratę, ponieważ wokół czyhali różnej maści niegodziwcy. ➔

„Wtedy więc trzeba było znaleźć kogoś, kto domostw by pilnował i kto złoczyńców by uwięził, zadośćuczynił skargom na nich, tak by nikt nie śmiał się sprzeciwić. Wówczas skrzyknęli się na wybór. Wybrali draba najtępszego, z torsem potężnym, okazałym, słusznego wzrostu, wielkiej krępy i uczynili go swym panem. Ów przysiągł strzec sprawiedliwości oraz domostwa ich ochraniać, jeżeli każdy da mu dobra, z których żyć będzie mógł bez trudu. Zgodzili się więc między sobą życzenie jego spełnić ściśle. On swą powinność pełnił długo. Ale złodzieje niegodziwi czyhali, aż on sam zostanie, wtedy go mogli łatwo pobić, gdy przychodzili grabić dobra. Wówczas się zebrał lud na nowo i każdy się opodatkował po to, by swego księcia otoczyć strażą i ochronić. Wszyscy – nie było tu wyjątku – dawali ziemie i dzierzawy: stąd więc wywodzą się królowie, książęta, wszyscy władcy ziemscy. [...] Wtedy to skarbów nazbierali: drogich kamieni, srebra, złota. Ponieważ byli książętami [...] Wzniesli też wieże, palisady i mury, i kamienne blanki; zamki i miasta zbudowali, pałace wielkie postawili ci, którzy skarby wielkie te zebrawi. Wszyscy się bowiem bardzo bali o zgromadzone majątności, by im odjęte nie zostały, albo też siłą odebrane. Odtąd nie znali już spokoju ci nieszczęśnicy złej godziny. Nigdy bezpieczni być nie mogli, odtąd to sobie przywłaszczyli z chciwości swojej, co dotychczas jak wiatr czy słońce było wspólne”.

Bardzo proste i rzecz jasna naiwne jest to średniowieczne spojrzenie na rodowód sprawowania władzy nad resztą społeczeństwa, ale mechanizm nic a nic się nie zmienił. Jedynie udoskonalił. Nadal w pierwszej kolejności chodzi o dysponowanie majątkiem, bazą materialną – nią kupczyć, nią zniewalać i nią dzielić. Jak widać nie jest to wynalazek społeczeństw ery konsumpcyjnej. Współcześnie nie wystarczy jednak trzymać poddanych w ryzach strachem przed zbrojnymi hufcami, które z założenia miały ich bronić przed zagrożeniem zewnętrznym. W pewnym momencie – wraz z rosnącym ogólnym poziomem wykształcenia i świadomości – pilną potrzebą stało się znalezienie pretekstu do uprawnionego użycia tychże hufców przeciwko własnym poddanym. W imię czego? Oczywiście przede wszystkim w imię bezpieczeństwa „zdrowej tkanki” społecznej, ochrony jej praw i dóbr, a tak naprawdę nie czego innego jak bezpieczeństwa swojego panowania. Z biegiem lat, zmian ustrojowych i rozrastania się struktur przedstawicielskich najbardziej zaczęli zagrażać władzy ludzie, bo struktury zawsze były – według ich konstruktorów – doskonałe. A wśród tych nieobliczalnych twórców natury najgorszy był typ myślicy, analizujący, wnioskujący i dostrzegający błędy, niesprawiedliwości, zbrodnie, obnażający władczą hipokryzję. O ile lepiej funkcjonowałyby te struktury, gdyby nie oni! Nawet jeżeli nie chcą, nawet nie marzą o przejęciu władzy, a jedynie stają po stronie słabszych, zniewolonych czy najzwyczajniej na świecie oślepianych blaskiem władzy, to i tak powodują zgrzyty i usterki trybików struktur. A co na to pozwala? O dziwo, ta cholerna demokracja. Władza zaczyna zagrażać rozrastającą się demokracją; demokracja panosząca się w różnych stanach, dystryktach, województwach, a nawet powiatach i gminach. Ta centralna mniejszość, która w imieniu większości ma sprawować rządy tak naprawdę musi się liczyć z jeszcze mniejszymi grupkami przedstawicielskimi, które rządzą mniejszymi większościami. Takie rozdrobnienie władzy nie najlepiej wróży sile państwa, a to na nim przecież spoczywa obowiązek trzyma-

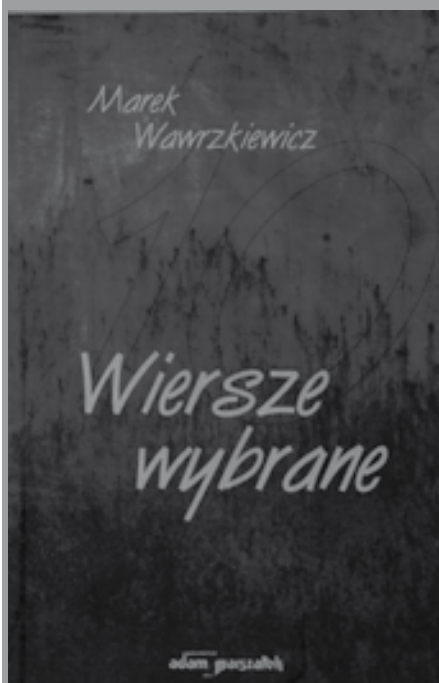
nia „pieczy” nad całością. Jaką doskonałą okazją do umocnienia władzy państwowej – przecież państwo jest monopolistą w stanowieniu prawa – staje się takie globalne zagrożenie jak epidemia. Chyba każdy rząd w tę ślepa uliczkę ruszy, a już na pewno te rządy, w których państwo obywatelskie jest raczej w budowie niż na etapie umacniania swoich praw.

Jest jeszcze coś. Manipulowanie troską o bezpieczeństwo poddanych musi wiązać się z perspektywą likwidacji zagrożeń. Trzeba ludziom dać nadzieję i nie zapominać, że – jak pisze Tadeusz Gadacz – „nadzieja należy do czegoś, co zgodnie z naturalnym porządkiem nie zależy od nas lub nie całkowicie od nas zależy i znajduje się poza obrębem sfery, w której można praktykować stoicyzm. U podstaw nadziei znajduje się świadomość sytuacji, która skłania lub może skłaniać ku rozpacz. Mieć nadzieję to uwierzyć, że istnieje jakaś siła zdolna przezwyciężyć niebezpieczeństwo, sprawić coś, co po ludzku jest niemożliwe, rozwiązać tragiczny splót zdarzeń”. Dla rządzą-

cych jest to oczywiste. Dajemy nadzieję, ale nie bierzemy odpowiedzialności za jej spełnienie. Dajemy nadzieję, ale niech was to nie uspokoi, bo droga do tego jest długa i pełna ofiar, wyrzeczeń. I tak jest z zapowiedzią szybko postępujących badań nad szczepionkami antycovidowymi. Ciekawostką niewątpliwą jest to, że nie nad lekiem na istniejącą już chorobę, a nad preparatem zapobiegającym jej wystąpieniu. Czy to jest normalne? Aż nie chce mi się wierzyć, że koncerny farmaceutyczne nie robią tego celowo. Lek służyłby tylko tym, którzy zachorowali, czyli niewielkiej w sumie liczbie ludzi, a szczepionka będzie dla wszystkich. Rynek zbytu niesamowity! Profity też, bo wynikające ze strachu i nadziei. A jak jeszcze włączą się w promocję rządowi „eksperti” (czytaj: koncernowi beneficjenci), aż dziwne będzie niewprowadzenie obowiązku szczepień. No i biedni, którzy się tym manipulacjom nie poddadzą. Obawiam się, że koncernowi sługusi znajdują na nich bat...

RYSZARD K. HETNAROWICZ
(MARZEC – KWIECIEŃ 2020 ROK)

Migotania polecają





Czesław Sobkowiak

Wprost

Polska
Kiedyś to
zobaczyliśmy
gdy rozwinęła
skrzydła

a teraz
powiedz
od siebie
co z tymi
skrzydłami

Piszę

Piszę wcześniej rano
głodny bo tak mi należy
wybierać po nocy to co
naprawdę karmi wysnione

nie wiem lecz podpowiada
intuicja że czysty ma być
ten rytm obieg krwi i myśli
i nie zakłócony oddech

Ławka

Ławka w ruinie w bocznej alejce
o czym ma czas tu rozmyślać
zostawiona nikomu przystań
ci którzy na niej usiedli są wykreśleni
ciała w ruinie już wzięta przyszłość

Jedno i drugie odpowiednio margines
nie do naprawy stało się życie
co wielkie okazuje się małe
niektórym całkiem korzystnie
i tylko tyle można przeczytać

Sierpień

Dzień sierpień
wypada zanotować
że w południe
ciemne niebo

tak na krześle
nad kartką się gubię
co powiedzieć akurat
samemu sobie

Dla ojca

Wybieram słowa dla mojego ojca
chcę zdążyć z tym co wiem gdyż późno
co było w jego zwykłym życiu i domu
przez lata by nie zabrakło chleba

siedzi na krześle i moi bracia
maleńcy są na jego kolanach patrzą
uprawiał kawałek ziemi nosił kamienie
naprawiał końskie uprząże

opowiadał o gwiazdach o śniegu
o wojnie i dopiero teraz czuję
jak jego żal przenosi się na mnie
że już ojca ani nikogo nie ma

Śliwki

Kiedy to było i było błękitnie
szedłem lekko między polami
pod drodze pozdrowiałem chabry
prawie nie pamiętam ale pamiętam
w skwarze pod drzewem niczyje
gęsto leżały dojrzałe fioletowe śliwki
jakby dla nikogo ale nie to było ważne
zbierałem je z trawy jak moje
i jadłem dowoli wypływałem pestki
kilka garści zaniósłem do domu matce
dawnego lata kiedy to było

Jakby rachunek

Nie policzyłem życia i nie policzę
jak pieniędzy co ubywały w portfelu
i rachunek był według liczby lichej
a często nigdzie nie było żadnej liczby

Oddechy i kolory mogłem wybierać
był tylko mały problem co z tym zrobić
aby przed samym sobą się nie zawstydzić
że myliłem ścieżki najczęściej przeciw sobie

Teraz zaledwie chcę pytać co to było
że odkładały się błędy i trudne zadania
które wracają że są tylko rzeczy ulotne
jak w każdym złudzeniu puste obietnice

Nie policzyłem życia zostało jedno słowo
spełniło się i nie ode mnie to zależało
patrzyłem w oczy i ktoś patrzył z trwogą
na co komu przyjdzie jeszcze mieć odwagę

Poruszamy się

Poruszamy się
śmiejemy nad wyraz głośno
wyprowadzamy nawet bliskich
na manowce by wyjść
na pierwsze miejsce
ze swoimi zasobami i racjami
i nie pamiętaniem o innych
ale ostatnio
coraz częściej
ubieramy się w niepewność

Idą miesiące

Idą miesiące i znowu słysząc
opowieści które już były i pożółkły
lecz los jest znany sny poniżone
teraz wracają razem z cieniami

do nas ubranych w pustkę wracają
z wezwaniem o pamięć i modlitwy
ale co ma się w łkaniu rozwikłać
gdy komuś te poezje już są obce

Światła

Światła świecą
a ciemności idą
jedne i drugie
domagają się
twoich postanowień

Kilka

Jeszcze kilka
znajomych czynności
dużych małych wizyt w przychodni
nie zapomnianych szarości
liczenie kroków wokół domu i jaśminu
nastawiam radio na klasyczną muzykę
byleby nie na rozmowy z politykami
gałązki brzoskwini się uginają
głowę podpieram nad kartką paragonu
i baczę by się to wszystko
zanadto nie wypełniło

Umarłym

Powiedzieliśmy naszym umarłym baj baj
skończony temat niech nie wracają
ogrzać twarzy i rąk między ścianami
których wystrój może tylko zadziwiać
bo obrazy nijak cokolwiek wyrażają
że wszystko w jednym chłodnym stylu
i dobrze godzinami siedzieć w Internecie
gdy już nie ma innego świata zapachu łąk ani lip
fotele i kanapy są niezwykle wygodne
z kranów płynie ciepła woda by umyć ręce
i rozprawiać przy wódce to już coś innego
upewnia się jeden z drugim że wszystko wolno
i może nawet nie jest tak źle to pozbycie się
smaku i miary choć przypominał pewien poeta
powiedzieliśmy naszym umarłym baj baj

Wygraliśmy

Wygraliśmy los życia
jak to bywa na loterii
udało się w końcu dopiąć swego
i niektórzy o cenie wiedzą

a teraz szulerzy mają
kupione dni i czelność
wyciągać ręce po różne pieniądze
i w biały dzień nas ogrywać

W czwartek

Pojawiłem się zwyczajnie w czwartek
prozaicznie na targowisku przy Ulicy Owocowej
i zaraz poczułem jakbym odzyskiwał
rzeczy pogubione w mojej głowie
i nie muszę zastanawiać się skąd światło
przybyło tak urodzajne że czerwienie kwiatów
wiśni czereśni są niebywale śmiałe oraz jagody
zresztą co tu ponad miarę opowiadać
młodość dnia stawiała się niepospolita
dobrze że ogrody i pola nie wycofały się
powietrze łśni i niesie się zapach kopru czosnku
w słoikach przedstawia się gryczany miód
stragany są ciężkie i pełne ogórków
i wystarcza oczom patrzeć na to wszystko

Już

Już nie we śnie
nie na jawie
tylko utrwalony kłopot
co jest poezją

Co takiego wyróżnia podróż spośród innych rodzajów przemieszczania się od A do B? Czasami B bywa przestonięte jakąś niewiedzą, a A zupełnie przypadkowe lub zgoła nieznane, toteż lepiej mówić o wędrówce w tym znaczeniu najogólniejszym i najszerszym. Co zatem wyróżnia podróż spośród różnych rodzajów wędrówki? Ucieczka, pościg, spacer, przechadzka, przejażdżka, wspinaczka, przejście najwyższą granicą Tatr, przebycie kanionu z wodnymi i skalnymi przeszkodami, wieczorny przejazd dwukółką przez miasto... Szukam jakiegoś potwierdzenia w negacji. Bo jeśli od całości wędrówek odejmę te ich rodzaje niebędące podróżą, otrzymam podróż w czystej postaci.

Ach, logiko, naiwna matko myślenia teoretycznego! Lubisz wodzić na manowce i trwać w uporze odartych z życia symboli. Wszak podróż ma swoją dynamikę, puls przemierzanych dróg, zmienność zdarzeń, kulisy, napotykanie osoby, perypetie, zdobywane doświadczenia i pionierskie odkrycia, do których podróży dochodzi sam, chociaż domyśla się, że niejedną już wcześniej musiał dokonać tej samej innowacji co on. Ba, podróż ma własne życie oddzielone od całej reszty granicami własnej przestrzeni i czasu oraz tym, co dla tych danych fizycznych wspólne, ruchem. Nietatwo dopaść podróżującego, o czym za chwilę. Ponadto kto udowodni, że podróż jest podporządkowana wędrówce? Ta klasyfikacja jak niemal każda tworzona jest a priori. Znajdą się apologety przeciwnego stanowiska. Że wędrówka to pewien rodzaj podróży. I podróż umieszczają na szczycie, od którego prowadzi promienie ku wędrówce i wszelkim migracjom. Precz z hierarchią i klasyfikacją. Precz z feudalnym modelem podróżowania z kwiatami w donicach i ptakami w klatkach, modelem, do którego chętnie powracają ludzie z pieniędzmi zdobionymi głowami arystokratów.

Byłem kiedyś na szkoleniu zatytułowanym „Media i ty”. Prelegentka zaczęła od systematyki czasopism mniej więcej tak: czasopisma dzielimy na dzienniki, tygodniki, dwutygodniki, miesięczniki... Mówiła powoli, aby słuchacze zdążyli jej słowa zanotować. Z zaskoczeniem i trochę z przerażeniem patrzyłem na pochylone nad kartką plecy koleżanki skrzętnie zapisującej ten wykład. I choć koleżanka była ładną kobietą i dowcipną, tu uległa presji katedry, poddała się wysokości głoszonych słów. Została omamiona, znalazłszy się perihelium osobowości oratora. Utraciła zmysł krytycyzmu, jakby zaczęła gwałtownie parować i znikać. To ugięcie karku przed katedrą owładnęło nią do tego stopnia, że ja, przyglądający się z boku tej scenie obrzydłem sobie wszelkie klasyfikacje. Tymczasem Barbara, tak z grecka się nazywała, pisała i pisała. Przy „rocznikach” ją trąciłem.

- Co tyle pieszysz? – zapytałem.

Mówca (ta mówca, bo to kobieta-orator) wciąż zwalniała, aby uzyskać średnią prędkość zapisu. Ktoś zdążył, ale dobrze jest, jeśli znajduję się też zaniepokojeni tempem maruderzy. Taka różnorodność rodzi napięcie, a napięcie skłania do uwagi i wstuchania, do pościgu za słowem i wpatrzenia w mówiącą. Primum scribere. Zapisane nie umknę. Verba volant, scripta manent. To nic, że nie zostanie już odczytane. To nic, że notatki utkną w szufladzie. Świadomość możliwości powrotu do nich jest tak silna jak wiara w Boga tych, którzy wciąż odkładają

spowiedź na później. Nadal mam te notatki, pomyśli Barbara, kiedy ktoś ją zapyta: a pamiętasz, byłaś kiedyś na takim kursie na temat mediów. Oczywiście, napięcia nie wolno powiększać do granic percepcji, żeby słuchacze z sił nie zaczęli opadać. Ci szybsi z pogardą spojrzą na maruderów, a maruderzy utracą sens, a tym bardziej siły, by gnać za chartami. Po co będziemy pisać, pomyślą. I tak nie nadążamy. Pośłuchamy sobie w sennej atmosferze tego, co prelegentka dla nas przygotowała albo pobawimy się komórką. Tak naprawdę nic to nas nie obchodzi. Taki jest podział toku myślenia audytorium. Nie ma od tego wyjątków. Dobry orator zawsze wie, co robić. Prelegentka dotarła do średniego tempa wykładu. Wyważyła je dzięki doświadczeniu i inteligencji. Dłonie złożyła w domek i wzrok utkwiła w nicości.

Maruderzy czasami nadążali, a czasami kleli, że nie nadążają. Czasami pisali, czasami tylko słuchali. Najgorsi, z punktu widzenia mówcy, to ci, którzy mędrkują, ohydni spryciarze, którzy szopki sobie stroją z naukowej prelekcji. Zadają bezsensowne pytania niepytani i próbują rozbić wykład. Patrz na boki i do tytu, tówiąk popleczników. Od razu mnie wyżuła, ta od przemowy. Bo gadałem coś do skupionej na pisaniu Barbary, a Barbara natychmiast stała się ulubienicą prelegentki.

- Co? Co? – Nerwowo na moje słowa zareagowała Barbara. Przeszkodziłem jej w dosłownej transkrypcji słów oratorki, która powiedziała: „roczniki zwane niekiedy annałami”.

- Nie pisz tyle, bo ci kartki zabraknie.

- To ważne.

- Ważna jesteś ty i ważny jestem ja. Reszta znajduje się poza nami. Możemy czerpać, najlepiej siłem.

- Sam jesteś sito. Nie przeszkadzaj.

Nim przejdę do tej właśnie podróży, która ów wstęp mi zasugerowała, dodam coś jeszcze, co przyszło mi do głowy, kiedy zapinałem kurtkę przed wyjściem w ów chłodny poranek w dniu wyjazdu. Sierpień u swego kresu to zaranie jesieni. Dźwięk zasuwanego zamka zwrócił moją uwagę na awers i rewers podróży, jak by była ona tańczącą na biurku monetą, na jej zewnętrżność lśniąca orzełkowo i część skrywana, utajoną, wskazującą na nominat, nie całkiem widoczną nawet dla bystrego oka. Ten wizg suwaka zamknął mnie w sobie, a zarazem połączył ze światem dziwnym osmotycznym pół-przeknikaniem. Strony monety tego już nie potrafiał, ale człowiek tak. Kurtka też.

Po diabła gdziekolwiek jechać? Matka logika nie widzi żadnego sensu w opuszczeniu jednego miejsca w celu odnalezienia drugiego. Logika czuje awersję do pokonywania przestrzeni. Przestrzeń jest sensualna i zwyczajna. Żadne to państwo. Co do poznania zaś i innych epistemologicznych mrzonek, nie warto dla nich ruszać się z miejsca. Bo co możesz poznać innego niż to, co już wiesz, albo niż to, czego możesz dowiedzieć się lub dociec w inny sposób bez jakiegokolwiek wysiłku i niewygód przemieszczania się? Siedź w domu i nie ruszaj się bez pilnej potrzeby. Myśl. Jeśli jesteś w A, to po co ci B? Często zrymam się z tą myślą. Nawet

w trakcie podróży. Jest tak powabnie rozsądna, że nie sposób od niej się opędzić. Żądli jak bak sokratejski i nie pozwala łatwo o sobie zapomnieć.

Już wiem, jaki popełnia błąd logika. Logika nie potrafi się poruszać. Dlatego tak przeraża ją przestrzeń. Wydaje się logice, że jest wszędzie, a ona ani na chwilę nie opuściła A. Jakakolwiek zatem podróż nie powinna być analizowana pod kątem logiki. Wiedziałem już o tym wcześniej. I wołałem używać słowa „rozsądek”. On potrafi przewidzieć B, a nawet C. I czasami się pomylić. Wiem, że szturcham złośliwie logikę, jakby była punktem lub miejscem, a ona sama, będąc w A, znajduje się w B, C, D i gdzie człowiek sobie pomyśli. Ale faktem jest, że przemieszczając się nie potrafi.

Matko Logiko i ojciec Rozsądku, w moim umyśle też kręci się świat, mój świat. Wyruszam w podróż, żeby zająć swój tryb wewnętrzny z trybami zewnętrznymi rzeczywistości. I dla mnie to nietatwa decyzja. A znam jak własną kieszeń, a B jest mi tylko intelektualnie bliskie. Piszę o czymś, co wymaga wędrówki, przemieszczania się w przestrzeni. Podróż bowiem to eksternalizacja marzeń a nawet pewnych umysłowych rozważań czy wątpliwości. Pytanie „po co?” przekracza moją ludzką miarę. Jadę, bo tak zostało we mnie zapisane. Navigare necesse est.

I tu zaczynam rozwlekle o Pitagorasie. Bardziej wyobrażam sobie tę rozwlekłość niż ją wypowiadam. Książka sama się nie napisze. Powołuję się na genius loci, na te wszystkie drobiazgi, które potrafi odkryć podróż. Tylko tam to znajduje. I tylko tam się to znajduje. Gdzie? Tarent, Metapont, Heraklea, Siris, Sybaris, Krotona, spód italskiego buta. Co? Genius loci ma matkę logikę nie działa. Rozsądek natomiast jest bardziej sensuabilny. To nazwy poleis sprzed lat, miejsc jeszcze nierzymskich, po prostu greckich.

Smaki, zapachy, kolory i wszelkie wrażenia, a zatem to, co non est disputandum, tylko zakłócają logiczne myślenie. To mistyka, słyszę w objaśnieniu, rozbijanie umysłu na fali śmiesznej egzaltacji. Wszystko to blaga i sił trwonienie. Ale jak sobie chcesz. Czuję, że matka logika odpuszcza. Nie lubi tego barwnego poligonu. Rozsądek łagodzi: może pojedzie i czegoś się dowie. Niczego więcej się nie dowie, niż jest. Trochę ma rację logika. Chcę jechać, żeby zapominać, odrzucać to, co moje tutaj, wdierać się w sfery tylko pomyślane. Cóż wiedziałem o Pitagorasie?

Nie jestem najlepszym z ludzi. Może w ogóle nie jestem dobry. Dobry, zapytałaby logika. Co znaczy „dobry”? Nie po to jadę, żeby wracać do własnych problemów. Wiem, że sama zamiana A na B nic nie zmieni. Chcę odpokutować, ale co, ale jak. Umykam? Może i umykam. Jestem jednak poza odbiciem tamtego czasu. Czy jestem inny? Wszystko pamiętam. Wstydzę się jednak pewnych swoich zachowań, postępów. Nie były w moim stylu. Ale to wciąż ja. Żadna podróż tego nie odmieni. Ani żadna podróż nie skłoni cie do ucieczki. Z ruchu nie wyniknie zaprzeczenie ani cokolwiek dokonanego.

Logika wie, że mam jeszcze w zanadrzu kilka argumentów z gatunku problemów

życiowych. Na przykład: który kot jest najbardziej puszysty? Do konkursu stanęło pięć kotów, a wśród nich jeden bez ogona. Jury orzekło, że owszem ten bez ogona wydaje się najbardziej puszysty, ale to tylko złudzenie. Po prostu defekt ten sprawia, że kształt kota staje się bardziej zbliżony do kuli, a wiadomo powszechnie, że sierść bardziej się puszy w formie kulistej. Na widowni zawrzało. obrońcy praw kotów z ułomnościami natychmiast wnieśli protest do władz felinologicznych. Jury po kolejnej naradzie orzekło, iż tak naprawdę kot bez ogona posiada ogon, ale w stanie szczątkowym, co można uznać za okoliczność sprzyjającą nowemu werdyktowi: kot bez ogona jest najbardziej puszystym kotem w konkursie. Fani innych kotów poczuli się urażeni i śpiesznie opuścili koci wybieg. Niektórzy felinolodzy, obrońcy kocich defektów, stwierdzili, że właściwie to koci ogon dodaje futru puszystości. Ale jednym ze składników konkursu była pozycja kota ułożonego w krąg. I ten fragment konkursu stał się zarzewiem sporu. Po diabła się spierać? To kolejne ciekawe pytanie.

Ta opowieść o kotach jest w stylu tych, który kolor jest ładniejszy, żółty czy czerwony, spłyciłaby zagadnienie logika. Wcale nie. To problem społeczny, nierozwiązywalny żadnym logicznym sposobem, a jedynie umową co kryteriów. Jedni tak, inni inaczej widzą problem. Ludzie ulegli obrońcom inwalidów albo jeszcze ogólniej: niedoskonałość jest bardziej frapująca i podkreśla walory oceniających. Cóż za problem transponować historię o kotach na opowieść o podróżach? Jaka jednak podróż odpowiadałaby puszystości kota bez ogona?

Rozpiszmy konkurs na najbardziej atrakcyjną podróż. Może podróż dookoła świata albo obóz wędrowny na Mazurach, albo pielgrzymka pieszka do Rzymu. Ludzie staliby peany na temat Mauritiusa, Szeszeli, Malediwów, Zanzibaru, Wysp Zielonego Przylądka, Madery, Samoa i Nowej Kaledonii, a mieszkańcy na temat Nowego Jorku, Tokio, Paryża, Londynu i Kairu. No i jeszcze miłośnicy trekkingu górskiego – na temat wyprawy na Kilimandżaro, na Czomolungmę albo Ojos del Salado zdobytego przed wojną przez naszych, co mogłoby okazać się nie bez znaczenia dla przyznania pierwszego miejsca tej właśnie eskapadzie. A Ziemia Ognista, a australijski interior... Wszystko w rękach jury, co każdy mógł już zauważyć, bacznie śledząc dzieje konkursu poświeconego puszystości kotów. W naszej ojczyźnie, nie uwierzcie, zwyciężyłoby albo wejście na Ojos del Salado (z wiadomych względów), albo niewymieniona dotychczas podróż do wsi podlaskiej nad brzeg Biebrzy. Ktoś opowiadałby, że przecież komary nad Biebrzą są wielkie i kąśliwe jak szerszenie. Nikt takich żalów nie słuchałby. Pierwsze miejsce dla Biebrzy!

W takich momentach logika raczej się wycisza. Bywa jednak, że kontratakuje i pyta nonszalancko: a co to ma wspólnego z logiką? albo cytując Wittgensteina: światem są fakty w przestrzeni logicznej albo głosi szumnie: nie ma faktów, które mogą wydobyc się z nieistnienia. Wie jednak, że oba sposoby: ten lekceważący i te rozszerzające problem są tylko ucieczką ponad. Zwykle logika rezygnuje z dalszej dyskusji. A może to ja rezygnuję z logiki na rzecz podejścia bardziej życiowego, w którym to wola decyduje o dalszym ciągu zdarzeń.

Gromadził się we mnie jeszcze pewien rodzaj żalu czy smutku. Bez logiki w tle. Pozostawiam bowiem znane mi dobrze A dla niepewnego B, komputer stacjonarny dla laptopa, utarte mieszczańskie zwyczaje dla wycinania przejść maczetą, proste drogi dla krętych i zawikłanych, wytarte domo-

we chodniki dla śliskich stromych podejść. Nie to, że jadę w afrykański busz, ale zmiana A na B może ten filistersko-egzotyczny kontrast przypominać. Wiadomo, że takie zderzenie z czymś nowym eufemistycznie nazwać można przysługą. *Do widzenia wam, canto, cantare.*

A na zewnątrz zaleje moja żona.

- Czy pies nakarmiony?

- Czy kwiaty podlane?

- Czy popłacone rachunki?

- Tyle ci mówiłam, żebyś na schodach zamontował jakiś materiał antypoślizgowy.

- To pies z nami nie jedzie? – pytam z zaskoczeniem w głosie, choć dobrze wiem, że nie jedzie. Zaopekuję się nim siostra. Kwiatów nigdy nie podlewam, ale stwierdzam z pewnością:

- Kwiaty popłacone, rachunki podlane. Możemy jechać.

Wyłączam się. Taszczyć walizki cięższe od fortepianu i równie niewygodne. Znam poruszone tematy na pamięć. Mruczę więc coś pojednawczo, lecz brzmi, jak bym zarzucał żonie gadanie bzdur. Słyszę więc reakcję.

- Tobie zawsze wszystko jedno. A cała podróż na mojej głowie.

A i B należą do przestrzeni. Nie zapominajmy jednak o czasie. I to w dwojakim znaczeniu. Czas podróży jest zazwyczaj zaplanowany, podobnie jak miejsce, czyli cel, do którego zmierzamy. Południe Włoch. Podeszwa buta. Obliczamy tę wyprawę na trzy, cztery tygodnie z możliwym kilkudniowym wahnięciem. Ale czas, którego chciałbym tam dotknąć, czas, który ma przeze mnie przepłynąć... Właściwie nie jadę do Włoch, jadę do miast Wielkiej Grecji, do Tarentu, Metapontu, Sybaris i Krotony. Po drodze parę mniejszych. Jak, jadąc z A do B, dosięgnąć C. Komu w D, temu C, jak mawiał mój kolega.

Trzasnęły drzwi. Silnik zarżał rażąco. Znajome ulice jak na klatkach krótkometrażowego filmu. Świt. Majaczące wieżyczki Uniwersytetu Pomorskiego wyraźnie współpracują z logiką. Nie jest ci dość bajkowo na miejscu? My już dla ciebie nie takie piękne. Następne takie wieżyczki w Neuchâtel. Do Szwajcarii zaś się nie wybierasz. Siedź na miejscu. We Włoszech takich wieżeczek nie znajdziesz. Rozsądek jednak już wie, że wszelkie namowy znalazły się na straconej pozycji. Ja też wiem i odczuwam pewną satysfakcję, jakbym pokonał siebie w sobie, czyli wykazał silną wolę. Ale też wiem, że w razie niepowodzeń to myślenie powróci. A nie mówiam, mruknie wtedy logika.

Z tą silną wolą to nie jest takie jasne i przejrzyste, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało. Powiedzmy, że wybieram się na imprezę z kolegami. Stwierdzam przed sobą samym, że nie będę pił. Jednakże na miejscu, w lokalu, aby wykaazać silną wolę, łamię to postanowienie. I piję jak inni. I dumny jestem z okazania woli. Złamałem nawet swoją silną wolę. Opowiadam to kolegom. Nie bardzo rozumieją, o co mi chodzi. Pij, nie gadaj. Mówią tak, ponieważ nie dowierzają mojej kalkulacji. Nie to nie.

Nigdy człowiek nie przemieszczał się tyle, co teraz. Wariactwo podróżowania ogarnęło cały świat. Do czego to prowadzi? Mój prapradziadek był uczestnikiem wojny francusko-pruskiej. Jego jedyna podróż to przejazd eszelonem z Poznania do Karlsruhe, na miejsce koncentracji trzeciej armii pruskiej. Co ciekawe, tę samą trasę siedemdziesiąt lat później pokonał mój wujek jako przymusowy pracownik Deutsche Waffen und Munition, które to zakłady wchłonęły polskiego Cegielskiego, a wraz z nimi mojego wujka. Część personelu przeniesiono do Karlsruhe, wśród nich mojego wujka. Dla prapradziadka i wujka były to jedyne

podróże, nie licząc korzystania z połączeń kolejowych Poznań – Wągrowiec dla celów rodzinnych.

Każdy wierzy, że zobaczy w B coś, co wstrząśnie jego życiem i będzie mógł o tym opowiadać, opowiadać, opowiadać... i obnosić się z tym opowiadaniem z dumą i napuszeniem. Widziałem B, nie uwierzcie, jak wspaniałe jest B. Ach, B. O ile nie jest to podróż przymusowa, a może nawet i w takim przypadku, przyjemność jej wspominania, mimika i aktorska gra podczas cedzonych z zapałem słów mogą zrównać opowieść z oryginałem, a nawet go przewyższyć. Pewne wydarzenia zaiste potrafią wstrząsnąć. Mój prapradziadek, ten uczestnik wojny francusko-pruskiej, widział „chłop bez głowy”. Z pewnością ta historia utkwiła w jego wspomnieniach na zawsze. Ledwie mówił po polsku, ale tę swoją obserwację i wrażenie, jakie na nim wywarła, przekazał potomnym, również swojej wnuczce, mojej babce, która spolszczyła się do tego stopnia, że stawiała opór legalnej władzy niemieckiej, biorąc udział w polskich strajkach szkolnych. Nie przepadała za podróżami. Przed wojną do Poznania, po wojnie do Zielonej Góry, do Bydgoszczy, do Słupska. I na tym koniec. Drzemał w niej jeszcze stateczny wiek dzieciństwa. Kinder, Kirche, Küche. I tak odbywała się w niej podróż w czasie, do lat młodzieńczych jej dziadków. I choć nie potrafiła jak jej dziadek pokochać tysiącletnią Rzeszę, widziała w minionym czasie zasady, którym ją wiek dwudziesty się przeciwstawiał. Po buntowniczym dzieciństwie, kiedy wypełniła ją polskość od skroni po stopy, szukała już tylko bezpieczeństwa w wypełnianiu katolickiej nauki pod patronatem Świętej Trójcy. Któż zliczyłby datki złożone przez moją babkę na kościół. Nawet mój ojciec, bardziej ateista niż agnostyk, musiał wesprzeć swoją matkę, która podobawczy pieniądze z kiesy swego męża, mego dziadka, stwierdziła, że nie tylko nie ma za co dotować swojego probostwa, lecz także brak jej na zwrot długu i na życie. A dziadek był twardy w egzekwowaniu należności. Bała się. Ojciec pomógł, ale przestrzegł babkę przed nadmiernymi donacjami dla kościoła, który z pewnością nigdy nie odwzajemni się tym samym. Tak wyglądała jedyna prawdziwa podróż mojej babki. Podróż do wieku dzieciętnego, a ideowo do wiary katolickiej per fas et nefas.

W B zobaczysz tyle, co w A, szepcze logika. Weźmy takiego Stanleya i Livingstone'a. Widziałem, że będę musiał o nich wspomnieć, kiedy stwierdziłem, że niełatwo dopaść podróżującego nawet rozumiejącemu mowę tam-tamów i dymnych znaków. Na tych podróżników nadzieja się każdy, kto z powagą chce planować lub analizować podróż. A jeszcze ten przeklęty rok 1871. Przypominam, dobiega kresu wojna francusko-pruska. Notabene, czy ona jest prusko-francuska czy francusko-pruska, zależy od punktu widzenia. Mój prapradziadek mówił zawsze o wojnie francusko-pruskiej, ponieważ Francja ją wywołała. Tu relacjonująca te słowa moja babcia stawała na baczność i spoglądała w niebo, bo tak oburzał swoje słowa mój przodek.

Doctor Livingstone, I presume, rzekł Stanley z angielską flegmą, kiedy odnalazł go w afrykańskiej dżungli. W dzieciństwie widywałem tych dwóch dżentelmenów w egzotycznej scenarii znaczków pocztowych. Tu równoległość czasu, rzekłaby logika, nie miała żadnego wpływu na życie ani angielskich podróżników, ani moich antenatów. Rok 1871 to czasowa koincydencja, przypadkowe nałożenie się dat. Nie można zapominać atoli, że Francja również należała do państw kolonialnych. Bij koloniza-

torów, mógł rzec Żelazny Kanclerz swoim podwładnym na odprawie w przeddzień przewidywanego marszu Francuzów na Saarbrücken. Scałić Niemcy i wziąć się za kolonizatorską robotę, bo ci wszyscy Angole cały świat rozparcelują między siebie. Mocno zazdrościł Anglii, Francji, Hiszpanii, Portugalii a nawet małej Holandii i Belgii. I niebawem ją Żelazny Kanclerz realizować swoje marzenie imperialnych Niemiec. Skąd by się wzięły Wyspy Bismarcka? Było szereg innych zdobyczy. Nota bene, ów archipelag tak blisko Wyp. Trobriandzkich, na które tak namawiał Witkacego Bronek Malinowski.

Za moich znaczkowych czasów to było życie-legenda. Spotkanie Stanley – Livingstone pośród bezmiarów Afryki (nie znamem jeszcze wyprawy Jana Nowaka, listonosza poznańskiego, pół wieku później) uchodziło w moich oczach za jakiś bliski cudu przypadek. Nawet Belgijskie Kongo wymiatało serię znaczków z popiersiem Stanleya. Nie mówiąc o Ameryce i Anglii. Angielscy i amerykańscy podróżnicy, jeśli nie liczyli się z pieniędzmi, to polegali na prastarych fundamentach kolonializmu. Livingstone z racji swego duchowienia był przeciwnikiem niewolnictwa, Stanley popierał je i wykorzystywał. Obaj pobierali pensje w krajach kolonialnych. To pierwsi nauczyciele nowożytnej demokracji w dzikich ostepach Afryki.

Przemierzamy Westerplatte. Wojskowa ulica. To tu Huzarzy Stupscy urządzili fetę Blücherowi, kiedy odwiedził ich po Waterloo. Stupszczanki wspominały ten dzień przez lata. Rozchwytywane były przez wojaków. Nie musiała być piękna, nie musiała być mądra... Natomiast przewidujący rozwój wypadków rodzice, to w końcu faza wstępa dziewiętnastego wieku, zamykali dziewczęta w domu, mimo wewnętrznego oporu swoich pociech. Nie będą nam ułani córek i siostr chędożyć! Co nasze, nie wasze! To nasza cnota, nie wasza, krzyczały dziewczęta w obronie huzarów. Nawet Blücher nie mógł protestować, na zbyt wysokim stanowisku już był. Ach, niech w domach zostaną – przekonywał – w końcu przecież wyjdą.

Podróże, jeśli nie nagle przedsiębrane, jeśli nie wymuszone jakimś wydarzeniem, na które natychmiast trzeba zareagować i ruszać w jedną albo i w obie strony, mają swoje praprzyczyny, a potem powolne narastanie wyobrażeń, utwierdzanie się w kolejnych obrazach i przekonaniach, i wreszcie ekspozycję celu wyprawy, mozolne i drobiazgowo przygotowania, a wreszcie zapakowanie samochodu po brzegi. Bez tej podróży będę się poruszał jak niewidomy, myśli każdy zafascynowany jakimś prawdydzeniem. Malarz i rzeźbiarz marzyłby o Włoszech, o Rzymie i Florencji. Tylko tam dotknę sztuki, myślęliby, często jakby zapominając o swoim talencie.

Na etapie wyobrażeniowym podróży wydumam sobie głaz, na którym przysiadł Pitagoras podczas krotkońskich spacerów, a jego uczniowie czcili potem to miejsce jako święte, zwłaszcza akuzmatycy, szczególnie wyczuleni na wierność drobiazgowym zasadom Mistrza. To jasne, że aby to sobie wyobrazić, przeczytałem *Żywot Pitagorasa* Porfiriusza, potem *O życiu pitagorejskim* Jamblicha, a wreszcie streszczenie anonimowego traktatu w *Bibliotece Focjusza*. Oczywiście, sięgnąłem do *Listów Platona* oraz do Diogenesa Laertiosa, do którego zagląda każdy zainteresowany jakąś postacią z greckiego antyku. Zagłębiłem się zatem w starożytności greckiej, dziś włoskiej, bo tyżące się Spodu Buta i Sycylii. To tam ruch pitagorejski poczynił zmiany w umysłach helleńskich największe, tak wielkie, że dotarły do bram Aten, do Platona i jego następców. Nietuzinkowym myślicielem być musiał Pitagoras, skoro tylu

politycznie wykształconych obywateli przyciągnął, lub nie lada szubrawcem i oczajduszą, skoro Heraklit i Herodot tak krytycznie o nim się wypowiadali, albo, jak niektórzy współcześni lansują, szamanem, jedynym takim greckim pośrednikiem między bogiem i ludźmi. To współczesne podejrzenie – raczej niemożliwe. Nie mógł być szamanem, bo to techniki scytyjskie albo jeszcze dalsze, stosowane w regionach przez Hellenów niepenetrowanych, o wiele dalszych niż te zamieszkiwane przez Hiperborejczyków. Był co prawda Abarys. Mówiono, że Scyta. I podobno aithrobetes (wędrujący w powietrzu). Posiadał strzałę darowaną mu przez Apollina, dzięki której przemieszczał się ponad przeszkodami. Przebywał w szkole Pitagorasa. Dał rzekomo tę strzałę Mistrzowi. Mógł coś wiedzieć o szamaństwie Pitagorasa. Jak Hellenowie uwierzyć by mogli komuś takiemu i dać się przekonać? Owszem, lubili nowinki w sferze duchowej, ale nie rewolucje. Starczali orficy, miłośnicy Dionizosa. Pitagoras budził raczej apollinijskiego ducha w Hellenach.

Najszerzej o Pitagorasie i pitagorejczykach rozprawia Jamblich. Pośród opowiadanych historii, których większość nawiązuje do mistyki i gnozy, a ponadto tchnie chrześcijańskim umiłowaniem przypowieści, znalazła się jedna opowieść miłosna o mocy *Romea i Julii*. W żadnym innym źródle niż u Jamblicha nie znalazłem dziejów Mylliasa i Timychy. Miłość za wszelką cenę, za bycie i niebycie razem, za wierność pitagorejskim zasadom, na śmierć i życie. To dziwne i ciekawe, że nikt tej opowieści nie wziął na poważnie. Nikt przed Jamblichem do niej nie wrócił. A Jamblich z siedemset lat po Pitagorasie i z sześćset po Mylliasie i Timysze zamieścił tę historię w *Peri biou Pythagorikou*. Od czasu tej lektury moimi bohaterami stali się owi kochankowie. Czytałem ich perypetie po polsku i w greckim oryginale. Odwiedziłem Sycylię. Czyli już jedną podróż poświęciłem pitagorejczykom. Chciałem więcej dowiedzieć się o samym Mistrzu.

Pitagorejscy mędrcy nie myśleli o świecie otwartym. Chcieli ograniczać świat: my i nikt więcej; to my znamy prawdy rozumu i prawdy duszy. O pitagorejskiej duszy później. I mieli szansę na zawłaszczenie ludzkich dusz. Byli bezpretensjonalnym wzorem uczciwości, wierności i sprawiedliwości, w tym sensie, że nie ubiegali się o nagrody, apanaże i poklask. Oczywiście, ta bezpretensjonalność była ceną, którą płacili za współbrzmienie w helleńskich poleis. W podróży, którą odbył Pitagoras, istniało tylko B, wykształcenie norm, które stanowić będą o jedności, zespoleniu grupy wedle muszkieterskiej zasady: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Była na to szansa w Krotonie, a pewnie i w innych miastach, ale nawet uczciwość, braterstwo i oddanie zasadom podane w nadmiarze i traktowane jak dogmat potrafią obrzydzić nawet najszlachetniejsze dzieło. Poza tym, czy ludzie tego chcieli? Ludzie nie chcą dobrego, chcą natomiast dużo dla siebie i według siebie. Gdyby było inaczej, do tej pory rządziłiby nami pitagorejczycy. Nie tylko w Italii. Które byliby to pokolenie i jakich zmian dokonało? Strach pomyśleć, mimo iż ludzie ci wydawali się przedstawicielami wielkiego szacunku

i umiaru. Niestety (na szczęście dla rozmaitości) ludzie mają niezwykłą zdolność do tworzenia opozycyjnych koterii, nawet jeśli wszystko gra i zmierza we właściwym kierunku. Pokusiłbym się nawet o tezę, że zwłaszcza wtedy, kiedy idzie dobrze, szukają wyłomów, żeby wszystko zepsuć. Nie inaczej było w łonie tego helleńskiego bractwa.

Pitagorejczycy zmierzali ku zawłaszczeniu ludzkich umysłów. Nie ma żadnych wątpliwości, że próbowali podporządkować sobie scenę polityczną południa Italii. Z przekonaniem wywierali presję na obywateli. Z wiarą we własne postannictwo i z wiarą we własne zasady. Pitagorejska słabość, jak mogli oceniać ich silne poczucie moralności przedsięwzięcia i ruchliwi Hellenowie, okazywała się siłą w zamkniętych poleis, w Metaponcie, w Tarenzie czy w Krotonie. Co ich położyło? Wedle mojego śledztwa, spory wewnętrzne. Akuzmatycy, którzy dogmatom dali pierwszeństwo, mocno przeciwstawili się matematykom, którzy za cel bractwa pitagorejskiego uznali naukę. Nauce i wierze trudno współistnieć, jeśli przychodzi wytyczać wspólne cele w imię koinonii. Nie zapominajmy o niezwiązanych z bractwem Hellenach. To oni decydowali o każdej polis. Mogli nie lubić rządów akuzmatyków i rządów matematyków. Ponadto również matematycy potrafili stosować słowe metody, twierząc, że mądrość daje im do tego prawo. Taka wspólnota nie ma szans na przetrwanie. Akuzmatycy kierowali się zasadami, miriadami skrupulatnych wskazań życiowych bez żadnych motywów poza jednym: *autos efa*, czyli Mistrz tak powiedział. Przystąpiłbym raczej do matematyków, gdybym wtedy żył i gdyby ktoś złożyłby mi taką propozycję. Czy podział na akuzmatyków i matematyków istniał od początku, czyli od czasów związku kierowanego przez Pitagorasa. Podejrzewam, że nie pojawił się od razu de nomine, ale istniał de facto. Potem rozgorzał na dobre.

ANDRZEJ KATZENMARK



Po pracy chciał jeszcze wstąpić do sklepu z używaną odzieżą, gdzie czasem kupował stare angielskie książki, ale po drodze się rozmyślił. Ten dzień dał mu w kość - dzieci były nieznosne, złośliwe i krnąbrne - więc postanowił wracać prosto do pałacu. Po drodze jednak zmienił plan i wstąpił do zaprzyjaźnionej księgarni, gdzie lubił przechadzać się od półki do półki, brać do ręki tę czy inną książkę, żeby przeczytać tylko jedno zdanie - pierwsze zdanie, które w jego mniemaniu stanowiło coś w rodzaju papierka lakmusowego służącego do szybkiego określania wartości literackiej dzieła. Lubiał myśleć, że ten sposób błyskawicznej weryfikacji jeszcze nigdy go nie zawiodł, choć być może sztucznie podtrzymywał swoją iluzję. Bo iluzja grała w jego życiu wielką rolę i uważał, że jest dla życia nieodzowna. Odarta z niej egzystencja była zaledwie zlepkiem niepokojów i lęków.

W księgarni czekało go spore rozczarowanie. Całe pomieszczenie wypełniali poirytowani o b c y ludzie wymachujący kartkami z zestawami podręczników. Natychmiast się wycofał. Przemknęło mu przez myśl, że trzeba jakoś przetrzymać ten najazd hord barbarzyńców. Niech poczciwi właściciele sklepu zarobią, żeby potem mogli mu dawać hojne rabaty na książki, których wygórowane ceny zawsze zdawały się ich szokować. Kiedyś jeden z nich nawet skomentował jego zamówienie:

- Bardzo drogie książki pan kupuje. - powiedział, spoglądając na cenę.

- To jedyne luksus, na jaki mnie stać. - odpowiedziałem żartobliwie, choć przecież nie była to prawda.

Wyszedł z księgarni nieco rozczarowany, bo akurat dziś chciał wręczyć sobie nagrodę w postaci kolejnego tomu Dziennika Sando-ra Marai. Miał być to zadośćuczynienie za znojną pracę w szkodliwych warunkach. Na ulicy przystanął i rozejrzał się, jakby był w tym miasteczku po raz pierwszy. Czasami przytrafiło mu się coś takiego i kiedyś myślał nawet, że to symptom jakiejś straszliwej choroby w rodzaju Alzheimera, ale trwało to już latami i nie dostrzegał żadnej eskalacji.

Zaczęło mżyć. Wstrząsnął nim dreszcz, bo kilka lodowatych kropelek wpadło mu za koltierz. Pomyślał, że już chciałby z powrotem znaleźć się w pałacu. Najchętniej nigdzie by się z niego nie ruszał, ale trzeba było chodzić do pracy i zajmować się aprowizacją, bo jego sędziwa matka, z którą mieszkał, od dłuższego czasu nie wychodziła. Myśl o przytulnych pałacowych wnętrzach sprawiła, że przyspieszył kroku. Najbardziej lubił spacerować po labiryncie korytarzy tej gigantycznej budowli i te jedyne w swoim rodzaju momenty, kiedy czasami przypadkowo trafiał do nigdy wcześniej nieodwiedzanych komnat w odległych skrzydłach gmachu. Każdy mroczny korytarz mógł być zapowiedzią kolejnej przygody, bo pomieszczeń było bez liku, a niektóre z nich zawierały zdumiewające kolekcje obrazów i innych artefaktów. Ileż się nauczył podczas tych samotnych eksploracji pałacu! Nigdy nie miał dość, a do tego wszędzie rozbrzmiewała muzyka. Czasem były to barokowe koncerty instrumentalne, innym razem romantyczne tria fortepianowe, które uwielbiał. Potrafił godzinami chodzić od komnaty do komnaty, podziwiając ich wystrój. Czasem w pomieszczeniu znajdowała

się jeszcze jedna para drzwi. Zawsze otwierał je z lęklwym zaciekawieniem i ostrożnie wkraczał na niezbadane jeszcze terytorium. Ostatnio okazało się, że od przypadkowo odkrytego pomieszczenia odchodzi mroczny łącznik, którym można przejść do ogromnej sali balowej, skąd rozlatała się zapierająca dech widok na pradawną puszcę. Przez dłuższy czas stał jak oniemiały i mało brakowało, a spóźniłby się na kolację. Matka miała usmażyć jego ulubione pstrągi, więc musiał szybko wrócić, bo robiło się późno. Przez moment przestraszył się, że nie trafi do swoich dobrze znanych części pałacu. Wycofał się, szybkim krokiem przeszedł przez niezbadane jeszcze komnatę i z przerażeniem stwierdził, że nie wie, w którą stronę iść. W końcu przypomniał sobie, że trzeba skrócić w lewo i już pewniejszym krokiem poszedł długim korytarzem. Kiedy, minąwszy kolejny zakręt, poczuł zapach smażonej ryby, odetchnął z ulgą.

- No! W samą porę! - wykrzyknęła staruszka na jego widok. - Wołałam i wołałam.

- Nie słyszałam. - odpowiedział zgodnie z prawdą i usiadł przy stole.

Po chwili matka weszła z ciągle syczącą patelnią i wywiczonym ruchem zsunęła rybę na jego talerz. Dotknął pstrągą widelcem i z satysfakcją stwierdził, że skóra jest bardzo przypieczona. Zjedli razem i zaraz potem powiedział, że chce jeszcze trochę poczytać w swoim gabinecie. Matka nie miała nic przeciwko, a nawet dyskretnie odetchnęła z ulgą, bo chciała w spokoju obejrzeć kolejny odcinek swojego tureckiego serialu. Uśmiechnął się do niej i wyszedł z salonu. Chciał jeszcze położyć po pałacu, bo od jakiegoś czasu kusiło go wschodnie skrzydło, gdzie niedawno odkrył pomieszczenie z dużą ilością gablot. Było tam zgromadzone całe archaiczne wyposażenie biura. Nawet naszkicował sobie schemat drogi, bo trasa była dość skomplikowana, ale po zastanowieniu zrezygnował z pójścia tam. Po prostu zrobiło się bardzo późno, a miał jeszcze sprawdzić kartkówki. Tak było przed kilkoma dniami...

Teraz pospiesznie wszedł do auta, bo rozpadało się na dobre. Głęboko odetchnął. Lubiał samochodowe wnętrza, bo zawsze, niezależnie od okoliczności, panował tam spokój. Nie przeszkadzało mu nawet lekki odorek wilgotnej szmatki, którą przecierał szyby. Tym razem nigdzie się nie zatrzymywał i pojechał prosto do domu. Przywitał się z matką i pospiesznie zjadł duszonego kurczaka. Mimo wielokrotnych napomnień, rodzicielka znowu użyła margaryny do przygotowania tej potrawy i ziemniaki wprost tonęły w tłuszczu.

- Będziemy dziś oglądać Ojca Mateusza? - zapytała po obiedzie.

- Dziś to chyba nie... - powiedział z wahaniem, bo nie lubił jej odmawiać. - Mam dużo roboty.

Nie była to prawda. Po prostu chciał po obiedzie pójść do wschodniego skrzydła i dokładniej obejrzeć kolekcję archaicznych sprzętów biurowych. Matka włączyła telewizor i natychmiast zapomniała o bożym świecie. On w tym czasie po cichu otworzył drzwi na korytarz i pewnym krokiem poszedł ku niemal zupełnie nieznanemu części pałacu. Tym razem się nie zgubił, bo poprzednio dobrze zapamiętał drogę. Po dziesięciu minutach otworzył ciężkie drzwi i wszedł do

chłodnej komnaty z gablotami. Potem przez ponad godzinę otwierał je i dotykał zgromadzone tam przedmioty. Gładził twarde powierzchnie kineskopowych monitorów, brał do ręki dyskietki i różnej wielkości kalkulatory. Była tam nawet maszynka do liczenia, która przywiodła mu na myśl czasy, kiedy matka była jeszcze czynną zawodowo i pracowała jako księgowa. Podczas bilansów kwartalnych przynosiła do domu wielkie pęczki zestawień i właśnie taką maszynkę. Potrafiła błyskawicznie wystukiwać sumy bez patrzenia na klawisze, co zawsze go zdumiewało i przepełniało podziwem. Ojciec w tym czasie piekł kiebasę w piekarniku. Do tej pory pamiętał jej smak i rumianą, popękaną skórę.

Na koniec wizyty w tym mini-muzeum podszedł do szafy na dokumenty i wysunął jedną z szuflad. Były tam jakieś akta, ale puste, bez żadnych adnotacji. Usiadł na moment na obrotowym krześle i odepchnął się stopą. Krzesło zawirowało i przez chwilę było jak na karuzeli. Robił tak czasem w swoim gabinecie. Nagle poczuł się nie-swojo. Ogarnął wzrokiem wszystkie martwe sprzęty i wyobraził sobie ludzi w tym biurze. Przez moment w wyobraźni usłyszał gwar rozmów, dzwonek telefonu i szum kserokopiarki. Zdawało mu się, że ktoś zwraca się do niego, na ramieniu poczuł delikatne dotknięcie i gwałtownie wrócił do rzeczywistości. Czym prędzej wstał i wyszedł z pomieszczenia, dokładnie zamykając drzwi. Obiecał sobie w duchu, że w przyszłości będzie omijał tę komnatę...

Następny dzień był w szkole piekłem, do którego wizja Memlinga mogłaby tylko aspirować. Infernalne wrzaski, roziskrzona przekorą uczniowskie oczy, do tego kontrola dokumentacji i na deser niezapowiedziany alarm przeciwpożarowy, podczas którego dzieci rozpieczętowały się na wszystkie strony. Już po trzech lekcjach zaczął tęsknić za pałacem z jego labiryntem korytarzy i niezliczonymi komnatami. Na resztę dnia zaplanował sobie dalszą eksplorację wschodniego skrzydła i ta myśl pomogła mu przetrwać. Uciekł z budynku szkoły, jakby gonił go wyjątkowo niebezpieczna szajka. Sygnalizacja świetlna zdawała się rozumieć, w jakim jest stanie i zapewniła mu zieloną falę, dzięki której był w domu już po piętnastu minutach.

- W samą porę! - wykrzyknęła matka na jego widok. - Ziemniaki już się gotują.

Zjadł obiad w pośpiechu, łapczywie połykając duże kawałki schabowego. Odniósł talerze do kuchni i od razu skierował kroki tam, gdzie tak bardzo chciał już być. W tym samym czasie matka usadowiła się na kanapie i włączyła telewizor.

Wszedł do swojego gabinetu i natychmiast zwrócił uwagę na nienaturalny porządek. Wszystko zdawało się poprzestawiane. Poszukał wzrokiem słownika, ale nigdzie go nie było. Sprawdził na półce i pod biurkiem. Oblał go zimny pot.

Wpadł do salonu.

- Gdzie mój pałac? - wrzasnął.

Matka podskoczyła przerażona.

- Jaki znowu pałac?

- Słownik! Gdzie słownik?! - dyszał.

- A... Słownik. - odpowiedziała uspokojona. - Wyrzuciłam do śmieci. Taki był już podarty. Porządek ci zrobiłam w pokoju.

Rudy Alfonso
Gomez Rivas

Tłumaczenie Kalina Izabela Ziota



Rudy Alfonso Gomez Rivas (ur. Aguacatan, Gwatemala. 2 lipca 1977). Pedagog, pisarz, redaktor, menedżer kultury. Laureat wielu nagród literackich. Jego wiersze tłumaczone były na język polski, rosyjski, ukraiński, chorwacki, chiński, serbski, ormiański, wietnamski, węgierski, macedoński i bułgarski i publikowane w zagranicznych magazynach i czasopiśmie literackich.

Opublikował zbiory poezji: „Morze w sercu psa”, „Tęsknota”, „Arena śmierci”, „Minuta zero”, „Nieśmiertelna śmierć”, „Cisza jako wynalazek”, „Papierowe ptaki”, „Zimne ognisko słów” oraz zbiór prozy „Wydzielenie lokatorów”. W 2022 roku została wydana w Polsce jego dwujęzyczna hiszpańsko – polska książka „En la telaraña de los sueños / W pajęczynie snów” w tłumaczeniu Kaliny Izabeli Ziota. Uczestniczył w krajowych i międzynarodowych kongresach, spotkaniach, targach książki i festiwalach. Dyrektor magazynu literackiego Voces Convergentes i wydawnictwa CAFÉINA EDITORES. Założyciel i organizator Międzynarodowego Festiwalu Poezji Aguacatana FIPA.

Rudy Alfonso Gomez Rivas był wielokrotnie publikowany w Polsce, w czasopiśmie literackich i kulturalnych takich jak ReWiry, AKANT, Migotania, LiryDram, Gazeta Kulturalna, Protokół Kulturalny i największa literacka gazeta internetowa Pisarze.pl

W roku 2022 Kapituła Nagrody Literackiej im. Klemensa Janickiego IANICIUS przyznała Rudy’emu Alfonso Gomezowi Rivasowi to wyróżnienie za wybitną twórczość poetycką oraz międzynarodową działalność kulturotwórczą.

W roku 2023 Kapituła przyznała mu Nagrodę WŁADYSŁAW za oryginalną twórczość poetycką, międzynarodową działalność kulturotwórczą oraz ochronę dziedzictwa narodowego i propagowanie kultury Gwatemali na świecie.

PIEŚŃ GRADU

I

Rzeczowniki zniesmaczone
pamięcią much,
nieunikniony poranny blask
który jest pełen ropuch
i grad pokrywający rozległe przełęcz.
Bractwo skał
śpiewających na krawędzi dziwnych map,
jaskółki, niosące zimę
i odtwarzające pamięć twoich dłoni.

II

Na skraju nocy
twoje imię rozbrzmiewa jak pszczeli rój
jak otchłań chlorofilu pozbawiona światła
i pełna długich godzin.
Na skraju nocy
pojawiają się domysły
które pamiętają, że jesteśmy garstką luster i latarni.
Na skraju nocy
twój cień wibruje wśród pracowitych rąk
i głębokich pocałunków jakie dają słoneczniki.
Na skraju nocy
twoje imię to piosenka wśród kwiatów pomarańczy
twoje imię – implozja która wymyśla alebrijes.

Alebrije to wyimaginowana istota złożona z połączonych elementów kilku różnych zwierząt, fantastycznych lub rzeczywistych, które tworzą fantastyczną istotę. To rękodzieła wykonane z kartonu lub papieru, malowane przeważnie na wesole, żywe kolory.

III

Kryształy rozmywają się przed oczami pszczoł.
Pieśń gradu jest uroczysta,
utrwała zapach chryzantem
i tysiące oczu, które obserwują
chwilę i jej śmierć.
Pieśń gradu jest solidna,
wybucha,
rozrywa blizny
oraz autentyczność czasu i jego wskazówek.

IV

Pod moimi palcami
są oazy, które budzą się wraz z nocą.
Pod moimi palcami
są kompas, które tkają aleje,
perfumują ślimaki.
Pod moimi palcami
jest nędza, pozostawiona przez otchłań za oczami,
hieny złamanego serca i delirium.
Pod moimi palcami
jest piosenka, która ostrzy noże
i oddaje spontaniczność światła i jego ptaków.
Jestem pod moimi palcami
i nie poddaję się.

PIEŚŃ XV

Odwrócona pieśń
 to serce które wyje
 w przedpokoju
 wielowarstwowego śmiechu.
 Odwrócona pieśń
 to winorośl która dojrzewa
 na paznokciach
 i rozdziera zdanie
 wielobarwnego pocałunku.
 Odwrócona pieśń
 to kanarek
 który przedłuża lot
 i pluciem
 rozdziela
 grymas ciszy
 w rękach wypełnionych morzami.
 Odwrócona pieśń
 to sandał
 który podąża drogą słońca
 i migranta
 przechodzącego przez monologi
 pełne kataklizmów.
 Odwrócona pieśń
 to brzeg
 ukazujący wiarę poematu.

INNE SPOSOBY CHODZENIA

Psy rozpoznają ścieżki
 które niegdyś chroniły nasze stopy,
 kora to półprzejrzyste motyle,
 gdzie dzieci bawią się potajemnie
 podczas gdy komety rozwiewają sny.
 Psy rozpoznają ścieżki
 które kiedyś były kompasem dla naszych lęków,
 szczekanie to tęcza, która gasi nostalgię za wczoraj,
 to wymyślanie na nowo niespełnionych marzeń.
 Psy rozpoznają ścieżki,
 które kiedyś były kometami
 dającymi nadzieję,
 rodzącymi uściski.
 Cierpimy każdego dnia,
 przestajemy czytać między wierszami
 i zapominamy, że marzenia,
 kompas
 i komety są innym sposobem chodzenia.

OBIECUJE CI MIŁOŚĆ

Obiecuję Ci miłość,
 bo moje palce tęsknią za Twoją skórą
 i chcą otworzyć pusty horyzont Twoich ust.
 Obiecuję Ci miłość,
 ponieważ Twoje jasne oczy zamieniły się w słońce moich wschodów,
 a Twoje milczenie w motyle, które wypełniają moje noce czułością.
 Obiecuję Ci miłość,
 bo znam miękkość moich palców, wiem, że to będzie święto
 i zatańczysz z nimi przez jedną ognistą noc.

Michał Skrętek

Człowiek ten, imieniem Giacomo, przeżywszy lat dziewięćdziesiąt, opuścił ziemski padół dzisiejszego poranka. Ponieważ do końca dnia chciano załatwić wszelkie formalności związane z pochówkiem zmarłego, u drzwi jego doczesnego domostwa zgromadzili się żatobnicy, których, zbliżywszy się nieco, naliczyłem około dwanaścioro.

Starszy mężczyzna, równie wiekowa, włoska dama, kilka młodszych kobiet, mężczyzn w wieku co najwyżej Chrystusowym, i kilkoro biegających wokół dzieci. W chwili gdy zawiesiłem wzrok na tej niezwykle podniosłej, niemniej intymnej, ceremonii trzech mężczyzn podpiętych do żatobnego wystroju gondoli, aby doczesne szczątki Giacomo wydrzeć z objęć tych, którzy go kochali, a teraz tak namiętnie opłakują swego męża, brata, ojca i dziadka.

Wszystko to działo się w letnie popołudnie.

wspomnianej książki, rozsiadł się wygodnie na tronie niczym książę na literackim konsystorzu? Wśród innych książąt literatury, uhonorowanych przez Szwedzką Akademię, mógłby, na fotelu obok, spotkać Ernesta Hemingwaya (Nobel 1954r.). Autor „*Lotty w Weimarze*” spędziłby w ten sposób ostatnie dwanaście miesięcy swego życia mając świadomość, że ten oto młokos z Oke Park w Illinois, jest teraz, jak Mann w 1929 roku, wywyższony do rangi literackiego bóstwa.

Urodzony w 1875 roku Tomasz Mann opublikował „*Buddenbrooków*” w trzecim roku życia Ernesta Hemingwaya, i w pierwszych dwunastu miesiącach nowego wieku, w 1901 roku. Za tę zresztą powieść Mann otrzymał literacką nagrodę Nobla, którą odebrał dwadzieścia osiem lat później. Kilkanaście lat po „*Buddenbrookach*” ukazała się „*Śmierć w Wenecji*” – powieść, której skandalizującego charakteru nie powstydzili by się autor „*Lolity*” – Władimir Nabokow.

Opisem zakazanego, platonicznego uczucia dojrzalego austriackiego pisarza – Gustawa von Aschenbacha do młodego, polskiego chłopca – Tadeusza, Mann wchodzi na drogę literackiego, i obyczajowego, skandalu, którego próżno szukać w przepełnionych duszną atmosferą XIX

– Tomasz Mann uznał, że należy iść dalej. Czyżby literacka nagroda Nobla ośmielała laureatów do werbalizacji myśli i przekonań, których nie wypowiadają oni przed ceremonią dekoracji?

W „*Szkicu autobiograficznym*”, stanowiącym część większego zbioru tekstów Manna o tej tematyce, autor zastanawia się, m.in.: „Jeśli nagroda należała mi się tylko za „*Buddenbrooków*” i już na tę książkę, dlaczego nie otrzymałem jej dwadzieścia pięć lat wcześniej? Pierwsze odgłosy, że na Północy zaczęto łączyć moje nazwisko z tą instytucją, doszły mnie w roku 1913, po ukazaniu się „*Śmierci w Wenecji*”⁴.

Jeśli przyjmiemy ten punkt widzenia należałoby zastanowić się nad rolą i znaczeniem sztuki w życiu społecznym, a także jej wpływem na życie człowieka. „*Eviva l'arte! Człowiek zginąć musi!*” powiada w pierwszych wersach swego utworu Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Manifest ku czci artysty, jak powiada autor – „króla bez ziemi” – jest metaforą tego właśnie uczucia, któremu swój utwór poświęcił Tomasz Mann.

Wnioskować stąd należy, iż istotą dobrej literatury jest tragizm, a postawa ta, poparta odpowiednio dużą dozą obyczajowego zgorszenia, wydaje się być po dwókróć

W SALONIE BUDDENBROOKÓW CZYLI DRUGIE ŻYCIE TOMASZA MANNA

dnie, roku pańskiego 2023, u brzegów Canale Grande, w mieście, którym już przez setki lat przed urodzeniem Giacomo niepodzielnie władali dożowie. Czy śmierć w mieście tak pełnym stońca, szumu wody i włoskiej miłości życia nie wydaje się być abstrakcją w najczystszej postaci tego pojęcia?

Miejsce to, pilnowane przez skrzydlatego lwa, spoglądającego złowrogo na najeźdźców zmierzających od strony laguny, wielokrotnie było sceną oraz inspiracją dla każdego wrażliwego na zjawiskowe piękno Wenecji. Takimi byli: William Szekspir („*Kupiec wenecki*”), Ernest Hemingway („*Za rzekę, w cień drzew*”) oraz Tomasz Mann („*Śmierć w Wenecji*”).

Zagadnienie, które pragnę tu poruszyć jest jednakże bardziej skomplikowane niżby się każdemu, kto czyta te słowa wydawało. Będąc winnym czytelnikowi wyjaśnienie powiem jedynie, iż w istocie w letnie popołudnie 2023 byłem przypadkowym świadkiem opisanego powyżej zdarzenia, które dla zebranych było bezmiarem tragedii, nieporównywalnym z hektolitrami wody przepływającej wówczas korytem Canele Grande.

Nieboszczyk ów (z książki Manna) nie miał na imię Giacomo, a całe zdarzenie rozegrało się dużo wcześniej, i miało podłoże szczególnej natury. Wenecja, w kontekście śmierci, kojarzy się z Mannem, lecz czy tylko? Wspomnianego Hemingwaya zapytano kiedyś czy autor „*Śmierci w Wenecji*” jest dobrym pisarzem? Na to autor „*Za rzekę, w cień drzew*” stwierdził beznamiętnie, iż: „Byłby wielkim pisarzem, gdyby nigdy nie napisał nic poza „*Buddenbrookami*”¹. Czyżby każda kolejna publikacja przyćmiewała blask chwyt bohaterów z Lubeki?

Cóż byłoby, gdyby Mann, poszedłszy za radą Hemingwaya, poprzestał na publikacji

wiecznego, niemieckiego mieszczaństwa „*Buddenbrookach*”.

O tym, że wydarzenia opisane w „*Śmierci w Wenecji*” są wynikiem faktycznie zaistniałych obserwacji autora dowiadujemy się, m.in. ze wstępu do zbioru listów Manna, adresowanych do Ottona Forst-Battaglii (1889-1965), jednego z najbardziej aktywnych propagatorów polskiej kultury za granicą. W owym wprowadzeniu czytamy, m.in.: „Jak zapamiętała występująca również w „*Śmierci w Wenecji*” nauczycielka polskich dzieci... Irena Drozdowska, zainteresowanie sławnego już wtedy autora „*Buddenbrooków*” pięknym chłopcem było tak widoczne, że skłoniło matkę do otoczenia Adzia szczególną opieką”². Pierwowzorem postaci nastoletniego Tadeusza z powieści Manna był, mieszkający w podwarszawskim Komorowie, Władysław Moes.

W jednym z listów do Battaglii, z 27 stycznia 1930 roku, Tomasz Mann pisze zdziwiony: „Otrzymałem Allgem [eine] Rundschau z 7 grudnia, a także odnalazłem piękny artykuł, który tak wielkodusznie stara się, by przemówił żar serca oraz tolerancja. Bardzo zaskoczyły mnie pańskie uwagi o „*Śmierci w Wenecji*” z katolickiego punktu widzenia, bo mogłem już uprzednio zauważyć sympatię dla tego opowiadania w sferach katolickich, jak też i to, że jego recepcja we Francji była silna, bezpośrednia i pełna aprobaty”³.

Główny bohater wspomnianej książki Hemingwaya – pułkownik Richard Cantwell, także umiera w Wenecji, lecz jego motywy są zupełnie innego rodzaju. A Mann? W jego przypadku wygląda to tak, jak gdyby po nagrodzonych Noblem „*Buddenbrookach*” – niemieckiej wersji „*Na wschód od Edenu*” (John Steinbeck)

² T. Mann, „Tomasz Mann. Listy do Ottona Forst-Battaglii”, PIW, Warszawa 1973, s. 5.

³ T. Mann, „Tomasz Mann. Listy...”, s. 43.

skuteczna. Chory na serce płk. Cantwell, bohater Hemingwaya, ginie z własnej ręki, zmagający się z tym samym schorzeniem Aschenbach umiera na cholerę, której epidemia ogarnia wyspę Lido.

W czasach licealnych usłyszałem od naszej nauczycielki języka polskiego zdanie, które wryło mi się w pamięć pozostając żywe do dnia dzisiejszego. Stwierdziła ona mianowicie, iż „trzeba być nieszczęśliwym, aby być romantycznym”. Ja, po dwudziestu pięciu latach od usłyszenia owego sądu, zapytałbym dzisiaj: Jak wiele nieszczęścia potrzeba do zdobycia literackiej nagrody Nobla?

Tomasz Mann urodził się w roku, w którym już dawno zelżały ostatnie tchnienia epoki romantycznej. Autor „*Doktora Faustusa*” żył zaś w czasie, gdy większą wagę przywiązywano do praktycznych czynności spod znaku rozwijającego się uprzedmiotowienia, niż żywiono by do kart zapisanych, nawet własnoręcznie, przez Goethego. Jednakże Mann, jak wielu jego rówieśników pamiętających dobrze końcówkę lat poprzedniego stulecia, wkroczył w XX wiek jako człowiek ukształtowany literacko, mentalnie, społecznie i kulturowo.

W prozie Tomasza Manna nie sposób nie wyczuć swoistej ciężkiej atmosfery, którą porównałbym do masywnej konstrukcji mebli w stylu Biedermeier, szalenie modnych wśród dziewiętnastowiecznego mieszczaństwa. Drewniane komody, kredensy, szezlongi i sofy... rzeźbione, lakierowane na wysoki połysk i ciężkie. Tak wyobrażam sobie salon Buddenbrooków. Ten nieznosnie ciężki literacki zaduch łagodzi, w mojej opinii, nasycona lekkością wyobrażenia Wenecji, powieść opisująca tragiczny żywot Gustawa von Aschenbacha.

Taki stosunek do prozy Manna nie jest bynajmniej odosobniony. „Wygławszy wspomnień „*Buddenbrooków*”, nie odnosi-

⁴ T. Mann, „O sobie”, Czytelnik, Warszawa 1971, s. 68.

tem się nigdy do Tomasza Manna z tym szczególnym nabożeństwem, które moim rówieśnikom gimnazjalnym i uniwersyteckim każało czytać „Czarodziejską górę” z czerwonymi uszami i zasnutymi mgłą oczami. Odpychał mnie u Manna swoisty, estetyzujący mandarynat arcykapłana sztuki, którego nie spotyka się u pisarzy prawdziwie wielkich i mądrych⁵. Czyżby „Eviva l'arte !..” sztuka ponad wszystko ?

Jako człowiek z pogranicza epok, Tomasz Mann czerpał garściami ze spuścizny wielkich postaci minionego czasu. Szczególną estymą darzył Goethe. Zamiłowanie do autora „*Cierpień młodego Wertera*” widać już w wyborze pism autobiograficznych Manna, gdzie cytuje on klasyka niemieckiego romantyzmu już w pierwszym z tekstów „*Lubka jako duchowa forma życia*”. Syn portowego miasta, położonego przy ujściu rzeki Trave, już w samym tytule swego wystąpienia, na 700-lecie Lubeki, daje wyraz swym zamiłowaniom romantycznym.

Odniesienia romantyczne to jedna strona tego literackiego medalu. Chciałbym jednak, w kontekście Tomasza Manna, poruszyć inny temat. Ekscentryzm w literaturze, i zachowania z nim związane, oto interesująca mnie kwestia. Czy opublikowanie „*Śmierci w Wenecji*” było przejawem ekscentryzmu ? Na początku drugiej dekady XX stulecia, za pewne, tak – dzisiaj nie zrobiłoby to żadnego wrażenia.

Czy nie jest czasami tak, że owa postawa jest immanentną cechą dobrej literatury czy sztuki w ogólności. Nasuwa się oczywiste pytanie: Czy Mann był ekscentrykiem ? Czy też tematyka jego utworów wynikała z czysto ludzkiej chęci eksploracji nowych horyzontów. Postaci z kręgu laureatów literackiej nagrody Nobla, których jednostkowe, lub częstsze, zachowania w sposób ewidentny wypełniały znamiona ekscentryzmu było wiele, i nie sposób ich wszystkich tu wymieniać.

Doris Lessing (1919-2013) czy Olga Tokarczuk są jedynie dwoma przykładami wybranymi subiektywnie przez autora niniejszej refleksji. Pierwsza – Brytyjka irańskiego pochodzenia, urodzona w Kermanszach, w drugim roku I wojny światowej. W dzieciństwie molestowana przez ojca i pogardzana przez matkę Lessing, paradoksalnie, stała się zwolenniczką seksualnego wyuzdania i komunizmu.

Ojciec Doris Lessing – Alfred Cook Taylor (1886-1947) straciwszy nogę w walkach I wojny światowej, ożenił się z opiekującą się nim pielęgniarką Emily Maude McVeagh (1884-1958). Wiele lat później Lessing napisze: „Ojciec był człowiekiem ciepłym, ale nie czułym. Żadne z rodziców nie lubiło okazywać uczuć. [Matka] często mówiła o miłości. Czułość, której nigdy jej nie nauczono, ujawniała się jako martwienie się, troska oraz – w odniesieniu do mojego brata – uczynienie go delikatnym, tak by mogła go pielęgnować⁶. Specyficzne podejście.

W mojej ocenie Emily Maude uczucie matczynej troski i opieki przekuła w poczucie kontroli nad życiem, takiej samej jaką nad matką Emily miała niekochająca ją macocha.

Przyszła noblistka i jej brat wychowywali się w Persji i Rodezji. Analizując życie i twórczość Doris Lessing w jednym ze swych szkiców, John Maxwell Coetzee powiada m.in.: „Matka zaczynała ulegać najgorszym kolonialnym stereotypom, narzekała

na służbę pełnym antypatii natarczywym, utyskującym, zrzedliwym tonem, ojciec zaś marniał powoli z powodu cukrzycy: rozczulający się nad sobą, drażliwy, nasiąknięty rojeniami stary człowiek, w kółko opowiadający o swojej wojnie⁷. Czysta żałość i udręka.

Młoda Doris, nie ukończywszy szkoły średniej, podjęła pracę jako opiekunka do dzieci, a chcąc wyrwać się z matni tragicznego dzieciństwa, wyszła za mąż po raz pierwszy, mając zaledwie 19 lat. W moim przekonaniu ucieczką od pogardy matki były dla Lessing ramiona ojca, w których również znalazła jedynie rozczarowanie. Tym właśnie uczuciem wydając się być przepełnione pierwsze lata życia przyszłej noblistki, od jej dzieciństwa, aż po nieudane małżeństwo, zawarte w bardzo wczesnej młodości.

To z pierwszego, nieudanego małżeństwa z Frankiem Carlesem Wisdomem (1910-1981), miała dwoje dzieci: Jeane i Johna Wisdomów, z drugiego zaś – z Gottfriedem Lessingiem (1914-1979) syna Petera. Pierwsze małżeństwo wpędziło pisarkę w alkoholizm, w tym okresie Doris podejmowała także liczne romanse. Po bitwie stalingradzkiej autorka „*Mrowiska*” zwróciła się ku komunizmowi, działając jako aktywistka Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej. „Kiedy wybuchła zimna wojna i rozejrzyj się komuniści stali się w oczach białej społeczności pariasami, Lessing zaczęła żywić wątpliwości⁸. Tak schyłek zainteresowania pisarki tą egalitarną ideologią scharakteryzował Coetzee w eseu „*Autobiografia Doris Lessing*”, stanowiącym część „*Dziwniejszych brzegów*”. Z tego, tym razem ideologicznego, romansu autorka „*Spaceru w cieniu*” zrezygnowała w 1954 roku.

Olga Tokarczuk – psycholog, chociaż feministka, a więc psycholożka (!), z dorobkiem naukowym, ale także zaangażowana społecznie autorka słów, które na jednej z edycji „*Góry Literatury*” wywołały niemałe zakłopotanie. „Wcale nie chce, żeby moje książki szły pod strzechy... Literatura nie jest dla idiotów” – grzmiąca Tokarczuk podczas Festiwalu. Czy słusznie, i czy osobie tak wpływowej jaką w środowisku literackim, nie tylko swojego kraju, staje się każdy laureat nagrody Nobla, wypada tak stwierdzić ?

Już na początku główny bohater innej powieści Manna – Feliks Krull wyraża asekuranckie i kokietyjne z wątpliwością w samego siebie mówiąc: „gdy zatem sposobie się do tego, aby właściwym mi czystym i przyjemnym piśmem przelać na cierpliwy papier moje wyznania, nachodzi mnie przelotna wątpliwość, czy też wykształcenie wyniesione z domu i szkoły pozwoli mi dorosnąć do tego intelektualnego przedsięwzięcia⁹. To, oczywiście przyjęta przez autora określona forma grzecznościowa, skierowana bezpośrednio do czytelnika. Jednakże sam Mann także wykazywał się tym, co w potocznym rozumieniu tej postawy nazwalibyśmy skromnością.

„Otacza mnie aureola. Nazwisko moje wymienia się wszędzie ze znaczącym uniesieniem brwi... I skąd to wszystko ? Przecież nie zmieniałem się nie stałem się lepszy. Wciąż postępowałem tak samo, robiłem to samo, co wówczas, gdy byłem najgorszym, a mianowicie marzyłem, czytałem książki poetów i sam pisałem podobne¹⁰. Można by nawet pokusić się o wyobrażenie Manna jako człowieka cech o jakie posądzamy zapatrzonych w siebie dzisiejszych celebrytów.

⁷ J. M. Coetzee, „Dziwniejsze brzegi”, Znak, Kraków 2008, s. 332.

⁸ J. M. Coetzee, Op. cit., s. 334.

⁹ T. Mann, „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla”, PIW, Warszawa 1957, s. 5.

¹⁰ T. Mann, „O sobie”... s. 78.

Te słowa autora „*Buddenbrooków*” pochodzą z tekstu „*Im Spiegel*”, stanowiącego część autobiograficznej prozy Manna. Jego początek daje nam niejaki wyobrażenie o tym jak samego siebie postrzegał przyszły noblista. „Moja przeszłość jest ponura i haniebna... – pisał Tomasz Mann we wspomnianym tekście datowanym na 1907 rok – Leniwy, uparty i pełen lekceważącej ironii wobec wszystkiego, zniechęcony przez nauczycieli... ludzi którzy... przepowiadali mi niechybną zagładę. Zrezygnowałem z pracy w biurze, zanim zdołałem mnie z niego wyrzucić... rozstałem się z wojskiem i znów w cywilu kontynuowałem swoje bezsensowne życie¹¹. Czy na pewno takie ?

W moim przekonaniu Tomasz Mann najwinnie dziwi się czemuś, co jest oczywistą konsekwencją osiągnięcia sukcesu, na jakimkolwiek poziomie, z zastrzeżeniem, że ów triumf dosięgnie nas z dala od naszych stron rodzinnych. W 1907 roku autor „*Buddenbrooków*”, będąc w 32 roku swego życia, cieszył się nowo poślubioną żoną i publikacji dzieła, które pomad dwie dekady później przyniosło mu laury najważniejszej nagrody literackiej świata.

Literatura jest dla mnie płaszczyzną porozumienia nadawcy – pisarza, z odbiorcą – czytelnikiem. Jeśli nadaje mój komunikat w określonym języku, tonie i wymowie, zakładam, że jego odbiorcami będą ludzie, którzy także w nim mówią, myślą i czują właściwie mu nuanse. W tym znaczeniu literatura nie jest dla każdego, lecz może powinienem powiedzieć nie każda literatura jest dla każdego. Tak jak nie dla każdego jest określony fason, krój czy kolor ubrania. Dla kogo zatem jest literatura ?

„Literatura – pisze Olga Tokarczuk – jako akt komunikacji zaczyna się wtedy, kiedy tekst podpisujemy swoim imieniem i nazwiskiem... to przestrzeń, w której prywatne staje się publiczne¹². Jeśli tak jest w istocie, to ośmielając się polemizować wspomnę jakie znaczenie kulturowe ma w naszej mentalności nazwisko. Gdy ja proszę konkretną osobę o jego podanie, mam zwyczaj zwracać się słowami: „Czy mogę prosić Pani/Pana godność ?”.

W moim rozumieniu utożsamiam tym samym konkretną osobę z przyrodzonym jej prawem do człowieczeństwa. Tak więc swoim nazwiskiem, ową godnością osoby, odpowiadamy za słowa zamieszczone na kartkach maszynopisu, czy nie powinno to dotyczyć także słów wypowiedzianych publicznie ?

Często określa się coś mianem rzeczy „wysokich lotów”, mając za pewne na myśli nieprzeciętne jej wartości. W przypadku literatury tego rodzaju cechą odznaczająca się nie tylko proza Tomasza Manna, lecz również Olgi Tokarczuk. W tekstach zaangażowanych, które w równym stopniu zachęcają do siebie czytelnika, obecny jest pierwiastek filozoficzny, nadający powieści cech traktatu.

Głębia i wielowarstwowość są kolejnymi cechami takiego tekstu, to zaś implikuje wiele możliwości jego interpretacji. Nieliczna, trudna na pierwszy rzut oka do zweryfikowania, struktura daje czytelnikowi poczucie, że zamienia się on w odkrywcę prawdy zawartej między wierszami. Wspominałem o prostocie językowej dzisiejszej doby, która obecna jest także w książkach Olgi Tokarczuk. To jednak nie ujmuje im literacko, gdyż owo między wierszami ukryte sedno daje się zawrzeć

¹¹ T. Mann, „O sobie”... s. 76-77.

¹² O. Tokarczuk, „*Czyli narrator*”, WL, Kraków 2020, s. 87-88.

⁵ G.H. Grudziński, „Dziennik pisany nocą 1971-1972”, Res Publica, Warszawa 1990, s. 43.

⁶ D. Lessing, „Pod skórą t. I autobiografia do roku 1949”, Świat Książki, Warszawa 2010, s. 42.

bez konieczności używania przez autorkę barokowych ozdóbników słownych.

John Maxwell Coetzee w cytowanym już, biograficznym szkicu o Lessing stwierdza, iż „nigdy nie była wybitną stylistką; tworzyła zbyt szybko, przycinała zbyt powierzchownie”¹³. W moim odczuciu życie i twórczość Doris Lessing, od jej dzieciństwa, po mariaż z komunizmem, było tym, co Erich Fromm, w tytule swojej książki, nazwał „ucieczką od wolności” w nowe zniewolenie. Ciekawe co powiedziałyby na ten temat Olga Tokarczuk, w końcu psycholog, nie psycholożka, z wykształcenia?

Jak na tym tle przedstawia się Tomasz Mann? Cóż, autor „*Doktora Faustusa*” z pewnością nie był nazistą. Mało tego, „... stał się czołowym obrońcą niemieckiej kultury przed złą reputacją, jaka była udziałem niemieckich polityków.. chciał nie niemieckiej Europy, lecz europejskich Niemiec”¹⁴. Tomasz Mann nie był pierwszym wyborem naganiaczy spod znaku swastyki, ani ze względu na wiek, ani też poglądy. Starszy od Adolfa Hitlera o 14 lat, w 1933 roku był już Mann człowiekiem o skryształizowanych, konserwatywnych poglądach, a treść „*Doktora Faustusa*” dobitnie świadczy o antynazistowskich zapatrywaniach autora.

Gdy autor „*Zamienionych głów*” stał się znany i rozpoznawalny jego pozycja pomogła mu jeszcze w utwardzeniu się w swych programowych postanowieniach. Jak zauważa Stefania Zahorska: „Co miesiąc przemawia przez radio z Ameryki Thomas Mann do narodu niemieckiego. Nie są to wystąpienia polityczne. Ale są to wystąpienia, które podtrzymują wiarę w jakieś człowieczeństwo. Thomas Mann mówi... jak człowiek płaczący nad losem swojego narodu nie dlatego, że grozi mu przegrana wojna i wszystkie jej konsekwencje, ale dlatego, że naród ten znalazł się na dnie człowieczeństwa”¹⁵. Mann był więc antyfaszystą oraz konserwatywnym zwolennikiem świętego spokoju.

Wspomniany już nieco wyżej Erich Fromm był nie tylko najbardziej znanym uczniem Zygmunta Freuda i autorem „*Ucieczki od wolności*”. Jako psycholog, Niemiec i Żyd, był także zagorzałym przeciwnikiem nazistowskiej polityki czystości rasowej, czego dowiódł publikując „*Anatomie ludzkiej destruktywności*”. Na kartach tej pierwszej, z której w mojej ocenie skorzystać mogliby młodzi zwolennicy hitlerizmu, umieścił Fromm swe poglądy na temat tego jak łatwo stać się celem zbrodniczego działania. Na stronkach drugiej natomiast skreślił portrety psychologiczne osób najbardziej podatnych na to, co ja z kolei nazywam mentalnością dyrektora.

Powróćmy do głównej myśli mojej obecnej refleksji należy wspomnieć, iż romantyk musi być nieszczęśliwy, aby być romantyczny. Czy laureat nagrody Nobla musi być ekscentryczny, aby być bardziej noblowski? Na początku lat 90' istniało w Polsce przekonanie, że im więcej przekleństw, na minutę filmu, wypowiedzą aktorzy, tym ów film będzie „bardziej amerykański”. W tym czasie powstały klasyczne obrazy, w reżyserii Władysława Pasikowskiego, z Bogusławem Lindą w jednej z głównych ról. Problem w tym, że już dzieci i nastolatki lat 90', do których ja się zaliczam, doskonale wiedziały, że amerykańskość amerykańskich filmów ma swoje źródło w czymś zupełnie innym – specyficznie wypracowanym humorze sytuacyjnym.

Gdzie dzisiaj byłby Tomasz Mann ze swoją „*Śmiercią w Wenecji*”? Czy, parafrazując słowa Hemingwaya, gdyby nie napisał już nic poza nią pozostałaby Mannowi konkurencja

z Nabokowem – naczelnym literackim skandalistą rosyjskiego pochodzenia, który nota bene, nagrody Nobla nigdy nie dostał? Z łatwością jestem w stanie wyobrazić sobie Tomasza Manna siedzącego wygodnie w fotelu, ustawionym w salonie kupieckiego rodu Buddenbrooków, w ich lokum w Lubecie. Zamknijmy na chwilę oczy podtrzymując w naszej wyobraźni ten obraz.

Autor wstępu do „*Pism krytycznych*” Stanisława Baczyńskiego (1890-1939) – Andrzej Kijowski przedstawia ojca Krzysztofa Kamila jako osobę zajadłą krytykującą dzieła literackie, także Tomasza Manna. Co do samego krytyka, Kijowski stwierdza, iż Baczyńskiemu seniorowi, co prawda nie brakowało przenikliwości, chociaż „jego nazwiska nie spotka się w żadnym z wpływowych czasopism literackich; pisywał w drugorzędnych lub po prostu starał się sam wydawać pismo”¹⁶. Nie stworzył także żadnej spójnej teorii krytycznej.

Zdaniem Baczyńskiego Mann jako epigon powieści mieszczańskich jest także zwolennikiem tezy psychologicznej jako zasady konstrukcji utworu. W dziełach podobnych pisarzy, powiada Baczyński, „uderzające jest ubóstwo akcji zewnętrznej i faktów na rzecz analizy i prześwietleń psychologicznych”¹⁷. Tomasz Mann był dla mnie zawsze pisarzem pokrewnym Prusowi gdyż, podobnie jak Aleksander Głowacki, Mann uosobił pewną stylistyczną, i mentalną, staroświeckość cech e tak uroczo odmienną, a w dzisiejszym języku literackim nieomal nieobecna.

Stownikowa definicja określenia „epigon” wskazuje na imitatora dawnych idei, naśladowcę, twórcę drugorzędnego. Wspomniałszy słowa Kijowskiego na temat kariery literackiej Baczyńskiego seniora, takie epitety wydają mi się nieco dyskusyjne. Dla innego komentatora dzieł literackich – Lukács'a, Henryk i Tomasz Mannowie spełniali „ideał sztuki klasycysto-realistycznej. Miara doskonałości, miara humanizmu, w tym stopniu miała się w nich wcielić, że pisarzom prawdziwie postępowym pozostawało już tylko ich wierne naśladowanie”¹⁸.

Powyższy cytat z opublikowanej w 1982 roku książki Marii Janion (1926-2020) jest dla Manna pochlebną laudacją na cześć geniuszu pokrewnego Goethemu, którego autor „*Doktora Faustusa*” tak chętnie cytował. Sama z resztą Janion – profesor Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizowała się w historii polskiego i europejskiego romantyzmu, tak pokrewnego twórczości Tomasza Manna, w „*Niesamowitej słowiańszczyźnie*” wskazywała na to, co Mann już w 1945 roku, a także w „*Doktorze Faustusie*” określił „losem niemieckim”, „Muzykę niemiecką i stosunek Niemców do muzyki pisarz traktował jako wielkość, ale i jako zagrożenie, ponieważ ujawnia się w nich w sposób ostateczny oderwanie ducha od życia. [Takie] fałszywe rozumienie wolności przez Niemców zakończyło się faszyzmem”¹⁹. Jak widać zaangażowanie społeczno-polityczne noblisty może mieć także pozytywne zabarwienie.

Jego „*Doktor Faustus*” jest nie tylko, będącym ukłonem w stronę Goethego, traktatem filozoficznym Manna, lecz także manifestem poglądów społeczno-politycznych autora, który ustami narratora powieści, Serenususa Zeitbluma powiada, m.in.: „Zapewne owym doświadczeniom z czasów młodości, lecz również wyczulonej chłonności sfer żydowskich na twórczość Leverkühna, przypisać należy, że właśnie w kwestii żydowskiej i jej traktowaniu

nigdy nie mogłem w pełni zgodzić się z naszym fuhrerem i jego paladynami, co nie pozostało bez wpływu na moją rezygnację z zawodu nauczycielskiego”²⁰.

Powiedziałem, że Tomasz Mann był żyjącym na pograniczu epok, gorliwym wyznawcą Johana Wolfganga Goethego – czołowego przedstawiciela niemieckiego romantyzmu, równego angielskiemu Byronowi czy Mickiewiczowi rezydującemu nad Wisłą. Tak więc Tomasz Mann – konserwatysta, Tomasz Mann – romantyk... A romantyzm to mistyka, to duchowe uniesienia natury religijnej, tak jak w „*Dziadach*” Mickiewicza, to baśnie i legendy.

Na zainteresowanie Mana zagadnieniami natury metafizycznej skłania lektura noweli „*Zamienione głowy*”, opublikowanej w roku 1940. To, przepełniona mistycyzmem i rozważaniami natury religijnej, opowieść o przyjaźni Szcizmana i Nandy, z których pierwszy jest kupcem i potomkiem braminów, drugi natomiast kowalem i pasterzem „pogodnym i naiwnym synem ludu, uosobieniem Krishny”²¹. Gdy poświęciłem się lekturze tej noweli, z miejsca ogarnęło mnie uczucie przepełnienia jej czymś w rodzaju niemieckiego folkloru, prosto spod stoków Alp Bawarskich.

W tym roku przypada 150. rocznica urodzin Tomasza Manna. W 2025 mija także 70 lat od śmierci autora „*Czarodziejskiej góry*”. Twórczość Manna, od noblowskich „*Buddenbrooków*”, przez „*Śmierć w Wenecji*”, „*Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla*” i liczne nowele, była przejawem ogromnej literackiej i społecznej wrażliwości. Życie noblisty pokazuje jednak, że wzorem jest tylko ten, kogo dobrze nie znamy. Poza tym zależy jaką cechę charakteru uznamy za wzorową, i w jakim kontekście będziemy ją rozpatrywać.

Z jednej strony literackie tradycje rodzinne: starszy brat Henryk (1871-1950), dwaj synowie i córka: Klaus (1906-1949), Angelus Gottfried (1909-1994) oraz Monika (1910-1992), z drugiej zaś rodzinna skaza dziedzicznej depresji i szeregu problemów natury psychicznej. Tomasz Mann był wierny jednej kobiecie – Kati Pringsheim, którą poślubił w 1905 roku. W tym samym roku urodziła się Erika Julia Hedwig (1905-1969) – najstarsze dziecko Tomasza i Katii, również pisarka. Z jednego związku Tomasz Mann miał jeszcze dwoje dzieci: Elizabeth i Michaela.

Samobójcza śmierć Klause, jego burzliwe życie naznaczone piętnem homoseksualizmu w czasie, gdy było on równoznaczny ze społecznym wykluczeniem. Z własnej ręki, 21 lat po śmierci autora „*Doktora Faustusa*”, w 1976 roku, zginął także młodszy syn Tomasza – Michael Mann. Rodzinne problemy emocjonalne oraz śmierć Klause Manna, wszystko to ukształtowało pisarza, ale przede wszystkim człowieka, który swoją twórczość traktował jak rodzaj terapii. W tym kontekście „*Śmierć w Wenecji*” i „*Wyznania hochsztaplera*...” były, naznaczonej lekkością pióra, odmianą od „*Buddenbrooków*”, posiadających ciężar gatunkowy powieści mieszczańskiej.

Wczytując się w biografię, pamiętniki, dzienniki ludzi znanych, i powszechnie szanowanych, doszedłem do przekonania, iż najgorszą karą dla każdego fana jest bliższe poznanie jego idola. Abstrahując już nawet od tego czy Tomasz Mann, Ernest Hemingway, Doris Lessing czy Olga Tokarczuk mogą być dla kogokolwiek idolami, przykrym jest zobaczyć z bliska rysę na dotychczas pozornie nieskazitelnym diamentcie.

MICHAŁ SKRĘTEK

¹³ J. M. Coetzee, Op. cit., s. 335.

¹⁴ N. Davies, „Europa rozprawa historię z historią”, Znak, Kraków 2010, s. 1012 i 1210.

¹⁵ S. Zahorska, „Pisma wybrane”, IBL, Warszawa 2010, s. 191.

¹⁶ S. Baczyński, „Pisma krytyczne”, PIW, Warszawa 1963, s. 15.

¹⁷ S. Baczyński, Op. cit., s. 385-386.

¹⁸ M. Janion, „Humanistyka: poznanie i teoria”, PIW, Warszawa 1982, s. 185.

¹⁹ M. Janion, „Niesamowita słowiańszczyzna”, WL, Kraków 2006, s. 190.

²⁰ T. Mann, „Doktor Faustus”, Muza, Warszawa 2014, s. 9. Całość rozważań zob. T. Mann, „Jak powstał Doktor Faustus”, Czytelnik, Warszawa 1962.

²¹ T. Mann, „Zamienione głowy”, [w:] „Ostatnie nowele”, Czytelnik, Warszawa 1958, s. 10.

Anna Czyrska

Ludzie wiersze piszą. Prawdopodobnie większość z nas miała epizod literacki, nawet moja siostra kiedy się zakochała stworzyła wiersz pt. DWA ŚWIATY, TWÓJ I MÓJ. Dalej niestety nie pamiętam. Ludzie piszą wiersze, wiersze są wolne.

Jednak pisanie wierszy dzieli się na kilka etapów:

GRAFOMANIA - to patologiczny przymus tworzenia tekstów (często o charakterze literackim) i tworzenie ich w ogromnych ilościach mimo braku talentu oraz warsztatu pisarskiego. Teksty te cechują się zazwyczaj niską wartością artystyczną, powtarzalnością schematów i pretensjonalnym językiem. (WIKIPEDIA)

Grafomania – co to jest? Co to znaczy? Definicja słowa (POLSZCZYNA.PL)

1. **Grafomania** jest pojęciem pejoratywnym. **Grafomanią** nazywamy czynność pisanie utworów literackich przez osoby, które są pozbawione talentu. Jednak czasami to, co jest uznawane za grafomanię w jednej epoce, niekoniecznie musi być tak traktowane w kolejnych.

2. Mianem **grafomanii** określa się również ogół utworów literackich, których wartość artystyczna jest znikoma, bezwartościowa.

Warto pamiętać, że grafomania to wysyp emocji taki wyrzut. Można ją traktować jako rodzaj terapii. Kiedy ludzie są na skraju załamania wtedy wyrzucają z siebie to co w nich siedzi. Jest to zazwyczaj bardzo zdrowe bo nadaje to upust emocjom. Mogą one być płaczem, pocieszeniem się po stracie bliskiej osoby. Jest to jedna z momentów kiedy mogłabym napisać o psychologii poezji i jej ratunkowej misji. Wystarczy przejść się do szpitala psychiatrycznego i innych szpitali by zobaczyć jak sztuka pomaga. Nikt nie powie ludziom, którzy tam są, że piszą coś bezwartościowego. No i tu przychodzimy do sedna definiowania wierszy:

Czy jeśli wiersz jest przemyślany nie jest grafomanią?

Oczywiście postaram się podać przykłady grafomanii na podstawie swojej wiedzy w tym temacie,

GRAFOMANIA MÓJ PRZYKŁAD- AUTORKA JESTEM JA aby nikogo nie obrazić.

Moje serce tęskni za tobą
chciałabym kochać cię
i byś ty kochał mnie

bez ciebie moje życie traci sens
jestem nikim kiedy ciebie nie ma obok

Jeśli rozpatrzmy tu psychologię tego tekstu to jest on dosyć toksyczny. Autorka jest tak zakochana w mężczyźnie, że nie widzi świata poza nim. Typowy mechanizm psychologii. Na temacie psychologii skupię się w dalszych częściach. Autorka nie potrafi rozgraniczyć uczuć, kreuje się na ofiarę miłości nieszczęśliwej. Czy ma to wartość? Dla niej tak bo ona pomogła sobie w tej chwili, wyrzuciła z siebie to co w niej siedzi. Takich wierszy znajdziemy pełno. Nie ma w tym głębi, przestania. Brzmi to jak zapiski nastolatki, która zakochała się w koledze.

CZYM JEST TAK NAPRAWDĘ DOBRY WIERSZ? KREACJA DOBRYCH WIERSZY cz.1

Może to być jednak kontekst Boga co często jest mylone. Wiersze o Bogu jak i o miłości są często bardzo prywatne.

Przykład **GRAFOMANII** o BOGU (Znowu ja jestem autorką)

Mój Boże kocham cię
dziękuję, że jesteś obok
chodzę i modlę się
Wierzę Ci we wszystko
co mi dajesz

Jest to raczej rodzaj modlitwy, wyznanie miłości do Boga. Jest to znowu bardzo osobiste i proste. Wiemy od razu o czym są te teksty. Bóg wydaje się być głębią jednak nie jest to wiersz głęboki. No i czym jest ten wiersz głęboki?

WIERSZ, który ma coś do przekazania, jest filozoficznym arcydziełem, wyrazem niezgody na istniejące schematy.

METAFORY UŻYWANE W GRAFOMANII

1. stadnina uczuć
2. cierpienie moje dramatem jest
3. Atomy miłości

Próbuje tu wydobyć przykłady. Znajomy był jurorem na jakimś Turnieju i przytoczył wiersz pana X o Polsce. Był on taki patriotyczny brzmiał mniej więcej tak:

Tak wiele się w Polsce zmieniło
nie ma już wojny

Wiersz staje się opisem, jakimś fragmentem. Jakims żalem osobistym tego pana. W poezji współczesnej kontrowersje może budzić fakt, że piszemy jako JA. Jednak pisząc JA sugerujemy, że jest to nasz punkt widzenia. Co nadaje temu wartości?

Skoro nie istnieje definicja dobrego wiersza dlaczego twierdzimy, że wiersze Wisławy Szymborskiej są dobre?

Czy dlatego, że otrzymała Nobla.
Skoro dostała Nobla muszę twierdzić, że jej wiersze są tylko dobre.

Nic dwa razy się nie zdarza
i nie zdarzy. Z tej przyczyny

zrodziliśmy się bez wprawy
i pomrzemy bez rutyny.

źródło: https://poezja.org/wz/Wislawa_Szymborska/106/Nic_dwa_razy

Weźmy chociażby fragment jednego z najpopularniejszych wierszy Szymborskiej. Mamy tu melodię i kontekst, że każda chwila zdarza się jeden jedyny raz. Napisane jest to lekko, rymy są ale nie odrzucają. Autorka sugeruje nam, że żyjąc tak naprawdę uczymy się życia ale nigdy tego nie pojmujemy

„choćbyśmy uczniami byli
najtępszymi w szkole świata,
nie będziemy repetować
żadnej zimy ani lata.

źródło: https://poezja.org/wz/Wislawa_Szymborska/106/Nic_dwa_razy

Mówi nam, że nie istnieje żadna szkoła, która nauczyłaby nas istoty życia. Sugeruje, że możemy być tępymi uczniami, najtępszymi a więc w tej szkole jesteśmy osamotnieni w naszej głupocie.

Co ja myślę o tym wierszu?
- Bardzo ma piękny przekaz
- Jest jednocześnie prosty, rytmiczny i tzw. wchodzi w ucho.
- Jest to przykład wiersza ulotnego gdzie rymy zachowują motyw dobrego wiersza.

Patrząc więc na teksty dobrych poetów czyli tych uznanych przez środowisko sami dostrzegamy różnicę. Wobec tego wykreujemy powoli dobry wiersz. Pierwszym aspektem kreacji dobrego wiersza jest natchnienie aby porównać wiersz natchniony od wiersza sztucznego postaram się stworzyć sztuczny tekst (Taki, który powstaje bez natchnienia)

Z samego rana
podeszła do mnie cisza
alkohol
rozniecił się

Jest to trochę wiersz natchniony gdyż pisząc go poczułam nagle natchnienie. W moim przypadku ciężko napisać sztuczny wiersz ale czego się dla was nie robi:

Dziś już będzie ciepło
otulę się słońcem
przekazem

→ ESEJE No sami widzicie jak trudno napisać szlaczny tekst. Jednak czytając wiersze jestem w stanie rozpoznać taki wiersz. Taki wiersz jest suchy, zdystansowany, obojętny. Większość uznanych autorów powie, że taki był cel. Większość piszących, tych ze statusem obroni wiersz.

Dla mnie przykra jest OBRONA WIER-SZA.

Wiersz powinien tłumaczyć się sam. Wszak częstym argumentem jaki słyszę jest, że przecież to jest ta wrażliwość. Tłumaczenie wierszy wrażliwością sprawia, że każdy może tym poetą być. Często słyszę poetą się bywa. W Polsce każdy kto napisze wiersz jest poetą. Jak mamy wobec tego wartościować poezję skoro sobie sami zaprzeczamy?

Uznajemy, że Szymborska jest WIELKA POETKA bo ma Nobla ale TY „szaraczku” NIE JESTEŚ.

I przechodzimy do sedna, każdy chce wydać TOMIK od razu. Ja mój tomik ostatni wydałam w 2008 roku i mimo że mój kolejny tomik czeka zastanawiam się jaki czeka go los. Los jego będzie nieznośny bo niezależnie od „jakości” tekstów i tak nie dostanę nagrody. To już jest osobny temat jednak NAGRODA to rodzaj reklamy tak jak NOBEL. Każdy chce czytać nagrodzony tzn, że ludzie nadali wartość tym wierszom a czy rzeczywiście są one dobre?

Kreując dobry wiersz jesteśmy malarzami, twórcami obrazu tylko mamy trudniej. Czytelnik musi sobie zobrazować to. Wiersz Szymborskiej, który podaję za przykład da się zobrazować. Potrafił sobie wyobrazić kiedy siedzimy w takiej szkole i nadal nic nie wiemy o nas samych. Wiersze są drogą poznania.

Skupmy się na najprostszej definicji WIER-SZA:

Wiersz to utwór literacki o specyficznej budowie, w którym tekst jest podzielony na odrębne linijki (wersy). W odróżnieniu od zwykłej prozy, wiersze cechują się obecnością rytmu, a ich zadaniem jest wywołanie emocji i silniejsze oddziaływanie na wyobraźnię.

W klasycznym ujęciu wiersze wyróżniają się kilkoma cechami:

Wers – pojedyncza linijka tekstu.

Zwrotka (strofa) – kilka wersów potoczonych ze sobą.

Rym – powtarzające się, podobne brzmienia na końcu wersów.

Rytm – powtarzalny układ akcentów i długości sylab.

Mamy przecież jeszcze sonety, ballady, piosenki i inne rodzaje. Jednak ta definicja mnie nie zaspokaja. Brakuje w niej tego co odróżnia dobrych poetów od złych. Brakuje w niej jasności przekazu. Mamy tu po prostu obraz wiersza.

DLACZEGO W WIERSZU NIE POWINNO UŻYWAĆ SŁÓW TYPU WSZYSTKO?

Dla mnie wiersz jest czymś lekkim jak piórko. Kiedy daję radę piszącym: Pisz i wyobraź sobie, że to puch, piórko. Słowo WSZYSTKO powoduje u mnie uczulenie. Dlaczego? Kiedy używamy WSZYSTKO to jak możemy chcieć powiedzieć coś więcej. Słowo WSZYSTKO oznacza ogół: ludzie, rzeczy, planeta...No wszystko co jest wokół. Takimi słowami jest. ZIEMIA. Olga Tokarczuk napisała teraz powieść czy zbiór esejów pt. ŚWIAT JEST ZA MAŁY. Przypomina to tytuł książki naukowej. Nie neguje wartości książki

tylko jej tytuł. Mamy też problem w dzisiejszym świecie, że jeśli ktoś jest UZNANY trzeba go tylko chwalić. Nie rozumiemy KRYTYKI bo każda krytyka to ZŁO. Powiem, że ja też nie lubię krytyki ale rozumiem. Tylko tu znowu wychodzimy z pojęcia kultury „CO SIĘ KOMU PODOBA”.

Czy mam prawo ocenić wiersz z tej perspektywy?

Widać to także w literackim środowisku. Drukują cię w gazetach gdzie cię lubią a jak cię nie lubią to cię nie drukują.

Jak mamy traktować poezję poważnie?

OGÓLNIKOWE SŁOWA I WIELKIE sprawiają wrażenie, że poeta postrzega siebie jako JA- Stoję wyżej nad wami. Ja tylko jestem ten, który wie. Szymborska też użyła słowa ŚWIAT jednak w kontekście tego wiersza jest to poprawne. Jednak nadal nie uważam aby w poezji zalecać używanie wielkich słów. Wiersz powinien być lekki, metafizyczny. Nieść przestanie dla ludzkości ale nie w kontekście „WY I JA”. Kiedy poeta patrzy z góry jest sędzią, tym jedynym znającym prawdę. Nie jest jednym z ludzi. *Ja jestem natchniony!*. Zapominamy, że wiersz jest wciąż filozofią o wielu wymiarach. Ma być edukacyjny, ma to być myśl, która pozwoli nam dostrzec coś czego nie widzą inni. I też brzmi to teraz jakby ci inni to byli „szarzy”. Mamy w ten krótki sposób pokazać im to co kreujemy słowem. Wiersz powinien być tajemnicą, naszą tajemnicą, którą dzielimy się z czytelnikiem, w zaufaniu. Nasz czytelnik ma poczuć głębię tego przemyślenia.

W muzyce większość ludzi fałszuje jednak ta większość ma świadomość, że nie zostanie piosenkarzami. Mimo to w muzyce ludzie, którzy nie umieją śpiewać też tworzą i śpiewają. Ludzie tak samo fałszują w wierszach zapominając o podstawach zasadach: płynności wiersza, estetyce i rytmice. Wiersz ma płynąć...z nas.

CIERPIENIE W POEZJI – CZY WIERSZ MOŻE BYĆ RADOSNY?

Miron Białoszewski był poetą, który słynął z optymizmu.

*jestem sobie
jestem głupi
co mam robić
a co mam robić
a co ja wiem co ja jestem
wiem że jestem taki jak
jestem może niegłupi
ale to może tylko dlatego że wiem że każdy
dla siebie jest najważniejszy bo jak się na
siebie nie godzi to i tak taki jest się jaki jest*
MYLNE WZRUSZENIA 1961

*Mironczarnia
męczy się człowiek Miron męczy
znow jest zeń słów niepotrafił niepewny
cozrobien yeń Mylne wzruszenia 1961*

Jest mistrzem codzienności i lingwistycznej zabawy. Bawi w każdym kontekście i cieszy się z każdego momentu. Wartością jego wierszy jest ta chwila, kiedy nie umiemy cieszyć się życiem bo najczęściej cierpimy. Cierpienie zmusza w nas pisanie o smutkach, rozczarowaniach. Przypominam sobie wtedy kiedy Wanda Chotomska,

Miron Białoszewski i Wanda Chotomska byli bliskimi przyjaciółmi i literackim duetem. Wtedy to miałam okazję pokazać jej moje wiersze. Była oczarowana i stwierdziła, że jestem albo tak bardzo kochana albo niekochana. Miłość i poezja to kolejny temat jaki przytoczę.

CZY KREUJĄC DOBRY WIERSZ TRZEBA BYĆ NIESZCZĘŚLIWYM/NIEKOCHANYM?

Czy człowiek ma inne możliwości poza tą wiedzą, którą ma? Czy jest coś dalej poza śmiercią, miłością, życiem, Bogiem, kosmosem? Czy jest coś poza tym aktem? Ja pisząc wiersz staram się poszukać tego o czym nie wiemy. Znaleźć i wyłuskać tę tajemną wiedzę. Tak, jestem ciekawa bo nawet świat science-fiction wciąż opiera o światy kosmitów.

Miłość i śmierć to te dwa warunki. Kiedy kochamy chcemy żyć, kiedy się rozstajemy płacemy. Pytamy: *Dlaczego mnie tak potraktował/aś?* Rany leczymy u psychologów. Bycie niekochanym sprzyja na pewno tworzeniu wierszy o miłości. Dojrzałe wiersze o miłości pisała Maria Pawlikowska-Jasnorzewska czy Halina Poświatowska. To tylko przykłady. Dziś romantyzm jest czymś podejrzanym bo w każdej osobie, która potencjalnie nas kocha widzimy oszusta. Nie umiemy ufać a relacje przeszły przemianę. Wiersz stanowi budulec relacji, chcę ci powiedzieć, że cię kocham ale czy TY to pojmiesz??? Tworząc najlepiej zaakceptować fakt, że świat NIE JEST SPRAWIEDLIWY. Nie możemy układać tak jak chcemy. W śmierci najgorsze jest to, że nie zależy od nas i nie należy do nas co czyni ją wyjątkową w poezji. Pytamy: CO TAM JEST DALE? A jeśli nic? Jeśli jesteśmy tylko punktem odniesienia tej chwili? Kreator dobrego wiersza bez wątpienia to nie Al to my sami.

Nieszczęście sprawia, że wołamy o pomoc. Ale czy nasza miłość jest szczęśliwa? Czy ważniejsze jest to co czujemy w środku: Lęki, które przeszywamy słowami. Ludzie boją się samotności i śmierci, boją się tego, że nie są istotni dla świata. Poezja i pisanie mają być znaczeniem. Tym jedynym znaczeniem, którego nie potrafimy pojąć.

KREUJMY WIĘC DOBRE WIER-SZE I SZANUJMY TYCH CO JE TWORZĄ
CDN.

ANNA CZYRSKA



Poezja z Czarnogóry

Pavle Goranović

Przekład: Olga Lalić-Krowicka

POEZJA

OKNO WYCHODZĄCE NA DZIEŃ

Już od godzin
próbuję pustym ścianom
przypisać koloru.
Cieszę się z mojego daremnego działania,
bo ściany też nie mają pomysłu.
Z piasku pozostaje tylko obraz
w swojej prostocie.
Chcę zapaść w zapomnienie,
teraz, gdy jestem w przestrzeni,
gdzie postacie i rzeczy mogą być spokojnie uło-
żone,
godne wyobrażonej rzeczywistości.
Sam decydujesz o formie i stylu.
Usprawiedliwiasz samego siebie.
Oszukujesz samego siebie.
Znikasz sam.
W sobie.
W zapomnienie.

I - WCALE NIE MAJESTATYCZNA ŚMIERĆ

Tak samo jest po drugiej stronie drogi, myślisz.
Tak samo jest, na tamtym otwartym morzem,
gdzie kiedyś ci się wydawało,
że życie jest bliżej.
Ale nigdy się nie dowiesz,
bo nie poczujesz
niewidzialnej szerokości Europy Środkowej,
ani żadnego zmięczenia na wschodnim wybrzeżu.
Tak samo jest wszędzie na świecie,
gdzie życie dobiega końca.
Każdy poranek jest jak twój -
Niechętny udział w życiu.
I każdy koniec dnia jest taki sam,
jak wtedy, gdy zanurzasz się w sen:
twoja niezbyt majestatyczna śmierć.
A ty jesteś tutaj tylko chwilowo - na świecie.

WERSJA KOSMICZNA

Znikną te miasta,
te bez polotu lekcje, sukcesy,
nawyki, okrucieństwa...
I to westchnienie potężnego człowieka,
które jest związane z niezmierzonym
smutkiem, że będzie częścią
przyszłych pustyń. Poczekaj, oto jest
możliwość wykrzyknienia słów,
drżysz przed ziemską
prawdą: świat jest wyjątkowym
cudem języka! To wyjaśnia ból
każdego uświadomienia, ale - każdy zniknie
ślad, wryty w głębokich przeczuciach,
w niemalże osiągniętym odbiciu.

ROZWIJANIE TEKSTU

Nie mam chwały Agathona!
Nie piszę, by uciec,
lecz by pojednać się ze światem.
Każde słowo mnie
zwykle drogo kosztowało.
Ale umiejętnie ułożyłem
w nim drobiazgi dzięki którym żyję:
rząd zaczyna się od pokoju z książkami.

Zapożyczyłem od alchemika
użycie słowa melancholia,
aby rozpocząć poszukiwania
tego, co wszechprzenikające.
Tak naprawdę, ta czarna żółć musiałaby być
umieszczona gdzieś na początku.

Dlatego jesteśmy świadkami rozwijania się tek-
stu.

Pozostaje CZYTANIE,
rzadka możliwość przetrwania.

Agnieszka Johnston

Podróż w czasie

Walt Whitman:

Ja – pełen życia, widzialny i namacalny
 czterdziestolatek,
 w osiemdziesiątym trzecim roku tych Stanów,
 posyłam te wiersze Tobie – jeszcze nienarodzonemu,
 by cię szukały w otchłani wieków.

Ja:

Ja – pełna życia i energii,
 widzialna i namacalna pięćdziesięciolatka,
 posyłam te wiersze Tobie, narodzonemu dwieście siedem lat temu,
 by cię szukały w głębi przeszłości.

Piszę do Ciebie z Twojego kraju, któż by pomyślał,
 że los przywiedzie mnie tutaj samolotem, a nie statkiem?

Co dzień podziwiam prerie Środkowego Zachodu
 i czytam wiersze amerykańskich poetów.

Nie wrzucę butelki z wierszem do morza,
 lecz tutaj Ci powiem:

Jakże bogaty jest człowiek, który, jak ja,
 może podziwiać kwiaty prerii
 i „Żdźbła trawy” w oryginale.

Choć i nasz Miłosz, mądry, kochany,
 przetłumaczył Twoje teksty tak,
 że aż dech w piersiach zapiera.

Ale co ja Ci tu piszę o Miłoszu?
 Wy na pewno poranną kawę razem pijacie.
 Dobrze, że zostawiliście nam wasze wiersze,
 które odnajdują nas przez wieki.

18 LIPCA 2026

Księga życia

Jestem na świecie zbyt sama, a przecież sama nie dość, by każdą święcić godzinę.
 Ludzi wokół tłum niezmierny, lecz nie dość wielki, by ukoić mój ból.

Rąk starych, zmęczonych, rąk dojrzałych jak kłosa jęczmienia, rąk dziecinnych, ufnych, uroczych dotknęłam wielu,
 nie dość wielu, by w pamięci na zawsze zatrzymać ich czułość.

Wolności miałam wiele, zbyt wiele, by właściwie wybierać. Błądziłam, otwierałam niezliczone drzwi,
 lecz gdy dotykałam klamek, drzwi zamieniały się w lustra.

Patrzyłam na odbite w nich moje oblicza, uciekałam przed sobą jak przed wilkiem,
 zamiast wymazać próżność ze wszystkich luster.
 Popychano mnie, trącano łokciem, podstawiano mi nogę nie raz, gdy biegłam przez pola, łąki i las.
 Przewracałam się, skóra z kolan wgrzyzała się w piach, a krew mieszała z brudem.

Upadałam wiele razy, nie dość, by nie powstać i być tym, kim jestem, bez lęków i złudzeń.

15 LIPCA 2026

Pierwsze dwa wersy to cytaty z R. M. Rilkego „Księga godzin”.

Anioł Stróż

Aniele Strózu, czy dobrze spałeś dzisiejszej nocy? Czy podobnie jak ja czujesz, że twoja obecność w świecie trwa już jakieś pół wieku? Miewasz bóle krzyża? Trudno ci klękać i wstawać? Czy przez te lata stałeś się mądrzejszy i lepiej wiesz, jak mi pomagać? Czuję, że należy Ci się dłuższy urlop, ale czy mógłbyś z tym trochę poczekać? Czy czujesz się dziś związany ze mną mocniej, bo mnie tak długo znasz? Czy tak jak ja poznawałam życie, ty poznawałeś mnie? Czy są zdarzenia, które i ty chciałbyś zapomnieć? Zwłaszcza gdy, pogrążona w bólu, nie czułam, że szarpiesz mnie za ramiona, i biegłam na oślep w stronę czegoś, co brałam za światło, a było ogniem. A potem ty okładałeś liśćmi babki me poparzone dłonie i stopy. Dziś mam twarz niewinną. Może robię się do ciebie podobna? Czy anioł stróż ma twarz człowieka? Gdy ciebie w końcu poznam, to czy będzie tak, jakbym poznała siebie w najlepszej możliwej postaci? I właśnie wtedy nie będziesz już musiał sprawować nade mną opieki?

28 LIPCA 2026

Pieśń dębu

Na skraju lasu, tuż przy brzegu rzeki, rósł dorodny dąb. Prężył się dumnie, wyciągał gałęzie ku słońcu. Rzeka poila jego korzenie hojniej niż wszystkie inne drzewa w lesie. Służył za dom sójce i rudzikowi, a nocą z jego dziupli odzywał się puszczyk. Jesienią i wiosną przybywało wody w rzece. Podmywała delikatnie korzenie. Jesień po jesieni, wiosna po wiosnie. Rzeka nie porwała drzewa, powaliła je niepostrzeżenie. Wielki dąb, dorodny dąb. Leży na brzegu bezbronny, bezlistny, sam. Rzeka go nie chciała, piasek go nie schował, las nie przyjął z powrotem. Słońce pali go co dzień. Nie dość mocno jednak, by spalić go do cna. Ludzie przychodzą i mówią:
— O, powalone drzewo!
I odwracają wzrok, jakby patrzyli na śmierć.
Rósł dąb, dorodny dąb. Został tylko martwy pień. Już go woda nie cieszy. Stuk-puk, stuk-puk.
— To ja, chrząszcz. Jaki piękny jest z ciebie dąb! Tu znajdę swój dom, przestronny dom, pośród kory i mchu.
I ptak tu przysiadzie strudzony. I motyl zatrzyma się na moment.
Kiedys wyrosnie tu sosna lub klon, a może i dąb, jeśli wiatr przyniesie tu żołędź.
Zaśpiewasz mu wtedy swoją pieśń: “Na skraju lasu, tuż przy brzegu rzeki, rósł dorodny dąb...”.

24 LIPCA 2026

Łzawnica

W samym środku prerii, otoczony wysokimi trawami i kwiatami, rośnie stary, rosochaty dąb. Jego liczne ramiona sięgają nieba, prowadząc z nim tajemne rozmowy. W pniu dębu znajduje się ogromna dziupla, do której prowadzą jedwabne pajęczne nici. Spływają po nich łzy ludzi, zwierząt, a nawet kamieni. Dziupla jest ogromna, bezdenna, wypełniona łzami po brzegi. Ptaki ich nie piją, rośliny ich nie pragną. Dopóki dziupla jest pełna, żaden człowiek ani zwierzę nie utonął we łzach. Nawet kamień to wie.

19 LIPCA 2026

(Dęby)

Są świadkami moich sukcesów.
To nie takie znów sukcesy.
Towarzyszą moim porażkom.
To nie porażki, lecz doświadczenia.
Są przy mnie, gdy tęsknię.
Gdybyś żyła trzysta lat,
ile tęsknoty miałabyś w sobie.
Niekiedy zrzucają mi na głowę
żołędź lub dwa. Zatrzymaj się.
Głód mija, ból mija,
szum liści trwa.

29 LIPCA 2026 →

Żagłówki

Lubię iść wzdłuż plaży, przyglądać się morzu, pozwalać, by moje stopy zanurzały się w mokrym piasku, a ich ślady zmywały nadpływające fale.

Płyną tam moje wspomnienia, niesione jak żagłówki przez morskie wiatry.

Niektóre podpływają blisko, lecz gdy wyciągam dłonie, by ich dotknąć, większość z nich porywają spienione fale. Te, które zostają, nikną jak piana rozwiewana wiatrem.

Jeszcze inne płyną wzdłuż horyzontu, wabią łopotem białych rzęs.

Z żalem patrzę, jak znikają po drugiej stronie, zabrawszy być może na zawsze moje najpiękniejsze sekrety.

Te najcieńsze opadają na dno, nie dając rady dalej płynąć. Tam znajdują zapomnienie i spokój pod grubą warstwą morskogo pyłu.

Są też takie, które przypływają do mnie — nie dlatego, że przynosi je morze, lecz z własnej woli.

Gdy biorę je w dłonie, zamieniają się w muszle. Przykładam je do uszu, by zanim odejdę usłyszeć raz jeszcze moją historię.

17 LIPCA 2026

(natura)

Przyjmuje cię bez zastrzeżeń, nie zagląda w PESEL ani do portfela, pieści twoje ciało, gładzi włosy, śle miękkie dywany pod twoje stopy, odurza zapachem, nęci smakiem.

Nie mówi złych słów, nie odrzuca, wiernie wysłuchuje.

Nie trzeba jej prosić o względy, nie wylicza twoich błędów.

Nie jest doskonała, choć zbyt doskonała dla jednego człowieka.

Obnosi się swym pięknem, choć nie wie, czym jest próżność, nie zachwyca się tobą ani nie gardzi, swojska i znajoma, wciąż odradza się na nowo.

Bywa pochmurna i nadąsana, grzmi niekiedy, ale nie z twojego powodu.

Zachowuje twoje tajemnice, łązy gromadzi w dziupli starego drzewa, trwa przy tobie, gdy się rodzisz i umierasz.

Nie pojdziesz jej nigdy do końca, przebłyski tajemnicy przenikają przez gęste listowie starego dębu na chwilę i nikną, nim zdążysz je pochwycić.

Jej twórca miał barokową wyobraźnię, szczodry gest, rozmach romantycznego poety, wytrwałość perpetuum mobile i miłości miał tyle, że nie mógł jej pomieścić.

15 LIPCA 2026

Michał Ardow

Zebrał i wstępem opatrzył
protoprezbiter¹ Michał
Wiktorowicz Ardow

Przedmowa

Zwyczajne śniadanie w domu Dmitrija Szostakowicza. Przy stole gospodarz, jego syn Maksim, dwóch naszych wspólnych przyjaciół oraz ja i mój brat Boria. Wszyscy milczą i ta cisza staje się na wskroś nieprzyjemna. Maksim próbując zagadać ciszę zwraca się do mnie:

- Miszka opowiedz jakiś dowcip... znasz przecież wszystkie!

Prośba zawisa w powietrzu. Milczenie stało się jeszcze cięższe.

A sprawa wyglądała tak:

Pod nieobecność ojca Maksim urządził wieczór kawalerski, który przeciągnął się daleko poza północ i wszyscy zostaliśmy u niego na nocleg. Natomiast wcześniej rano niespodziewanie powrócił z lotniska Dmitrij Szostakowicz i nas, delikatnie rzecz ujmując - zaspanych - usadowił, a właściwie „przygwoździł” do stołu. W tamtym czasie byłem, jak się to mówi, duszą towarzystwa. Znałem mnóstwo dowcipów i zabawnych anegdotów, które słyszałem od mojego ojca pisarza Wiktora Ardowa, a także od tych, którzy przychodzili do naszego domu na Ordynkę. Jednak podczas tego śniadania, ze strachu głos uwiązł mi w gardle. Powody były dwa; po pierwsze siedziałem przy stole obok uznanego przez cały świat geniusza, a po drugie Dmitrij Dmitrijewicz przy obcych stawiał się niezwykle spięty i trudno było tego nie zauważyć...

A jak to wszystko się zaczęło... W pięćdziesiątym czwartym lub pięćdziesiątym piątym roku do mnie i mojego brata dotoczył nowy przyjaciel. Szczupły, pełen wdzięku, elegancki sposób bycia, bardzo przystojny, na dodatek z dużym poczuciem humoru i niezwykłym talentem aktorskim. Jestem przekonany, że gdyby Maksim nie poświęcił się muzyce zostałby wybitnym aktorem. [...] Jego ojciec Dmitrij Dmitrijewicz wobec nas, przyjaciół syna i córki był niezwykle uprzejmy, ale jednocześnie, jak już wcześniej wspominałem, zawsze wyczuwało się w nim nieprzyjemne napięcie. Natomiast jego dzieci mówią o nadzwyczajnym poczuciu humoru ojca, serdeczności i życzliwości. Dla mnie od samego początku Dmitrij Dmitrijewicz był osobą niezwykłą. [...] Zainteresowania Szostakowiczem nie straciłem pomimo upływu lat, a nawet dziesięcioleci, podobnie jak nie zniknęło przekonanie, że Maksim i Gala wiedzą o nim rzeczy, których nie zna nikt poza nimi. Więc postawiłem sobie za cel zapisać wszystko co moi przyjaciele zechcą mi powiedzieć. Tak powstała ta książka. Monolog syna i córki kompozytora uzupełniłem fragmentami jego listów i wspomnieniami przyjaciół. Były momenty, że nie mogłem się powstrzymać i ich wypowiedzi poszerzałem o własne wspomnienia. Teraz, gdyby mnie zapytano czy spotkałem kiedykolwiek absolutnie genialnego człowieka odpowiedział-

WIELKA DUSZA - WSPOMNIENIA O DMITRIJU SZOSTAKOWICZU (FRAGMENTY)

bym - tak - znałem Dmitrija Szostakowicza.

Pewnego razu Josif Brodski nazwał Annę Achmatową - „wielką duszą”. Dokładnie tak samo powiedział o Szostakowiczu dyrygent Kiriłł Kondraszyn: „Był człowiekiem wielkiej duszy”. [...] Wielka dusza... Uważam, że to najlepszy tytuł.

PROTOPREZBITER MICHAŁ ARDOW.

Galina:

Przed bramą naszego lotniskowego domku stoi małe czerwone auto. Razem z bratem przyglądamy się, jak ojciec z mamą pakują do niego walizki. To moje pierwsze wspomnienie. Jest lato 1941 roku, wojna dopiero się zaczęła, a my z Komarowa (wtedy nazywało się po fińsku Kellomäki) wracamy do naszego mieszkania w Leningradzie. Kolejne wspomnienie, to jesień tego samego roku i lotnisko w okolicy Niemców Leningradzie. Z bagażami wsiadamy do samolotu. Samolot był mały, oprócz rodziców i nas byli w nim tylko piloci, trzech albo czterech. Wewnątrz żadnych siedzeń tylko podłoga z desek i drewniane skrzynie, na których nie pozwolono nam siadać, więc usiedliśmy na walizkach. W dachu samolotu znajdowało się przezroczyste półokrągłe wypuklenie pod którym cały czas stał jeden z pilotów, strzelec, i bez przerwy rozglądał się na boki. Nas uprzedził, że gdy machnie ręką mamy się położyć na podłogę.

Maksim:

Podczas lotu w iluminatorze zobaczyłem wybuchy. Zapytałem rodziców: „Co to takiego?” Wyjaśnili, że to Niemcy strzelają do naszego samolotu.

Galina:

Wylądowaliśmy w podmoskiewskim lesie. Piloci pościnali drzewa, żeby zasłonić samolot. Była tam niewielka chatka. Przenocowaliśmy w tej chatce. Zamieszkaliśmy w Moskwie. Z Moskwy naszą rodzinę wysłano do Kujbyszewa². W trakcie podróży skradziono dwie nasze walizki.

Nikołaj Aleksandrowicz Sokołow (artysta grafik, wspomina podróż do Kujbyszewa)

Żle spaliśmy, a w zasadzie, to nie było gdzie spać. Kobiety odpoczywały w nocy, mężczyźni w dzień. Widziałem, jak Dmitrij Szostakowicz wychodził na stacjach po wrzutek, widziałem jak mył naczynia śniegiem przy wagonie. Podróżował w swoim jedynym garniturze. Mokrymi, bosymi nogami próbował odszukać jakieś swoje rzeczy. Nie znajdując ich denerwował się. Datem

mu skarpetki. „Dziękuję! To bardzo szlachetne z twojej strony” – powiedział. Ktoś dał koszulę. Nieśmiało wziął te rzeczy i wszystkim bardzo serdecznie dziękował.

Nikołaj Sokołow (przyczyta co mówił Szostakowicz)

„Wie pan Nikołaju Aleksandrowiczu, gdy w Moskwie wraz z dziećmi weszliśmy do ciemnego wagonu, poczułem się jak w raju! Ale w siódmej dobie podróży ten raj zamienił się w piekło. Gdy (w Kujbyszewie - Ś. K.) znalazłem się w szkolnej sali, na dodatek, na kanapie i dookoła zastawiony walizkami, znowu poczułem że to raj, ale po trzech dniach byłem tak zmęczony tymi warunkami, gdy nie ma jak się rozebrać i wokół masa obcych ludzi... więc znowu poczułem się jak w piekle.

Dmitrij Szostakowicz (fragment listu do I.I. Sollertinskiego)³

Już na stałe jestem w Kujbyszewie. Wczoraj przeniosłem się do oddzielnego mieszkania. Mieszkanie składa się z dwóch pokoi: czuję się w nim świetnie. Żyję tutaj spokojnie. Większość czasu spędzam w domu pracując. Wieczorem, gdy przychodzi (Lew) Oborin i (Dawid) Rabinowicz⁴ gramy na cztery ręce, chociaż mamy tutaj bardzo mało nut.

Galina:

Jeszcze jedno wspomnienie z naszego życia w Kujbyszewie. Po raz pierwszy rodzice zabrali nas na koncert, była to premiera VII Symfonii naszego ojca. Do tego czasu zabierano nas jedynie na próby, bo jak mówiła mama Maksim w trakcie wchodził na scenę, sam zaczynał dyrygować i siłą trzeba było go zabierać za kulisy.

Maksim:

Prób jakoś nie pamiętam. Za to koncert zapadł mi głęboko w pamięć - muzyka VII Symfonii wstrząsnęła mną.⁵ Zwłaszcza temat inwazji z pierwszej części, jako zbliżanie się czegoś strasznego, nieuchronnego... A co jeszcze zapamiętałem; zapamiętałem smak cukierków, którymi poczęstowano nas na premierze. Cukierki były czekoladowe - takich nigdy jeszcze nie jadłem.

³ I.I. Sollertinski, wykładowca i muzykolog.

⁴ Pianści; Dawid Abramowicz Rabinowicz, i Lew Nikołajewicz Oborin.

⁵ „VII Symfonia jest poematem o naszej walce, o naszym nadchodzącym zwycięstwie” – napisał Szostakowicz. VII Symfonia zwana „Symfonią Leningradzką” była wykonana przez głodujących, na wpół żywych muzyków w oblężonym mieście 9 sierpnia 1942 roku i nadawana przez głośniki, by usłyszeć ją mogli nie tylko mieszkańcy miasta, ale także żołnierze niemieccy oblegający Leningrad. W dniu wykonania rosyjska artyleria na rozkaz Stalina miała za zadanie zabezpieczać niebo nad miastem tworząc parasol ochronny. Tytuł „Symfonia Leningradzka” to tytuł nadany przez Annę Achmatową.

¹ Protoprezbiter – w Cerkwi prawosławnej tytuł honorowy, pierwszy kapłan, przełożony katedralnego kleru.

² W czasie wojny Kujbyszew był tzw. „rezerwową stolicą”. Ewakuowano tam znanych i cenionych twórców z Leningradu i Moskwy.

WIELKA DUSZA

Michaił Ardow:

Jeszcze słowo o epistolarnej spuściznie Dmitrija Dmitrijewicza. W zbiorze listów do I.I. Solertinskiego znajdują się prawdziwe skarby i nie mogę się oprzeć by ich nie przytoczyć.

Dmitrij Szostakowicz (list do I.I. Solertinskiego z dnia 10. 01 1928 r.)

Mieszkam tutaj wśród geniuszy: „Genialny reżyser”, „genialna aktorka” (Ach, Zinka! Jak ty genialnie wczoraj grałaś!), „genialny kompozytor” i „genialna poetka”. Ostatnia dwójka, to de facto, dzieci „genialnego” poetę Jesienina i „genialnej aktorki”. Chłopiec (kompozytor) działa mi na nerwy. Wali w klawisz fortepianu, a Meyerhold mówi: „Od razu czuć w tym coś niezwykłego”. Dziewczynka recytuje wierszyk, a Zina ze słodyczą w głosie wieszczy. „Absolutnie niezwykłe.” Odziedziczyła natchnienie po swoim ojcu. Och Sergiuszu! Ach! Jesieninie!

- Dzielne dzieciaki. Zuchy - mówi W.E. [Meyerhold]. - Szostakowicz - prawda, że dzielne?

- „Dzielne.”

- Reich; „A niech pan powie Dima (w tym domu tak mówią do mnie). Tania odziedziczyła talent po ojcu, ale w kogo wrodził się Kostia ze swoim muzycznym talentem?”

- Meyerhold; - „W ciebie”.

- Reich; - Dlaczego, przecież jestem aktorką nie muzykiem”.

- Meyerhold; - „Jesteś aktorką. Wiesz dokładnie, co znaczy słowo. A tam, gdzie kończy się Słowo, zaczyna się Muzyka, tak powiedział Heine. Prawda Dima? Jest z lekka najeżony. Więc się upewniam. No? Co? Słucham tego w ponurym milczeniu i na koniec zgadzam się.”

Galina:

Z okna wychyla się rozwścieczona głowa i głośno do nas krzyczy: - „Zaraz poobrykam wam uszy! Naskarzę rodzicom! Żebyś was tutaj więcej nie widział!” To Sergiej Sergejewicz Prokofiew. Często bawiliśmy się pod jego oknem i hałasując przekradaliśmy komponować. Było to latem 1943 roku w Domu Pracy Twórczej niedaleko Iwanowa we wsi Gorino. Znajdowało się tam Państwowe Gospodarstwo Drobniarskie (Sowchoz Nr 69). Dom Pracy Twórczej utworzono tuż obok, żeby pomóc głodującym artystom.

Maksim:

Doskonale pamiętam, jak drażniliśmy się z Prokofiewem. Mieszkał w głównym kamiennym budynku. Po cichutku skradaliśmy się pod jego okno i głośno zaczynaliśmy krzyczeć: Sergiej Sergejewicz, tra-ta-ta-ta! Sergiej Sergejewicz tra-ta-ta-ta!

Grigorij Szneerson (pianista, muzykolog)

Szostakowiczowi przydzielono małeńkie pomieszczenie w byłym kurniku. Tam wstawiono pianino, a do jednej ze ścian przybito coś na kształt stolika. To właśnie tam powstała VIII Symfonia.

Aram Chaczaturian:

Pamiętam, że pracował nad kompozycjami w małeńkiej szopie, gdzie ledwo mieściło się pianino. Ciekawe, że dopóki nie ukończył partytury nikt nigdy nie słyszał z tego „gabinetu” ani jednego dźwięku. Pisał przy małeńkim stoliku przybitym do ściany prawie nie dotykając instrumentu.

Maksim:

Kompozytorów mieszkających w Gorino dzielono na trzy kategorie w zależności od talentu oraz miejsca zajmowanego w muzycznej hierarchii. Zgodnie z tym podziałem każdemu odjeżdżającemu wydawano kurze jaja; 50, 40 albo 30 sztuk zależnie od kategorii do której przypisana była dana osoba. Szostakowicz czuł się zażenowany jeżeli w tym samym czasie swoją porcję odbierał kolega należący do trzeciej kategorii.

Galina:

Tamtej zimy jeździliśmy z górki na narciach, a opiekował się nami Rostropowicz⁶. Takie polecenie otrzymał od naszych rodziców.

Galina:

Jesteśmy z Maksimem w gabinecie ojca, a on powtarza: - ulica Kirowa, dom 21, mieszkanie 48, telefon K-5-98-72. Zapamiętaliście? Powtórzcie! Dopiero co przywieziono nas do mieszkania, które ojciec otrzymał w Moskwie i wymagał od nas żebyśmy na pamięć znali nowy adres i numer telefonu.

Maksim:

Orkiestra ucichła i dyrygent odwrócił się w naszą stronę. Bardzo dobrze, bardzo dobrze - mówi jak zwykle ojciec. Próba VIII Symfonii jest kontynuowana. Było to wiosną 1946 roku w Leningradzie. Byłem jeszcze całkiem mały, ale ojciec wziął mnie na jedną z prób i zapamiętałem ją na całe życie. Dyrygował Jewgienij Aleksandrowicz Mrawinski⁷. Patrzyłem z podziwem jak dyrygował orkiestrą. Właśnie wtedy postanowiłem, że gdy dorosną zostanę dyrygentem.

Boris Chajkin⁸:

Jest rok 1946. Spotkaliśmy się na lotnisku, na Karelskim przesmyku. Moim zadaniem było wieczorem porozwozić gości do ich domów. Na przesmyku drogi jeszcze nie były naprawiane i ostre obniżenia terenu przeplatały się z równie stromymi podjazdami. Mój samochód był stary przedwojenny i trudno było nim manewrować. Obok mnie siedziała Galina Sergejewna Ulanowa⁹ z tytułu Dmitrij Szostakowicz i pisarz Anatolij Marienhof. W pewnym momencie, gdy samochód zjeżdżał z bardzo stromego pagórka Marienhof nachyliła się do mnie i szepcze: - „Pan ma świadomość kogo pan wiezie? I jak mogą się teraz zakończyć te dwie biografie?” W samochodzie była nas czwórka, lecz Marienhof mówił tylko o dwojgu! Widać mojej i swojej osoby nie brał pod uwagę.

Galina:

W drzwiach pojawia się ojciec:

- Kto zabrał mój otówek?

Albo:

- Gdzie moja linijka?

Zawstydzeni spoglądamy na siebie i zaczynamy szukać zguby. Podobne sceny powtarzały się i w Moskwie, i na lotnisku. Jak wiadomo Szostakowicz muzykę tworzył bez pianina - siedział przy stole i pisał nuty. Wtedy nie trzeba było zachowywać szczególnej ciszy: mógł zaszczekać pies, mógł przejechać samochód. Jedyna rzecz, która go denerwowała to naruszenie porządku. Na jego biurku zawsze leżały otówki, pióro i linijka, które sobie pożyczaliśmy.

Galina:

Siedzę na ławce obok ojca i okropnie się

nudzę, a po głowie chodzi tylko jedna myśl - kiedy to się skończy? Natomiast mój ojciec jest wyraźnie ożywiony, rozentuzjasmowany... To wspomnienie należy do dawnych czasów, gdy ojciec zabrał mnie na mecz. Mnie to zupełnie nie interesowało i nawet nie próbowałam zrozumieć.

Maksim:

Papa nie tylko doskonale znał się na piłce nożnej, był dyplomowanym sędzią piłkarskim. Godność sędziego została mu przyznana w Leningradzie jeszcze przed wojną.

Solomon Wołkow:

W maju 1946 roku Stalin obsypał Szostakowicza różnego rodzaju materialnymi darami. Z polecenia Stalina do kompozytora zadzwonił sam Ławrientij Beria, w tamtym czasie prawa ręka dyktatora, by powiadomić, że otrzymuje; duże mieszkanie w Moskwie, całoroczny dom letniskowy, samochód i 60 tysięcy rubli. Od tych nieoczekiwanych i szkodliwych darów Szostakowicz próbował się wykręcić przekonując, że może się obejść bez dodatkowych pieniędzy i że jest przyzwyczajony sam zarabiać na swoje potrzeby. Rozżłoszczony Beria odpowiedział: - „Przecież to prezent od Stalina! Nawet gdyby Stalin podarował mi swój stary garnitur ja bym nie odmówił, lecz podziękował.” W takiej sytuacji opór stawał się niebezpieczny i Szostakowicz zmuszony został do przyjęcia „łaski pańskiej”, chociaż dobrze pamiętał przestrożę - „Strzeż się Greków co dary niosą”. Dokładnie pod dyktando Berii napisał do Stalina list z podziękowaniem. Spośród wielu znanych nam podziękowań składanych wodzowi przez innych radzieckich twórców list Szostakowicza wyróżnia się swoim rzeczowym tonem i bardziej przypominając poświadczenie odbioru: - „Ławrientij Pawłowicz powiedział mi, że bardzo Pan ubolewał nad moim położeniem. Teraz wszystkie moje sprawy układają się znakomicie. W czerwcu otrzymam pięciopokojowe mieszkanie. W lipcu domek w Kratowie, a oprócz tego jeszcze 60 tysięcy rubli na umeblowanie. Wszystko to niezwykle mnie ucieszyło.” Szostakowicz lubił powtarzać, że w życiu stara się kierować zasadą; niczym się zbytnio nie cieszyć i nie martwić zbyt z żadnego powodu. Psychika jego funkcjonowała jak niezwykle czuły radar, a życie w kręgu zainteresowania Stalina sprawiło, że kompozytor stał się niezwykle nerwowy. Jego przyjaciel tak wspomina powitanie nowego 1948 roku: W trakcie przyjęcia, Szostakowicz zamyślił się i powiedział: - „Boję się tego przestępnego roku, przeczuwam nieszczęście.” Intuicja go nie zawiodła.

Galina:

Ojciec chodzi po mieszkaniu z pokoju do pokoju i bez przerwy pali. Rodzice ze sobą prawie nie rozmawiają. My z Maksimem też milczymy, bo w takich momentach lepiej nie zadawać pytań. Jest zima czterdziestego ósmego roku. Mam już prawie dwadzieścia lat, a Maksim dziesięć. Umiemy już czytać i wiemy, że w gazetach wychwalane jest „historyczne postanowienie KC o operze „Wielka przyjaźń” Vano Muradego¹⁰, a muzykę Szostakowicza oraz innych młodych kompozytorów podano ostrej krytyce za formalizm. Maksim uczył się w szkole muzycznej, gdzie „historyczne postanowienie” było szeroko omawiane, więc rodzice, biorąc to pod uwagę postanowili, że przez jakiś czas nie będzie chodził do szkoły. Zazdrościłam mu, bo chodziłam do zwykłej szkoły pod-

⁶ Mstisław Rostropowicz, światowej sławy wiolonczelista.

⁷ Jewgienij Mrawinski przez ponad czterdzieści lat był głównym dyrygentem Filharmonii Leningradzkiej.

⁸ Boris Emmanuilowicz Chajkin, dyrygent.

⁹ Galina Ulanowa, jedna z największych balerin XX wieku.

¹⁰ Vano Muradeli, rosyjsko-gruziński kompozytor

WIELKA DUSZA

stawowej, a u nas, w klasie szóstej, nikt nie wspominał na lekcjach o postanowieniu Centralnego Komitetu. Następnego dnia historycznego postanowienia nie dały na siebie długo czekać; orkiestry symfoniczne przestały wykonywać utwory Szostakowicza i żeby nakarmić rodzinę ojciec był zmuszony robić to, czego bardzo nie lubił, czyli pisać muzykę do filmów. W dodatku wyrzucono go z grona profesorskiego konserwatorium i rodzina została pozbawiona możliwości korzystania z rządowej kliniki. Atmosfera panująca w tamtych dniach w naszym domu była wyjątkowo napięta.

Sołomon Wołkow:

11 lutego 1948 roku w gazecie „Prawda” opublikowano uchwałę KC WKP(b) z dnia 10 lutego „O operze *Wielka przyjaźń*” Vano Muradelego”. Był to standardowy stalinowski dokument, podsumowujący poglądy wodza i zawierający wytyczne dotyczące aktualnej sytuacji w kulturze. Wymieniono w nim nazwiska; Dmitrija Szostakowicza, Sergieja Prokofiewa, Arama Chaczaturiana, Wissariona Szabalina, Gawriiła Popowa i Nikołaja Miaskowskiego - właśnie w takiej kolejności, gdzie w oczywisty sposób nie zachowano porządku alfabetycznego. W czasach radzieckich znaczenie takich list było ogromne, bo bez żadnej dodatkowej informacji były wskazówką, jak oceniać daną osobę i jakie jest jej aktualne miejsce w społecznej hierarchii, kolejność wymienianych nazwisk sugerowała poparcie lub ocenę negatywną. O tym wszystkim Szostakowicz dowiedział się, jak mówił Amerykanie, „z końskiego pyska”, czyli z pierwszej ręki. 11 lutego o godzinie 6 rano zadzwonił do niego sekretarz Stalina Aleksandr Poskriobyszew i wezwał na Kreml. Stalin polecił Poskriobyszewowi, by osobiście odczytał kompozytorowi tekst partyjnej uchwały. [...] Niezwykle wrażliwy Szostakowicz poczuł się tym głęboko upokorzony.

Galina:

W latach 50. Ojciec odpoczywał w rządowym sanatorium na Krymie, tam powierzono mu sędziowanie zawodów w tenisie. Wśród tych, którzy codziennie występowali na kortach był generał armii Iwan Aleksandrowicz Sierow zajmujący wówczas stanowisko szefa KGB. Było tak, że gdy główny czekista popełnił jakiś błąd natychmiast występował z pretensjami na co Szostakowicz niezmiennie usadzał go zdaniem: - „Z sędzią się nie dyskutuje”. Ojciec miał odwagę powiedzieć to prosto w oczy szefowi KGB.

Maksim:

Gdy byliśmy mali czasami pytałśmy ojca, gdzie przepadł któryś z naszych znajomych. Zawsze odpowiadał krótko: „Przepadł, bo chciał przywrócić kapitalizm”. Po kilku latach, już nieco starsi, poznaliśmy prawdę. Mąż siostry ojca, Wsiewołod Frederiks¹¹ został aresztowany i zmarł w więziennym szpitalu, jego żona otrzymała nakaz opuszczenia Leningradu¹². Aresztowana została też nasza babcia ze strony matki Sofija Michajłowna Varzar. Począwszy od lat trzydziestych, aż do samej śmierci Stalina ojciec żył pod groźbą aresztowania i śmierci. Nie mogły przed tym uchronić ani lojalność wobec reżimu, ani genialny talent - wymownym przykładem jest los poety Osipa Mandelsztama czy reżysera Wsiewołoda Meyerholda. [...] Kompozytor

¹¹ Wsiewołod Frederiks mąż Marii Dmitrijewnej Szostakowicz, na podstawie sfałszowanych zarzutów został oskarżony o szpiegostwo na rzecz obcego państwa i skazany na 10 lat więzienia.

¹² Została zesłana do Azji Środkowej.

Wieniamin Basner opowiedział mi tę historię, tak jak usłyszał ją od mojego ojca. Pewnego razu, po wizycie u Tuchaczewskiego Szostakowicz wezwano do siedziby leningradzkiego NKWD (słynny Bolszoj Dom¹³). Podczas przesłuchania śledczy zapytał: - „Pan był u Tuchaczewskiego i słyszał jak Tuchaczewski omawiał ze gośćmi plan zabójstwa towarzysza Stalina?” Ojciec zaczął się wykręcać od odpowiedzi. - „Niech pan pomyśli i przypomni sobie...” - nalegał śledczy. Niektórzy z tych, którzy byli tam z panem już złożyli nam zeznania. Ojciec nadal twierdził, że nic takiego nie miało miejsca. Stanowczo panu radzę przypomnieć sobie tę rozmowę - powiedział z groźbą w głosie śledczy. Daję panu czas do jutra, do jedenastej. Jutro przyjdzie pan do mnie jeszcze raz i będziemy kontynuować rozmowę...” Ojciec powrócił do domu blady z przerażenia. Postanowił, że nie będzie zeznawał przeciwko Tuchaczewskiemu i przygotował się do aresztowania. Rano ponownie pojawił się w „Wielkim Domu”, otrzymał przepustkę i usiadł w pobliżu gabinetu tego właśnie śledczego. Minęła godzina, następna, a jego nie wzywano. Na koniec jakiś czekista przechodzący korytarzem zwrócił się do Szostakowicza: - „Co pan tutaj robi? Widzę, że siedzi pan tu od dawna”. - „Czekam” - odpowiedział ojciec. Czekam, aż wezwie mnie śledczy.” - NI! N? powtórzył czekista. - „To się pan go nie doczeka. W nocy go aresztowano. Niech pan wraca do domu.” Tak więc nie przesadzam mówiąc, że Szostakowicz cudem uniknął aresztowania.

Rodion Szczedrin (kompozytor)

Szostakowicz żył w państwie, w którym oddychało się strachem. Wszyscy jego bliscy zostali aresztowani. Przyjaźnił się z Tuchaczewskim¹⁴, który gdy pojawił się artykuł „Jazgot zamiast muzyki”¹⁵ napisał list do Stalina w obronie Szostakowicza i już samo to wystarczało, by aresztować kompozytora. Szostakowicz przyjeżdżając do Moskwy zatrzymywał się u Meyerholda, w tym samym mieszkaniu, w którym później z mordowana

¹³ Bolszoj Dom na Litiejnym Prospekcie w Leningradzie, o którym mówiono, że z jego piwnic widać Syberię.

¹⁴ Michaił Nikołajewicz Tuchaczewski, wybitny teoretyk wojskowości, wielokrotnie nagradzany za odwagę, marszałek Związku Radzieckiego, to jedna z pierwszych ofiar wielkiej czystki w wojsku - zginął rozstrzelany.

¹⁵ Artykuł dotyczył opery „Lady Makbet mceńskiego powiatu”. Opera przez wiele lat nie była wystawiana.

została Zinaida Reich¹⁶. To także było absolutnie wystarczające, żeby kompozytora nie tylko aresztować, ale pozbawić życia.

Anatolij Marienhof:

Było to pod koniec władzy Stalina w Komarowie. Wyszedłem na stację po żonę. Obiecała wrócić około piątej, ale próba przeciągnęła się, a zamiast niej spotkałem Szostakowicza. Anatoliju Borysowiczu chodźmy się napić. - Knapa ze swoimi trzema stolikami była na wprost dworca. - Wypijemy po 100 gramów, dzisiaj jest mój wielki dzień - mówiąc to Dmitrij Dmitrijewicz uśmiecha się sarkastycznie. To słowo mi się nie podoba, ale inne nie przychodzi na myśl. Siadamy przy drewnianym stoliku, który na szczęście jest czysty. Dziewczyna w białym fartuszkach przynosi nam ciepłą wódkę i na czerstwym chlebie niezbyt świeżą pottawską kiełbasę.

Szostakowicz - trącając się:

- A więc tak, Anatoliju Borysowiczu, przychodzę dzisiaj do konserwatorium... Ale zanim wszedłem do klasy zupełnie przypadkowo zatrzymałem się przed tablicą ogłoszeń i czytam... „Robi pauzę i z takim samym sarkastycznym uśmiechem pocierając ręce...”

- Czytam, że zostałem zwolniony i już nie jestem profesorem¹⁷.

- Czyż to nie wspaniałe!

- O zwolnieniu dowiaduję się z informacji naklejonej na jakiejś desce.

- Wspaniałe!

- Więc wypijmy, Anatoliju Borysowiczu. Jest za co! - mówię i trącam się szklankami w zielonym kolorze.

Maksim:

Człowiek, który nie żył w tamtym cza-

¹⁶ Zinaida Reich aktorka, początkowo żona Sergieja Jesienina, następnie żona Wsiewołoda Meyerholda została zamordowana, podobnie jak Meyerhold przez NKWD.

¹⁷ Z Konserwatorium Leningradzkiego zwolniony w lipcu 1948, a miesiąc później z Konserwatorium w Moskwie. Do grzechów kompozytora można jeszcze dorzucić i to, że Dmitrij Szostakowicz miał polsko-rosyjskie korzenie, co więcej, jego pradziadek Piotr Szostakowicz za udział w powstaniu listopadowym został zesłany na Syberię, również dziadek Bolesław za udział w powstaniu styczniowym zesłany był na Syberię. Ojciec Dmitrija Szostakowicza jako syn zesłańca wychował się na Syberii.



Dmitrij Szostakowicz z dziećmi; Galiną i Maksimem (z archiwum Michaiła Ardowa)

WIELKA DUSZA

→ sie może sobie pomyśleć: jaką niby ofiarą mógł być Szostakowicz? Deputowany do Rady Najwyższej, Ludowy Artysta ZSSR, Bohater Pracy Socjalistycznej, laureat wszelkich możliwych nagród, i tak dalej, i tak dalej... Jeżeli przyjmiemy ten punkt widzenia, to Aleksandra Puszkina też w żaden sposób nie można uznać za prześladowanego; był faworyzowany przez cara, tworzył lojalne wiernopoddane wiersze, a jednak wszyscy uważają, że stał się ofiarą carskiego systemu. Niestety! Szostakowiczowi nie dane było żyć w Rosji Nikołaja I, a w Stalinowskim Związku Radzieckim. Były takie okresy, w których nasz ojciec czuł, że jest o włos od śmierci. A do samej śmierci był szantażowany i zależny od niebezpiecznych i aroganckich urzędników.

Nigdy nie zapomnę, jak latem 1960 roku ojciec zawołał nas do swojego gabinetu i powiedział: „Zmusili mnie do wstąpienia do partii... i zapłakał. Dwa razy widziałem ojca płaczącego, raz gdy umarła mama, a drugi raz tamtego nieszczęsnego dnia.

Galina

Szostakowicz energicznie przechodził od jednego fortepianu do drugiego i przy każdym sprawdza brzmienie. Dzieje się to w ogromnym Domu Towarowym Stockmana w Helsinkach. Z czterech fortepianów jeden bardzo się ojcu spodobał i wszyscy, łącznie z nim samym, byli przekonani, że dojdzie do zakupu... Jednak los zdecydował inaczej...

W 1958 roku Dmitrij Dmitrijewicz otrzymał Nagrodę imienia Jeana Sibeliusa i by ją odebrać pojechał do stolicy Finlandii. Towarzyszyłam mu w podróży. Było to na początku października. Oprócz fortepianu zamierzaliśmy kupić nieco odzieży, być może coś z mebli, bo w Moskwie niczego porządnego nie można było dostać. Nagroda Sibeliusa to duża suma pieniędzy wypła-

cana w dolarach, więc nasze plany wyglądały całkiem realnie. Tymczasem, tuż przed wręczeniem nagrody, jakaś wysoko postawiona osoba reprezentująca naszą władzę przekazała ojcu, że „jest taki zwyczaj” (takie sformułowanie nakazywało kategoryczne podporządkowanie się), iż część pieniężną nagrody należy przekazać Towarzystwu Przyjaźni Fińsko-Radzieckiej. I tak w jednej chwili upadły wszystkie nasze plany. [...] Poniżającym było dla ojca znaleźć się za granicą bez wystarczającej sumy pieniędzy, a ponieważ zabrano je ojcu - odpowiedź była stanowcza: „Jutro wracamy do domu!” Gdy tylko przyjechaliśmy do Helsinek ojciec dał mi pieniądze na zakup pamiątek choć oczywiście pojęcia nie miał, co zamierzam kupić. Zaczęłam od gumy do żucia, która była w automacie w holu naszego hotelu. Ale zaraz jakiś mężczyzna, chyba z ambasady, zwrócił ojcu uwagę: - Dmitriju Dmitrijewiczu, czy pan wie, że pańska córka korzystając z hotelowego automatu kupiła gumę do żucia? Proszę, by pan ją uprzedził, żeby w żadnym wypadku nigdzie tej gumy nie żuła, bo tutaj jest to uważane za bardzo nieprzyzwoite.”

Michaił Ardow:

Każdy obywatel Związku Radzieckiego, przebywając za granicą i otrzymując honorarium za koncert, wykład lub publikację prasową, był zobowiązany oddać ambasadzie radzieckiej 80 procent zarobionej kwoty.

W opowieściach krążyło, że tuż przed emigracją Mstisław Rostropowicz był w Bonn, stolicy Republiki Federalnej Niemiec. Występował tam w jakimś klubie, gdzie zamiast honorarium wręczono mu wielki kryształowy wazon. Zaraz po zakończeniu koncertu wybitny muzyk pojechał do ambasady. Wszedł do holu i tam z całej siły cisnął nim o podłogę, tak że wspinały wazon roztrzaskał się

na kawałeczki. Pozbierawszy około jednej piątej tych kryształowych kawałków Rostropowicz wskazując zaskoczonym dyplomatom na pozostałe odłamki, powiedział: - „To dla was. Proszę je sobie zabrać.”

Michaił Ardow:

Jakoś pod koniec 1963 roku władze zaczęły prześladować Josifa Brodskiego. Wśród tych, którzy szczególnie gorąco współczuli poecie była Anna Achmatowa i postanowiła prosić o pomoc Szostakowicza. W tym celu Dmitrija Dmitrijewicza zaproszono do mieszkania moich rodziców na Ordynkę, gdzie zwykle przyjeżdżając do Moskwy zatrzymywała się Achmatowa. Rano podczas śniadania Anna Andriejewna powiedziała: - „Wszystko dobrze, ale ja nie wiem o czym mam rozmawiać z Szostakowiczem”. A Maksim opowiadał nam, że ojciec szykując się mówił: „No dobrze, ale o czym ja będę rozmawiał z Achmatową”. Niemniej jednak oboje znaleźli wspólne tematy i byli z siebie nawzajem zadowoleni. Trzeba też podkreślić, że Anna Andriejewna była wielką admiratorką Szostakowicza i mamy na to potwierdzenie na piśmie. 22 grudnia w ten sposób zadedykowała kompozytorowi swój tomik wierszy: „Dla Dmitrija Dmitrijewicza Szostakowicza w którego czasach przyszło mi żyć”.

Dmitrij Szostakowicz (list do I.D. Glikmana¹⁸ z 19 lipca 1960 r.)

[...] Myślałem o tym, że jeżeli kiedyś umrę, to wątpliwe, by ktoś napisał utwór poświęcony mojej pamięci. Postanowiłem więc sam go napisać. Na okładce można dać tytuł: "Poświęca się pamięci autora tego kwartetu". Główny temat kwartetu

¹⁸ Isaak Dawidowicz Glikman, profesor petersburskiego konserwatorium, teatralny krytyk, librecista



Relief i tablica pamiątkowa na budynku Domu Kompozytorów, gdzie mieszkał Dmitrij Szostakowicz Moskwa, Briusow pieriełok 8-10



Moskwa Brusow pierelok z pomnikiem Mstisława Rostropowicza

oparty na nutach; D. Es. C. H.¹⁹ czyli moich inicjatach. Kwartet bazuje na tematach moich własnych utworów i dodatkowo na rewolucyjnej pieśni "Zamęczony w ciężkiej niewoli". Powstał z tego niezły groch z kapustą! Jednak tragizm tego kwartetu jest tak silny, że tworząc go wylałem tyle łez ile oddaje się mocz po sześciu piwach. Po powrocie do domu od razu zacząłem go grać i znowu płakałem. Nie tylko z powodu tragicznego wydźwięku, ale także zachwytu nad formą.

Galina:

Było to latem w Żukowce w 1960 roku. Ojciec zszedł z pierwszego piętra usiadł na krześle i powiedział: - „Ukończyłem utwór poświęcony mojej pamięci”. Posiedział, popalił, i z powrotem poszedł na górę do swojego gabinetu. Tego dnia ukończył swój wspniany VIII Kwartet. Był to dzień wieńczący dzieło... Wykonany osiągnął wielki sukces, ale zaraz zaczęły się naciski na kompozytora, by zmienić dedykację. Ojca zmuszono do ustępstwa i kwartet otrzymał nowy tytuł: „Pamięci Ofiar Faszyzmu”. Z tą fałszywą dedykacją kwartet wykonywany jest do tej pory i jest dowodem na to, jak obojętni na los Szostakowicza są jego koledzy-muzycy.

Galina:

Do dziś dźwięczy mi w uszach: „Poświęciłem mojej pamięci”... Nie często można

¹⁹ D. Es. C.H. odpowiada inicjałom D. Sch. „Dmitri Schostakowitch” - zgodnie z niemiecką transkrypcją. List do Glikmana był pisany w niemieckim uzdrowisku pod Kónigstein.

coś takiego usłyszeć, a tym bardziej od tak powściągliwego człowieka, jakim był nasz ojciec. Jestem przekonana, że należy koniecznie przywrócić oryginalną dedykację.

Maksim:

Szostakowicz tworzył do ostatnich dni swego życia. Zawsze uporczywie powtarzał swoim uczniom: „Nie powinienes pisać muzyki, jeżeli możesz jej nie pisać”. Sam nie mógł „nie pisać”, przez całe swoje życie był opętany tworzeniem. [...] W 1936 roku strasznym dla niego (i dla całej ojczyzny) czasie, upokarzany i znieważany Szostakowicz powiedział: - „Jeżeli odrąbią mi obie ręce – to wszystko jedno - wezmę pióro w zęby i będę pisał muzykę”. To nie były puste słowa.

Postowie

Wiosną dziewięćdziesiątego czwartego roku odnowiła się moja przyjaźń z Maksimem Szostakowiczem. W latach siedemdziesiątych widywali się rzadko. Młodość minęła, każdy z nas zdobył zawód i życie wszystkich przyjaciół potoczyło się własnym torem. Ale nastał rok osiemdziesiąty pierwszy, gdy obce stacje podały sensacyjną wiadomość: dyrygent Maksim Szostakowicz i jego syn - pianista Dmitrij - zostali na zachodzie. Pamiętam, że chciwie wsłuchiwałem się w „Głos Ameryki” i „Radio Swoboda” interesowały mnie wszystkie szczegóły. Ogłoszono, że syn i wnuk

wielkiego kompozytora poprosili o azyl w USA, że zostali przyjęci przez samego Reagana... Maksim rozpoczął nowe życie. Rok przed tym jak Maksim zrzekł się rosyjskiego obywatelstwa²⁰ u mnie także zaszła zdecydowana zmiana - zostałem wiejskim księdzem. [...] Zimą 1993 roku w domu rozległ się dźwięk telefonu i ku mojemu zdumieniu rozpoznałem głos Maksima. Dzwonił z Ameryki i zapraszał do siebie. W 1994 w sprawach cerkiewnych znalazłem się w Ameryce, w stanie New Jersey. Przyjechał Maksim i zabrał do siebie do Connecticut. [...] Pamiętam, że w jego domu wprost rzuciłem się na bibliotekę. Maksim miał dużo książek wtedy w Rosji niedostępnych. Najbardziej zainteresowała mnie jednak książka zawierająca listy Szostakowicza do I.D. Glikmana. I właśnie wtedy przyszła do głowy myśl by zapisać to, co pamiętają o swoim ojcu dzieci. Pomysł nie wzbudził ich entuzjazmu. Początkowo Maksim absolutnie nie chciał o tym słyszeć, z Galiną poszło mi łatwiej i w 2001. zaczęliśmy pracę.

MICHAŁ ARDOW

Tłumaczenie i zdjęcia Krystyna Śmiechowicz

²⁰ Maksim i Dmitrij Maksimowicz sami ogłosili, że zrzekają się obywatelstwa radzieckiego i odesłali paszporty do ambasadora ZSRR w Waszyngtonie.

Maria Jolanta Fraszewska

„Pamiętasz wspaniałe opowieści o angielskich gentlemanach i ich eleganckim życiu? Ta książka nie będzie opowieścią o nich, ale o ludziach, na których plecach, spracowanych rękach i krwi zbudowano imperium brytyjskie z całą jego zamożnością, elitarnością i dobrym wychowaniem.”¹

Zastanawiam się, dlaczego książka R. F. Kuang **Babel, czyli o konieczności przemocy** przyciągnęła moją uwagę, choć literatura fantastyczna nigdy nie była moim naturalnym obszarem zainteresowań intelektualnych. Myślę, że złożyło się na to kilka równoległych impulsów. Po pierwsze: przypadek, po drugie: fascynują mnie różne opowieści o języku, mam szczególną słabość do słów, po trzecie: obecny w książce wymiar socjologiczny, po czwarte: uczono mnie, że nie istnieje ogólna teoria układu świata, a każda próba jej stworzenia kończy się konstrukcją utopijną. Utopia znaczy „nieistniejące miejsce”, w tym określeniu zawiera się koncepcja wizji idealnego świata. Zazwyczaj definiuje się utopię jako: „projekty społeczne całkowicie oderwane od rzeczywistości i na skutek tego skazane na pozostanie w sferze fantazji.”² Pierwszy raz słowo to pojawiło się w wydanej po łacinie w 1516r pracy Tomasza Morusa: *Książeczka zaiste złota i niemniej pożyteczna jak przyjemna o najlepszym ustroju państwa i nieznanego dotąd wyspie Utopii*. Utopia to coś czego nie ma. Utopia projektuje *idealny* świat – społeczny, polityczny, moralny. Fantastyka tworzy świat *inny*, niekoniecznie idealny, ale odmienny od naszego. W obu przypadkach mamy do czynienia ze **światem możliwym**, który nie istnieje tu i teraz.

Powieść „Babel czyli o konieczności przemocy” zaczyna się w roku 1829 w Kantonie objętym epidemią cholery azjatyckiej. Jednak nie opowiada o jej tragicznych skutkach, a stanowi podstawę dla opowiedzianej historii. Początki epidemii zaczęły się dziesięć lat wcześniej. Rozprzestrzeniła się wokół Zatoki Bengalskiej, szczególnie w delcie Gangesu. Chorobę przenieśli angielscy wojskowi i kupcy. Potem objęła cały świat. Fakty ożyły w świecie fantazji.

W Kantonie profesor Richard Lovell odnajduje zanotowaną przed laty w pamiętniku drogę do budynku, w którym konał chłopiec, wtulony w martwe ciało swej matki. Wcześniej umarli jego dziadkowie, ciotki, panna Betty, ucząca go języka angielskiego, a przed chwilą matka. Chłopiec oddychał z wysiłkiem, ledwo dostrzegając pojawiającą się obcą postać. Profesor: „Sięgnął do kieszeni i wywołał niewielką sztabkę srebra, którą złożył na obnażonej piersi umierającego. Malec drgnął, metal parzył jak lód. – *Triakle* – powiedział po francusku profesor Lovell, po czym powtórzył to samo po angielsku: *Melasa*. Sztabka rozjarzyła się jasnym blaskiem. Pokój wypełnił nieziemski dźwięk, zupełnie zniknął: śpiewny, dźwięcz-

BABEL, CZY JĘZYK JEST NIEWINNY?

ny”³. Chłopiec nie bez oporów posmakował słodyczy, otworzył oczy i widział przybysza już o wiele wyraźniej. Już następnego dnia chłopcu powrócił apetyt, znalazł się pod troskliwą opieką pani Piper. Był już w domu profesora Lovella. Okazało się, że chłopiec posługuje się językiem angielskim i zaczął się zastanawiać, kto opłacał nauczycielkę angielskiego, skoro jego rodzinę nie było na to stać. Domyślił się, że tą tajemniczą osobą był Lovell, czyżby był jego ojcem, ten którego nie znał imienia?

Chłopiec nieśmiało wszedł do gabinetu profesora i odnalazł go wśród wielu regatów z książkami. Rozmowa miała krótki przebieg, podczas której chłopiec przyznał, że czytanie książek sprawiło mu przyjemność, a nauka angielskiego przychodziła łatwo. Profesor wręczył mu książkę noszącą tytuł: „Bogactwo narodów” autorstwa Adama Smitha. Malec przeczytał kilka wersów głośno jak podczas egzaminu: „korzyści szczególne, które płyną dla każdego kolonizującego kraju z jego własnych kolonii z tytułu władzy czy też panowanie, które ten kraj nad nimi sprawuje”. Chłopiec nie zrozumiał treści tekstu, zrozumie go później i uzupełni zakończenie. I okaże się, że całe clou sprawy, które w książce jest jej sensem, tak naprawdę staje się gwoździem ... do „trumny”. O tym właśnie jest ta książka.

W całości stanowi ciekawą metaforę, schemat, mechanizm, ukazania stworzenia państwa tego świata i niewolników, którzy nie zdając sobie sprawy z poddaństwa, ślepo tkwią w mackach manipulacji potężniejszych. Polskie przysłowie mówi: „darowane koniowi w zęby się zagłada”. Nie należy oceniać rzeczy, które otrzymuje się za darmo, a należy okazać wdzięczność. Dostajesz lepszą jakość życia, ale przez całe dalsze życie będziesz, tym co otrzymałeś – służył „nowemu władcy”. Tracisz wolność i tożsamość narodową, stajesz się niewolnikiem otrzymanej możliwości uzyskania wykształcenia i znajomości języków obcych. W jakim celu? W celu ekonomicznego zagarnięcia i eksplorowania nowych obszarów kontynentu. Ale nie dla ciebie, bo dla twojego wybawcy i promotora. Jednak to i tak więcej, niż mogło się przydarzyć w rzeczywistości pochodzenia.

Biblijna wieża Babel, i wieża Babel powstała z fantazji Rebeci Kuang, wyrastają z tej samej idei, lecz stoją na przeciwnych biegunach. W obu przypadkach język jawi się jako fundament świata społecznego, jako siła zdolna tworzyć i niszczyć. W miecie przyczyną rozpadu jest pycha ludzka, w powieści natomiast – pycha imperialna czyli też ludzka, ale już grupowa. Język staje się narzędziem władzy: w Biblii jest karą za nadużycie, u Kuang – mechanizmem dominacji i przemocy strukturalnej. Srebro jako medium przekładu podkreśla, że język nie jest abstrakcją, bowiem ma ciężar, koszt i konsekwencje. Kuang odwraca więc biblijną logikę. Pomieszczenie języków nie jest katastrofą, lecz

katastrofą jest ich ujarzmienie.

Profesor pokazał chłopcu srebrny talizman z wrytą inskrypcją. Po jednej stronie były litery angielskie, po drugiej chińskie symbole. Napis oznaczał: **Przyjmować bez zastanowienia**. Gdy chłopiec je odczytał, sztabka zaczęła buczeć i wibrować. Chłopiec poczuł dławienie i smak daktyli w ustach. Profesor przerwał eksperyment, chłopiec zdał go doskonale. Nadawał się, więc postanowił zabrać go do Anglii do jego posiadłości. Postawił jednak warunek. Zapewni mu dostatnie życie do wieku uzyskania samodzielności. W zamian będzie się uczył języków i studiował, aby zdobyć wykształcenie o jakim innym się nie śniło. Jeśli nie przyjmie tej oferty, to wróci do ubóstwa, głodu i chorób. Jego rodzina już nie żyje. Na pytanie chłopca dlaczego ja? – profesor odpowiedział: bo potrafisz uruchomić sztabkę. Chłopiec wyraził zgodę, obrał nowe imię i nazwisko, które wybrał sam: Robin Swift. Wyrusza przecież w nieznanne.

Zdarza mi się coraz częściej myśleć, że sztuka poznawania zasobów ukrytych w człowieku rozsypała się dziś jak popiół. **Może dlatego, że człowiek coraz częściej doświadcza siebie jedynie w odbiciach cudzych oczekiwania.** Czy przed „światem” można umknąć do literatury? Schować swój strach, lęk, obawy? Zatonąć w niewidzialnym kosmosie, tak bliskim i tak bardzo nieistniejącym. Literatura, jak sięgam pamięcią, była zawsze obecna w moim życiu. Zaczęło się od wysłuchiwanie bajek czytanych przez rodziców. Pamiętam, choć zapewne niewielu uwierzy, pamiętam drobne uczucie, gdy trzymałam przed sobą książeczkę i przerzucałam kartki. Wiele dzieci tak robi rozmieszkając tą czynnością rodziców. Ale ja pamiętałam to ciepło ogarniające mnie całą i szukającą zrozumienia dla tego, co tam się dzieje? W tych mróweczkach chodzących linią ciągłą, czasami rozdzielającą się jak wagoniki pociągu. Pytałam i pytałam, lecz wciąż słyszałam: „przyjdzie czas to się dowiesz”. Czekanie wywoływało we mnie katusze. Wymyśliłam, że będę pytała dorosłych o pojedyncze znaczki. Czasami odpowiadali, czasami nie. Pojawiła się jednak dodatkowa trudność. Znaczki w książeczkach różniły się od tych pisanych przez ludzi. Wywnioskowałam, że to mrowisko, zbiór rozbieganych mrówek. Przyglądałam się ich ruchowi. Biegały i biegały, czasami odskakiwały, bo przekraczały zasięg swego świata. Coś wznosiło, coś przesuwano, coś się pojawiało, coś zniknęło. Ustawiczny ruch. Literki przeskakują, grupują się tworząc sensory, wtedy dla mnie jeszcze niedostępne, ale od czego fantazja? Mogłam wymyślać i nadawać im sens.

W pierwotnym znaczeniu literatura to „używanie liter”.

Jacques Derrida, francuski filozof jest uważany za krytyka tradycyjnej filozofii.

Derrida w *Spectres de Marx* wprowadza pojęcie **widma** jako czegoś, co jest jednocześnie obecne i nieobecne. To kluczowe dla fantastyki, bowiem widmo jest figurą

¹ R. F. Kuang, *Babel czyli o konieczności przemocy*. Fabryka Słów, 2023r, blurb

² Encyklopedia socjologii, t. 4 s. 285, Oficyna Naukowa, Warszawa 2002

³ R. F. Kuang, *Babel czyli o konieczności przemocy*. Fabryka Słów, 2023r, s. 12

nieusuwalnego śladu, który destabilizuje rzeczywistość. Te fantastyczne elementy wykorzystywane są w literaturze. Derrida podkreśla, że literatura nie jest odbiciem świata, lecz **grą pisma**, która tworzy własne reguły. Pismo tworzy świat od podstaw. Pokazuje, że język ma moc sprawczą poprzez zaklęcia, runy czy nadawane imiona. Fantastyka szczególnie mocno to ujawnia, bo konstruuje światy, a język nadaje mu rzeczywistość. Derrida mówił, że filozofia była dla niego „okrężną drogą do literatury”, a literatura była przestrzenią, gdzie można testować granice sensu. Fantastyka robi to w sposób najbardziej radykalny.

Derrida pisał o „widmach” idei i historii. A literatura fantazy często przywołuje dawne królestwa ukazując upadłe rody i dawne wojny jako powracające traumy. W ten sposób buduje światy, w których przeszłość ożywa we współczesnym świecie. Widmologia czyli hauntologia oznacza nawiedzanie teraźniejszości przez niedosłże przeszłości i zapomniane elementy przeszłości. Określa sposób istnienia widm, zjawisk, które nie są ani w pełni obecne, ani nieobecne.

W Oksfordzie profesor zabrał Robina do księgarni Hatchards na Piccadilly polecając, aby Robin wybrał sobie jedną książkę, bo powinien poznać uczucie nabywania pierwszej książki w życiu. Wybrał „W służbie króla” Fredericka Marryata, autora którego dotąd nie czytał. Po powrocie zaczął się w opowieści marynistycznej tak, że zapomniał o wyznaczonej godzinie nauki. Profesor Lovell był zły na tym punkcie. Pierwszy raz zastosował fizyczną przemoc wobec Robina. Pobił go pograbaczem, a potem ze spokojem przypomniał w jakim celu tu pozostał: „Nie będę pod swoim dachem tolerować lenistwa. Praca tłumacza nie jest łatwym kawałkiem chleba, Robinie. Ten fach wymaga zdolności skupienia. Dyscypliny. Od początku masz pod górkę z uwagi na niedostateczną znajomość języków klasycznych, a do nadrobienia wszystkich zaległości przed wstąpieniem na Oksford zostało ci zaledwie sześć lat. Nie możesz pozwolić sobie na gnuśność. Nie wolno ci marnować czasu na marzenia. (...) Chiny pozostają zacofane i bezwolne, podczas gdy wasi sąsiedzi pędzą z duchem postępu naprzód. Jesteście z urodzenia głupi, obdarzeni słabą wolą i niezdolni do ciężkiej pracy. (...) Musisz nauczyć się pokonywać krążący w twych żyłach jad.”⁴

Albo wracaj do Kantonu z panującą zarazą. Tak wygląda metoda „kija i marchewki”, a także kształtowania osobowości pod wpływem siły fizycznej, manipulacji, upokorzenia, budowania pogardy i uprzedzeń do własnego kraju, wiodącą ku całkowitej podległości. Utworzenia nowego kształtu marionetkowego człowieka. Przemoc trzeba zaakceptować, aby żyć. Cytuję powyższe słowa, ponieważ my, Polacy, skądś je znamy... „Przyjmować bez zastanowienia”. A co najbardziej frapujące, nasze dni obecne im również nie przeczą. Najsmutniejszy jest koniec powieści fantastycznej, która ukazując procesy przeszłego rozwoju przemocy, ukazuje obecne istniejące możliwości w ich konsekwencji. Polska literatura romantyczna je zna.

W 1833r w Anglii i wszystkich koloniach zniesiono niewolnictwo. Zostało ono zamienione na czteroletni okres „terminowania” u swoich panów, który miał stanowić okres przejściowy przed całkowitym odzyskaniem wolności. W kręgach profesora Lovella akt

przyjęto z uczuciem rozczarowania, szczególnie linią dotyczącą Indii. I choć w odniesieniu do Adam Smitha, ludzie wolni pracując lepiej, to utrata zasobów wzbudziła inne pomysły. Np. importowanie Chińczyków, wykorzystując ich zdyscyplinowanie, na teren wysp afrykańskich, tworząc kolonie, które miały być barierą między Anglikami a „czarnymi”. Myśl fizycznego wyrugowania jednego ludu i zastąpienia innym ma swoją długowieczną historię. Ten schemat obserwujemy boleśnie również współcześnie, choć jej forma przybiera coraz to inne metody. Bardziej wyrafinowane i bardziej okrutne. Choć być może tak mi się tylko wydaje, ponieważ żyję w teraźniejszości i czas teraźniejszy odczuwam mocniej niż wydarzenia z przeszłości.

Robin trafia na Oksford do egalitarnego siedmiopiętrowego budynku, wypełnionego regałami z książkami, zwanego Babel. Będzie studiował w Instytucie Translatoryki wraz z czterema nowo poznanymi przyjaciółmi, Ramim pochodzącym z Kalkuty, i dwoma dziewczętami, co stanowi szczególną wyjątkowość, Francuski i Kreolki z Haiti Victoire oraz Letty z rodu angielskich przemysłowców, które mogły tu przebywać, jednak ubrane w męski

strój. Według traktatu Sary Ellis: „na kobietach ciąży moralny imperatyw ulepszenia społeczeństwa poprzez kultywowanie domowej przyzwoitości i cnotliwe prowadzenie się”.⁵

Kobiety studiujące, to ówczesny ewenement.

Troje z nich, Robin, Rami i Victoire, łączy świadomość obcości, wspólnego wykluczenia i pewność, że ich talenty są wykorzystywane przez Imperium. Natomiast Letty, jest częścią tej grupy przyjaciół, lecz jest też białą Brytyjką, której pozycja jest całkowicie inna, co podświadomie Letty odczuwa jako przywilej. Staje się osią konfliktu, ponieważ układ sił jest nierówny. Gdyby ona przyłączyła się do grupy oporu, to przeciwstawiłaby się własnej grupie pochodzenia. Przyjaźń jest więc niemożliwa. Każde z nich przeżywa swoje uczestnictwo w przyjaźni inaczej. Okazuje się, że nawet przyjaźń może być nieautentyczna, a sterowana systemem. Granice ich lojalności i solidarności wobec siebie stale muszą być negocjowane i przesuwane, w zależności od zmieniających się czynników zewnętrznych.

Wieża Babel wyglądała olśniewająco. Przywitał ich czarnoskóry doktorant specja-

5 Tamże, s. 107



⁴ R. F. Kuang, *Babel czyli o konieczności przemocy*. Fabryka Słów, 2023r, s. 64

→ lizujący się w językach: francuskim, hiszpańskim i niemieckim, Anthony Ribben. Oporowadżając opowiedział historię powstania budowli z faktem, że w 1715r pod koniec wojny o sukcesję hiszpańską, Brytyjczycy doszli do wniosku, iż: roztropnym będzie kształcenie młodych umysłów w językach kolonii, które dopiero co utracili Hiszpanie.⁶ Zdradził im kolejne tajemnice. Wszystkie zgromadzone książki i ich gramatyki są chronione. Gdyby ktoś, kto nie figuruje w rejestrze Instytutu pokusił się kradzież czy wandalizm, zostałby porażony niewidzialną potężną siłą. Straciłby zmysły i ocknąłby się dopiero po przybyciu policji. Stałoby się tak za pomocą magicznych sztabek srebra. Babel stanowiło najbogatszą część kraju. Siódme piętro przypominało wnętrze manufaktury. Profesor Jerome Playfair wprowadził ich w oszołomienie wyjawiając moc wypływającą, nie z samych srebrnych sztabek, a z: „tego pierwiastka znaczenia, którego słowa się są w stanie wyrazić, tego co bezpowrotnie ginie, kiedy przechodzimy z mowy jednej na drugą. Srebro chwytą i oddaje światu to, co utracone w przekładzie.”⁷ Dla przykładu wygrawerował słowo niemieckie oznaczające: „tajemnicę” w pragermańskim znaczeniu: „dom”, a z drugiej strony słowo: „potajemny”. I wtedy wstał się odmienną. Wieża stała się ich azylem.

Ale, gdy Robin poznaje Griffina, prawie bliźniaka, jego świadomość zaczyna obieierać inne tory. Zauważa grupę uciekających młodych ludzi, którzy nocą wymknęli się z wieży Babel kradnąc sztabki srebra. Nie zastanawiając się długo, pomaga im skryć się, a w chwili zbliżającego się zagrożenia Griffin użył magicznego potężniejszego interpretacji słów, mocy srebrnej sztabki. Zniknęli. Wtedy Robin ujrawszy podobieństwo twarzy Griffina do swojej, i przypominając sobie zagadkowe słowa znajomych profesora Lovella mówiące o podobieństwie do poprzednika, poczuł, że zbliża się do wyjaśnienia tajemnicy. Griffin zaproponował mu współpracę niewiele wyjaśniając z celu jego działań. Wyjaśniając zaledwie, że przypomina to odbieranie bogatym i oddanie biednym. Przyznał, że był studentem translatorki i, że są braćmi. Czyżby Lovell wdrażał swój plan kolonializmu poprzez ingerencję genetycznego dziedziczenia?

„Babel” to powieść o kolonializmie języka i o tym, że w świecie zbudowanym na przemocy samo translatorstwo, umiejętność tłumaczenia, nie wystarczy, aby świat naprawić i pojechać czy zrozumieć. **Imperium przechwytywa sens**, aby język wykorzystać dla własnych celów. Nie liczy się człowiek, lecz jego konkretne umiejętności, które stają się materiałem do wykorzystania. Przykładem metaforycznym jest wątek pary (jak w dopasowaniu ptci i narodzin dziecka) słów w różnych językach, która w srebrze daje szczególną moc, ale ta moc służy wyłącznie kolonizatorowi. Ucząc się innego języka, zdradza się swój kraj i własną tożsamość. Tłumacz więc wzmacnia system opresji wobec własnego kraju, bowiem pomaga kolonizatorowi wziąć w posiadanie ekonomiczne, handlowe, a zarazem polityczne bezwzględne kraju z inną kulturą i przebiegiem myślowym. Ktoś, kto ufa, nie podejrzewa podstęp.

W książce R.F. Kuang Wieża Babel nie jest już mitem o pomieszeniu języków, lecz instytucja, która z języka czyni narzędzie dominacji. W tym świecie tłumaczenie służy eksploatacji, a różnica między językami staje

się surowcem. To, co w miecie biblijnym było karą, tutaj staje się strategią imperium: kontrolować język to kontrolować świat. Kuang odwołania, że przemoc Babel jest administracyjna, proceduralna i akademicka. Ukryta w glosariuszach, etymologiach, w pozornie niewinnych decyzjach o tym, które słowo „nada się” do ekstrakcji srebra, a które zostanie odrzucone jako nieużyteczne. To systemowa i zaplanowana przemoc.

Książka z zakresu literatury fantastycznej: „Babel”, odwołania również realia obecnie istniejącej rzeczywistości. R. F. Kuang stworzyła współczesną alegorię, która pokazuje, że każde centrum władzy potrzebuje własnej „wieży”, własnego systemu translacji, który przetwarza cudze doświadczenie na własny zysk. Przemoc polega na **przejściu prawa do interpretacji**. Jest to kolonizacja języków, gdzie komunikacja staje się formą nadzoru. Przemoc działa od wewnątrz. Instytucja oferuje swoim adeptom prestiż, wiedzę i przynależność, a w zamian żąda jedynie, by zgodzili się, że ich język ojczysty jest materiałem, który można przetopić w srebro. Więc „ofiary” same pragną uczestniczyć w jego logice. To szczyt manipulacji i niszczenia tożsamości.

Babel upada w chwili, gdy ci, których języki miały być surowcem, odmawiają dalszego uczestnictwa w tej praktykowanej alchemii.

Zaskoczyło mnie, że „Babel” nie jest zwykłą fantastyczną opowieścią.

Kim jest Rebecca F. Kuang? Przyszła na świat w 1996r w Kantonie. Jej rodzice byli Chińczykami z tragiczną historią traum wojennych. W wieku czterech lat wyemigrowała z rodzicami do USA, zamieszkali w Dallas. Obecnie Kuang **jest** jedną z najważniejszych współczesnych autorek literatury fantastycznej i powieści akademickich. Pisarką o podwójnej tożsamości kulturowej, co intensywnie przenika do jej twórczości. Bohaterowie jej powieści żyją „pomiędzy” kulturami, językami i lojalnościami, co nadaje jej prozie napięcie tożsamościowe.

Studiowała historię na Uniwersytecie Georgetown, a następnie jako stypendystka prestiżowego Marshall Scholarship ukończyła studia magisterskie z sinologii w Cambridge oraz współczesne studia chińskie w Oksfordzie. W młodości wyróżniała się w debacie oksfordzkiej, co zapowiadało jej późniejszą precyzyjną argumentację i zamiłowanie do analizy języka. Badana literaturę propagandową z okresu wojny chińsko-japońskiej, czyli teksty, które same w sobie są dowodem na to, że język jest polem walki. Obecnie kontynuuje doktorat z literatury języków wschodnioazjatyckich na Uniwersytecie Yale.

Kuang zadebiutowała trylogią *The Poppy War*, inspirowaną historią XX-wiecznych Chin, która przyniosła jej międzynarodowe uznanie i liczne nagrody. Jej najgłośniejsza powieść, *Babel*, o *The Necessity of Violence* w 2023r, zdobyła m.in. Nebula Award i trafiła na szczyt listy bestsellerów *The New York Times*. Nagroda Nebula to jedna z najbardziej prestiżowych amerykańskich nagród literackich, przyznawana corocznie od 1966r przez Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Science Fiction i Fantazy za najlepsze utwory fantastyczne i science fiction. W 2023 roku książka znalazła się na liście *TIME100 Next*: wpływowych wschodzących gwiazd, kształtujących przyszłość w swoich dziedzinach, a w kolejnym roku w rankingu *Forbesa 30 Under 30* wyróżniającym osoby, które odniosły sukces przed trzydziestką.

Poznając biografię pisarki i przeżycia jej rodziny, odnoszę wrażenie, że Kuang nie wy-

myślała fabuły Babel, a objaśniła strukturę czerpiąc wiedzę z własnego życia. Wypływa ona z doświadczenia migrantki, która wie, jak wygląda świat, gdy mówi się w języku nie do końca własnym. Czerpała z historii rodzinnych mówiących o przetwarzaniu i utracie, o wojnie i migracji. O doświadczaniu wykluczenia i pragnieniu przynależności. Świadomie wykorzystwała fikcję, aby obnażyć realne mechanizmy przemocy wpisane w język, naukę i instytucje, z właściwą sobie erudycją i literacką odwagą.

Na podstawie zachowań, postaw oraz rozumieniu przyjaźni i lojalności czworga studentów zaangażowanych w naukę w Instytucie Babel, ukazała zarówno prawdziwą funkcję tej instytucji, jak i przemiany zachodzące w osobowościach głównych bohaterów. Ich przyjaźń zaczyna się niewinnie jako wspólnota intelektualna i emocjonalna, lecz stopniowo ujawniają różnice wynikające z rasy, klasy, kolonializmu i lojalności wobec Imperium. Przyjaźń jest stale sprawdzana, a ostatecznie okazuje się tragicznie niemożliwa.

Powieść stawia zasadnicze pytanie: czy można zbudować wspólnotę opartą na równości w świecie powstałym na nierówności. Utopia „Babel” ukazuje dystopijne wnętrze. W pewnym momencie bohaterowie pytają: „Nazywają to postępek, ale postępek dla kogo?” Książka staje się więc oskarżeniem wobec całego systemu.

Choć narracja bywa nierówna, książka została w Polsce przyjęta jako ważna i oryginalna. *Babel* wpisuje się w tradycję literatury, która na równi z filozofią i socjologią, szuka prawdy poprzez opowieść, nie ukrywając, że jest ona także świadectwem historycznych wydarzeń.

Literatura porządkuje świat, choć nie rzeczywistość. Gdy jednak sięgniemy po szczególnie gatunek, jakim jest reportaż, sytuacja staje się bardziej złożona. Reportaż, który jest z pogranicza publicystyki, faktu i literatury pięknej, potrafi tworzyć obrazy tak plastycznie, że chwilami przywodzą na myśl literaturę fantastyczną. Coś z pozoru niemożliwego. Dlaczego? Ponieważ ludzie wyznaczają sobie granice etyczne, moralne, których przekroczenie wydaje się nie do pomyślenia w realnym doświadczeniu. Tymczasem w reportażu pojawiają się liczne formy przemocy, nieludzkie w swojej intensywności, a jednak prawdziwe. Przekraczają ludzkie granice wytrzymałości. Mimowolnie nie chcielibyśmy o nich wiedzieć.

Samo słowo „reportaż” wywodzi się z łacińskiego *reporto* — „odnoszę”, „donoszę”. Jak pisał Wańkowicz: „odnosić jakieś zdarzenie do świadomości ludzi, którzy tego zdarzenia nie widzieli”. Francuskie *reportage*, które upowszechniło się w Europie w drugiej połowie XIX wieku wraz z rozwojem prasy, oznaczało dziennikarskie sprawozdanie z wydarzeń, których autor był świadkiem, wzbogacone o jego stosunek do opisywanej rzeczywistości.

Dajemy więc wiarę, lub też nie, gdy przeczytamy np.: reportaż autorstwa Szymona Opryska na stronie Oko.press, który ukazał się 26.12.2024 zatytułowany: „Przyjechalismy do Polski ćwiartować mięso. Skończyłismy jako mięso armatnie w Ukrainie”.

Czuje się w obowiązku zacytować jego obszerny fragment.

„Rekrutuję Kolumbijczyków do pracy w Polsce. Obiecuję świetne warunki. A tu codziennością są kary, niskie stawki i zmuszanie do najcięższej pracy. Narzekasz? To donos do SG i deportacja! Więc oszukani przez pośredników pracownicy zostają najemnikami w Ukrainie. ŚLEDZTWO OKO. PRESS.

– Wiedziateś, że śmierć nie boli? Roz-

⁶ Tamże, s.111

⁷ Tamże, s.123

plywa się po ciele jak głęboki sen. Nie uwierzyć, ale widziałem, jak ulatuje ze mnie duch. Oddalił się na kilka metrów, nawet na mnie nie spojrzał. Błagałem: „Panie Zastępów, nie pozwól mi tu umrzeć, to nie moja wojna”.

12 czerwca, druga w nocy, Krasnohoriwka na donieckim odcinku frontu. Jest nas piętnastu. Wyskakujemy z wozów, biegniemy. Ja ostatni, ciągnę worek z amunicją. I nagle, bzzzz, bzzzz, bzzzz. Dziesięć rosyjskich dronów. Brakło pięciu metrów. Jedna sekunda. Bum! Jajko na twardo w skorupce robi za granat. Moje nogi zalewa krew, na prawe oko nie widzę. Do dziś latają mi tylko czarne plamki, a przecież minęło pół roku. Leżę w kałuży krwi i wyję z bólu. Wciągają mnie do budynku, zakładają opaski uciskowe. Kilka razy mdleję. Widzę z góry moją Loricę, nieduże miasto w Kolumbii. Wszyscy ubrani na czarno: żona, dzieci, sąsiedzi. Płaczą nad trumną. A w środku ja. Z nieba zstępują anioły, mają twarze moich dzieci. I wtedy mówi Pan, „Nie dam ci odejść”.

Czekaliśmy na pomoc całą dobę. Przyjechało czterech Ukraińców, wrzucili mnie na prześcieradło, wynoszą. I znów bzzz, bzz, dron. Rzucają mnie i w nogi do karetki. Czołgam się pod drzewo i wzywam Pana. Na szczęście wrócili. To był tylko dron zwiadowczy. Bóg ma poczucie humoru.

Dlatego dwa lata temu przyjechał do Polski do pracy. Zaufał rekruterowi z Faceboka. Takie rzeczy, tłumaczy w szpitalu, robi się, gdy długi łąpią za gardło.

Pośrednik obiecał, że Gleider zarobi w Polsce na remont domu i studia dzieci.

Przez rok na dwie zmiany, prawie bez odpoczynku, sześć dni w tygodniu na umowie zlecenie. Ręce popuchnięte. Oczy szczypiące od chemikaliów. Zimno. Żadnego ubezpieczenia.

– Zrozumiałem, że znalazłem się w środku szwindla. W takim zakładzie mięsnym jesteś anonimowy jak te kurczaki. Zatrudnia cię nie zakład, ale pośrednik. Firma płaci pośrednikowi, a ten tobie. Niechby mu dali 40 zł za godzinę mojej pracy, to tylko połowa trafia do mnie – opowiada Kolumbijczyk. – Każde spóźnienie, każda nieobecność, najmniejsze wykroczenie to słowa kary, dwie, czasem pięć. Mieszkanie miało być za darmo, a musiałem płacić 500 zł. Mówicie w Polsce, „Bóg daje i zabiera”. Sama prawda. Kiedy kumpel zadzwonił, że stawki w armii ukraińskiej poszły w górę, pomyślałem: „OK, Boże, zabrałeś mi w Polsce, to oddasz w Ukrainie. Może chcesz, żebym dorzucił ziarenko piasku w walce z diabłem Putinem”.

Na froncie byłem dwa, może trzy tygodnie. Tyle czasu potrzebowałem, by zrozumieć, że Ukraina tej wojny nie wygra. Walczyłem u boku pięćdziesięciolatków, którzy nigdy wcześniej nie trzymali karabinu. Zacząłem rozumieć, że Europa nie chce tu wsadzać swojego tyłka. Że liczy na takich jak ja, mięso armatnie.”

*

Nigdy nie wiadomo co i kto zwycięży. Wiadomo, że ten kto zwycięża, kształtuje kierunek przyszłego świata. Nigdy też nie wiadomo, czy to, co przynosi walka, będzie dobre czy też złe. Nie wiadomo też, czy zwycięstwo: „jest pewnikiem. Mogą je zwiastować symbole. Lecz sprawdzić je może tylko przemoc, cierpienie, męczennicy i krew. Zwycięstwo wykuwa się geniuszem, wytrwałością i ofiarami. Zwycięstwo to gra rozgrywająca cał po cał, rozgrywka dziejowych przypadków, w której dobro zwycięża tylko wtedy, kiedy ktoś doprowadzi do tego działania”.⁸

*

Teraz zastanawiam się czy literatura fantastyczna, a konkretnie książka Babel, jest jej faktycznym przedstawicielem? Czy też może

jest przeciwieństwem utopii czy dystopii czyli antyutopii? W dystopii porządek społeczny ulega wypaczeniu, a mechanizmy władzy, kontroli i przemocy, doprowadzają do głębokiego zniekształcenia ludzkiego doświadczenia. Może więc jest prawdą historyczną, polityczną i społeczną? I to taką, o której wolimy nic nie wiedzieć, aby nie zaburzać własnej struktury mózgowej? Przecież to wszystko nadal się dzieje, tuż obok nas. Świat ze swoimi przypadłościami, wojnami, okrucieństwem, nie znika, gdy zamykamy oczy. Ale gdy nie otwieramy mediów z wiadomościami i reportażami, to nasze otwarte oczy nie czytają o tym. Czy można, jednak, przez dwadzieścia cztery godziny kierować wzrok tylko i wyłącznie ku chmurom czy liściom? Ludziom myślącym istniejącym mechanizmom nie da się zaprzeczyć.

*

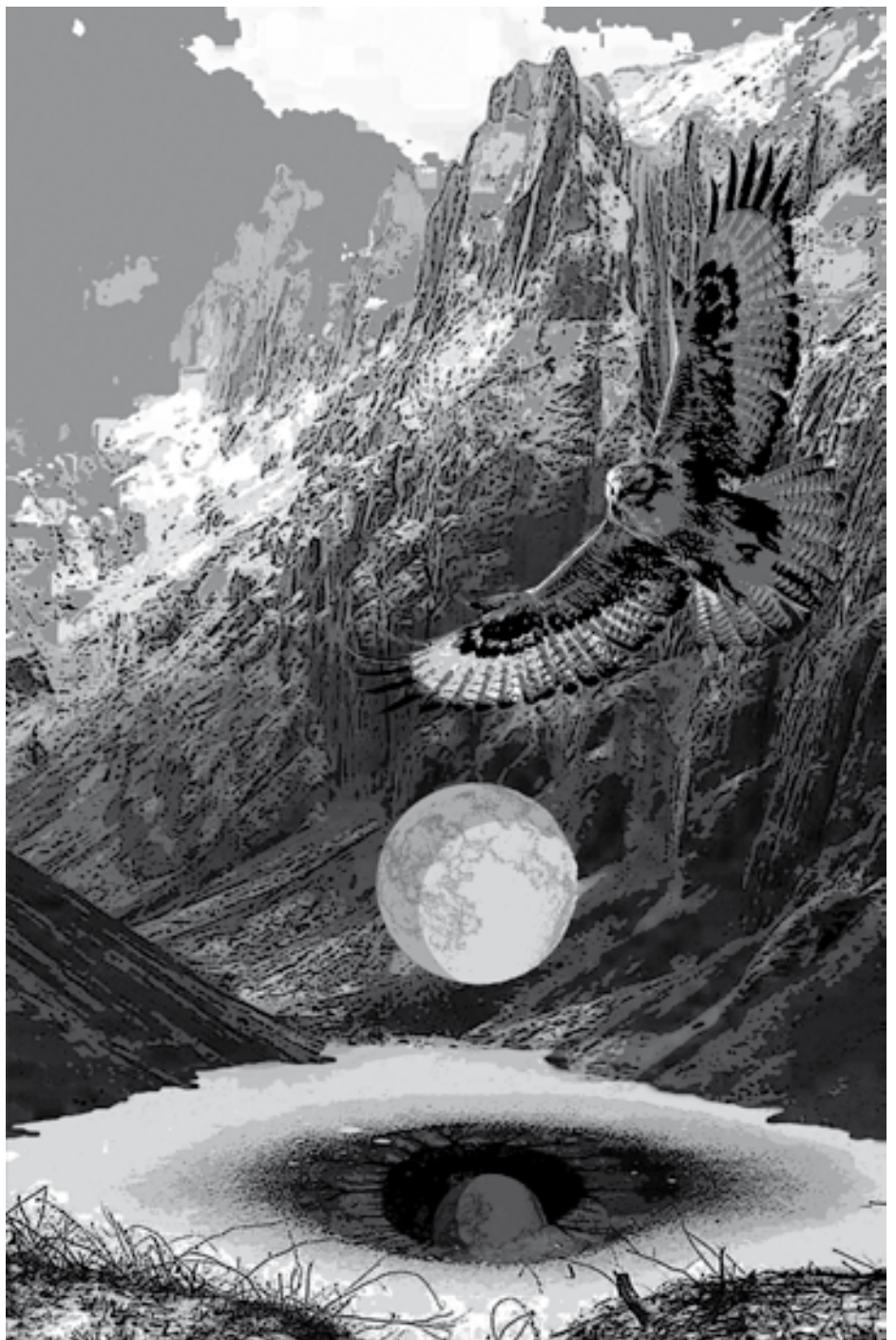
Neuronarratywiści podkreślają, że umiejętność rozróżniania fikcji i rzeczywistości nabywamy bardzo szybko, wcześniej, niż opanujemy język werbalny. Literatura przychodzi już na miejsce pewnych pierwotnych właściwości poznawczych naszego umysłu.

Konsekwencje istnienia fikcji są niezwykle istotne. Ponieważ naruszamy w niej granice niewypowiedzialnego, wchodzimy do „widma Derridy”, lecz wciąż wiemy, że to tylko świat narysowany przez język. Świat pozostaje w języku, w tym świecie ćwiczymy wyobraźnię, doświadczenie, historię i przyszłość. I wówczas okazuje się, że literatura nie tylko opisuje rzeczywistość, lecz współtworzy jej modele. Fikcja pozostaje więc naszym najważniejszym laboratorium doświadczalnym dla naszej wyobraźni, miejscem, w którym język bada granice własnej mocy, a my badamy granice siebie.

W opowieści nakreślonej przez Kuang słowo zaczyna ciężać jak metal, czytając odczuwamy ten dramat. Być może dlatego po przeczytaniu tej książki poczułam swoisty niepokój. Książka ujawnia, że granica między fikcją a rzeczywistością nie jest dana raz na zawsze. A jeśli jest chwiejna, to...

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA

Rebecca F. Kuang, Babel czyli o konieczności przemocy. Tajemna historia rewolucji oksfordzkich tłumaczy, Wydawnictwo Fabryka Słów, 2023r, str. 760



⁸ Tamże, s. 760

Jan Belcik

UWOLNIENIA WYOBRAŹNI W TWÓRCZOŚCI VOJISLAVA KARANOVICIA

Dzięki niezwykle bogatej translatorskiej działalności polsko-serbskiej poetki zamieszkałej w Dukli, Olgi Lalić-Krowickiej, otrzymaliśmy na rynku wydawniczym kolejne dwie znakomite pozycje.

Prowadzone przez Rafała Barskiego krośnieńskie wydawnictwo Ruthenus w krótkim odstępie czasu wydało tomik poetycki Vojislava Karanovicia *Ożywione kraty* (2025) i zbiór jego esejów *Uwolnienie anioła* (2026).

Kim jest zatem Vojislav Karanović? Urodził się w Nowy Rok 1961 roku w serbskiej Suboticy. Ukończył literaturę jugosłowiańską i powszechną na Wydziale Filozoficznym w Nowym Sadzie. Jest autorem 12 tomików wierszy (przetłumaczonych na różne języki), a także zbioru esejów i słuchowisk radiowych. Pracuje jako redaktor w Radiu i Telewizji Serbii (RTS). Mieszka w Belgradzie. Wielokrotnie był też nagradzany za swą twórczość.

Przetłumaczony tomik *Ożywione kraty* składa się z wprowadzenia, prologu, jakim jest *Psalm*, trzech kolejnych części pt. *Obrazy z rzeczywistości*; *Mapa*; *Twarz stworzonego*; *Nieistniejąca ziemia*. Zbiór jest uwieńczony epilogiem zatytułowanym *Uścisk*.

Umiejszczenie *Psalmu* od razu wprowadza nas w aurę elegijnej religijności, po trosze towarzysząc mistycznemu objawieniu cierpiącego Hioba. Podmiot liryczny mówi: „Ty, który w sercu strzeżesz każdego prawa./ Który stworzyłeś i rybę i ptaka/ I kołyszące się rośliny./ Dlaczego Panie, odwróciłeś swoją twarz do mnie?/ Dlaczego pozwoliłeś, żebym Cię zobaczył?/ Ponieważ dobrze jest mi znany los tego/ Kto widzi Twoją twarz”.

Człowiek nie może spojrzeć bezpośrednio w twarz Bogu, ponieważ całkowicie przekracza to fizyczne i duchowe możliwości śmiertelnej, skażonej grzechem istoty. Według teologii biblijnej i tradycji chrześcijańskiej takie bezpośrednie spotkanie skończyłoby się dla nas natychmiastową śmiercią, o czym mówi sam Stwórca w Księdze Wyjścia: „Nie będziesz mógł oglądać mojego oblicza, gdyż żaden człowiek nie może oglądać mojego oblicza i pozostać przy życiu”.

Dlatego poeta, który spojrzał w twarz Bogu, jest już inną istotą. Nieziemską. Zobaczył dobro i zło, poznał prawdę, przez duże „P”.

W wierszu *Szczęśliwego Nowego* (urodzonym 1 stycznia) podmiot liryczny wyznaje: „Poczułem się jak ryba/ Która zagryzła/ Hak// Poczułem ostry ból/ Na górnym podniebieniu, urywanie/ Tkanki, słony/ Posmak krwi// Niewidzialna siła/ Pociągnęła mnie do góry –/ Ku powierzchni// Na polu wiadać światło./ Słychać niewyraźny szmer// Jeszcze trochę/ I moje ciało/ Będzie wyciągnięte// W nowym, 1961 roku”.

Pojawia się tutaj prawie realistyczna wizja porodu, wrzucenia istoty w byt – bez zapytania o zgodę, bez wytłumaczenia sensu. To nie szukanie patosu – lecz głębi, jak pisał w postawie Zbigniew Masternak. Postawione pytania dotyczą sensu, przemijania i duchowego przebudzenia. Jak w wierszu *List*: „List potknąłby sens./ Dlatego nie piszę do ciebie. Więcej// Skrzynka pocztowa mi przypomina/ Martwą rybę: opustoszałe ciało/ Wyrzucone na wybrzeże./ Tak, nie

otrzymałem żadnego listu./ Nie, przestałem spodziewać się odpowiedzi”.

Korespondencję z sensem istnienia obserwujemy też w wierszu *Za krótko*: „Czasami myślę, że w piersi/ Zamiast serca mam liść jaworu. [...] Czy jawor wie./ Że jego korona/ Za krótko/ W pewnej klatce piersiowej/ Szeleściła?// Zastanawiam się. Zamyślony./ Tak jak to przystoi ludziom”.

Subtelność i klarowność tej poezji nie niesie gotowych odpowiedzi, otwiera tylko przestrzeń do namysłu, refleksji.

Tomik kończy koda *Uścisk*. Poeta zdaje sobie sprawę, że przyszło żyć mu w trudnym czasie i nie chodzi tylko o komunizm, ale także o najnowszą historię – rozpad Jugosławii, wyniszczającą wojnę, resentymenty. Pisze: „Obręcze, które obejmują beczkę pełną gorzkiego/ Wina. To były nasze czasy”. Czas, w których: „Każdy rad był/ Zdjąć z siebie ciało./ Czuliśmy je jak tkaninę./ Której nici szybko się rwą”. I na zakończenie: „Słychać jeszcze tylko puls./ Staczanie gwiazd po niebie./ Jak w ciemnym pudełku; cisza./ Która upaja; uścisk/ W którym nie ma nikogo”.

Komu nie jest znany ten uścisk? Wierzymy, że poezja ma moc przywracania tego, co przepadło w otchłani czasu. Pamięć, chociaż zawodna – jest w stanie przywrócić, przynajmniej na chwilę, równowagę rozpaczy, ale też nieistnienia.

Książka esejistyczna *Uwolnienie anioła* składa się z tekstów pisanych w ciągu dwóch dekad. Jak wyjaśnia sam autor, powstały one w pierwotnej formie między innymi z przemówień wygłoszonych z okazji otrzymania nagród literackich i jako odpowiedzi na ankiety prasowe. Większość jednak implikowała wewnętrzną potrzebę wyrażenia uczuć i konstatacji – jako głos w dyskursie o wszech-wyobraźni i kreatywności poetyckiej.

Wydaje mi się, że nie można nie dostrzec w tych tekstach swego dopełnienia poetyckiej drogi. Wszystkie z nich łączy poetycka szczerość i odwaga, tworząca fantastyczne iluminacje oświecające to, co skryte pod powierzchnią rzeczy – w tym przypadku serbskiego języka, ale przecież też każdego innego. Doświadczenie ich odkrywania przypomina szukanie skały, na której można zbudować trwały świat. Jak pisze poeta w jednym z esejów: „Czytając książkę, wiersz, oglądając film lub obraz, słuchając z uwagą utworu muzycznego, możemy żyć w świecie trwalszym, bardziej odpornym niż ten, tak zwany świat rzeczywisty”. Ta deklaracja wydaje się adekwatna do opisanego dzieła Vojislava Karanovicia. Bo owe światy (rzeczywisty i wyobrażony) mieszają się w sobie. Bohaterowie ich obydwo rozmawiają z nami, coś nam sugerują, czegoś odmawiają. Jesteśmy w zasadzie tym, czego doznaliśmy, przeżyliśmy, przeczytaliśmy, wysłuchaliśmy. Zatem sztuka ma niewytkłą, oryginalną siłę. Może nas sublimować. Bo wyobraźnia jest istnym winem wieczności – jak napisał angielski poeta William Blake. Stąd wino i winogrona w poezji Karanovicia. One pomagają naszej wyobraźni, wyostwiają nasze zmysły. To jedyny nektar, z którym podzielili się z nami bogowie: wyobraźnia.

Ciekawy jest również tekst eseju pt. *Anioły dzisiaj*. Autor *Ożywionych krat* pisze: „Je-

śli chodzi o anioły, wielu uważa, że zostały wymyślone, że te istoty tak naprawdę nie istnieją. To właśnie takim ludziom odpowiada Czesław Miłosz w swoim wierszu o aniołach: «Mówią, że ktoś was wymyślił/ Ale nie przekonuje mnie to./ Bo ludzie wymyślili także samych siebie». Przecież to aniołowie zstąpili po niebiańskiej drabinie i ukazali się we śnie Jakubowi.

Serbski poeta nie ulega presji krytyków. Uważa, że poezja romantyczna ma w dzisiejszych czasach rację bytu, bo racjonalność wciąż nie zwyciężyła. A anioły też są wśród nas.

A więc uwolnijmy anioły, uwolnijmy naszą wyobraźnię, uwolnijmy nasze sny, nadzieję, uwolnijmy poezję, która przecież drzemie i czeka na pobudkę w każdym z nas.

Vojislav Karanović, *Ożywione kraty*, Ruthenus – Rafał Barski, Krosno 2025.

Vojislav Karanović, *Uwolnienie anioła*, Ruthenus – Rafał Barski, Krosno 2026.

JAN BELCIK

Jan Belcik urodził się w 1960 r. w Dukli. Mieszka w Krośnie. Jest autorem ośmiu tomików poetyckich. Debiutował zbiorem wierszy *W cieniu Cergowej* (Łódź 1989), uhonorowanym Nagrodą Fundacji Anny Domagały-Jakuć za książkowy debiut poetycki. Ostatnio opublikował tomiki: *Drugi brzeg* (Rzeszów 2012, Biblioteka „Nowej Okolicy Poetów”), *Cienie Getsemani* (Rzeszów 2017, Biblioteka „Frazy”; na jego podstawie Teatr Polskiego Radia wyreżyserował słuchowisko) i *Jeszcze inne cienie* (Krosno 2022, Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Krośnieńskiej). Jest laureatem wielu ogólnopolskich konkursów literackich. W 2019 roku otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Krosna w dziedzinie kultury. Swoje wiersze, eseje i recenzje ogłasza w Polskim Radiu, w prasie literackiej i regionalnej, m.in. w: „Tygodniku Kulturalnym”, „Okolicach”, „Frazie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Odrze”, „Toposie”, „Akcencie”, „eleWatorze”, „Twórczości”, „Gazecie Wyborczej” oraz w almanachach poetyckich. Jego twórczość była tłumaczona na języki: angielski, węgierski, słowacki i serbski.



Andrzej Stanisław Sepioł

ZWIASTUNY CUDOWNEJ WYOBRAŹNI NA PRZYKŁADZIE WIERSZARIUSZA SŁOWIAŃSKIEGO IZABELI ZUBKO

W Brunarach w powiecie gorlickim znajduje się wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO dawna, pochodząca z XVIII wieku greckokatolicka cerkiew Św. Michała Archanioła, obecnie kościół rzymskokatolicki Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej w dekanacie Ropa diecezji tarnowskiej. Parafianką tego kościoła jest znana i ceniona pisarka, głównie poetka, Izabela Zubko.

Dzieciństwo spędziła w Dęblinie, młodość w stolicy Warszawie, by w latach dojrzałych osiąść w tej należącej do bardzo starych osad miejscowości (już w 1335 r. Kazimierz Wielki wydał przywilej lokacyjny dla Brunar Wyżnych, a 34 lata później osadzono Brunary Niżne). W takiej oto atmosferze kształtuje się w coraz bardziej wyrazisty sposób osobowość poetki na pograniczu kultur: polskiej, łemkowskiej, bojkowskiej, słowackiej i ukraińskiej.

Symptomami tego zachodzącego w dużej tej autorki w ostatnich latach procesu są dwie książki poetyckie (przy czym druga jest kontynuacją pierwszej) p. t. *Wierszariusz słowiański oraz Wierszariusz słowiański* – gawędy ciąg dalszy...

Publikacja pierwszej w formie wydania drugiego, poszerzonego, wyszła z drukarni w 2021 r. ze wstępem Andrzeja Zaniewskiego, a następnej z przedmowa Jerzego Stasiewicza w 2026 r. Ilustracje do obydwu zbiorów wierszy opracował Witold Vargas, polski pisarz, muzyk, kompozytor i ilustrator, nauczyciel plastyki. Jako Metysz deklaruje on pokrewieństwo ze strony matki z młodopolskim pisarzem Kazimierzem Przerwą-Tetmajerem. Wraz z Pawłem Zychem stworzył cykl książkowy tzw. *Bestiariusz słowiański*. Pierwsza książka z tej serii została opublikowana w 2012 r. Słowo „bestiariusz” wywodzi się od łacińskiego wyrazu: „bestiarius”, które zgodnie ze słownikiem języka polskiego PWN w tłumaczeniu oznacza przymiotnik: „zwierzęcy”. Bestiariuszami nazywano średniowieczny gatunek literacki, który opisywał zwierzęta, zarówno realne, jak i baśniowe. Jako egzotyke lub rzadkie, ale jak najbardziej realne zwierzęta powszechnie uważano w średniowiecznej Europie: wiwerny, smoki, gryfy, bazylikszy, czy jednorożce. Witold Vargas do dwunastego roku życia mieszkał w Boliwii, a jego babcia była gawędziarką i piastunką tradycji w swoim miasteczku. Z wielkim zainteresowaniem słuchał jej opowieści, a po zamieszkaniu późniejszym w Polsce, na styku kultur andyjskiej i europejskiej, a w szczególności słowiańskiej stworzył cykl dotyczący demonologii.

W chaosie dzisiejszego świata, pomieszania kultur i niepewności jutra z pewnością dobrze się sprzedają jego książki dotyczące różnych stworów, wytworzonych przez wyobraźnię ludzką na przestrzeni tysięcy lat, o których szczątki informacji zachowały się w kulturze ludowej, a są inspiracją dla Vargaso do snucia fantastycznych opowieści za wykorzystaniem, jak wskazuje we wprowadzeniu do *Wierszariusza słowiańskiego* – gawędy ciąg dalszy... różnego rodzaju książek etnograficznych.

Nie wiem, czy nadając swoim tomom wierszy tytuł: *Wierszariusz Izabela Zubko* nawiązywała do przyrostka (formantu) „ariusz” z tytułu *Bestiariusz* wcześniejszej książki Witolda Vargaso i Pawła Zycha, sama autorka wskazuje przecież, że jest to rodzaj literackiej gawędy i nie unika, jako katoliczka, wątków chrześcijańskich. Wydaje się zatem, że raczej kryje się tutaj odwoływanie przez utalentowaną pisarkę do staropolskiego słowa „dia-

riusz”, gdzie występuje podobny przyrostek. Poetka z Brunar bowiem opracowywała oba tomy wierszy bardzo skrupulatnie, na każdy z nich poświęciła po kilka lat, oba liczą po 50 utworów lirycznych, a Boginie i Bogowie przedchrześcijańscy oraz inne postacie przedstawione są w porządku alfabetycznym i w swoim zarysie z uwzględnieniem odpowiedniej czasowej perspektywy. Tak jak dziariusz jest to rodzaj lirycznego pamiętnika, czy gawędy nie tworzonej na bieżąco, ale po analizie tematu, który pisarkę tak zafascynował, skonstruowany z niezwykłą precyzją, uwzględniającą punkt widzenia dzisiejszego czytelnika, jak i ten, który cechował kulturę ludową sprzed stuleci.

W pierwszej z książek poetyckich tego cyklu Izabela Zubko opisuje językiem lirycznym nadnaturalne moce, w szczególności: Bogów, Boginki, zjawy, duchy, duszki, demony i demonki, krasnale i stworki. Za pierwszą część *Wierszariusza słowiańskiego* Izabela Zubko otrzymała Honorową Nagrodę ZLP w Rzeszowie, a zawarte w tym tomie wiersze, zostały wykorzystane w poetycko-muzycznym spektaklu, w którym wzięli udział wokaliści Studia Piosenki Literackiej i Aktorskiej oraz aktorzy Grupy Teatralnej „Po schodkach” z Miejskiego Domu Kultury w Dęblinie.

Jak dopowiada Witold Vargas, w części drugiej *Wierszariusza słowiańskiego* poetka wzięta na warsztat nie istoty zrodzone z codzienności mieszkańców polskich wsi, tj. z polskiej demonologii ludowej, tylko te, które dziś funkcjonują w rekonstrukcjach wierzeń przedchrześcijańskich. Ilustrator trafnie puentuje, że są one zatem młodsze od utworów wierzeń ludowych i zarazem o wiele starsze, a co za tym idzie – poza kręgiem zainteresowania etnografów.

Dużo by opowiadać o wysokim kunstwie literackim poetki z Brunar. Oba tomy tych wierszy to lektura pasjonująca. Na tle motywów przyrodniczych uderza głębokość refleksji, trafność dobranych metafor, świeżość i dalekosiężność spojrzenia, finezyjność we wplataniu wątków dotyczących starożytnych bóstw słowiańskich w kontekst filozoficzny, względnie psychologiczny, niezwykła kondensacja wyobraźni. Poezja ta to wyraz indywidualności, oryginalności i autonomii autorki, sugerujący, że warto iść przez życie zgodnie z własnymi wewnętrznymi wartościami. Differentia specifica takiej twórczości to percepcja świata w sposób uniwersalny z wyraźnym nastawieniem wewnętrznego kompasu na postrzeganie jego zalet i wad według przymiotów stanowiących istotę chrześcijaństwa takich jak: dobro i zło, piękno i brzydota, szlachetność i nieprawość, tolerancja i *ksenofobia*.

Ograniczę się tu z konieczności do krótkiego omówienia wierszowanych gawęd dotyczących sześciu najbardziej charakterystycznych bóstw wczesnosłowiańskich, a więc przedchrześcijańskich, których wizję liryczną przedstawia pisarka. Są to: Marzanna, Mokosz, Perun, Swarżyc, Świętowit, Weles (Trzygłówn).

Bóstwa te są mi znane od czasów wczes-

niego dzieciństwa (może za wyjątkiem Mokosz, o której dowiedziałem się nie tak dawno z książki Joanny Laprus p. t. *Boginie słowiańskich szepków*, gdzie autorka potoczyła miły z magicznym zielnikiem).

Zawsze urzekała mnie egzotyka i tajemniczość skupiona w nazwach dotycząca Arkoniny na wyspie Rugii, toteż wiersz Izabeli Zubko poświęcony tamtejszemu bóstwu (Świętowitowi) przeczytałem z odpowiednią dawką emocji. Z tematyką dotyczącą Pomorza Zachodniego i Słowian połabskich spotkałem się bowiem już we wczesnej młodości przy lekturze pierwszej części dylogii Bolesława Mrówczyńskiego *Miecz Kagenowy p. t. Armia milcząca*, będącej opowieścią o Kryście, odważnej, walecznej i szlachetnej niekoronowanej królowej Zachodniego Pomorza oraz powieści Ireneusza G. Kamińskiego *Mściciel przychodzi z Rugii*. Lektura *Armii milczącej* przenosi nas w krainę romantycznej baśni, obfituje w refleksje dotyczące przetrwania tam Słowian przy okazji wędrówek głównych postaci po Pomorzu. W drugiej z powołanych publikacji jest mowa już bezpośrednio o wyspie Rugii. W tych pracach natknąłem się na wzmianki o tej niemieckiej, a niegdyś należącej do Słowian połabskich, w szczególności do plemienia Ranów osobliwej dla mnie wyspie z osadą i przylądkiem Arkonina, gdzie znajdowała się główna świątynia (chram). W Arkonie otoczonej lasem i położonej na skraju spadającego strądo do morza brzegu zbudowanego ze śnieżnobiałej kredy według opisów średniowiecznych kronikarzy stał posąg Świętowita posiadający cztery głowy. W prawej ręce trzymał róg, do którego kapłan nalewał wino celem uzyskania wróżby na temat urodzaju w kolejnym roku. Atrybut bóstwa stanowił także miecz. Poświęcony Świętowitowi był biały koń, siodło, stanica oraz orły.

Tak trafnie i z wadziem charakteryzuje Świętowita jako bóstwo naczelne Ranów, władce bogów i ludzi ceniona poetka z powiatu gorlickiego: „*Jesteś najdzielniejszy z dzielnych/ wiesz, że śmierć cię ominie/ nie potrafisz zabić/ gdy jednocześnie patrzysz/ na cztery strony świata*”. Składa więc ona jak gdyby poetycki hołd temu naczelnemu Bogu, przekazując czytelnikowi, że bóstwo to jest, jak na nie przystało, nie tylko nieśmiertelne, ale też pokojowo nastawione do ludzi (mimo, że w średniowieczu uosabiało również boga wojny). Stanowi też ono przykład dzielności, a także rozważa i mądrości, gdy patrzy w cztery strony świata. Tym samym w oczach poetki jest to pierwowzór, odpowiednik w kulturze pierwotnej Słowian połabskich późniejszego chrześcijańskiego jedynego Boga.

Ze Swarżycem i Welesem (Trzygłównem) w młodości zaznajomiłem się przy lekturze *Starej Baśni*, noszącej znamienity podtytuł: *Kiedy słońce było bogiem, ponadto Lublany* – powieści o czasach przedhistorycznych Słowian na ziemiach polskich, autorstwa Józefa I. Kraszewskiego. Świat tych książek prześiaki- niety jest magią, gustami i religią pogańską, która kształtuje życie społeczności. Ważną

rolę odgrywają tam kapłani, obrzędy i święte miejsca, które pokazują pogańskie wierzenia dawnych Słowian. Kraszewski wykorzystuje je, aby stworzyć klimat przedchrześcijańskiej Polski.

Swarożyc w książkach naukowych na temat mitologii Słowian (np. prof. Aleksandra Gieysztor) utożsamiany jest z bogiem ognia, a nawet i słońca. To ten bóg przekazał ludziom w darze ogień, aby rozjaśnić mrok i uchronić się od chłodu, dzięki umiejętności panowania nad płomieniem. Wiersz Izabeli Zubko epatuje zatem w tym przypadku magią i plastycznością opisu, przekonuje, że ogień nie został wykradziony przez jakiegoś Prometeusza, jak wypowiada się mitologia grecka, ale jest darem światłości pochodzącej od wspomnianego bóstwa: „Przez języki ognia/ szeleszczące jak liście/ na pokrytym jesienią dębim/ patrzysz na świat/ Składane ofiary ze zmarłych/ spopielasz rozliczając ich duszę/ do ostatniego krzyku zegara”.

Bóg ten zatem jest w ujęciu i tradycji Słowian miłosierny, nie traktuje więc ognia jako wyścignięcia przywilejów sobie podobnych. Poetka spod Gorlic odwołuje się tu m. in. do świętych gajów dębowych. Uderzenie pioruna bowiem w wierzeniach ludów słowiańskich i bałtyjskich sakralizowało dany przedmiot: drzewo, wzgórze, skałę, czy człowieka. Dąb, którego dotknęło wyładowanie atmosferyczne, traktowany był jako święty. Autorka pisze, że Swarożyc ogniem spopiela ofiary ze zmarłych oraz piękną metaforą unaocznia, że „do ostatniego krzyku zegara” możliwe jest uratowanie swojej duszy przez osobę wierzącą w drodze do zbawienia, tym samym jest to motyw i wyznacznik chrześcijański przy lirycznej antropomorfizacji Swarożycza.

Kult Trzygłowa (ogólnosłowiańskiego Welesa) istniał m. in. w pogańskim Szczecinie, Wolinie i Brandenburgu. Bóstwo to przedstawiane było w postaci trójąłowego posągu, zaś jego kapłani twierdzili, że dlatego ma trzy głowy, albowiem zawiaduje trzema państwami, tj. nieba, ziemi i podziemia. Odróżniało go od sąsiedniego Świętowita w szczególności to, że czynony był tu czarny koń, podczas gdy Świętowitowi poświęcony był biały. Izabela Zubko tak pisze o Welesie: „Jesteś panem rozstajnych dróg/ władcą chwili/ zagubionej w siwej brodzie/ gdzie rozpoczęta gra/ rzadko kończy się walkowerem/ A oczy poddanych wypełniają się życiem/ po złożeniu przysięgi/ przed bramą gdzie dal/ staje się bliska”.

Świetne to i optymistyczne ze strony Izy w lakonicznych słowach przedstawienie egzystencji człowieka na tym świecie. Niebo wprowadza nas do Arkadii, czyli raju, przeciwna droga zaś do podziemi piekielnych. Życie na tym świecie składa się tylko z ulotnych chwil, jeżeli dożywa się sędziwych lat („siwej brody”), to rzadko kończy się ono walkowerem, gdyż człowiek ze swej natury potrzebuje Boga i zwykle szuka wiary. Poetka zwraca jednocześnie nam uwagę, że jeśli „gra w życie” jest rozpoczęta, a nie kończy się na „siwej brodzie”, lecz śmierć przychodzi w młodości, to może to być nawet walkower, gdyż ludzie młodzi zapatrzeni w siebie nie tak często, jak ludzie starsi, dojrzały, mają świadomość religijną. Oczy wiernych, którzy dostąpili wskutek swych starań wtajemniczenia, napełniają się życiem wiecznym, gdy stoją przed właściwą bramą po przejściu na tamtą stronę poprzez tajemnicę śmierci i agonii.

Przechodząc do następnego tematu, któż nie słyszał o topieniu na wiosnę marzanny? Z kolei bowiem o Marzannie poetka z Brunar pisze następująco: „Jestem boginią ośnieżonych pól/ zamarniętych

rzek i jezior./ Moim dzieckiem – wegetacja, / którą delikatnie kołyszę do snu./ Pierwszego dnia wiosny/ tonę w nurcie rzeki, /splątana w słomiane wstążki,/ gorejące jak pochodnie.” Pisarka w sposób subtelny przedstawia zatem czytelnikowi, iż wegetacja natury nieodłącznie wiąże się z umieraniem przyrody w zimie i narodzinami na wiosnę. Wegetacja jest bowiem cykliczna. Widać przy tej okazji chrześcijańskie nastawienie poetki znad rzeki Białej. Traktuje bowiem topienie marzanny (kukły) na sposób niemal współczesny, nie odnosząc się do ponurego kultu w tym zakresie u Słowian w średniowieczu, względnie czasach antycznych sugerowanego przez niektórych autorów. W tym sensie pozbawia ten zwyczaj znany też w czasach współczesnych cech pogańskich. Przypomina mi się w tym zakresie z dzieciństwa czterotomowa znakomita powieść dla młodzieży z czasów antycznych Joe Alexa (Macieja Stomczyńskiego) p. t. *Czarne okręty*. W czwartym tomie noszącym nazwę: *Sam bądź księciem* brat króla Krety Minosa - Widwoj, jego syn książę Perilawos, zaprzyjaźniony z młodym księciem: Trojańczyk Białowłosem i przywódca piratów Terteus w toku niebezpiecznej i pełnej przygód podróży na pokładzie okrętu z Knossos na Krecie przez cieśninę Bosfor, Dardanele, Morze Czarne wzdłuż Dniepru i Prypeci przybywają na trzęsawiska na terenie obecnej Białorusi. Po spędzeniu zimy w osadzie tubylców gdzieś w okolicy późniejszego Pińska są świadkami z przyszłym pierwszym dnia wiosny jak składana jest ofiara w postaci pięknej Wasan (Wiosny). Ona, córka miejscowego króla, wyciągnęła los i miała zginąć w nurcie rzeki. Tymczasem łódź z ofiarą zamiast płynąć w dół rzeki dzięki działaniom Białowłosego i Harmostajosa zawróciła do brzegu. W ten sposób niedoszła zmarła została uratowana i stała się żoną zakochanego w niej Terteusa.

W sposób arcyciekawy Izabela Zubko przedstawia też główne bóstwa występujące w panteonie naczelnym Słowiańszczyzny, nieżle opisane w przekazach historycznych, a to Peruna (zwanego po litewsku Perkūnas) oraz Mokosz, boginię wilgotnej ziemi, według legend słowiańskich małżonkę Peruna. W słowiańskiej mitologii Ojcem Niebem jest Bóg Grzmotu – Perun, który poślubił Boginię ucieleśniającą Ziemię i Wodę – Mokosz. Co roku Perun zapładnia ją w postaci kropel deszczu spadających z nieba. Wzmianki o Perunie występują zarówno w wyżej już wspomnianych powieściach Kraszewskiego, jak też nawet w *Wiedźminie* Andrzeja Sapkowskiego.

Tak charakteryzuje Peruna poetka z powiatu gorlickiego: „Kamiennym piorunem/ zmieniam melodię nawałnicy,/ rozcinam grzbiety/ kłębiących się chmur/ i wskazuję miejsce sacrum/ gdzie otoczę cię opieką/ z siłą ukrytą w dębim.” Pisarka swoją gawędę o tym władcy piorunów wywodzi z etymologicznego odpowiednika słowa „Perun”. Mianowicie Perun symbolizuje tyle, co „ten, co uderza”. Rdzeń „per”, czy też „perk” w licznych językach indoeuropejskich oznacza zaś wyrażenia z pozoru rozbieżne: piorun, kamień, górę, las, dąb. Stąd wiersz o Perunie koncentruje się na tego rodzaju atrybutach, mowa tam jest o dębim (rzeczywistość tworzyły wtedy święte gaje dębowe), kamiennym piorunie, rozcinaniu grzbietów chmur (zapewne przez błyskawicę i grom). Utwór ten poprzez zbudowane napięcie i dynamikę wywiera wpływ na psychikę czytelnika, powodując z jednej strony poczucie grozy, a z drugiej strony fascynacji siłami natury, które są wobec człowieka opiekuńcze.

O bogini Mokosz Izabela Zubko wyraża

się tak: „Użyżniam glebę/, spełniając wasze modły./ Rozsiewam ziarna zbóż/ i zaplatam kłosa w złoty warkocz./ opowiadając historię / miłości do Ziemi./ Gdy na polach kładzie się mgła, / a cisza spaceruje po zagonach,/ przejdę na kołowrotku/ Inianą nić losu/ zatroskanych kobiet.” Mokosz to Boginia Ziemia, ta która jest mokra, nazywana też matką szczęśliwego losu, a więc boginią przeznaczenia. Równocześnie jest ona matką dobrego plonu. Powiadano w tym kontekście w dawnych czasach: jeśli na dębim rozwinęły się liście, to ziemia przystąpiła do rodzenia, na brzozie – można orać pole. Jeśli ziemia jest mokra – można siać owoce, jeśli sucha – żyto. Gdy na żółto zakwitnie jaskier – ziemia nakazuje siać owoce, na biało czereśnia – nadszedł czas pszenicy, zakwitający jałowiec – to czas siewu jęczmienia. Gdy jabłonie są w pełnym kwiecie należy sadzić ziemniaki. Reasumując Mokosz w wierszu przedstawiona jest jako symbol siły natury, matki-ziemi, ale też opiekunki życia i cykliczności istnienia. Przyroda nie jest tylko tłem, ale czymś świętym i żywym. Matka Ziemia może być w tym utworze odczytywana jako pochwała kobiecości zakorzenionej w naturze. Przedstawia kobiecą energię, zdolność do tworzenia życia, ale też niezależność i potęgę, a także opiekuńczość i troskliwość o losy rodziny.

Konkludując obie książki poetyckie Izabeli Zubko zastępują na baczność uwagę, świadczą o niezwykłym talencie i wciąż doskonałym warsztacie literackim, gdzie sacrum ściera się z profanum. Bogowie słowiańscy w jej ujęciu nie są tak groźni, jak niektórzy w mitologii greckiej, czy rzymskiej. Z kreślonych jakby niedbale i lakonicznie, a jednak w sposób perfekcyjny metafor i innych figur stylistycznych wyłania się oryginalne spojrzenie autorki na dziedzictwo słowiańskich wierzeń. Z jeszcze większą siłą następuje postrzeganie dawnych bóstw na sposób chrześcijański w drugiej części wierszariusza. Liryki autorki upoważniają do domysłów, że w okresie średniowiecza ludność słowiańska pomimo z pozoru prymitywnych wierzeń nie była skazana na zagładę po swojej śmierci, bo jest życie wieczne. W wielu utworach pośrednio, czy bezpośrednio uświadamia nam to pisarka.

Takiego podejścia do sprawy wierzeń wczesnosłowiańskich należy życzyć wielu innym osobom parającym się obecnie, głównie w prozie, opisami bóstw wczesnosłowiańskich, tak jak Witold Vargas i Piotr Zych, gdyż w chaosie cywilizacji współczesnej, książki tego rodzaju, nie mające ambicji naukowych, powstają z różnych przyczyn.

Zarówno mądrość, jak i inteligencja oraz wyobraźnia dobitnie i w sposób oczywisty wskazują, że Stwórca istnieje. Demiurga tworzy Trójca Przenajświętsza, w tym Jezus Chrystus. Albert Einstein pisał: „Wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy, ponieważ wiedza jest ograniczona”. A w innym miejscu tak ten wątek kontynuował: „Logika zaprowadzi cię z punktu A do punktu B. Wyobraźnia zaprowadzi cię wszędzie”. Wielu powołuje się na tego genialnego uczonego, odsuwając się od religii, lecz nie zauważa, że jednego razu Einstein zapytany oświadczył, iż Demiurg jest siłą, która przenika cały świat i wszechświat, każdy kamień i każdą planetę. Jeżeli tylko w taki sposób wyobrażał sobie Pana Zastępów, to przecież był naiwny w swoim zamyśle jak dziecko, zarówno bowiem wyobraźnia, która dla człowieka jest skończona w nieskończonym świecie, a jednocześnie nieograniczona, jak i logika prowadzi do jedynego słusznego wniosku, że dla Boga nie ma nic niemożliwego. Wszelkie prawa odkryte przez człowieka, w tym

→ również teoria względności są błędem odbiciem nieskończonego piękna, misternej, nie do ogarnięcia ludzkim umysłem budowy wszechświata. Skoro siła naczelną przenika cały wszechświat, czyż boski artysta nie był w stanie stworzyć człowieka, a więc i narodzić się w łonie kobiety jako Bóg w osobie Jezusa Chrystusa? Czyż jest on tylko zwykłym ziemianinem?

Nie od rzeczy będzie zatem tu przytoczyć sentencję Św. Augustyna: „Człowiek przemierza kraje, by podziwiać szczyty górskie, wzburzone morza, przepastne rzeki, prądy oceanu i gwiazdy krążące po niebie, lecz piękna zawartego w sobie samym nie dostrzega”.

Kariera literacka Izabeli Zubko, która jest skromną i ciepłą osobą, co mogłem stwierdzić jako uczestnik warsztatów literackich w ramach prowadzonej przez nią grupy „Błysk” przekonuje odwrotnie, że poetka ta tworzy dzieła coraz bardziej dojrzałe, jest gwiazdowym diamentem na niebieskim firmamencie na tle innych pisarzy w obecnym światku literatury polskiej. Nadto coraz odważniej, energiczniej oraz w sposób perfekcyjny, czerpiąc ze swojego mikrokosmosu, bierze sobie do serca nie tylko słowa Św. Augustyna przytoczone powyżej, ale i Dali Carnegiego, autora bestsellera: *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi*, która to praca została przetłumaczona w swoim

czasie na bodajże 37 języków. Dla mnie dewizą Izabeli Zubko jest bowiem po prostu jego jedno, będące kwintesencją rzeczywistego życia i istnienia, proste sformułowanie: „Pamiętaj, szczęście nie zależy od tego, kim jesteś i co posiadasz; zależy wyłącznie od tego, co myślisz”.

ANDRZEJ S. SEPIOL

Izabela Zubko: *Wierszariusz słowiański*, wydanie drugie (poszerzone), Brunary, listopad 2021, ss. 130, *Wierszariusz słowiański* – gawędy ciąg dalszy..., wydanie pierwsze, Brunary, styczeń 2026, ss. 110.

Gabriela Szubstarska

Sławomira Jerzego Ambroziaka składa się z 46 misternie wplecionych wierszy. Każdy z nich ma identyczną budowę: tytuł, pięć plus dwa wersy. Tytuły utworów same w sobie są opowieścią, rodzajem historii pewnej znajomości.

Poprzednia książka Sławomira Jerzego Ambroziaka była poetyckimi rozważaniami na temat wybranych rozdziałów Biblii. Najnowszy tom nosi tytuł „Waniliowy anioł”. Czyżby kontynuacja? Nic bardziej mylącego, choć anioły to postaci obecne niemal w każdej religii, także chrześcijańskiej. Duchowe, bezpłciowe, będące pośrednikami między bogami a człowiekiem byty.

Anioł Ambroziaka przybiera cielesną postać, jest niemalże dotykalny. Wystarczy przymknąć oczy, by dostrzec piękną kobietę. Czyżby uosobieniem anioła była dla poety kobieta? Kobieta, która wodzi na pokuszenie, jest obietnicą nieziemskich doznań, doprowadza do szaleństwa? Mimo, że czasami pozwala się dotknąć, jest nieuchwytna, ulotna, nierzeczywista. To nic, że bawi się uczuciami, że jest kapryśna i nieprzewidywalna, nie można o niej przestać myśleć, tak jak nie można przestać myśleć o tym co było, jest i będzie, ponieważ dzieje się to poza wolą autora.

A może owa kobieta-anioł jest tylko wyobrażeniem, któremu żadna cielesna istota nie jest w stanie sprostać? Bardzo wymownie, choć nieco zagadkowo brzmi trzykrotnie powtórzony tytuł wiersza nadany trzem odrębnym utworom „waniliowy anioł nie dla poety.” Ostrzeżenie? Pogodzenie się z losem?

Książkowy poeta poszukuje, doświadcza, tęskni, rozpacza, jednak nie potrafi wyzwolić się z więzów. A może nie chce się wyzwolić? „Stąpa po stygnących śladach”. Mam wrażenie, że nie chce utracić czegoś, co jest nieustanną inspiracją, bez czego nie byłby w stanie istnieć.

Niejaką podpowiedzią może być motto zaczerpnięte z Marthy Rivera-Garrido a także cytaty zamykający tom:

Bo gdy zakochasz się
w tego typu kobiecie,
czy pozostanie z tobą czy nie,
czy będzie cię kochać czy nie,
od takiej jak ta kobiety
nigdy nie wrócisz wstecz.

Nigdy.

„Waniliowy anioł” to książka, która w niebanalny sposób mówi o uczuciach, o sprawczej sile marzeń. Uzmystawia nam, że tak naprawdę życie jest ciągłym oczekiwaniem. Oczekiwaniem na coś, na kogoś. Pewnie jest tylko jedno: poezja jest kobietą.

GABRIELA SZUBSTARSKA

„WANILIOWY ANIOŁ”



Irmina Kosmala

METAFIZYKA CODZIENNOŚCI I GRANICE MILCZENIA

Teresa Tomsia przygotowała nową książkę poetycką, *W jasności otwartego zdania* (2026), która jawi się jako dzieło o rzadko spotykanej spójności, stanowiąc głębokie, poruszające memento i zwieńczenie dwudziestopięcioletniej współpracy autorki z polonijnym środowiskiem skupionym wokół paryskiego Centrum Dialogu. Tom wydany w ramach obchodów Roku Czapskiego jest wielowarstwowym palimpsestem, w którym osobiste doświadczenia egzystencjalne splatają się z wielką historią. Ten artystyczny zamysł podsumowuje zwięźle Eugeniusz Toman w postawie: „W realizowanej dekadzie temu przez Marka Wittbrota i Artura Majkę paryskiej serii Kolekcja Re/cogito, także w publikacjach Fundacji SUSEIA prowadzonej przez Elżbietę Skoczek w Krakowie, kształtowała się kolejna wspólnota niezależnego myślenia – w tym wydaniu tworzą ją zaproszeni w różny sposób do liryków autorzy kilku pokoleń zaprzyjaźnieni z póltyńską wspólnotą: Józef Czapski, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Paweł Hertz, Paweł Huelle, Rafał Jaworski, Paweł Jocz, Irena Knapik-Machnowska, Maciej Krzyżan, Michał Milberger, Maciej Niemiec, Andrzej Sikorski, Elżbieta Skoczek, Anna Sobolewska, Jan Sochoń, Hanna Strychalska, Witold Urbanowicz, Jan Zieliński, Rafał Żebrowski”.

Wielkopolska poetka otwiera przed czytelnikami przestrzeń, w której zachwycenie dorobkiem poprzedniego pokolenia artystów nieustannie mierzy się z powagą przemijania, lękiem przed zapomnieniem oraz próbą ocalenia tego, co w człowieku najbardziej kruche i najcenniejsze. W krwiobiegu tej refleksyjnej wypowiedzi autorka wpisuje kompletną, dojrzałą filozofię życia, w której świat wartości opiera się na bezkompromisowej wierności, empatii oraz czułości wobec ułomności istnienia. Przemijanie nie jest tu destrukcyjną siłą, przed którą należy uciekać, lecz naturalnym stanem skupienia materii i ducha, jedyną przestrzenią, w której człowiek może w pełni doświadczyć swojej skończoności i odnaleźć głęboki sens w tym, co ulotne.

Centralną osią konstrukcyjną i emocjonalną tomu pozostaje głęboka relacja z postacią Józefa Czapskiego oraz pamięcią historyczną. W utworze *Czerwona magia* – Ghelderode, Czapski poetka dokonuje misternej ekfrazy obrazu Czapskiego z 1956 roku „Magie rouge”, namalowanego pod wpływem paryskiego spektaklu sztuki Michela de Ghelderode. Autorka wykonuje jednak zdumiewający gest artystyczny, przenosząc tamto zachodnioeuropejskie wydarzenie w bolesny kontekst polskich dzieł: grudniowych wydarzeń 1970 roku na Wybrzeżu oraz krwi przelanej na ulicach Poznania w Czerwcu '56. Odnosi się także do „sowieckiego teatru absurdu” i życiowych doświadczeń malarza, który ochronę wrażliwości upatruje w sztuce, przedstawiając na obrazie aktorkę – kobietę niosącą miłość i życie:

„niech stoi zwrócona twarzą ku nam /
na zawsze piękna – w żółtym szalu /
misterne utkanyemu zarzuconym na głowę /
z rudym rozplecionym warkoczem /
jak struga płynąca prosto z serca /
na czarną żałobną suknię”.

Ten dialog z nieobecnymi przyjaciółmi i mistrzami rozciąga się w tomie ku bliższej nam współczesności, czego przejmującym dowodem jest wiersz *Ulica Pawła Huelle*, dedykowany redaktorowi „Recogito” Markowi Wittbrodowi. Takiej ulicy w Gdańsku jeszcze nie ma, to metaforyczna wizja. Spacer śla-

dami zmarłego pisarza – „zaklinacza świata” – staje się u Tomsii bezsłownym zapytaniem o naturę straty i o to, jak to możliwe, że „ciemność / w ostatnim pokoju z książkami wciąż szuka / przymierza”, podczas gdy żyjący wciąż ogrzewają w dłoni ocalały rękopis. W świecie pełnym niepokoju ten i inne wiersze zyskują status autonomicznego powiernika, a nawet narzędzia ocalenia. W utworze z tytułową frazą poetka pyta o możliwości metafory w wyrażeniu człowieczego doświadczenia utraty:

„a skoro wiersz mówi warto słuchać rady /
i wydobywać się co dnia z sieci słów wy-
blakłych czasu dokonanego / stanąć znów /
w jasności otwartego zdania / na dotyk
przypomnianej chwili – w skórze przechowa-
ny” (Wierszu – jeśli wiesz więcej).

Ta zmysłowa, organiczna wręcz potrzeba uobecniania przeszłości powraca w utworze *Niech wznieś się – bez słów*, napisany na osi doświadczeń i relacji twórczych ze środowiskiem paryskiego domu póltyńców. Poetka wyznaje w nim, że na przekór okolicznościowym, uprzejmym frazom pozbawionym osobistego tonu, ufa w istnienie „słów ponad miarę” i w „nieodwoływalną przyjaźń”. Wzywa do wysłania „czystych kartek” jako rozkwitającej nadziei, która wznieś się „ponad obawę czy przemilczenie”, dążąc ku temu, co – jak głosi zacytowana w przypisie kartka kondolencyjna – jest „niezniszczalne i trwalsze niż ludzka pamięć”. Słowo i język stają się dla autorki także narzędziem radykalnej empatii. W przejmującym, beztytułowym liryku modlitewnym poetka zwraca się do Stwórcy metaforycznej mowy z prośbą o łaskę ukajenia, ale też o niezwykle dar komunikacji: „spraw abym dla głuchego / nauczyła się języka / migowego – a tego kto / słowami przemówić / nie umie – / próbowała wystuć / i zrozumieć”.

Obok pragnienia wspólnoty i bliskości, w tomie pulsuje jednak głęboka, egzystencjalna samotność jednostki wobec nieuchronnego upływu czasu. Autorka dotyka bolesnego poczucia wyobcowania, pisząc: „błądząc wśród ścieżek / nieopisanych opuszczony pomijany los”. Bezgłośny krzyk ścisła gardło na granicy milczenia, niepewność oczekiwania na przyjazny gest na peronie kończy się ostatecznym zejściem w podziemia. W wierszu rozpoczynającym się od słów: „wotam wszystkim imionami...” powraca fundamentalne pytanie o tożsamość: „a ja wciąż nie wiem kim jestem / zawołaj mnie po imieniu”, zawieszone nad zaniechanym polem nadziei w poszukiwaniu znaku nieskończonego. Wobec tych kryzysów duchowych poetka poszukuje jednak stałego punktu oparcia. W utworze *Orędownik duchowej równowagi*, otwieranym mottem z ks. Jana Sochoń, przywołuje postać świętego Walentego nie tylko jako opiekuna zakochanych, lecz przede wszystkim jako patrona ludzi psychicznie chorych i wrażliwych na nędzę świata. Przypomina, jak wiele wysiłku i pomocnej ręki drugiego człowieka potrzeba, by każdy z nas mógł powstać z ziemi i zaśpiewać psalm dziękczynny, który koł rozpalone czoła, „ucisza to, co nadmierne”.

Ostatecznie cała mądrość tego tomu koncentruje się wokół pełnej pokory i blasku



afirmacji przemijania oraz okrucich codzienności. W dedykowanym malarzowi Witoldowi Urbanowiczowi utworze *Raduj się chwilą najmniejszą* aromat czerwonego wina przybliża dawne rozmowy w obecności tych, których już nie ma, stając się apelem do artysty, by każdym serdecznym gestem malował poemat życia i „czerń tła wybielał”. Choć ciało poddaje się czasowi, a w dłonie trzeba wcierać balsam, by zatrzymać suche tkanki skóry przypominające płatki szronu, poetka w wierszu *Jeśli kto ustąży prosi*, by nie pośpieszać minut i błogosławi chwilę, która łączy ludzi mimo wszechobecnej ciemności i odgłosów ciszy. Kulminacją i najpełniejszym akordem tego poetyckiego memento staje się genialny, zamykający beztytułowy liryk, którego pierwszy wers kreśli nutą przekory: „i cóż że wszystko zanika”. Teresa Tomsia formułuje w nim olśniewającą, profetyczną wręcz definicję ludzkiego losu: „i cóż że wszystko zanika / rozsypuje się przepada –/ to jest istnienie które / z rozpadu powstaje”.

Przemijalność nie unieważnia wartości istnienia. Nicość w optyce poetki przestaje być przerażającą próżnią. Staje się natomiast siłą, która zbiera najdrobniejsze krążące w przestrzeni okruciny i lepi z nich nowe gwiazdy, mające zajaśnieć w miejscach po zmarłych. Ciekawym, niezwykle sugestywnym dopełnieniem tych pejzaży pamięci są inkrustujące tomik grafiki Artura Majki. Rysowane zamazystą kreską wprowadzają do refleksyjnej medytacji intrygujący ruch, sprawiając wrażenie tworzonych w wielkim pośpiechu, w biegu. Podczas gdy impresjonistyczna momentami poezja autorki *Chłodnych strug* (2025) dąży wciąż do zatrzymania chwili i uwiecznienia mgnienia, nerwowe, pełne witalnej dynamiki linie Majki przypominają o nieustannym upływie czasu (*Czarna kreska na białym*). Ów wizualny kontrapunkt fenomenalnie poszerza pole interpretacyjne zbioru, tworząc fascynujące napięcie między dążeniem do ocalenia wspomnień a bezwzględną zgodą na rozpad. W ten sposób najnowszą propozycją liryczną Teresy Tomsii ocala w pejzażach pamięci to, co najistotniejsze, udowadniając, że dopóki ostatecznie nie „wystygnie atrament”, słowo – nawet to utkane na granicy milczenia – wciąż potrafi zrekonstruować i jasno rozświetlić mrok ludzkiej egzystencji.

IRMINA KOSMALA

Teresa Tomsia, *W jasności otwartego zdania*, Wydawnictwo Fundacja SUSEIA, Kraków 2026. Postawie: Eugeniusz Toman, Zaczyn rozmowy. Opracowanie plastyczne: Artur Majka. Opieka redakcyjna: Elżbieta Skoczek.

Andrzej Walter

KOLEJKA ZA WIERZBICKIM

Właściwie ów tekst powinienem zatytułować „W kolejce po rozum”, ale to akurat jedna i jedyna z kolejek, która z pewnością trafiła dziś do lamusa. Kolejki mamy dziś bowiem przeróżne, ale jedynie rozum mało komu jest potrzebny.

Dawno już nie czytałem wierszy, które tak mocno by wstrząsnęły moją wrażliwością poetycko-językową. Wiedziałem, że Adam Wierzbicki to znakomity młody polski poeta, wiedziałem, że to arcyciekawcy i inspirujący twórca, tudzież i człowiek, że nowatorski, że indywidualny i że z własnym poetyckim polem, językiem oraz przekazem, ale „Kolejki Polskie” przerosły moje stabilne, utarte wyobrażenia, przekroczyły Rubikon schematu i sztampy, wstrząsnęły wspomnieniami, diagnozami oraz jakąś utartą wizją PRL-u, czyli jednym słowem naszej młodości – durnej i chmurnej, której wykwiły towarzyszą nam do dziś zwłaszcza w ciągle żywych problemach i dylematach społecznych.

Świat się zmienił, mentalność i przywary społeczne pozostały jednak bez zmian. Głupota z arogancją święcą triumfy i w tej optyce „Kolejki Polskie” wraz z kompleksami, grzechami i plamami na sumieniach idą z nami dziarsko przez ten świat i Adam Wierzbicki uczynił coś (arcy)genialnego tymi swoimi tekstami: wskrzesił przeszłość, miętową i sentymentalną łącząc ją z tym, co oglądamy za oknem i z tym, czego oczekujemy po jutrze, a może nawet nie oczekujemy, bo „stara bida” pójdzie z nami, a mówiąc „stara bida” widzę naszą nędzę intelektualno-duchową i człowieczą.

„Kolejki Polskie” to wiwisekcja Polski jaką znam. Polski kontrastu, Polski wrzasków i krzyków, Polski prymitywnej głupoty i jednoczesnej buty małomiasteczkowego chama, który niczym znany literacki Dyzma został wpuszczony tu i tam i odwała popelinę swojego burzanego mentalu. Jednak u Wierzbickiego to ledwie margines, to pewne socjologiczne tło, ledwo co zaanonsowane, czasami wręcz zamaskowane, ale jednak.

U Wierzbickiego więcej jest poezji. Sumy wrażliwości nad kiepskim losem biedniejszego, pochylenie się nad słabszym, wykluczonym, wyautowanym obywatelem X, efektem tej wzorcowej (ironicznie) transformacji guru ekonomii i układów. U Wierzbickiego jest liryka i subtelność zamiast krzyku i buntu. Bunt się ustałecznił i Wierzbicki stworzył jedne z najważniejszych wierszy jakie w tym kraju napisano po roku 1989, po sławetnym 4 czerwca kiedy ponoć ... wygraliśmy (wolną Polskę?). Wolną (z nazwy), ale wciąż w kolejce po niezależność. Oto „Kolejki Polskie”. Bezbolesne, bezlustracyjne, bezwzględne.

Kolejka po przyszłość

Kolejka po leki w szpitalu
psychiatrycznym oczekuje
zmian na lepsze dni nadchodzące.
Zmniejszenia dawki
psychotropowych witaminek.
Marzy, że rozwiążą się jej
życiowe problemy i dolegliwości,

choć zdaje sobie sprawę,
że nie można już cofnąć czasu.
Wierzy w lepsze jutro, lepsze
jedzenie w szpitalu i lepszą
służbę zdrowia. Wyczekuje

wyjścia na terapię, spacer,
przepustkę i wytęsknioną
wolność.

Nie jest tak źle, ale ta poezja ma nas sprowokować. Warto stać ciągle w kolejce po wytęsknioną wolność, po nieznosną lekkość bytu, po utracony czas. Warto dać się sprowokować Wierzbickiemu tymi „Kolejkami Polskimi”, bo to poezja bytu i myślenia, to poezja empatii i wiary i wreszcie poezja godności i ... Polski. Naszej Polski. Tej jaką znamy naprawdę, a nie tę z medialnego złudzenia czy reklamowych debilizmów.

Kolejka po frajerstwo

Dawidowi Z. i Sebastianowi K.

Kolejka w przychodni szpitala wojskowego,
gdzie krew pobierają, cierpliwie czeka,
by to, co najcenniejsze, oddać
Ojczyźnie, jak robili to jej ojcowie,
dziadkowie i ich antenaci,

co swą krew ocaloną za darmo oddawali
każdemu, kto z armią połączyć ich
zechciał, jak śpiewał ongiś
nieodżałowany bard Solidarności.
I tylko szkoda wielka,

że współcześni szwoleżerowie, podobnie
jak ich przodkowie spod Somosierry, swej
cennej krwi nie przelewają w obronie rodzin,

tylko obcych interesów.

Nie wchodźmy w politykę. Polityka to brud. Polityka w Polsce to do tego jeszcze pochód chama, tego słynnego polskiego chama z Wesela zmieszanego z chamem ukształtowanym 45 latami PRL-u. Mieszanka efemerydalna i kabaretowa. Tu nie idzie jednak o politykę, tutaj ocieramy się o mentalność, o motywację, o sumienia. O dekonstrukcję pewnych wartości, które były naszą narodową podstawą przetrwania i działania, a dziś szturmem feministycznych imperatywów tudzież współczesnych postępowych idei zostały te wartości przeniesione do zamrażarki dziejów. Rosną nam pokolenia wymoczkuwanych, prymitywnych indywiduów, stabeuszy i pustych wiedzowo monstrów skoncentrowanych li tylko na sobie i własnej przyjemności. Psychologiczne credo rób sobie dobrze stało się zasadą, religią, bogiem. Wyznacza więc ochoczo: zasady, trendy i ustala jedynie poprawne reguły gry. Ja, ja, ja, słyszę zewsząd, od młodych i starych, od wielkich i małych, od mądrych i głupich i dochodzę do wniosku,

że całe to społeczeństwo toczy dziś jakąś śmiertelna nieuleczalna już choroba, jakiś nowotwór ponowoczesności, jakiś wręcz trąd zidiocenia w połączeniu z pączkującą stale ignorancją rodzącą arogancję i przerażającą w wydźwięku butę wobec bliźniego. Dotykamy i doświadczamy tego wszędzie i codziennie. Na każdym niemal kroku. Dzień po dniu. (Politycy są tutaj papierkiem lakmusowym, pewnym wzorcem, czy odwzorowaniem nas samych – zwierciadłem społecznym)

Oto Polskie Kolejki – kolejki pełne czekanania na Godota – kolejki pełne snów, opijanych tanim alkoholem, w kontraście do (z Kolejki po nieśmiałość)

patrząc na zagrzybiony sufit pamiętaję
czasy Gierka stołówki. A w tym czasie,
gdzieś w luksusowym apartamencie

nad Adriatykiem, opalony na złoto
trzydziestolatek, patrząc w ekran
monitora, liczy krociowe zyski, które
przynoszą górnicze pensjonaty kupione za
symboliczną złotówkę przez jego ojca

w czasach, gdy komuna upadała na cztery łapy.

Komuny już nie ma. My żyjemy. Żyliśmy w niej całe pokolenie. Teraz mamy postępowy turbo kapitalizm. Ustrój dla młodych, pięknych i bogatych.

Reszta won. I każdy z tych wymoczkuw chce się zatapać do korytek. Nie każdemu się uda, nie każdy będzie miał dobrze ustawioną mamusię albo ustosunkowanego resortowego tatusia. Nie każdy był resortowym dzieciactwem. To się dzieje na naszych oczach i w świetle reflektorów, tyle, że nad przyczynowo skutkowym następstwem wydarzeń już mało kto się zastanawia, bowiem żyjemy w świecie prostych prawd i naiwnych emocji. Demiurzy istnienia określili kto ma być na górze, a kto na dole.

Reszta to kolejki. Kolejki po stawę, kolejki po nagrodę, kolejki po gratyfikację. Oto kolejki polskie. Kolejki po prawo do istnienia. Kolejka po układy. Dziś szczerze mówiąc, po „Kolejkach Polskich” powinniśmy się ustawić ... w kolejce za Wierzbickim, może jakaś część Jego słów i nas ocali.

I staniemy też w ... Kolejkę po pamiętkę:

Kolejka po wpis w tomiku
lokalnego poety gdzieś w
provincialnej bibliotece udaje
zainteresowanie jego
życiem i twórczością oraz kulturą
wysokich lotów. Zachwyca

się lotnością metafor i porównań.
Wspomina edukację autora (polonistki),
wspólne wakacje (kuzynostwo), to,
że bratem niekiedy był wrednym
(rodzeństwo), a synem niegrzecznym

RECENZJE

i niepokornym i pomimo że do nauki się nie przykładał, zawsze przechodził z klasy do klasy z nagrodami (rodzice), ale popić i narozrabiać także potrafił (koledzy nie po piórze,

lecz od zadym i kielicha). Większość podpisanych egzemplarzy trafi nieprzeczytana na honorową półkę w domowych bibliotekach, gdzie po kilku latach zbierze się na nich gruba

warstwa kurzu.

I to już ostatnia nasza opisywana tutaj „kolejka”. Po warstwie kurzu nastąpi śmietnik, potem przemiat. Tyle będzie warta cała ta nasza poezja. Poezja kompletnie niepotrzebna współczesnemu społeczeństwu. Poezja niezrozumiała, zbyt trudna, poezja – coś staromodnego i straconego dla współczesnego człowieka. Poezja, którą się ruguje: ze szkół, z bibliotek, z wiadomości, z doniesień, z potrzeb, z jakiegokolwiek przestrzeni publicznej. Poezja zaczyna być dla mięczaków, a ktoś chciałby takim zostać? Najpierw z pisarza uczyniono efemerydę, a później z poezji uczyniono szrot. Amen.

Najsmutniejsze jest jeszcze to, że my, poeci, nie chcemy i nie potrafimy poezji bronić. Zamykamy się we własnych grupkach i enklawach, żemy ze sobą i podkładamy sobie nogi, zadawaliśmy się ersatzem pustych sal, w których czytamy wiersze dla innych poetów. (i o zgrozo chce nam się to czynić pomimo, że to takie żałosne). Publicznie, kiedy są z nami ludzie spoza środowiska – milczymy. Wtedy mało kto się odezwie, a zwłaszcza w obronie poezji. Wtedy nabieramy wody w usta, albo wygłaszamy wobec tych ludzi okrągłe formułki, gładkie wypowiedzi, aby nikomu nie zaszkodzić, aby nikogo nie urazić, aby nic się nie zmieniło. O! taki koniunkturalizm sytych, zwłaszcza, że jeden z drugim niczego nieczytający burmistrz czy wójt jak coś powiemy nie za bardzo, to nie da tych ochłapów na festiwal poezji. Koń by się uśmiał. Dlatego też ja rzę już niemal codziennie i oddalam się od tej: głupoty, hucpy i żenady. Idźcie dalej tą (swoją) drogą. Ustawcie się w kolejce po dotację na kulturę, na szmirę, na utudę i ucieszcie kolegów zaproszeniem na popijawę za państwowe. Po niej powstaną może lepsze wiersze (oby). Odczytacie je sobie nawzajem, będzie orgazm, wydarzą się Ogóry Literatury i każdy grzecznie pójdzie do domu, a społeczeństwo jak zapagnie rozrywki to kupi sobie kryminał w Biedronie.

Sursum corda.

Pozostanie po nas kurz, przemiat i niebyt.

O! taka wizja losu dzisiejszego poety, który stanął kiedyś tam w kolejce po niekończoność, która również przestała być dziś komukolwiek potrzebna.



ANDRZEJ WALTER

POWRÓT DO AUTOBIOGRAFIZMU

W przeciwieństwie do wielu poetów tzw. pokolenia „Brulionu”, Jacek Podsiadło swoje pierwsze kroki twórcze stawiał jako dwudziestolatek już w latach 80-tych. W 1987 zadebiutował tomikiem „Nieszczęście doskonałe”, publikował także w III obiegu, np. w współredagowanym przez siebie art-zinie „Dobry Jaśko”. Na początku lat 90-tych kiedy „Brulion” nie stawiał jeszcze na nowych poetów, nie szokował i nie wywoływał skandali, poeta publikował – jak wspominali niegdyś Jarosław Klejnocki i Jerzy Sosnowski w swojej monografii dotyczącej pokolenia „Brulionu” pt. „Chwilowe zawieszenie broni” – np. w związanym z ZSMP piśmie „Okolice”, które wcześniej wyczuło przemiany w literaturze polskiej niż krakowskie czasopismo.

Wspominałem o początkach literackich Podsiadły, gdyż w jego ostatnim tomiku wierszy pt. „Echo wydarzeń” wydanym w 2025 roku przez Wydawnictwo a5, zauważyłem, większe zakotwiczenie twórcy w przeszłości – w stylu i tematyce, niż np. w tomikach „Przez sen” z 2014 roku, czy „Włos Bregueta” z 2016 roku. Akurat te dwa mi przyszły do głowy, gdyż nie czytałem wszystkich książek poety z ostatniej kilkunastu lat. Poeta w nowym tomiku porzucił tematy publicystyczne, czy bardziej zwięzłe formy i znowu pisał rozległe wiersze na kształt lirycznych notatek z codziennego życia, czy kartek z intymnego, lirycznego dziennika – co zauważyli już dawniej krytycy literaccy (kiedy jeszcze byli istotni). Znow można było zauważyć w jego wierszach swobodę zapisu, a nie poszukiwanie większej dozy zwięzłości i precyzji jak w tych wymienionych wcześniej tytułach. Ta decyzja Jacka Podsiadły o powrocie do starych stylów i tematów, przypominała – jeśli chodzi o innych twórców należących do tzw. roczników sześćdziesiątych – raczej decyzję Marcina Barana, który powrócił w 2024 po długiej przerwie tomikiem „Darń”, niż Marcina Świetlickiego konsekwentnie odci-

nającego się od pewnych cech swojego stylu ze swoich początkowych tomików poetyckich związanych z większą dozą narracyjności i zakotwiczeniem w symbolach biblijnych, czy motywach romantycznych. Oprócz tego w swoich wierszach Podsiadło medytował nad różnymi tematami religijnymi i filozoficznymi np. odwoływał się do pism Jakuba Böhme (pewnie to wpływ Czesława Miłosza), św. Augustyna, albo zastanawiał się nad mniej religijnymi kwestiami jak np. nad istotą zwierzęcia.

Z wierszy, które mogłyby być zapisem w pamiętniku można wymienić „Czytanie Diderota (w Bieszczadach, w październiku)” i „***Bawiłem się jej włosami...”. Poeta w pierwszym wierszu wspominał chwile spędzone z Magdą podczas wyjazdu w góry, kiedy po powrocie z przechadzki po lesie, gdzieś pewnie na polanie rozłożyli się na kocu lub na trawie i poeta czytał na głos książkę Diderota. Pili wino i dyskutowali na temat kwestii dobrego tłumaczenia ważnych książek, ale także rozmawiali o tym co zapamiętali z filmu, „na który poszli przed laty”. Zwyczajna wycieczka dwojga zakochanych została zestawiona w wierszu z istotnymi sprawami kultury jak kwestią tłumaczenia, czy pamięci. W drugim z wierszy poeta podczas snu swojej towarzyszyki wspominał jak podczas przechadzki mijali kościół Kapucynów w Warszawie i czytali napis nad jego drzwiami.

Do ciekawszych wierszy w „Echu wydarzeń” należał na pewno utwór „Próba zwierząt (res curiosa)”. Była to proza poetycka,

w której notatki z wyjazdu do rumuńskich Karpat, podczas którego poeta spędzał czas z myśliwymi tropiącymi niedźwiedzie przeplatały się z filozoficzno-lingwistycznym czasami humorystycznym namysłem nad istotą zwierząt i różnicą pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Wg poety poznając zwierzęta można było zrozumieć przodków człowieka – „w zwierzętach mieszkają przed-ludzie”, co na było odwołaniem do teorii Darwina. Zwierzęta nie poznawały siebie w przeciwieństwie do ludzi i pokazywały jak „oduczyć się kultury”. Nie stworzyły religii, choć lęk był wspólny i dla nich i dla ludzi.

Książkę Podsiadły dlatego kupiłem, że nadal pokolenie „Brulionu” wydawało mi się istotnym pokoleniem literackim i chyba ostatnim pokoleniem w polskiej literaturze, o którym można było pomyśleć w kategoriach wymienionych przez Kazimierza Wykę związanych z podobną datą urodzenia i ważnymi wydarzeniami dla całego pokolenia. Bo roczniki 70-te podzieliły się na wczesnych twórców debiutujących na łamach pism pokolenia starszego i późniejszych, którzy jako znak rozpoznawczy przyjęli indywidualne zabiegi autopromocyjne, pop kulturę, znajomość z decydentami i przynależność do grupy dawnych elit PRL-u. O ważności wierszy Jacka Podsiadły świadczył brak jego nazwiska wrytego na metalowej sztabce przytwierdzonej do jednej z ławek na Plan-tach w Krakowie.

MATEUSZ WABIK

Jacek Podsiadło, *Echo wydarzeń*, Kraków 2025

NOTATKI ZE SNÓW I Z DYSTANSU

W ostatnim wydanym przed swoją śmiercią tomiku wierszy pt. „Listy z własnego czasu”, Jan Kasper poruszał się kilkoma drogami poetyckimi. Blisko połowa wierszy z tomiku wydanego w 2021 roku to krótkie zapiski na trzy linijki, niekiedy bliskie poetyce haiku, innym razem zapiski jak z pamiętnika, czy notatki dotyczące różnych obserwacji lub pomysły poetyckie, które nie stały się dłuższymi wierszami. Pozostałe wiersze Kasprowa to liryka narracyjna dotycząca jakiejś sytuacji, osoby, albo liryka traktatowa związana z rozważaniami na różne tematy np. polityczne. Cechą poezji Kasprowa była sprawozdawczość podobna do wierszy nowofalowych i poetów z generacji „Brulionu”, dystans, spokojna i wyważona fraza, daleka np. od emocjonalnych zapisków Marcina Świetlickiego, czy ironii Marcina Barana, bliższa poetyce awangardowej. Raczej ekstrawertyczność niż proste opisywanie własnych emocji i uczuć. W wierszach Kasprowa niekiedy pojawiały się niepokojące obrazy, a niektóre sytuacje miały coś z koszmaru sennego. Także podobnie do prozy Jona Fossego Kasper wprowadzał do swoich wierszy przekonan- nie o współistnieniu żywych i niewidzialnych umarłych, ale obecnych.

W wierszu „***W kącie jadalni...” opisano jakąś oniryczną sytuację, czy wyobrażoną scenę, w której „niegrzeczna” młoda dziewczyna „obgryzała kość od świni”. Jej krew z podłogi zmywały zakonnice, które także kękały przy kości „zanim ją wyrzuciły”, a wcześniej przegnały dziewczynkę z jadalni. Na pewno ta sytuacja miała konotacje zarówno religijne i psychoanalityczne. Kość zastępowała krzyż, gdyż kękało się przed

krzyżem, a nie przed kością, a dziewczynka obgryzając kość jak pies mogła spożywać ciało Jezusa Chrystusa. Jednak ta prosta religijna sytuacja komunii została tak przetworzona, że wzniosłość ceremonii przemieniona została w prostactwo i ohydę. Wiersz był symboliczny i można go odczytywać albo jako parodię sytuacji religijnej, albo porównanie komunii do sytuacji w jadalni, gdzie spożywało się posiłki, a wiadomo, że Freud twierdził, że kościelna komunika to pozostałość po kanibalizmie z dawnych, archaicznych wieków. Tak czy owak opisywany wiersz nie był do końca jasny, ale wydawał się niepokojący i w książce Kasprowa był jedynym tak mrocznym i niepokojącym wierszem.

W innym wierszu „***Zaginęta mi...” Kasper opisywał jak w notatniku, że zgubił tomik wierszy Charlesa Reznikoffa uznanego poety amerykańskiego ze szkoły obiektywistów. Ważność tego tomiku w podręcznej bibliotece poety podkreślona została wspomnieniem o dedykacji tłumacza „na stronie tytułowej”. Poeta także pisał w wierszu, że druk w książce był drobny i czytał wiersze przez lupę. Wg niego poezja Reznikoffa charakteryzowała się ograniczeniem świata do szczegółu. Wiersz stawał się śladem czegoś co zostało zgubione. Wspomnienie zguby jak-

by kazano o niej pamiętać. Do tego w wierszu pojawiły się krytycznoliterackie stwierdzenia, które nie byłyby zapisane, gdyby poeta nie zgubił książki.

W wierszu „***Sferyczny zmrok...” Kasper porównał zapadanie zmroku, kiedy widać jasną przestrzeń pomiędzy ciemnością Ziemi i nieba do wąskiej przesmyki „pomiędzy wierszami/a światem” i zarówno ukazał podobieństwo pewnej sytuacji realistycznej do pewnej konstrukcji myślowej, ale także zasygnalizował, że w jego rozumieniu poezja nie była tożsama ze światem, czy rzeczywistością, ale te sfery wg niego były różne. Wiersz był dla niego raczej konstrukcją niż fotografią.

Poezja Jana Kasprowa wydawała się zupełnie współczesna. Jej styl był bliższy raczej poetykom, które w polskiej poezji pojawiły się w latach 90-tych niż w poprzednich dekadach znaną z tomików jego rówieśników. Zabrakło mi jednak większej dozy spraw osobistych w wierszach Kasprowa i potyczek ze światem. Po śmierci poety ukazała się przygotowana wcześniej do druku jego książka „Morderca dobrej zabawy” w „Bibliotece Arkadii”, ale jeszcze jej nie czytałem.

MATEUSZ WABIK

Jan Kasper, *Listy z własnego czasu*, Bydgoszcz 2021

W 2025 roku nakładem krakowskiego oddziału SPP ukazał się czwarty tomik poetycki nieznannej mi dotąd poetki Małgorzaty Felickiej pt. „Elegia kaszubska z Protagonistą i kilkoma drugoplanowymi postaciami”, która w tym samym roku wstąpiła w szeregi stowarzyszenia. Twórczyni mieszkała w Polsce i w Szkocji jak informowała notka na skrzydłku okładki tomiku. Także ukończyła studia elektroniczne i filozoficzne oraz zajmowała się przekładami z języków obcych – włoskiego, angielskiego i rosyjskiego na język polski.

Poezja Felickiej nosiła znamiona wpływu awangardy na zapis poprzez brak wielkich liter i znaków przestankowych. W jej wierszach przypominających notatki z chwil zadumy, w których lakoniczny opis świata zewnętrznego łączył się z refleksją egzystencjalną, istotną była przyroda. Jej obserwacja prowadziła do uogólnień, point, wniosków, albo stała się symbolem do określenia własnych uczuć. Niektóre jednak wiersze z „Elegii...” przypominały treścią haiku, gdyż ograniczały się treścią do notatki z rozmaitych obserwacji przyrodniczych i meteorologicznych, choć formą nie wpisywały się w japońską tradycję. Także poetka w swoich wierszach gdzieś tam wspominała swój dom i jego poprzednich lokatorów, drobne zdarzenia z przeszłości, opisywała sprzęty

ŚWIAT POZA SŁOWAMI

domowe, które wywoływały skojarzenia lub przywoływały wspomnienia jak „dębowe krzesło” z wiersza pt. „krzesło”, które poetka opisywała jako „stolarską robotę z sercem”. Owo krzesło zanim zostało schowane do szopy stało „przy rozwidleniu polnych dróg” i przynosiło ukojenie po wędrówce.

W dłuższych, nielicznych wierszach można było zauważyć kontynuację słupkowego stylu różewiczowskiego, czyli dopisywania kolejnych krótkich wersów.

Jednym z bardziej zauważalnych podczas lektury „Elegii kaszubskiej” stosowanych przez poetkę środków artystycznych były porównania i niekiedy udawało się jej stworzyć nadzwyczaj udane jak w wierszu „żurawie”, w którym niebo rozdzierało się „jak łach”, czy w wierszu „marzenie”, gdzie ktoś przyjmował zniewagi „jak krem pod oczy”. Czasem nie wydawały się zbyt ciekawe, albo było ich za dużo jak w nieco zbyt miśternie utworzonej przenośni w wierszu pt. „szczęście”, w którym ktoś niedookreślony „żył jak sarna” między „wodopojem pięknym jak ruczaj”, a „legowiskiem dumnym jak pałac”. Ufff.

Zaletą poezji Felickiej na pewno było to, że nie była ona przegadana i wydawała się zadbana pod względem formalnym. Jednak wiele niedomówień, śladowe wpisywanie w wiersze swoich doświadczeń, czy opisów sytuacji, w których brali udział inni ludzie zaobserwowani w okolicach, czy wywoływani z pamięci, a także to, że poetka nie przepadała za zgrzytami emocjonalnymi, klimatem tajemnicy, snu, czy ścierania się własnego ja ze światem wydawała się napisana niekiedy zbyt pięknym językiem na modłę poetów z Orientacji Poetyckiej „Hybrydy” i zbyt tonęta w formalizmie. I po przeczytaniu wierszy zapamiętało się tomik Felickiej bardziej za elegancki styl niż za treść. A jednak wiersze powinny nawet wychodzić poza elegancję i poruszać tematykę. Raczej lektura książki Felickiej przypominała przeglądanie albumu ze zdjęciami, niż wciągająca treścią, tematyką albo odkrywczością.

MATEUSZ WABIK

Małgorzata Felicka, Elegia kaszubska z Protagonistą i kilkoma drugoplanowymi postaciami, Kraków 2025

W lipcu 2026 roku w ramach „Biblioteki Toposu” ukazał się czwarty tomik wierszy poety i doktora nauk humanistycznych Bogdana Nowickiego pt. „Agrafony”, którego kojarzyłem dotąd z prozy poetyckiej pt. „Konduktor wagonu sypialnego” wydanej w 2018 roku przez krakowską Miniaturę. Dostałem – jak jeszcze żył ostatni właściciel tego wydawnictwa Mieczysław Mączka – ową książkę do recenzji. Napisałem ją, ale nigdzie się nie ona nie ukazała, gdyż bardziej znanem się na poezji niż prozie i chyba nie uniósłem tematu.

Wspominanie na ostatniej stronie okładki tomiku, że się było poetą i zarazem doktorem nauk humanistycznych mogło wielu czytelników – jak mnie – wprowadzić w zakłopotanie. Gdyż byłem tylko magistrem i znając wielu doktorów nauk humanistycznych nie uważałem, że samo otrzymanie tak szanowanego stopnia naukowego mogło spowodować to, że wiersze były lepsze niż gdyby je pisał magister lub ktoś, kto skończył swoją edukację na maturze. Ale także nikogo nie chciałem urazić wytykając mu podbijanie własnej wartości stopniem naukowym. Moje rozterki jednak były uzasadnione. Pewien znany mi doktor nauk humanistycznych, który doktoryzował się za granicą, gdyż polskie uczelnie wydawały mu się zbyt słabe by mogły poznać się na jego intelekcie pokazywał mi kiedyś swoje wiersze – były one przepisaniem po swoim wierszy Rilkego z użyciem motywów z Celana. Natomiast inny, znany mi doktor nauk humanistycznych, który pochodził z wschodniej granicy przez kilka lat wpadał na różne spotkania poetyckie w Krakowie i czytał za każdym razem inne zestawy wierszy pisane w rozmaitych stylach, które zbierał do drugiego tomiku. Na szczęście dla krakowskich słuchaczy ten drugi doktor wyniósł się chyba z naszego kraju po agresji czytelników Puszkina na czytelników Szewczenki. Jego problemem nie było pisanie, bo pisanie mu szło, tylko co lepiej byłoby dać do drugiego tomiku. Do tego uważał, że ZSRR był najcudowniejszym ze światów w przeciwieństwie do Polski, która

POEZJA DOKTORSKA

wraz z wejściem do Unii Europejskiej zarażała się wszelaką zgnilizną moralną.

Wiersze Bogdana Nowickiego w ostatniej książce niekiedy wydawały się bardzo przetładowane różnego rodzaju motywami z kultury, geografii i historii. Im było mniej takich motywów na przestrzeni jednego wiersza, lepiej się go rozumiało i wydawał się czytelniejszy. Rozumiem, że dla poety będącego doktorem nauk humanistycznych była to codzienność – prowincjonalna Afryka, „Księga Rodzaju”, brontozaury, argonauci, nimfy, serafini, anachoreci, Hesperyd, poezja Tranströmera, dziny, a jak nie to nawiązywanie do tatwego do rozpoznania stylu prozy Brunona Schulza. A te nawiązania do stylu „Sklepów cynamonowych” w polskiej poezji zdarzyły się w poezji młodszego od Nowickiego pokolenia już lata temu, np. w wierszach Piotra Tomczaka i kiedyś Romana Honeta, czy mimochodem w poezji nieżyjącego już Juliusza Gabryela, który był fanem poezji Honeta. Nowicki w swojej poezji często oprócz opisu, stosował figurę retoryczną zwaną – wyliczeniem, a jego wiersze były rozpisywane często wg awangardowych prawideł i opierały się na nieco zmodyfikowanej jukstapozycji.

Jednak trudno było zlekceważyć książkę Nowickiego, ponieważ gdy tych motywów kulturowych, geograficznych i historycznych było mniej, albo poeta nie korzystał z wyświechtanych już nieco nawiązań do Schulza to wiersze wydawały się o wiele lepsze.

Z takich udanych wierszy bardziej osobistych można wspomnieć „Prababkę” w „Agrafonach”, który był poetyckim zapiskiem wspomnienia o nieżyjącej od daw-

na krewnej, która „latami słuchała pieśni Mahlera” i zajmowała się ogrodem.

Do ciekawszych wierszy z tomiku Nowickiego można zaliczyć także wierszowany zapis obserwacji ludzi przy grillu na kempingu za miastem pt. „Grill”. Poetę denerwowało, że wyjazd za miasto polegał na picu piwa i jedzeniu albo opalaniu się, a nie np. na podziwianiu przyrody, rozmowie czy spacerze. Sam kilka razy dziwiłem się atmosferze grilla, która jakby skupiała się wokół radości smażenia i jedzenia i nie miała nic z atmosfery podczas ogniska z gałęzi. Wtedy oprócz smażenia i jedzenia człowiek kilka godzin grzał się, chodził do lasu po gałęzie, wykazywał się zręcznością podczas strugania patyka zakończonych ostrymi rogami i obserwował ogień. Grill przegrywał z ogniskiem. Ale powinniśmy się cieszyć, że żyliśmy w czasach, w których jeszcze nie sprzedawali w marketach plastikowych grillów z plastikowym ogniem wraz ze smażonym mięsem w torbie termoizolacyjnej, tak, żeby było naprawdę bezpiecznie.

Niekiedy w poezji Nowickiego słychać było także echa specyficznego katastrofizmu, co nieco drażniło, gdyż był to stary topos starożytny mówienie o współczesnych czasach jak czasach upadłych w porównaniu do jakichś wspaniałych czasów minionych (kiedy np. kanibalizm i ofiary z ludzi były na porządku dziennym).

MATEUSZ WABIK

Bogdan Nowicki, Agrafony, Gdynia-Kraków 2026

Mariusz Zimoński

„POALKOHOLE”

Bim-bam – to było naprawdę niedo-
rzeczne z jej strony. Wyprowadziła się
z wielkim hukiem, zostawiając mnie same-
go, z rachunkami, bez mebli. Prawdziwa
muzyczka-chimeryczka i jej żalosna kompo-
zycja. Niby nie wiedziała, że mam dziecko
z inną – co za bzdura! Od początku była
świadoma sytuacji. Nie ukrywałem przed
nią mojej przeszłości, choć szczerze, było
to dla mnie bardzo kłopotliwe tabu. Ale
cóż... „Nie wiedziała”. Przy okazji wypro-
wadzki zostawiła mi jeden wielki twórczy.
Ruszyłem w miasto odreagować; wyjątkowo
tego potrzebowałem. Wieczór płynął powoli
na granicy myśleniaśnienia nieprzewidywal-
nym rytmem alkoholowej fazy. Lubiłem ten
stan, był zawsze wyzwalający i odrywający
mnie od życiowego syfu. Bim-bam, bim-bam
– godzina poalkoholi miała wybić, a ciąg
wydarzeń miał zaskoczyć, ale dajmy sobie
czas.

Miasto przytuliło mnie jak zawsze i roz-
strzygałem na spowolnionym biegu, czy
mam chęć na kolejnego szota jegermaj-
stra, czy raczej na piwo. Skłaniałem się ku
jegerowi, bo wcześniej też go piłem, ale
po kilku godzinach pływania nie byłem już
pewien, czego właściwie chcę. Czegoż za-
wsze by się chciało, ale to niekoniecznie
musiało być w szkłe. Znajomi już dawno się
zawinęli, może to ja się specjalnie zagubiłem
– nie pamiętam. Zamulali, miałem dość ich
towarzystwa, mądrości życiowych, o mnie,
o niej, choć nie musieli przecież wszystkiego
wiedzieć. Jest moment kiedy czujesz, że war-
to odczepić wagonik, aby ruszyć w osobną
podróż, nawet donikąd. Tam też musi być
jakaś stacja-inspiracja, a może tylko sen,
może z kimś. **Przypadkowy** klub przy-
ciągnął mnie głośnymi rytmami grającej na
żywo kapeli. Lubiłem funky, instynktownie
wbitem się rozejrzeć, choć nie wiem, czy
byłem w stanie teraz z kimś rozmawiać lub
tańczyć. Może chciałem tylko tak stać w za-
wieszeniu i obserwować imprezę, zwłaszcza
że funky mocno mi się z nią kojarzył. Długi
bar, kilka osób przy nim, tańczący tłumek
w tle, głównie kobiety wijące się do muzy-
ki i światła. Miks bodźców dosiadał mnie,
przywołując nieoczekiwane obrazy różnych
wspomnień: dobrych, złych, kolorowych jak
te światła wokół rozświetzonego parkietu.
Co oni w sumie mogą wiedzieć, o mnie,
o niej i czemu to ciągle ja jestem ten zły,
a chimeryczka święta? Gdybym jeszcze ją
zdradził, to rozumiem, ale przesadziła w re-
akcji. Zresztą pojęcie zdrady było u nas dość
luźne. Wspólne igraszki z inną parą nie były
problemem, ale wystanie komuś intymnego
maila po fakcie, już mogło wywołać nie-
kontrolowane emocje.

Jeger czy piwo? Nie miałem ciśnienia.
Mogłem tak dalej stać, mogłem zabrać
kurtkę i wyjść. Chwila i jesteście gdzieś, na in-
nej wyspie, bez wspominek-przeszkadzajek.
Spojrzałem na obcą mi dziewczynę, która
stała w bocznej części baru. Widziałem
jej postać tylko od tyłu. Wydawało mi się,
że czekała na kogoś z obsługi; obok znaj-
dowało się wyjście zza baru. Może któryś
z barmanów był jej znajomym i chciała mu
rzucić miłe słówko na osobności? Może.
Widziałem jej spięte długie ciemne wło-

sy, opadające na jasną bluzkę i zgrabną
talie; obcisłe jeansy robiły swoje. Z chę-
cią narysowałbym ją tak, jak stała w tym
pięknym napięciu pośladków; światło, kreski
– odzywała się choroba zawodowa, ale
złuzowałem. Alkohol nigdy nie służył mo-
jej twórczości i tego starałem się trzymać.
Jednakże zaintrygował mnie sam fakt, że
cierpliwie na coś czekała tu z boku, w tej
mniej oświetlonej części baru. To, co jeszcze
niedawno kiefowało się, szukało teraz ujęcia.
Ładna? Przystępna? Ciekawe czy z kimś
jest? Uznałem, że pewnie z nikim, bo żadna
osoba jej nie zagajała przez dłuższą chwilę,
a trochę ludzi nas przecież mijają. Ośrodki
zatopionego umysłu szukały już wszelkich
możliwych połączeń, aby zrozumieć: na
co tak czekała? Niby proste pytanie, ale
pojawia się tryb alkodedukcji, niezależnie
od tego, czy jeger, czy piwo i nie odpusz-
cza. Za chwilę byłem na bank przekonany,
że dziewczyna nie jest atrakcyjna z twarzy,
nie ma szczęścia do facetów i barman
którego leciała, też miał ją gdzieś. Zrobiło
mi się trochę przykro z tego powodu, bo
poczułem klimat odrzucenia. A gdyby tak
sprowokować dla niej szczęście? Ostatnio
mnie opuściło – fakt, ale to nie miało zna-
czenia. Każdemu należy się przecież jak psu
buda, a dziewczyna stała na bocznicę baru,
brzydka i samiutka, w tym niskim kluczu świa-
tła i chyba naprawdę go potrzebowała
w miłości. Mój „kumpel” mózg szukał już
rozwiązań w tej sprawie, ale miałem pew-
ną wątpliwość, czy warto się poświęcać,
aby dawać coś komuś bezinteresownie
na szczęście, kiedy to wszystko jest z kręgu
dwóch pośladków i zawsze kończy się tak
samo? Nawet mignęły mi przez chwilę kreski,
kadry z pośladkami i dymki na tekst, taka
krótka scenka o miłości i szczęściu zintegro-
wanych potówek, które powoli odrywają
się od siebie, tworząc pogłębiony brzydko
pachnący rów. Opuściłem fantazję, bo nie
chciałem wracać myślami do chimeryczki,
której reakcja i nagła wyprowadzka mocno
mną wstrząsnęły; bardziej niż mi się wyda-
wało. Przecież wiedziała o moim synu, więc
dlaczego tak zareagowała? O co tu cho-
dziło? Z drugiej strony człowiek ma chyba
prawo do swoich tajemnic, więc pragnąłem
tylko, aby spadała na drzewo i nigdy więcej
już do mnie nie wracała.

Godzina poalkoholi właśnie zaczęła
wybijać: bim-bam, bim-bam... W mojej
głowie zakiełkowała myśl, że nie ma co
kombinować i może warto sprezentować
dziewczynie zwykłego kuksańca w tyłek na
szczęście, jakiego daje przy różnych miłych
okazjach. Oczywiście to nie miał być za-
raz chamski kop damskiego boksera, tylko
taki leciutki, naprawdę nieszkodliwy ciup,
ciupek z kolanka. Byłem w pierwszej chwili
dumny ze swojego pomysłu, bo fajnie jest
zagrać na nosie temu światu, kiedy rzuca
nam kłody pod nogi, choć to zagranie
byłoby oczywiście na tytku biednej, brzydkiej
dziewczyny. Zreflektowałem się jednak
i przetarłem dłonią twarz... Słyszysz sam
siebie? Chcesz kopać obcą ci kobietę?
Przecież to mógłby być faktycznie wyrok
na instytucji samokontroli w mojej głowie.
Pomyślałem, że lepiej będzie, jak opuszcze
już lokal, bo źle na mnie działała ta muzyka

i biodra tej dziewczyny – choć były faktycz-
nie dość ponętne. Chimeryczka potrafiła
mi czasem mocno utrudniać życie, grając
złośliwie na saksofonie, szczególnie wtedy,
kiedy miałem dedlajn na skończenie grafik
lub storyboardów – niby nie poświęcałem
jej tyle uwagi, ile by chciała – ale muszę
przyznać, że swoim magicznym sposobem,
potrafiła przyhamować moje poalkohole,
co czasem ratowało mnie przed kłopotami.
Teraz sam musiałem zaważczyć z własną
słabością. Czuję, że gdzieś nade mną
unoszą się jeźdźcy, a nawet jegermajstry
apokalipsy i dopingują mnie jak szaleni
w kwestii kuksańca, na którym mocno się
zafiksowałem jak na czymś niedorzecznym in-
spirującym. „Kumpel” w mojej głowie, który
to wymyślił, też mnie kusił jak wcielony dia-
beł i co miałem robić? Chciałem natych-
miast ewakuować się z tej miejscówki, bez
zbytniego rozstrzygania, lecz roztańczona
sala przyciągnęła mój wzrok. Jedna z ko-
biet wyróżniała się zdecydowanie swoim
tańcem, nawet podobnie do chimeryczki
balansowała ciałem, unosząc swoje ręce
ponad głowę. Może złudzenie? Skrzywiłem
się na twarzy, bo niepotrzebne mi były ko-
lejne skojarzenia w tak trudnym momencie.
Odeszłaś, więc wal się, nawet na zwykłego
kuksańca nie zasłużyłaś, a kuksańca szczę-
ścia to już zupełnie. Odwróciłem wzrok na
bocznice baru i uśmiechnąłem się dziko. Po
chwili i bez krztu wahania podszedłem do
dziewczyny i pacnąłem ją lekko kolankiem
w pośladek. Kumpel” udawał że drzemie,
a jegermajstry apokalipsy, unosząc się nad
moją głową, wyli z radości jak nieokresani
– widziałem ten komiks w wyobraźni.

Jak przystawowym filozofom, tak rów-
nież dziewczynie mogły się do tej pory nie
śnić pewne rzeczy na niebie i ziemi... Od-
wróciła się jak rażona i spojrzała na mnie
tak zdumionym wzrokiem, że z pewnością
filozofowie nie pogardziliby taką strawą,
drapiąc się po głowie lub głaszcząc siwe
brody. Nie kłamiąc, to sam byłem nieźle
skołowany. Dziewczyna o hiszpańskim typie
urody była wyjątkowo piękna jak klasyczna
żurnalowa miss. Czemu uznałem w ciem-
no, że jest brzydka? No cóż... Pamiętam, że
w pierwszym odruchu miałem nawet chęć
narysowania jej portretu z tym doskonałym
wyrazem oniemienia na pięknym, symetrycz-
nym licu. Pasowałoby to do jakiegoś nie-
złego story, łącznie z wydrapaniem oczu
upadłym kochankowi lub serwowaniem
mu trucizny w następnych kadrach. Obrys
fantazji rozwiły się w mig, bo miss przyglą-
dała mi się gorączkowo, nie łapiąc, co się
właściwie tu wyprawia? A ja wiedziałem?
Sam przecież do końca nie ogarniałem sy-
tuacji. Ze smutnym wyrazem podbitej twarzy
wzruszyłem tylko niewinnie ramionami – tro-
chę teatru w tym było. Za dużo alko, aby
cokolwiek tłumaczyć. MISS wciąż świdro-
wała bacznie moją facjatę w zagadkowym
milczeniu, lecz nie chciałem dywagować,
co robi. Przecież mogła z miejsca dać mi
w pysk. Ominęła mnie tylko i skierowała się
ku barmanowi do centralnej części baru.
Od razu wychylił się ku niej, pomijając cze-
kającą klientelę; chyba się jednak znali.
Światła migotały, a ona poruszała ustami

przy jego uchu, jakby śpiewając do muzyki. Mogła się poskarżyć, mogła zamówić drinka, mogłem też zaraz być obity przez ochronę. Alko robi z człowieka różne rzeczy, bramkarze też – pamiętam różne akcje. Nie chciałem czekać na miażdżący efekt. Bez zastanowienia chwyciłem kurtkę i szybko wybyłem z lokalu.

Oddalałem się już chodnikiem mijając wesoły tłumek. Pojedyncze płatki śniegu grały mi na nosie, a „kumpel” śmiał się po cichu, że znów mnie wystawił. Cóż... Może przegiąłem, ale nie chciało mi się kopać z analizą – po prostu impreza, a ona nie musiała tam tak stać. Wracać w tamto miejsce i tak nie planowałem. Nie chciałem tylko, aby ktoś mnie śledził i czał się gdzieś po bramach. Wiadomo, morda nie szklanka, ale już nie tej nocy... Odbiłem. Uliczne światła prowadziły mnie teraz krętymi wąskimi uliczkami jak na autopilocie. Sporadycznie mijałem zataczające się ludzkie zgłiszczą i wyrzygane na ośnieżony bruk kebaby, ale ten syf mało mnie obchodził. Wciąż pamiętałem zdziwienie tej miss – epickie wręcz, i te oczy. Czy żałowałem? A gdyby była brzydka, to czy żałowałbym, tak jak mógłbym żałować, bo okazała się ładna, a jej nie zagadałem? Nie było sensu tego drażnić; szczęście rozchlapane jak mleko. Zresztą o czym było gadać z taką miss? O paznokciach? Było minęto, choć wiadomo, że kopanie obcej dziuni, nie mieściło się w sensownych normach, chyba, że jej się spodobało... Kto wpadł na taki pomysł? Ja? Nie, chyba ty? No chyba raczej ty! E tam... Łaż, ptyń, odpłyń do domu, przestań mrozić myśli... Do pustego mieszkania jednak ciężko było wracać. Brak mebli robił

różnicę, ale przynajmniej biurka do pracy mi nie zabrała... To może wróć i zabierz już wszystko „taskawico”!

Na chłodzie alkohol szybko mi schodził. „Kumpel” działał jako tako i przewietrzył swoje sprawy, wysyłając mi sygnały do współpracy. Nie chciałem za bardzo wiedzieć, co sobie tam wietrzy, chciałem tylko gdzieś zniknąć, rozptynąć się, dezaktywować. Do domu daleko nie miałem, ale znów odbiłem; noc nie powinna się jeszcze skończyć. Dotarłem pod drzwi słabo oświetlonej knajpy, stałej mety dla fajnych i niedopitych. Reprezentowałem wszystkie opcje, więc byłem swojak. Otrzeptałem kurtkę ze śniegu i od razu wchłonął mnie ten sączący się jazz do kotleta. Młody szatniarz, wpatrujący się w smartfona, wydał mi numerka na kurtkę, w zamian za położoną na spodeczku monetę. W głównej sali nie było aż tak wiele osób. Moje kroki od razu skierowały się ku jednej stronie małego baru. Stali przesiadywacze w milczeniu sączyli swoje pienne nektary, gapiąc się hipnotycznie w ekran plazmy umieszczonej pod sufitem. Nie cierpiałem koszykówki, co innego lekkoatletyka, a rzut młotem szczególnie, gdzie liczy się przede wszystkim siła i precyzja pojedynczego sportowca; ale trudno – leciało, co leciało. Usiadłem pomiędzy jednostkami zaprawionymi w życiowych bojach tak, jakbym chciał się schować przed tym, co było i co mogło się jeszcze wydarzyć. Przywitałem się z barmanem – starej daty czarodziejem drinków, który ocknął się z le-targu. Miał na sobie kapelusz z piórkiem oraz siwą brodę zaplecioną w dwa finezyjne warkocyki. Kiwnął tylko głową i spojrzał na mnie milczącym wyrozumiałym wyczekiwa-

niem. Miałem wrażenie, że mógłby stać się bohaterem jednego z komiksów, nad którym pracowałem. Szkoda, że przy okazji nie palił, bo mogłoby to podkreślić plastyczny klimat miejsca, ale może i dobrze, że jest zakaz i nie było tego całego smrodu. Na razie zaliczałem barmański świecznik, a nie lubiłem ciśnienia, że coś muszę. Chimeryczka stała mnie o coś cisnęła, rzucając we mnie czasem czym popadnie... Ale trzeba było dać szansę czarodziejowi. Chyba się w końcu dostroiłem z „kumpel” w głowie, bo zapytałem przewrotnie, czy jest jegermajster bezalkoholowy? Barman zmarszczył brwi i uśmiechnął się cwaniacko kąciłem ust, jakby już wszystko wiedział. Bim-bam i postawił przede mną szklankę, do której niespodziewanie nalał zimnej coli z lodówki z gestem na koszt firmy. Dorzucił jeszcze szczypcami cytrynki dla efektu. Niby ironia i szoł, ale od razu opróżniłem zawartość ciekawością smaku. Całkiem niegłupi był ten barmański podkohl, zrodzony z przewrotnej troski o drugiego człowieka. Jakby nie patrzeć, mój kuksaniec też był takiej koincydencji, więc tym bardziej nie było sensu drażnić tamtej akcji z miss, a dobra cola nigdy nie jest zła. Poczułem się ciut żywiej. Kicikiem doceniłem gest, a barman wskazał poważnie na butelkę jegermajstra stojącego za nim, ale nie chciałem wywoływać już żadnych jeźdźców ani kuksańców. Piwo z kija wystarczyło na finisz. Nalał, zapłaciłem. Wybitne nie było, choć cudów nie oczekiwałem. Tu bycie fajnym i niedopitym wymagało pewnej pokory, lecz nie-specjalnie chciałem nasiąkać koszykówką z plazmy. Zaraz mogłyby się zwalić na mnie jakieś przeszkadzajki związane z chimeryczką, które tarmosiłyby mną przy dłuższym gapieniu się w ekran. Zresztą irytował mnie fakt, że mnie opuściła, rzucając bezpodstawne oskarżenia i nawet nie chciała ze mną na spokojnie pogadać. Kłąłem w ducha, bo nagle zniszczyła mi życie i co miałem z tym niby robić? Chlać? Nawet ślub planowaliśmy, a od początku wiedziałam, że mam syna z przypadkową kobietą i stało się to na długo przed naszym poznaniem. Jedna noc kilka lat temu po zakrapianej imprezie i nie chcesz mieć z tym nic wspólnego oprócz alimentów. Nawet nie wiem, jak wygląda chłopak. Nie mam z nim kontaktu, ani z jego matką i nigdy nie czułem takiej potrzeby... Mówiłem jej przecież... Było minęto, więc wal się chimeryczko...

Nie chciałem kończyć przy barze, wkręcając się w gównianą przeszłość. Rozejrzałem się i to był bardzo dobry ruch. Od kolejnych wsadów za dwa punkty, uratował mnie ujmujący widok z odbicia w lustrze za barem; aż mnie pobudziło. Siedziała przy stoliku, poprawiając sobie romantycznie włosy. Szatynka w niebieskim sweterku z rozpuszczonymi włosami emanowała naturalnością, ale też zagadkową niepewnością siebie. Mogła być w moim wieku, ale nawet mój „kumpel”... Intrygujące. Co? Takie pstryk, jak ty to robisz bracie? Nijak. A gdzie twoje meble? Nigdzie, odczep się ode mnie i ptyń z widokiem...

Uccziwie mówiąc, byłem trochę zmułony, ale nie aż tak bardzo, aby nie mieć chęci jej zaczepić. Przeniostem się na dogodniejsze miejsce do obserwacji. Niestety była z wielkim typem, który z twarzy wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z kicia. Mógł być z dziesięć lub piętnaście lat starszy od niej, ale jego postura skutecznie hamowała moje zapędy – to nie byłby miły kuksaniec z jego strony. Mogłem tylko spoglądać na dziwny klimat między nimi. Siedzieli obok siebie w milczeniu bez jakiegokolwiek interakcji, każde w swojej bajce. Może byli po



PROZA → kłótni, może po kiepskim seksie. On patrzył beznamiętnie w przestrzeń, chroniąc ręką pokal z piwem. Ona chwilami subtelnie poruszała ramionami do lecącej muzyki, czasem kierując spojrzenie na stojącą przed nią lampkę czerwonego wina. Widać było, że ją nosi, ale lojalnie przy nim tkwiła. Miałem wrażenie, że mogłaby teraz fruwać dookoła jego głowy, ale wątpię, czy by go to specjalnie ruszyło. Pozory oczywiście mogły mylić, równie dobrze jak zakapiorem mógł być poeta, bardem. W ciemnej koszuli z chustą owiniętą wokół szyi pił właśnie za upadłe dusze, tworząc w głowie poemat życia. Muza czekała cierpliwie, aż poeta wyrzyga z siebie jakieś przejmujące wersy; gorzej jeśli śledzia z marchewką pod stół. Aż żal było patrzeć, marnowało się dobro, które potrzebowało zainteresowania, uwagi i innych mecyi. Ruszyłem do toalety. Przechodząc obok nich, intensywnie się w nią wpatrywałem, wywołując ją, ale bez skutecznosci. Wyglądali dość kontrastowo, i znów tworzyły mi się kreski, kadry: nagle wstają, wyciągają spluwy, krzycząc z setką przekleństw, że „motyla noga” to napad. Wszyscy rzucają się na podłogę oprócz charyzmatycznego barmana, który trzyma swego asa pod białem i zaczyna się gra, kto kogo. Wołałbym jednak z nią gadać, niż wymyślać sceny. Wróciłem. Ona znużona, on wciąż gapił się w przestrzeń... Co za typ? Myślisz, że ją to kręci? Co? Że taki obojętny. Może. A potem akcja i ogień w łóżku. Ale tylko z jej strony, bo on to raczej kłoda. He, he...

W końcu wstała i uwolniła się z stolika. O dziwno posąg ożywił się na moment i ją przepuścił, biorąc przy okazji tyk piwa. Z przyjemnością obserwowałem jej peregrynację pod bar i to, jak ustawia się w kolejce za nowo przybyłymi klientami. Szczupła, średniego wzrostu, w ciemnych kozakach, które wydłużały jej nogi, prezentowała się jeszcze lepiej przy tym barowym świetle i dźwiękach jazzu. Mój model, trafiony zatopiony i jedna szansa na milion... Spróbuj. Ale jak? Ty już wiesz... Spojrzałem na tamtą salę, typ dalej stygł; mogło się udać. Puls dziwnie mi podskoczył, adrenalina również, jakbym łamał kod do cudzego sejfu. Sekundy. Nagle barman wyrósł obok mnie szykując drinka. Instynktownie poprosiłem go o coś do pisanja, a on zaraz położył przede mną zieloną karteczkę i długopis... Szybko, szybko, bo ci ucieknie... Jest... Wysmarowałem ładnym piśmem swój „poemat”. Zebrałem w sobie resztki witalności i po chwili stanąłem obok niej niby klient – na szczęście bez latających jęgrów. Jeszcze chwila na oddech i przed jej oczami, ukazała się zielona karteczka, którą trzymałem w dłoni, na której było widoczne moje imię oraz numer telefonu. Chyba przywołałem ją z dalekiej podróży, bo zaskoczona zmarszczyła wąskie brwi. Spojrzała na mnie, odchylając lekko głowę i podnosząc ramię jak do obrony przed cudzym katarzem lub kuksańcem. Konkretnie i z naturalną werwą wyrzuciłem z siebie swoje imię, czym się zajmuję i szczerze, że mnie zaintrygowała, dlatego chciałem się z nią spotkać, aby dowiedzieć się, kim jest oraz aby opowiedzieć jej kilka fajnych historii; to jest mój numer, gdyby się zdecydowała. Opuściła zaraz ramię, ale zareagowała ciut nerwowo, wzbraniając się ruchami dłoni. Odpowiedziała, że nie, nie bardzo, nie chce, po czym odwróciła głowę, sztywno wgapiając się w bar. Za dużo było tego „nie, nie, nie” w tym uroczym rozdźwięku. Oczywiście pozory mogły mylić i w rzeczywistości świetnie się bawiła ze swoim przyjacielem. Niestety ja jak tani podrywacz, natręć i nie wiadomo co jeszcze, zakłócam

jej idyllę oraz widoki na genialny poemat o śledziach z marchewką zatopionych w occie. Mogła też poważnie bać się reakcji typu; chyba nas nie widział. Mleko i tak się rozlało, więc z rozpędu zapytałem o imię. Ku mojej nieoczekiwanej satysfakcji podzieliła się sekretem. Krótkie i ładne, trudno byłoby zapomnieć, choć tyle miałem z tej akcji. Schowałem karteczkę i ciut zawiedziony powróciłem do bazy. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie szepnie czegoś typowi. Kobiety lubią czasem pastwić się nad facetami dla wątpliwej i próżnej rozrywki. Cóż, morda nie szklanka, ale ta muza wyglądała bardziej inteligentnie niż pierwsze lepsze mieszało w kozakach; mogłem mieć luz. Jeszcze na nią spojrzałem, ale nie chciałem się już nakręcać, choć bardzo kuśilo. Wypiłem pół piwa i odruchowo wsadziłem rękę do kieszeni, aby sprawdzić, czy mam jeszcze wolną monetę. Wyczułem karteczkę miotającą się pomiędzy banknotem i bilonem. Lekko ją zgnoiłem, aby zakończyć temat. Nie chciałem się jej tutaj pozbywać, aby nikt przypadkowy nie bawił się później moim namiarem. Muza tymczasem wróciła do typu z zakupioną butelką wody. Skupiłem się więc na oglądaniu beznadziejnej koszykówki, co mogło mi skutecznie służyć jako zimny prysznic na moje namietność. Pewnie była to jakaś idea na tamtą chwilę. Zamykasz się na przykład w odizolowanej kapsule, gdzie jest tylko fotel i wielki ekran plazmy dookoła głowy. Puszczasz sobie na ekranie jakiegoś odehciewacza i wszelkie twoje pokusy ulatniają się z ciebie jak para wodna, na ile czasu chcesz. Świat ci już nie zagraża, ani jegry, ani wszelkie poalkohole, które tamią rzeczywistość, a czasem zdrowie. Na bank wszelkie związki byłyby już cacy, a żaden temat tabu nie budziłby już zbyt wielu emocji. Pewnie mógłbym rozrysować w głowie taką futurystyczną historyjkę, jednak czułem coraz większe zmęczenie. Zresztą były już takie opowiadki, ale czy tego rodzaju sztuka potrafi w nas coś zmienić, mam wątpliwość. Znow wróciły mi wspomnienia, niepotrzebne... Weź, weź wszystko... Weź te puste szkło i daj mi następne piwo...

Zerkąłem jeszcze na muzę, ale po stosunkowo krótkim czasie i tak się już zbierałem do wyjścia ze swoim typem. Przeszli obok baru, udając się w kierunku szatni. Miałem głupią nadzieję, że spojrzę na mnie na koniec i to będzie jakaś fajna pointa. Niestety zawiodłem się w tej mierze. Była to pewnie jakaś forma poalkoholu, a nawet przedalkoholu, bo jegermajstra potrzebowałem natychmiast. Barman uśmiechnął się wyrozumiale i nalał kieliszek. Szybki strzał popiłem piwem – okropne – ale smak nie miał już znaczenia. Rozlała się we mnie fala nieokreślonego smutku; nie pamiętam, kiedy coś takiego przeżywałem. Poczuję się dziwnie i wyjątkowo nieswojo. Zawodnik na ekranie leciał wysoko na kosz, uderzając kolanem w przeciwników... Patrz, jakie tam są kuksańce. Widzę, no i co? Za grubą forszę, a twoj? Mój? Do czego miał służyć? Nie miałem odpowiedzi. „Kumpel”, który wtedy mnie podjudzał i nie powstrzymał, teraz – jego stały numer – zgrywał mądrale... Debil, dżban, kretyń. Czy to na pewno byłam ja? Tak, ty idioto... Być może w innych kwestiach powinienem również postawić sobie takie pytanie, ale nie chciałem tego drążyć. Musiałbym to potem rysować jak paranoik, aby w miarę funkcjonować stabilnie. Jednakże było mi teraz szczerze głupio. Mogłem przecież tej miss resztę wieczoru zepsuć, a ona mogła odreagować, łamiąc komuś życie. Zamknąłem oczy, jakbym chciał się odciąć od wszystkiego, a może po prostu ogarniał

mnie sen... Bez sensu to wszystko...

Nagle poczułem stukanie palca w moje ramię. Obróciłem się i zdumiony otworzyłem zmęczone oczy. Muza stała przede mną w jasnej kurtce, w czerwonej czapce, owinięta grubym białym szalikiem. W promienistym uśmiechu z wyciągniętą dłonią domagała się energicznym ruchem palców mojej zielonej karteczki z numerem. Chciała, wiedziałem, że chciała, za dużo było tego „nie, nie, nie”, ale kto by się spodziewał, że wróci. Zrobiła to tak cwanie, aby typ się nie zorientował. Musiał być w toalecie lub zbyt długo walczył z poematem w szatni, lecz muza nie chciała czekać. Umarł król, niech żyje król! Włożyłem rękę do kieszeni i szybko wyłowilem pogniecioną karteczkę. Położyłem na jej dłoń, którą od razu zacisnęła. Miała to. Musnąłem jej ciepłą rękę, a ona popatrzyła mi głęboko oczy. Poczuję niezły prąd, fajny prąd, godny króla życia. Wysłała szybkim krokiem, a ja celebrowałem wzrokiem jej odwrót. Pierwszy raz zrobiło mi się milej dzisiejszego wieczoru. Teraz już na spokojnie dopiłem piwo, z przyjemnością oglądając koszykówkę. Zacząłem doceniać rzuty za trzy punkty i finezyjne wsady do kosza. Byłem fajny i dopiły, a ktoś to naprawdę nieźle rozrysował. Nawet chimeryczka dała mi już spokój.

Wróciłem do domu bez perturbacji. Obudziłem się w południe z odczuwalnym kacem. Kumpel" chyba się mścił, bo od razu wrzucił mi na tapetę twarz pięknej miss zionącej do mnie nienawistnym wzrokiem. Zatelepało mną na samą myśl o mojej wczorajszej aktywności, nawet przepraszając nie byłoby jak. Może kająć się na fejsie na grupie „Kuksaniec” by pomogło, ale wołałem być poważny w tym okrutnym dla mnie fizycznie i psychicznie momencie – oby nigdy więcej takich akcji. Udałem się do łazienki oddać moc i przemycić twarz zimną wodą. Wziąłem kilka głębszych łyków orzeźwienia spod kranu, ale nie chciałem spoglądać w lustro. Nie lubiłem swojego widoku w takich momentach, bo trudno mi było rozgryźć, co tam się kryje za tym spojrzeniem. Wróciłem do pustego salonu. Bez wersalki i innych mebli wyglądało to dość przynębiająco. Wszystkie moje ciuchy leżały na kupie na starym fotelu. Z gołych ścian, wystawały tylko kolce, a wiszące wcześniej obrazy i nasze wspólne zdjęcia zniknęły; nie zdziwiłbym się gdyby wylądowały na śmietniku. Zostały tylko moje książki i płyty, choć zauważyłem brak jednego albumu z malarstwem Caravaggia – smacznego! Nie miałem zamiaru już do niej wydzwaniać, tłumaczyć, ani prosić, bo to nie w moim stylu. I tak by to nic nie dało. Zresztą kiedyś wybaczyłem jej zdradę i inne słabości, choć łatwo z tym nie było, a teraz wielkie halo, bo niby nic nie wiedziała. Bzdura. Nie rozumiałem tej frustracji, a nawet agresji z jej strony. Przypominałem sobie moją scenkę z idealnie pasującymi do siebie pośladkami i bąkami jako dymki na tekst. Szkoda, że nie można by poczuć tego smrodu, to może byłoby bliższe prawdy... Nie świruj, a to pamiętasz? Co? Obraz nagle zmienił się w reminiscencje dotyku ciepłej dłoni muzy i jej głębokiego spojrzenia w moje oczy. Znow przeszył mnie prąd, cudowny powidok wczorajszej chwili. Kac od razu się schował, a mnie niosło ku wczorajszej przygodzie i palecie barw, którą nagle ujrzałem. Miałem chęć namalować jej portret w tej czerwonej czapce i białym szaliku. Uśmiechając się, wyciągała ku mnie swoje palce, domagając się zielonego szczęścia z moim numerem telefonu. Czułem, że to się stanie, że miss zadzwoni. Przecież z jakiegoś powodu wróciła do mnie i to w ta-

jemnicy przed nim – łechtano i to bardzo. Co z tego, że wielki typ? Miałem znajomą, która pewnego razu zakochała się w innym. Odeszła od męża, a on potem nękał ich przez pół roku w szale zazdrości; w końcu odpuścił. Pomyślałem bojowo, że też mógłbym wziąć takie coś na klatę i gdyby zaszła potrzeba, to walczyłbym z tym typem o męża z całych sił i to nawet przez cały rok. Adrenalina czasem musi być, a kobiety to lubią. Byłby w tym jakiś sens, w odróżnieniu od klimatu z chimeryczką, co mi ulubiony album Caravaggia skubnęła i potamała rzeczywistość. Teraz chodziłem w tą i z powrotem po pokoju, nie mogąc spokojnie ustać w miejscu. W wyobraźni pojawiały mi się kadry i sceny jak z animowanego clipu w stylu noir, w którym bohater bije się na ulicy o kobietę z większym od siebie czarnym charakterem. W krytycznym momencie bohater wyprowadza ostatecznie sił kluczowy cios, posyłając wielkiego gościa w kosmos i ukochana kobieta pada szczęśliwa w jego ramiona. Odjeżdżają...

Od razu nakręciłem się na maty remont; świeże kolory, oświetlenie i meble, aby przygotować gniazdko na nowe rozdanie. Nawet podskoczyłem dla efektu, jakbym miał rzucać do kosza za trzy punkty. Oczywiście „trafiłem” i byłem królem, a nawet cesarzem. Radość, radością, ale przypomniałem sobie, że warto sprawdzić, czy nic nie zgubiłem, bo z tym różnie bywało po imprezach. Telefon znalazłem obok materaca, portfel leżał grzecznie przy spodniach na podłodze. Podłączyłem fona do ładowania, a nuż miss napisze wiadomość i będzie cacy. Czuję, że to robi – kwestia czasu. Zadowolony zacząłem sprawdzać zawartość portfela. Wszystko było na swoim miejscu, ale coś mnie tknęło. Pomiędzy kartą i dowodem wychylał się skrawek zielonego papieru... Co?! Mina mi nagle zrzedła i nie dowierzając, wysunąłem powoli karteczkę z moim imieniem i numerem telefonu. Jakbym dostał nagle z całej siły piłkę do kosza w głowę, albo porządnego kopa w tyłek... Ja pier..lę, to co jej dałem? Ciężko było przypomnieć sobie szczegóły wczorajszego dnia. Doszedłem w końcu do wniosku, że to mógł być tylko paragon z marketu, który z lenistwa kiśiłem w kieszeni: naleśniki z serem, makrela w oleju, dwa piwa i cola. Ukryłem instynktownie twarz w dłoni – karma za kuksańca jak nic. Ciekawe co pomyślała? Cóż... Jedyne „kumpel” mógł teraz nabijać się z mojej naiwności i niefrasobliwości. Cała reszta, którą miałem jeszcze do dyspozycji, zwinęła się w kłębek i nie oczekiwała na jakąkolwiek odpowiedź. Wrócił mi kac i ból głowy. Miałem się jeszcze przespać.

Obudziłem się w porze obiadu i rozejrzałem po pustym salonie. Poczuję ostry głód, ale to nie było aż tak istotne. Leżąc z otwartymi oczami miałem nagłą projekcję wspomnień związanych z muzyką-chimeryczką i trudno było się od tego odciąć, zatrzymać ten film. Targały mną sprzeczne emocje, choć niektóre sceny były całkiem przyjemne, bo przecież nie było tak źle przez te lata. Inspirowała mnie, nawet bardzo...

Poszedłem do łazienki trzymając się za czoło, ból nie odpuszczał tak łatwo. Odkręciłem kran i włożyłem głowę pod strumień zimnej wody. Po chwili lodowaty chłód stał się nie do zniesienia i podniosłem łeb. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze; woda intensywnie ze mnie skapywała. Byłem niefajny i skacowany, ale nie odpuszczałem tego żenującego obrazka. Kreacji nie było, tylko trudna do zaakceptowania świadomość, że mogłem jej jednak nigdy nie wspomnieć o synu. Niestety... Wydawa-



ło mi się tylko, że to zrobiłem, balansując stale na granicy myślenia i śnienia; nawet nie było sensu zaprzeczać. Nie ważne jak się dowiedziała, czasem byłem zdziwiony, że nie wnikała w temat – pasowało mi to. Cóż... Wiele mi wybaczyła i momentami ostro bywało między nami, ale to o wiele więcej dla niej znaczyło... Nawaliłeś? Tak, nawaliłem. Odwrotu nie ma. Nie ma, i skąd mam wiedzieć, dlaczego taki jestem?

„Kumpel” mózg jaki był, taki był, ale docenił mój wysiłek. Zaczął mnie teraz wspierać jak należy, wnikliwie. W końcu

uznał, że jestem gotów, choć ten proces przygotowawczy w moim przypadku trwał zdecydowanie zbyt długo. Mab-mib, mab-mib... – wybito i nie było tłumaczeń. Czy się zmienię? Może zacznę od jegermajstra bezalkoholowego, a potem, jak porządnie dojdę do siebie, to porozmawiam z „kumpel” na poważnie i pewnie jeszcze z kimś. Wypadałoby, ale nie chciałbym już tego rysować.

MARIUSZ ZIMOŃSKI
WROCLAW, STYCZEŃ-CZERWIEC 2026 R.

Janusz Urbaniak

CHODNIK

szedł i widział nogi
oddalających się kobiet

na tym chodniku przeszło
jego życie tu kobiety
rodziły i tu umierały

tędy przechodziły cudze
lata nie umiał ich policzyć
rzeka zalewała trotuar

bezbronność spotykała
się ze zdradą wiara
z wyczekiwaniem
niekiedy ptaki zniżały lot

a gdzieś dalej pachniało
chlebem gdzieś dalej były
czyny tak jasne że kołysało
się w nich pragnienie

to wszystko brał ze sobą
bez jednego słowa
szedł

CZYSTY WIERSZ

chciałem napisać wiersz
o nieuchronności trwania

stałem nad płaszczyzną
stołu przy którym kiedyś
nieznani mi ludzie jedli mięso
dziękując bogu lub w
milczeniu liczyli pieniądze

jakiś głos toczył się przez
amfiladę o tych co mieszkali
niżej w piwnicach z których
ich wyrzucano

to było w domu w którym
po latach stu chciałem napisać
wiersz o tym co zapomniane

ani piękny ani ważny
ale czysty

DOMKI FARNE

jak kładzie się czas maleją
dachy a domy zakrzywiają
w osi

kulejąca dziewczyna
rozmazuje palcem słońce
na wargach ma wieże
wielu kościołów

jak ciasniej ułice poskładane
z domków każdy większy
połyka ten spadzistoziemny

gdzieś zakręca widok
ucieka w zaułki
wchodzi w sień bez światła
bez okna bez ruchu

za szybą stoi starzec i ogląda
wszechświat jak żyły na rękach

jego wyprawy od ściany
do ściany są ucieczką w
bezkres i miłość dotkniętą
do miękkości miazgi

DRZEWO MÓWIĄCE

dotknąć starych kamienic
objąć ich brył wyszarzałych
a potem stanąć w oczach
kobiet zanurzyć się w ich
niedostępności pomyśleć
o miarze sensu o konaniu
tym sednie samotności
być w środku myśli w locie
ptaka w okrutnym śnie który
przyszedł z życia

w smakach które udają coś
czego nie ma w boleści ale
też w czytaniu w słowach
nieprzetłumaczalnych
w kamienistości trotuarów
w upokorzeniach bo tak
powiedziało drzewo

KAMIENICA DNI

popielate stopy i popękane
płyty długiego podwórza
jak korytarz to było miejsce
bezdolnych gryzoni stara
kobieta przechodziła tamtędy
z pustą reklamówką milczała
nad nią kamienica dni
której utrzymać nie potrafiła
tylko pustka czekania nie
pozwoliła runąć tej
konstrukcji złożonej
z siwizny i niepewności

POGŁOS

zieleń krzewów i dywany traw
potem ciche podwórza ostrowa
smutek kamienic w których miłość
ma czternaście lat i krwawi
idę sionką słyszę szept zagubionego
słońca mającą gołe ramiona kobiet
pijany chłopak przeklina bruk
i rynsztok słyszę rozbijane szkło
jakaś dziewczyna w ciąży mijam ją
a potem wieża konkatedry



Małgorzata Dorna

KOLISTY CZAS WIECZNYCH POWROTÓW W MALARSTWIE MAŁGORZATY ROZMARYNOWSKIEJ

Termin „kolisty czas wiecznych powrotów”, tak popularny w kręgach teoretyków literatury – wymaga doprecyzowania, a nawet jak pisał Milan Kundera – może wprowadzić w zakłopotanie. I wprowadza! Oznacza bowiem, że wszystko to, cośmy już przeżyli – miałyby się z wielokrotnością, powracać, powtarzać w nieskończoność, niezależnie od naszej woli i wiedzy, od naszych intencji, zamierzeń. „Mit wiecznego powrotu mówi per negationem, że życie, które znika raz na zawsze i już nigdy nie powróci, podobne jest do cienia, nie ma żadnego ciężaru, jest martwe już w momencie narodzenia, i jeśli nawet było piękne, straszne, wzniósłe, to jego piękno, rozpacz i wzniosłość nie mają żadnego znaczenia.” Wydaje się, że podobnie interpretował istotę życia Wiliam Shakespeare, w jednej ze swych dobrze znanych tragedii. „Życie jest tylko przechodnim półcieniem, nędznym aktorem, który swoją rolę przez parę godzin wygrawszy na scenie w nicłość przepada – powieścią idioty głośną, wrzaskliwą a nic nie znaczącą.”

Paradoksalnie, brak szacunku dla życia zwiastuje także – brak odpowiedzialności za nie, brak poczucia głębszego sensu i celu. W konsekwencji sztuka może tylko zapisywać fakty, konkretny stan z dnia, miesiąca lub roku, może zapisywać fantazmaty lub enigmatyczne „powidoki rzeczy”. W sztuce zawsze bardziej istotny okazuje się sposób wypowiedzi niż treść. Stądżenie uważa się, że malowanie konkretnych motywów i wątków, budowanie narracji stanowi nieledwie pretekst dla pokazania doskonałości warsztatu lub eksperymentowania z formą, dla podejmowania dyskursu z materią obrazu, z tworzywem. Wszystko to także wydaje się słuszne w odniesieniu do malarskich wizji Małgorzaty Rozmarynowskiej, ale w pracach artystki pozbiera coś jeszcze, czego zdefiniować tak łatwo nie sposób.

Intryguje zapisane na płótnach milczenie, swoiste zawieszenie, zatrzymanie w czasie, owo trwanie w otoczeniu starannie dobranych rekwizytów, geometrycznych struktur wyznaczających podziały przestrzeni. Fascynują sylwetki osób utrwalone w umowne ramie, osób upozowanych jak na starej fotografii, postaci zastygłych w bezruchu, wpatrujących się niewidzącymi oczami gdzieś w dal, czaruje wreszcie owa uroda bladych marionetek lub lalek, przypominająca, że wszystko jest teatrem, spektaklem, iluzją i grą. Urzeka ciepła, przyjazna dla oka, stonowana kolorystyka oraz forma oszczędna, niemal ascetyczna, w istocie doskonała, a także ten ledwie uchwytny element poetyckiej zadumy, tęsknoty za czymś, co możemy przeczuwać, a czego możemy doświadczać już tylko w marzeniach lub snach.

Oto obraz zatytułowany w nawiązaniu do filozoficznych, egzystencjalnych poszukiwań Kundery „Nieżnośna lekkość bytu”. Oto wnętrze pokoju przestronne, utrzymane w szarościach, ciepłych błękitach z nieznaczoną domieszką pastelowego, złamanego różu. Upozowana postać siedzącej dziewczyny, spoglądającej uparcie gdzieś w bok, zatrzymanej w geście oczekiwania, być może tylko zamyślenia. W tle minimum rekwizytów, przedmiotów codziennych, nieledwie oczywistych i banalnych, których byt okazuje się trwalszy, niż życie człowieka. Ujęcie przemysłane, syntetyczne, oszczędne. Rekwizyty o konkretnym

przeznaczeniu: mundurek szkolny na drewnianym wieszaku, modry kuferek na półce, kilka książek, kilka naczyń (zapewne ze szkła) chwytających refleksy bieli, na ścianie w drewnianej ramce lustro lub może obraz z wizerunkiem klasycznej, martwej natury. Światło bez konkretnego źródła, płótno się miękkimi plamami. Kruchość i ulotność wizerunku człowieka wobec gęstej, uporczywej obecności przedmiotów. Pojawiamy się, wszakże na moment, na mgnienie, ale czas zapisany w kadrze nadal trwa. Trwanie owo wodzi na pokuszenie, oszukuje domniemaną narracją, czaruje wątpliwą wiedzą na temat wiecznej Tajemnicy.

Oto „Marzenie o lepszym domu”, kompozycja utrzymana w gęstych czerwieniach i brązach, aż po brunatną, przygaszoną czerń, ciepłe biele i stonowane żółcie z delikatną sugestią oranżu. Dominująca postać kobiety, opiekuńczym gestem małą dziewczynkę o jasnych włosach i aparycji lalki. Obok, na łóżku postać podobnej dziewczynki, wszak lalkom nie nadaje się cech wyjątkowych, wyróżniających je spośród zbiorowości innych, jednakich lalek. W drugim kącie pokoju wiejska kuchnia z naczyniami na płycie, tylko przedmioty niezbędne, skromne, noszące ślady zużycia. Nad wygasłym paleniskiem, na sznurze rozpięte jakieś koszulki, szmaty w matowej bieli i ciepłych plamach ścączącego się z wolna światła. Zda się milczący świadkowie biedy znośnej pogodnie, bez buntu, w stanie upojenia miłością, ciszą i ciepłem rodzinnego domostwa. Wydaje się, że owo ciepło, podobnie jak światło ścączące się delikatnie z podobrazia, światło bez konkretnego źródła lub może raczej świetlistość emanująca zewsząd – wszystko to decyduje o poetyckiej aurze, a w konsekwencji o bardzo subiektywnym, osobistym przedstawieniu wizerunku człowieka. To człowiek zamyślony i myślący, zaintrygowany zagadką bytu, człowiek zadziwiony własnym jestestwem, którego istoty nie sposób wyjaśnić i pojąć. Człowiek skazany na osobność, bowiem tylko w samotności i milczeniu można dotknąć Tajemnicy Wszechrzeczy. Wpatruję się w obrazy Małgorzaty tak jak one wpatrują się we mnie.

Obrazy te żyją zyciem własnym, nieodgadnionym. To trochę tak jak w przywołanym po wielokroć stwierdzeniu Witolda Gombrowicza: „Mów o sobie wobec drzewa, a nie o drzewie.” Cóż można zrobić? Nie wiem co czuje drzewo, tak jak nie mogę być pewna co dane przeżywać postaciom utrwalone na płótnie. Mogę tylko spróbować snuć domysły pod baczny spojrzeniem ich pozornie niewidzących oczu. Na wysokości mego wzroku „Dziewczyna z pomponami”, upozowana na tle spątnowanych drzwi. Postać dziewczyny we wnętrzu, pompony w przypłoszonych białych błękitach i takichż przygaszonych czerwieniach. Dziewczyna

znieuruchomiła w uroczystej pozie, do przyjęcia której skłania prosta geometria drzwi, naznaczonych całą gamą brązów i błękitów. W tle, gdzieś w górnym rogu, na ścianie stary, podniszczony afisz, przewrotnie zaproszenie na tańce, reklamujące być może modne w tamtej epoce Tango Milonga. Istotą kompozycji staje się zestawienie bezruchu, zatrzymania, zawieszenia modelki w czasie z owym afiszem otwierającym inną, odległą przestrzeń, w której zmysłowe figury taneczne, upojny rytm tanga, intensywna czerwień sukni i niepokorniony, szaleńczy ruch.

Oto obraz „Walka dobra ze złem”, kompozycja wyraźnie dwudzielna: On i Ona trwający nie tyle w walce, co w zastanawiającej, stoickiej równowadze. On w kardynalskiej purpurze, trzymający w dłoni brewiarz i sporych rozmiarów różaniec. Na twarzy maluje się (nomen omen) pełna obłudy i pychy miłość bliźniego. Oczy spod wpół przymkniętych powiek nie widzą tego, co widzieć zapewne niezręcznie lub „nie wypada”. Biel koloratki, biel twarzy zawodowego specjalisty od spraw ostatecznych, duchowych. Ona – dziewczyna kusicielka, zmysłowa i piękna, roztańczona w fioletach i czerniach, z intensywnie czerwonym wachlarzem, kabaretowych rękawiczkach i stosownym obuwu. Suknia uniesiona jak u zawodowej tancerki, kokieterijnie, zmysłowo. Spojrzenie baczne, nieprzyjazne, intensywne, dość natarczywe lub (jak to dawniej mawiano) wyuzdane i wyzywające. On i Ona w odwiecznym konflikcie. Domniemane dobro nudnawe i słodkie, domniemane zło – intrygujące. Trochę tak jak w powieści Stendhala: czerń wobec czerwieni, udawana powściągliwość prowincjonalnego kleryka wobec rozpasywania Matyldy i naiwnego romantyzmu spragnionej wielkiej miłości, egzaltowanej pani de Rênal. A obraz? Nadal zastanawia możliwość dotknięcia Tajemnicy. Daleko, gdzieś w perspektywie drewniane drzwi z niewielką, prostokątną szczeliną, za którą błękit spokojnego nieba. Ten sam błękit powtórzony w szklanym naczyniu na stole. Zamierzona groteska, paradoks: szklane oko opatrności patrzące obojętnie, z oddalenia.

Są okresy, w których Małgorzata rezygnuje ze scen zbiorowych. I tak na płótnie, zatytułowanym w nawiązaniu do filmu Jana Jakuba Kolskiego „Jasminum” – tylko jedna postać modelki, dziewczyny siedzącej na kuchennym taborecie. Nie wiemy co dane jej widzieć, ale sam fakt patrzenia daleko, jakby na przestrzał, na wskroś wydaje się intrygujący. W tle stół zastawiony charakterystycznymi przedmiotami: filiżanki, kubki i misy. Farba położona oszczędnie, tak by zaznaczyć odmienność materii: ceramiki, metalu i szkła. W filmie Kolskiego uroda duchowego przeżycia sprowadza się właśnie do tego, co materialne, fizyczne, zmysłowe. Bracia zakonu kontemplacyjnego, w którym obowiązuje reguła milczenia i ascezy, przekonani o swej cudowności (wszak jeden z nich pachnie wiśnią, drugi śliwą, trzeci czereśnią

tak jak Matka Boska pachniała delikatnymi płatkami róż) korzystają z życia, ile wlezie! Jedzą zachłannie, dogadując swym zmysłom, wygłaszając niemal teatralne monologi, istnieje w ich pozornie pokutniczej egzystencji niezapokojona tęsknota do miłości, zabawy, a nawet erotyki. Tyle tylko, że nie piją mocnych alkoholi i nie palą. To film doskonale mieszczący się w konwencji groteskowego, surrealistycznego humoru i jak powiedział któryś z krytyków z właściwą dla krytyki przekorą: „To świat widziany oczami dziecka, ale nie dla dzieci.” I nieustannie powtarzana kwestia: „No co się dziwisz?” Trudno się przeto nie dziwić.

A obraz pędzla Małgorzaty? Oto na dolnej półce kuchennego stołu, w szklanym niewielkim naczyniu tajemnicza mikstura. Być może jakieś pachnidło lub jak mówi jedna z bohaterek filmu: „tylko pachnidło” i jak dodaje: nie daj się zatem nabrać, oszukać, nie pozwól się zwodzić. Odbiorca filmowego obrazu, podobnie jak ten, kto wpatruje się w malarską, skondensowaną wizję – dają się jednak zwodzić lub może wodzić na pokuszenie. Wszak w malarstwie podobnie jak w filmie (mimo groteski, humoru) dominuje aura poetyckiej zadumy, subtelna i jakże ulotna. Dominuje też (jak mawia się w scenariuszu Jana Jakuba Koloskiego) kolisty czas wiecznych powrotów, powrotów nieuchronnych i nieodgadnionych, o których wspomina się także przy okazji analizy współczesnej nam prozy, a szczególnie powieści drugiej połowy dwudziestego i początków dwudziestego pierwszego stulecia. Bohaterowie „Jasminum” czekają zatem na cud, który ma się właśnie powtórzyć, czekają podobnie jak postać dziewczyny zapisana w kompozycji Małgorzaty, dziewczyny wpatrującej się intensywnie, z uwagą w dal.

Oto obraz zatytułowany dość ironicznie, przewrotnie „Razem na zawsze”. On i Ona we wnętrzu jasnego, utrzymanego w tonacji ciepłych brązów i ugrów pokoju. Razem, a jednak w bezpiecznym, pozbawionym emocji oddaleniu. Oboje na fotelach. Ona siedzi za stołem, na którym rozłożone karty jak do pasjansa. On na z lekka odsuniętym fotelu, wsparty na cieniu, białej łasce. Oboje patrzą przed siebie, intensywnie, a jednak w dalekość. Oboje raczej dość młodzi, wszak lalki się nie starzeją, oboje w ciemnych, uroczych ubraniach, samotni i nader odświętni. W tle portret tych dwojga, jak ślubna fotografia, z czasów, gdy byli blisko, by wspólnie marzyć i śnić. Wszystko wokół wydaje się martwe, papierowe i sztuczne, nawet kwiaty w błękitnej donicy. Pozostawanie razem, na zawsze okazuje się groteskowym chichotem Losu, na który jest się skazanym po wieczność. Małgorzata maluje czas, czas gęsty i zatrzymany, czas tracony i odnajdywany po wielokroć, czas mimo wszystko taskawy dla pozbawionych emocji, zimnych i obojętnych lalek. Można wpatrywać się godzinami w jej obrazy i z dziennikarską dokładnością opisywać fakty zaistniałe na płótnie, pamiętając jednak, że obraz odwzajemni spojrzenie. Oto intuicyjne nawiązanie (wszak wszyscy czerpiemy z jednego źródła Wszzechwzeczy) do sparafrazowanej myśli Petera Brooka – jeżeli patrzysz w otchłań to ona odwzajemni spojrzenie. Bohaterowie poszczególnych kompozycji patrzą uporczywie w otchłań, patrzą z jakąś dziwną, niepokojącą, straszącą emocją właściwą dla istot skazanych na zagładę, oswajających śmierć, nieobecnych.

Zostaną po nich stare, wyblakłe, zapisane na kliszy zdjęcia. Oto obraz „Rodzina” utrzymany w konwencji prześwieconej, rozbielonej fotografii, z dominantą barw ciepłych, pastelowych. Zatem rodzina w jasnym, mocno rozbielonym wnętrzu: pięć osób skazanych na osobność, na dozowaną łagodnie sa-

motność, dozowaną z rozmysłem, z umiarem, pięć osób zatrzymanych w teatralnych pozach. Mała dziewczynka w świetlistej, różowawej sukience, z lalką szmacianką w dłoni, dziewczynka odruchowo, wycieczonym gestem trzyma matkę i patrzy gdzieś, w dal. Matka i ojciec niby spleceni w uścisku, niby przytuleni, objęci, ale spojrzenia ich, znieruchomiałe i martwe, czyniąc zadość konwencji nie są w mocy by wyrazić uczucie, by okazać życzliwość, że o miłości nie wspomnieć. Tu się wszystko wypaliło i zgąsło, a na zgłiszczach nie buduje się uczuć. Pozostaje poprawność, milczenie i samotność we dwoje i cisza. Jego oczy wędrują gdzieś w bok, jej spojrzenie zwraca się ku górze, być może w niemy oczekiwaniu na coś, co przyjąć miało i nie nastąpi już nigdy. Oboje obojętni, zrezygnowani, pozbawieni resztek nadziei. I jeszcze dwie dziewczynki, ustawione w rzędzie, obok tej najmłodszej, nieznacznie odsunięte, odwrócone w przeciwną, niż rodzice stronę. Nic trwałego pod słońcem, nic trwałego poza paradoksalną trwałością istoty trwania. Ludzie odejdą w niepamięć, pozostaną tylko rekwizyty i teatralne, wycieczone gesty. Kompozycja bardzo wyważona, jak zwykle u Małgorzaty lapidarna, oszczędna, jednak w owej prostocie poetycka jak zapis marzenia sennego i jak zapis ów surreality. Wrażenie sennego widziadła potęguje finezyjny, ledwie zasugerowany kontur, brunatny obrys sprawiający, że sylwetki osób stoją się niemal płaskie, jakby wycięte z papieru. W tle pastelowa tkanina, nasyciona światłem i ciepłymi odcieniami bieli, zwiastująca powolne zanikanie, odchodzenie w bezkresy niebytu.

Wydaje się, że nie bardziej kuszącego jak ucieczka w marzenie senne, w głąb luncytnych ogrodów. Bywało, że stan śnienia stawał się mistycznym remedium na całe złoto tego świata, na spełnienie odwiecznej potrzeby dotknięcia Tajemnicy, antidotum na tęsknotę do profetycznych wizji, pozwalających ośwoić śmierć, proces odchodzenia, zanikania, naturalny jak zapis śladu kruchej obecności człowieka na starej, prześwietlonej fotografii. Istnieją jednak w dorobku artystycznym Małgorzaty obrazy, w których kolor (wyrazisty i mocny) pełni odmienną rolę. Oto kompozycja przynależna do tego samego cyklu, ale w nieco innym formacie, epatująca intensywnością barw. Tym razem są to barwy nasyczone, z dominantą żółci i fioleto, przechodzącego w czerń. Wyrazistość upozowanych na płótnie osób sprawia, że wydają się one mocno zakorzenione w świecie realnym. I tak ojciec w czarnym odzieniu z akcentami jarzącej, neonowej bieli nieruchomieje wobec obiektywu. Matka, rudowłosa piękność w sukni z aksamitnych fioletołów troskliwym gestem podtrzymuje dziecko. Oboje pozornie dalecy, niemal obcy połączeni „rekwizytem” – osobą małej dziewczynki w króciutkiej, białej sukience. Namiastka więzi psychicznej zastąpiona konwencją, domniemanym poczuciem obowiązku, doskonałością roli odgrywanej po wielokroć na pustej scenie żywota. I jeszcze jedna dziewczynka, z żółtą kokardą we włosach, stojąca blisko przy ojcu. Przed nią wiekowe radio, jakaś szmaciana lalka, wszystkie elementy kompozycji naznaczone piętnem dawności, ściany wnętrza spatinowane, sylwetki osób, przedmioty wyrażające wyeksponowane sztuczne światłem, jak w zakładzie fotograficznym, spoza obiektywu aparatu. Obraz staje się teraz dokumentalnym zapisem, jedynym dowodem (zawsze wątpliwego) istnienia.

Istotą tego malarstwa okazuje się powrót do przestrzeni zapisanych we wspomnieniach i w myślach zbiorowości, do wnętrza, w których utrwały się ślady momentalnej, chwilowej obecności człowieka, a w konsekwencji do rozważań na temat owego Genius Loci,

o którym tak często się pisze w przekonaniu, że to nie my wybieramy miejsce, to miejsce wybiera nas. Zastanawiający jest fakt, że Małgorzata nie pokazuje człowieka w pejzażu, w tak zwanym plenerze, a zawsze w przestrzeniach zamkniętych, potęgujących poczucie osaczenia, egzystencjalnej pułapki, często też utrwała na płótnach przedstawicieli społeczności żydowskich, społeczności skazanych na zagładę. Spełnia się tutaj profetyczna wizja Franza Kafki, która przywołana przez Tadeusza Różewicza w mrocznym dramacie „Pułapka” przywołuje problem zamknięcia i osaczenia całej społeczności żydowskiej. Tak dzieło się w przypadku gdańskiej inscenizacji dramatu, ze scenografią Mariana Kołodzieja, w której przestrzeń została zabudowana szafami, ciemnymi profilami przestylizowanych szaf, w których to, w profetycznej wizji Różewicza ukrywali się Żydzi.

Obsesją bohatera sztuki, „starszego prokurenta Kafki” okazywało się nie tylko jego osobiste zniewolenie w mieszczańskim, obcym i nieprzyjaznym świecie, ale także zniewolenie egzystencjalne człowieka. Pułapką stawało się bowiem także ciało bohatera („moje ciało jest pułapką, w którą wpadłem tuż po urodzeniu”) podobnie jak miejsca związane z obecnością postaci, narzucających swym zachowaniem specyficzny odbiór świata. Narzeczona, Ojciec, Duszyca, Przyjaciel – wszyscy oni zostali przypisani wydzielonym przez scenografię przestrzeniom we wnętrzach szaf i od pierwszej sceny te zamknięte, niewielkie wnętrza odbierane były jako symboliczne pułapki. W ostatniej scenie drzwi szafy otwierały się ku profetycznej wizji, w której obsesyjne myśli bohatera nabierały konkretnego kształtu. Postacie dramatu przechodziły ku ledwie przeżywanemu i przerażającemu krainie, w której po latach dokona się tragedia holocaustu. Była to przestrzeń nieobecna jeszcze w świadomości postaci scenicznych, ale już zapisana (zdemaskowana, odkryta, ujawniona) w świadomości publiczności, odbiorców. Była to wreszcie przestrzeń pozwalająca odczytać na nowo tekst napisany przez Tadeusza Różewicza oraz intencje scenografa, Mariana Kołodzieja, który sam cudem uniknął śmierci w niemieckim obozie zagłady.

Temat zagłady społecznej żydowskiej małego, zda się prowincjonalnego miasteczka powraca w malarstwie Małgorzaty wielokrotnie. Oto obraz zatytułowany „Scena zbiorowa rodziny”, upamiętniający społeczność żydowską. Rodzina wielopokoleniowa, przypisana zbiorowości, w której mężczyźni ubierają się w chatat, w przetruczym przez ramię pasiastym, tradycyjnym tatesem, dając tym samym do zrozumienia, że nie obca im nauka pamięci o przekazywanych z pokolenia na pokolenie nakazach Adonai (Wszzechwładnego). Całość kompozycji utrzymana w czerniach, czerwieniach i brązach. W tle, na zbliżeniu, rozmalowany jak na teatralnym prospekcie niewielki fragment ulicy i domów. Architektura przytłacza, tworzy rodzaj zamknięcia i osaczenia. W drugim planie sylwetki podobnych postaci. Jeżeli istnieje szansa na ucieczkę z egzystencjalnej pułapki to tylko poprzez unicestwienie, przez śmierć.

Malarstwo Małgorzaty pozostanie w moich myślach na długo, w myślach, w koszmach sennych powracających uparcie, niezależnie od faktu, że jest to sztuka pozbawiona wszelkiej napastliwości, wyrafinowanie spokojna, wreszcie sztuka, w której zapisane emocje dozowane są oszczędnie, z wyczuwaniem środków ekspresji, elegancko, rozważnie, z umiarem. W czasach, w których kultura masowa atakuje nas zewsząd wielością informacji, podawanych w sposób agresywny, brutalny owa powściągliwość i umiar okazują się niekwestionowaną zaletą.

MALGORZATA DORNA

Adam Górski

czego szukacie wzbite jaskółki
siostry w rozedrganiu

- słowa które znaczy wszystko
przez które wiatr śpi
a ogień porzuca pragnienie
swojego początku

lećcie jaskółki
dusze kamieni
ciśniętych w niebo
i zbawionych

perła ściśnięta w pięści
cierpi od jej złego ciepła
zakrywa przed nią
swoją nagość

nie należy do tego świata
(w którym zastępy żelaza
śpiewają pieśń
spadającego słońca)

gdyby była wolna wracałaby
do domu połą drogą
przez odczytane pismo

B.
czułem w ustach
twój okruch chleba
jakbym w tłumie sierot
dostrzegł własne dziecko
jadł i pił kroki dni
i godzin
wśród ścieżek drzew kapliczek
w miodzie jasności

przyciskam te słowa mocno
do twoich
(tak by ich nie zraniły)
i wznoszę roślinę świątynię
z dźwięku narodzin
a ona rozmnaża się sama i tka
śpiewając pieśń nową

Śłuchajcie języka poznania i pocieszenia,
poranka
którego ptaki lecą pod prąd
nad taflą utrzymaną przez dobrych bogów

a korzenie są proste jak powietrze
czytane w świątyniach

jest zdziwieniem światła które nasłuchuje
przelewa się przez nicość
do bijącego serca
dotyka umysłu
tuli go jak pierwsze litery
oddycha głęboko
słyszając siebie
w sobie

to nieprawda że światło
 rodzi się z każdego miejsca
 podąża zewsząd jakby było
 kawałkami złamanej strzały
 i że ma koronę z niewysłowionych
 piór
 gdzie zniknęłyście dziesiątki głów
 ciekawych ptaków
 patrzących na mnie dziecko
 karmiących przezroczysty umysł
 połyskliwym językiem
 na który umrzemy

odbicie
 jest świętym pismem
 z którego znikają litery
 niebo i ziemia czytają je
 po ich drózkach
 wraca matka
 słyszymy co drugie zdanie
 słowa podchodzą bliżej
 znaczą wszystko
 ale nagły błysk w ślepotcie nieba
 wchodzi nie pytając
 chrzci je czernią
 a wszechmogące kształty świetlistych gałęzi
 milczą

Adam Górski, ur. w 1976 r., mieszka i pracuje w Krakowie. Publikuje od 2010 r. Wydał tomiki *Stygające Litery* (2014), *Ślady, kroki* (2016), *Pożegnanie. Wyjaśnienie* (2019), *Notatki do odwróconych spojrzeń* (2022), *Dźwięki z podwórek* (2025). W 2020 r. nominowany za książkę *Pożegnanie. Wyjaśnienie*, zaś w 2026 r. za książkę *Dźwięki z podwórek* do Nagrody im. K. I. Gałczyńskiego Orfeusz (odpowiednio IX i XV edycja). Tomiki *Ślady, kroki*, *Pożegnanie. Wyjaśnienie* oraz *Dźwięki z podwórek* ukazały się (odpowiednio w roku 2024, 2025, 2026) w języku ukraińskim (Wydawnictwo Krokbooks). Zamieszczał wiersze m. in. *Czasie Literatury*, *Kwartalniku Artystycznym*, *Migotaniach*, *Toposie*, *Wyspie*. Obecnie pracuje nad tomikiem pod roboczym tytułem *Widoczne, widome*.

Tomasz Pyzik

WSPOMNIENIOWE WOTUM WDZIĘCZNOŚCI

Bogdan Szembek (1880-1956) był działaczem społecznym, patriotą oraz właścicielem majątków Wysocko Wielkie i Sadowie w powiecie ostrowskim w Wielkopolsce. Na jego *Wspomnienia* trzeba spojrzeć w sposób szczególny, bo też były one pisane w wyjątkowym czasie. Książka składa się z siedmiu zeszytów, przy czym Zeszyt V był chronologicznie pierwszy, a później powstały następne. Zeszyt V to wspomnienia z lat 1914-1920, które rozpoczyna list adresowany do córki Ireny, zwanej przez autora Inką. Warto dodać, że podtytuł całych *Wspomnień* brzmi *Pisane dla dzieci, do rąk Inki*. Na uwagę zwraca już data napisania listu: „W Wysocku, 11 XI 1938 roku”, która świadczy o patriotycznym podejściu Szembeka, chcącym uczcić 20. rocznicę odzyskania niepodległości w formie retrospekcji przeznaczonych dla dzieci.

Motywację autora najlepiej oddaje inicjalne zdanie listu: „W dwudziestolecie Niepodległości - w dniu, który mnie przejmuję więcej niż możesz przypuszczać - bo jesteś tak szczęśliwą, że nie znasz «podległości» - rozpoczynam na Twoje życzenie i dla Ciebie spisywać osobiste wspomnienia tych osobliwych sześciu lat wojny”. Narracja *Wspomnień*, prowadzona z niemal fotograficzną pamięcią autora, sprawia, że możemy się znaleźć w centrum opisywanych wydarzeń. Możemy zatem poczuć atmosferę grozy i tę jedyną w swoim rodzaju trwogę, która ogarnęła ludzi w dniu ogłoszenia mobilizacji, jakby już wtedy, na samym początku było do przewidzenia, że wojna ta będzie nazywana Wielką Wojną. Szczegółowe opisy Szembeka zadziwiają plejadą różnorodnych postaci, a świadectwo patriotyzmu autora przybiera miejscami satyryczną formę, gdy wzmianka o niewielkiej liczbie „germanofilów”, którzy pod redakcją niejakiego Dombka wydawali gazetę „Prawda” w Lesznie, kończy się następującym pamfletem: „Szkodnik na Dombku oparty, / Co dzień się do mnie zakrada, / I co dzień mi - to nie żarty, / Papier z błotem w domu składa. / Gdyby był dostępny radom, / I swej szpetnej roli świadom, / Dawali by mi papier czysty, / Zysk dla dwu stron oczywisty”. Ten krótki utwór wierszowany pokazuje talent literacki Bogdana Szembeka, który nie bał się operować ostrzem satyry, by dać wyraz swojego przywiązania do polskości. Z kolei opisy pierwszych dni wyzwolenia pozwalają współczesnemu czytelnikowi odtworzyć emocje, które są dla nas obce, bo - podobnie jak Inka - jesteśmy szczęśliwi, gdyż nie znamy „podległości”. Członkostwo autora w Wydziale Wykonawczym Powiatowej Rady Ludowej, której zadaniem było przejmowanie władzy przez odrodzone Państwo Polskie, zaowocowało żywą relacją z tych nietatwych, ale radosnych chwil. Szembek często odchodzi od obiektywnej narracji i dzieli się swym entuzjazmem płynącym z możliwości zademonstrowania polskich symboli narodowych. Widać to we wspomnieniach pozornie drobnych, ale niezwykle znaczących wydarzeń pro-

wadzonych z perspektywy kogoś, kto od dziecka wyrastał w niemieckiej niewoli. W tle lokalnych epizodów wyróżniają m.in. echa Cudu nad Wisłą, który został przyjęty z nieukrywaną radością. Autor jednak nie stroni też od własnych komentarzy, będących krytyką tzw. „gorzkiego pokoju”, wynikającego z traktatu ryskiego po wojnie polsko-bolszewickiej.

Pozostałe zeszyty (wszystkie oprócz V) były pisane w czasie kolejnej wojny, a dopisek pod tytułem Zeszytu I mówi wszystko: „Wieżenie w Ostrowie. 17.2.1940 r.”. Nie trudno się domyślić, że Szembek pisał te wspomnienia w zupełnie innej atmosferze niż Zeszyt V, a jego celem było jak najwierniejsze przekazanie rodzinnej pamięci historycznej, która w obliczu zagrożenia życia mogłaby bezpowrotnie zapaść. Szczęśliwie zapiski te przetrwały II wojnę i możemy dzięki nim przenieść się w czasie do przełomu XIX i XX wieku, wczytując się w takie tematy jak historia rodziny do ślubu rodziców autora, śmierć ojca, szkoła i maturę, pasja myśliwska, praktyka gospodarcza, uniwersytet we Wrocławiu, objęcie majątku w Wysocku (Zeszyt I), służba wojskowa, stosunki rodzinne i sąsiedzkie (Zeszyt II), prowadzenie gospodarstwa i życie w Wysocku do wybuchu I wojny, okoliczności i ślub z Zofią Ponińską, zwaną we wspomnieniach Mamusią (Zeszyt III), ciąg dalszy życia po ślubie (Zeszyt IV). Zeszyt VI ma tytuł *Golgota* i jest to zapis okoliczności związanych z fundacją kościoła i klasztoru Ojców Pasjonistów w Sadowiu koło Ostrowa Wielkopolskiego. Oddajmy głos hrabiemu Szembekowi, który tak rozpoczął ten rozdział: „W czasie pierwszej wojny światowej postanowiłem, o ile ja szczęśliwie przetrwamy, zbudować w Sadowiu kościół lub na razie kaplicę. Miałem przeświadczenie, że o ile to postanowienie czy wotum wykonam, to Sadowie pozostanie na pewno w naszych rękach...”. Z perspektywy naszych czasów widzimy, że fundator się nie mylił, a jego wizja miała niemal proroczy charakter. Zapoczątkowane w 1932 roku dzieło fundacyjne przetrwało wojenną zawieruchę i do dziś pełni swoją sakralną funkcję. Ostatnią część *Wspomnień* domyka Zeszyt VII, poświęcony majątkowi Czachóry oraz inż. Leonowi Czarlińskiemu, dyrektorowi Fabryki Maszyn Rolniczych w Ostrowie.

Dostępne do tej pory wąskiej grupie badaczy i jedynie w rękopisach *Wspomnienia* Bogdana Szembeka ukazały się drukiem dzięki ogromnemu poświęceniu oraz żmudnej pracy edytorskiej Witolda Banacha - redaktora prowadzącego i jednocześnie dyrektora Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego, będącego wydawcą książki. Redakcją i korektą pierwotnego tekstu zajęli się Roman Bąk, a opracowanie licznych przypisów i ilustracji wzięli na siebie Jacek Malkowski. Zamieszczone fotografie z rodzinnego albumu Szembeków pięknie dopełniają dzieło. Zasmucają natomiast współczesne zdjęcia spichlerza i gorzelni dworskiej w Wysocku, które po odrestaurowaniu mogłyby być wspaniałymi zabytkami. Może jednak i one doczekają się kiedyś

drugiego życia i - podobnie jak ukryte przez lata *Wspomnienia* - wyjdą z cienia, by zatrzymać współczesnego człowieka i wzbudzić w nim refleksję nad historią małej-wielkiej ojczyzny, jaką jest Powiat Ostrowski, którego jednym ze znaczących bohaterów przeszłości był Bogdan Szembek.

Jego przykład życia tworzy wzorzec osobowy, a dzieła powstałe za jego przyczyną świadczą o tym, że stawiał sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu. Na ten monument składa się nie tylko wciąż tętniący życiem duchowym kościół w Sadowiu, czyli wotum za odrodzoną Polskę i przetrwanie I wojny. Teraz doszły wcześniej nieznane *Wspomnienia. Pisane dla dzieci, do rąk Inki*. Nie ma wątpliwości, że to także jest wotum. I to także warte dziś rozgłosu wotum wdzięczności za taskę małżeństwa, rodziny i dzieci.

TOMASZ PYZIK

Bogdan Szembek, *Wspomnienia. Pisane dla dzieci, do rąk Inki*, Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego, Ostrow Wielkopolski 2024.



Zbigniew Joachimiak

To najstarszy polski konkurs poetycki, który nieomal od 64 lat funkcjonuje w Gdańsku, warto jednak zauważyć, że pierwsza edycja konkursu odbyła się w Krakowie (1959 r.), a główną nagrodę otrzymał wtedy, z rąk m. innymi Jana Bońskiego, Stanisław Grochowiak. Wybitny poeta i wybitny krytyk! Bo dobre „nazwiska”, to znak firmowy tego konkursu przez całą jego historię.

Wspomnę tylko niewielką grupę wyróż-

etyckim w Polsce i... w Gdańsku. Dlaczego więc stracił na randze w Gdańsku i prawie się go nie zauważa? Myślę, że „Czerwona Róża” stała się ofiarą przemian ustrojowych w Polsce. Całkiem niesłusznie władze i organizacje społeczne sprowadziły ten konkurs do reliktu peerelowskiego i przestano go promować a też finansować (fundusz nagrodowy Czerwonej Róży był zawsze imponujący, np., za pierwszą nagrodę laureat otrzymywał w połowie lat '70 blisko 10 000 zł, a przecież tych nagród było każdorazowo kilka, a gdy dodać do tego koszty związane z jury oraz organizacyjne, to był to spory wysiłek kosztowy). Może zaciążyło na percepcji konkursu wcześniejsze określenie „Turniej Poezji Społecznie Zaangażowanej”, które w uszach nowych władz po przemia-

A przecież jest dobre wyście, jak zachować nowe i stare, należałoby po prostu zadbać o oba konkursy i tak organizacyjnie je połączyć, aby promowały polską poezję i zagraniczną, bo oba konkursy opowiadają się za ideą zaangażowania w wolność.

Poezja i poeci zawsze potrzebują wzmocnienia organizacyjnego i finansowania, bo z poezji nikt nie wyżyje, a jednocześnie nie można sobie wyobrazić życia bez niej. Nie wykluczone, że do historii np. Łotwy, Ukrainy, Serbii, przejdzie polska nagroda literacka, bo „Poeta wolności” to konkurs na obcą poezję przetłumaczoną na polski. Ciekawe, wagę tłumaczeń doceniała „Czerwona Róża, ale jednocześnie doceniała polskich poetów i nie odwracała się od nich. Polskie życie literackie, a tym bardziej gdańskie, niewiele

CZERWONA RÓŻA WCIĄŻ ZAKWITA W GDAŃSKU, OD 64 LAT

nionych przez lata poetów: Marian Grześczak (1960 r.), Ernest Bryll (1961 r.), Roman Śliwonik (1964 r.), Krzysztof Gąsiorowski (1966 r.), Krzysztof Karasek (1969 r.), Adam Zagajewski (1968 r.), Ryszard Miłczewski-Bruno (1970 r.),

Wielu laureatów związanych było z Gdańskiem: np. Jerzy Afanasjew (1962 r.), Mieczysław Czychowski (1965 r.), Andrzej K. Waśkiewicz (1967 r.), Aleksander Jurewicz (1973 r.), Marek Bienkowski (1974 r.), Antoni Pawlak (1975 r.), Zbigniew Joachimiak (1976 i 1977 r.), Anna Czekanowicz, Krystyna Lars (1979), Piotr Czerski (2000 r.).

Ale to nie koniec gwiazdorskiej obsady, równie znaczące były składy jury. I znowu wymienię tylko kilka nazwisk. Oceniali nadsyłane wiersze, m. innymi: Artur Międzyrzeczki, Wiktor Woroszyński, Julian Przyboś, Artur Sandauer, Tadeusz Śliwiak, Witold Wirpsza, Adam Ważyk, Zbigniew Bienkowski, Andrzej K. Waśkiewicz, Piotr Kuncewicz, Władysław Zawistowski, Stanisław Gostkowski, a też poprzedni laureaci głównego konkursu, m. innymi: Antoni Pawlak, Zbigniew Joachimiak, Eugeniusz Kupper, Kazimierz Nowosielski, Gabriel Szubstarska.

Ocenie konkursowej podlegali nie tylko poeci, którzy nadesłali wiersze, bowiem Konkurs „Czerwonej Róży” przyznawał nagrody honorowe w różnych dziedzinach: „Pierścień” za całokształt twórczości, „Pełerynę” za najciekawszy debiut roku, „Pióro” za działalność krytycznoliteracką, „Pegaza” za najwybitniejsze tłumaczenia, a od 1977 roku „Wiatr od Morza” za poezję o tematyce morskiej.

Wymieniłem sporo nazwisk, bardzo dobrych i ważnych twórców, ale wcale nie mam pewności, czy istnieją one w powszechnej świadomości poetów piszących w XXI wieku. A przecież, gdy przyjrzeć się liście autorów powiązanych z „Czerwoną Różą”, to widać jak na dłoni, że antologia wierszy tych twórców, mogłaby stanowić podręcznik do historii poezji współczesnej.

Przez lata patronami konkursu byli Pomorski Marszałek, Wojewoda oraz Prezydent Miasta Gdańska. Był doceniany przez miłośników poezji i szerzej, literatury, był zauważany przez ówczesną prasę i telewizję. Był po prostu najważniejszym wydarzeniem po-

nach ustrojowych i opinii publicznej brzmi zbyt „socjalistycznie”, czyli obrzydliwie, co jest paradoksalne, bo poezja „Czerwonej Róży” praktycznie w żaden sposób nie traktowała szczególnie właśnie tej cechy i była nie bardziej zaangażowana społecznie niż np. konkurs „Poeta Wolności” (sama nazwa konkursu wskazuje na zaangażowanie), który niejako zastąpił „Czerwoną Różę”, mam na myśli finansowanie z puli władz Gdańska i Ministerstwa Kultury. Nie potrafię w sposób jasny wytłumaczyć, dlaczego tak się stało, kojarzy mi się tylko przystawie: zamienił strzyk siekierką na kijek.

Na szczęście konkurs przetrwał, choć w skromniejszej formie. Głównie to zasługa Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki (jakże dobrze i adekwatnie brzmi nawa tej organizacji w kontekście podtrzymywania przy życiu mecenatu literackiego).

Mamy więc nadal konkurs „Czerwonej Róży”, który bardzo skromnie, ale konsekwentnie promuje polską i trójmiejską poezję. Mamy też w Gdańsku konkurs „Europejski Poeta Wolności”, który niczego nie promuje, a jeśli, to poetów z okolicznych i dalszych krajów, a na pewno nie polską i gdańską twórczość. Mam jednak poczucie (przecucie), że do historii współczesnej poezji przejdzie nawet tak skromnie – jak obecnie – organizowana „Czerwona Róża” (tak potocznie się o konkursie mówi i mówiło), a nie pochłaniający wielkie środki finansowe konkurs „Poeta wolności”, który prędzej lub później całkiem słusznie przejdzie do lamusa, gdy tylko zmieni się pojmowanie korzyści kulturowych przez obecną władzę. Z pewnością laureaci konkursu Europejski Poeta wolności” tacy jak Uładzimir Artoŭ, Dorta Jagić, Ana Blandiana (wymieniłem losowo), to ciekawi autorzy. Ale bardzo wątpię, by to byli lub będą poeci rangi takiej, jak bywali poeci „Czerwonej Róży”, np. (znowu wymieniam losowo i ledwie kilku): Grochowiak, Zagajewski, Bryll, czy Jurewicz i Pawlak. Może to jest właściwy moment, aby się zastanowić, jakie są obowiązki władz lokalnych lub ogólnopolskich wobec środowisk literackich i ogólnie wobec kultury polskiej. Tak, należy zachować otwartość i promować literatury obce, ale czy to dobry pretekst, aby zaniechać wspierania literatury polskiej?

ma z tego międzynarodowego konkursu, a konkretnie nie ma promocji i wzmocnienia finansowego. Polski lub gdański poeta jakoś sobie da radę bez pomocy Urzędu Miasta Gdańska. A jednak szkoda, że „Czerwona Róża” jest słabo zauważana przez miejscowe władze, bo historycznie rzecz biorąc, jest to konkurs najstarszy a przez lata najlepszy i najbardziej znaczący w kraju.

Trzymam kciuki za „Czerwoną Różę” w najnowszej edycji – 64 Konkurs Poetycki o Laur Czerwonej Róży z 2026 roku, przeszedł właśnie do historii. Wyrażam uznanie dla konsekwencji GTPS a też dla osób, które widzą w tym poetyckim turnieju głęboki sens.

Galę rozdania nagród w 2026 roku poprowadzili: Przewodniczący Zarządu GTPS Benjamin Koralewski oraz koordynatorka konkursu i aktorka Marta Jaszewska, a skład tegorocznej jury to: prof. dr hab. Adela Kuik-Kalinowska, Gabriela Szubstarska oraz prof. dr hab. Kazimierz Nowosielski. Partnerami są: Gdański Klub Poetów oraz Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Gdańsku.

Oto laureaci:

I miejsce - Mateusz Siennicki, godło „Warstwa Czwartą”

II miejsce - Alicja Laszkiewicz, godło „Pszczółka”

III miejsce - Bożena Kaczorowska, godło „Sentencja”

Wyróżnienie - Czesław Markiewicz, godło „Paradygot romantyczny”

GTPS rozszerzył formułę konkursu głównego wzbogacając ją o kategorię dla osób niepełnoletnich, czyli uczennice i uczniów ze szkół ponadpodstawowych z województwa pomorskiego.

W tym roku zrealizowano już XI „Pak Czerwonej Róży”.

Przyznano dwa równorzędne wyróżnienia:

Amelia Żywica, godło „Rosa”

Ksawery Kasprzyk, godło „Żywokost”

Redakcja Migotań gratuluje wszystkim nagrodzonym i życzy dalszych sukcesów.

Zapraszamy nagrodzonych autorów do publikacji w naszym kwartalniku.

ZBIGNIEW JOACHIMIAK

Andrzej Szuba

POSTSCRIPTUM MCI

w czterech
ścianach płaczu
tak będzie

POSTSCRIPTUM MCII

pora się rozpakować
czas być
pustą walizką

POSTSCRIPTUM MCIII

a z wszystkich dróg
wybrać tę
której się nie spieszy

POSTSCRIPTUM MCIV

a w łagrach
to tych stacji było
więcej niż czternaście

POSTSCRIPTUM MCV

pustka wie coś
czego nie wie
ograniczona pełnia

POSTSCRIPTUM MCVI

ostatnim tchnieniem
dobijać się
do szczelnego powietrza

POSTSCRIPTUM MCVII

oswoić sobą przepaść
między bogiem
a prawdą

W numerze prezentuje prace Ka Klakla

Pochodzi z proletariackiego Krakowa. Studia magisterskie, pedagogiczne i doktoranckie (Architektura, PK), literackie (UJ), stypendium ZAiKS. Obecnie studiuje zarządzanie nieodwracalnymi stratami. Należy do Stowarzyszenia Literatura Autorów SLA, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz kolonii artystycznej Nowy Młyn. Prowadzi warsztaty literackie. Piszę poezję i prozę, W utworach odwołuje się do przekazów grup wykluczonych. Do swoich nikczemnych celów wykorzystuje retelling, intertekstualność (można mylić z interseksualnością) oraz pastisz, realizm magiczny i postmodernizm. Jej książki zdobywają nagrody i wyróżnienia. Publikuje w czasopismach literackich oraz w antologiach. Maluje, ilustruje, projektuje wnętrza (upcykling) i grafikę, redaguje i składa książki. W wolnym czasie tańczy tańce bałkańskie. Książki: *Łotrzyca*, *Jutro nie mieści się w głowie*, *Żaloba po kocie*, *Czerwony Las*, *Zdrowaś*, *Twój wiersz*, *nasza udręka*. Ostatnie wystawy: *Czerwony Las*, Muzeum Karkonoskie w Szklarskiej Porębie, 2022, *Łotrzyca* (ilustracje), *Łazęga poznańska*, Poznań 2025



Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
 - autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
 - autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
 - autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie praw spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
 - autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przeżyć na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Điękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 7411602202000000170195866

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 3 (92) 2026

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Z-ca red. naczelnego: **Roman Warszawski**
(Gdynia).

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borełowska**
(Warszawa).

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój),
Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Zdzisław Drzewiecki (Biały Bór)

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Dariusz Pawlicki (Wrocław),
Grzegorz Bazylak (Gdańsk),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Urszula M. Benka,
Andrzej Walter,
Mateusz Wabik,
Jerzy Lengauer,
Marian Lech Bednarek,
Andrzej Wołoszewicz

Dział fotografii: **Sybilka Słonie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Fołtyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltox Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

joa@migotania.pl, joalike@gmail.com

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Tomasz Walczak

Pisać do tych, którzy nie odpowiedzą

„Ludzie ludziom zgotowali ten los” – to jedno z tych zdań polskiej literatury, które dawno przestały być jedynie cytatem. Stało się przestroga. Zofia Nałkowska, zapisując świadectwa ofiar II wojny światowej w *Medalionach*, nie wskazywała jednego narodu, jednej ideologii czy jednej grupy ludzi jako źródła zła. Jej zdanie uderza znacznie głębiej, ponieważ mówi o człowieku i o granicy, którą człowiek może przekroczyć, gdy drugi człowiek przestaje być dla niego bliźnim. Wtedy sąsiad staje się obcym, obywatel wrogiem, a osoba z własnym imieniem i historią zostaje sprowadzona do kategorii, którą można odrzucić, upokorzyć, a w końcu zniszczyć.

Od lat zastanawiam się, do kogo właściwie pisze się o ludobójstwie. Czy do historyków, którzy odnajdują dokumenty, porządkują fakty i próbują odtworzyć przebieg wydarzeń? Czy do polityków, którzy często czynią z pamięci element współczesnych sporów? A może do potomków ofiar i sprawców, którzy dziedziczą

rękę na drugiego człowieka? Jak wygląda droga prowadząca od zwykłego życia do przemocy? W którym momencie język przestaje służyć porozumieniu, a zaczyna przygotowywać przestrzeń dla nienawiści? Literatura nie zastępuje historii, ale pozwala zobaczyć to, czego sama historia często nie potrafi przekazać – pojedyncze ludzkie istnienie ukryte za wielkimi liczbami.

Dlatego każde pokolenie potrzebuje własnych księzek o pamięci. Dokument jest niezbędny, aby poznać prawdę, ale sama liczba ofiar pozostaje czymś abstrakcyjnym, dopóki nie odzyska ludzkiej twarzy. Sześć milionów zamordowanych Żydów to niewyobrażalna liczba, ale dopiero konkretne świadectwa – pamiętniki, relacje, literatura – pozwalają zrozumieć, że za każdą cyfrą kryje się czyjeś życie: dzieciństwo, miłość, praca, plany na przyszłość. Podobnie jest z Wołyniem. Tysiące zamordowanych Polaków nie mogą pozostać jedynie statystyką w książkach historycznych. Za każdą ofiarą stał dom, rodzina, sąsiedzi, codzienność, która została nagle przzerwana.

Pamięć zaczyna się wtedy, gdy liczba odzyskuje imię. Właśnie dlatego ten esej jest listem do nieobecnych. Jest próbą przywrócenia miejsca tym, których życie zostało odebrane, a których głos może dziś istnieć jedynie poprzez świadectwa pozostawione przez innych.

powraca w każdym przypadku: jak dochodzi do chwili, w której człowiek przestaje widzieć w drugim człowieku istotę podobną do siebie? Jak rodzi się przekonanie, że czyjeś życie jest mniej ważne? Jak zwykły język, zwykłe uprzedzenia i zwykła obojętność mogą przygotować drogę dla niezwykłego okrucieństwa?

Zofia Nałkowska w **Medalionach** nie szukała odpowiedzi poprzez wielkie historyczne konstrukcje. Jej siłą było skupienie na człowieku. Pozwalała mówić świadkom, ponieważ rozumiała, że wobec cierpienia najuczciwszą postawą jest słuchanie. Jej literatura nie epatuje przemocą, nie próbuje przytłoczyć czytelnika ogromem zbrodni. Przeciwnie – pokazuje pojedyncze doświadczenia, dzięki którym wielka historia odzyskuje ludzką skalę. Właśnie dlatego zdanie „Ludzie ludziom zgotowali ten los” pozostaje tak przejmujące. Nie dlatego, że jest efektowne, lecz dlatego, że odbiera nam możliwość łatwego poczucia niewinności. Przypomina, że największe tragedie nie dokonują się wyłącznie za sprawą anonimowych sił historii. Dokonują ich ludzie.

Podobną prawdę odnajdujemy u Tadeusza Borowskiego. Jego opowiadania obwołane są wstrząsającą nie tylko dlatego, że opisują świat śmierci. Ich siła polega na pokazaniu procesu, w którym człowiek zostaje zmuszony do życia w rzeczywistości odwróconych wartości. Największe przerażenie nie

LIST DO NIEOBECNYCH. PAMIĘĆ NIE MA NARODOWOŚCI. RZECZ O PAMIĘCI, KTÓRA PRZYWRACA IMIONA.

ciężar historii, choć sami nie byli jej uczestnikami? Im dłużej przyglądam się literaturze poświęconej największym tragediom XX wieku, tym bardziej jestem przekonany, że wszystkie te książki, wiersze i świadectwa są w pewnym sensie listami do nieobecnych. Są próbą rozmowy z tymi, którzy już nie odpowiedzą. Nie dlatego, że wierzymy, iż można cofnąć czas albo naprawić to, co zostało zniszczone, lecz dlatego, że milczenie wobec ich losu oznaczałoby zgodę na drugą śmierć – śmierć pamięci.

Im dłużej pracowałem nad tym tekstem, tym częściej uświadamiałem sobie, że nie próbuję opisać wyłącznie przeszłości. Tak naprawdę próbuję zrozumieć teraźniejszość. Pamięć nie jest dla mnie spojrzeniem wstecz. Jest próbą ocalenia przyszłości przed tym wszystkim, co zaczyna się od pogardy, obojętności i odmowy dostrzeżenia w drugim człowieku bliźniego.

Literatura od zawsze próbowała rozmawiać z nieobecnymi. *Treny* Jana Kochanowskiego były przeciw rozmowę z dzieckiem, którego nie można było już przywrócić do życia. Czesław Miłosz w *Campo di Fiori* nie stworzył jedynie wiersza o powstaniu w getcie warszawskim, ale także przejmującą refleksję nad obojętnością świata, który potrafi zachować swój codzienny rytm w pobliżu tragedii. Z kolei Zygmunt Rumel, poeta zamordowany na Wołyniu, pozostawił po sobie nie tylko wiersze, ale także pytanie, które powraca przez całą historię XX wieku: czy w czasach nienawiści możliwe jest jeszcze ocalenie dialogu między ludźmi. Jego los pokazuje, że ofiarą przemocy bywa nie tylko człowiek, ale również sama idea porozumienia.

Historia i literatura pełnią wobec pamięci różne role. Historyk rekonstruuje wydarzenia, ustala daty, miejsca, nazwiska i liczby. Literatura pyta o coś, czego nie można zamknąć w tabelach ani archiwalnych dokumentach: co dzieje się z człowiekiem, zanim podniesie

Zanim historia zapisze datę

Pisząc do nieobecnych, trzeba pamiętać, że za każdą datą w podręczniku historii kryje się zwyczajny dzień, który dla kogoś stał się ostatnim. Historycy zapisują momenty przełomu: początek wojny, dzień egzekucji, datę pacyfikacji wsi, godzinę rozpoczęcia zbrodni. Literatura zatrzymuje się jednak wcześniej – przy tym, czego nie widać w kronikach. Przy poranku, który rozpoczął się jak każdy inny. Przy stole, przy którym ktoś jadł śniadanie. Przy drodze, którą ktoś szedł po raz ostatni, nie wiedząc jeszcze, że nie wróci. To właśnie ta zwyczajność przed katastrofą jest jednym z najbardziej przejmujących wymiarów ludobójstwa. Zbrodnia nie przychodzi do pustego świata. Przychodzi do świata ludzi, którzy mają swoje przyzwyczajenia, plany, rodziny i nadzieje, że kolejny dzień będzie podobny do poprzedniego.

Tak było również w miejscach, które dziś znamy jako symbole tragedii. Jedwabne nie było wcześniej nazwą związaną wyłącznie z bólem i sporem o pamięć. Było miejscem, gdzie żyli konkretni ludzie, gdzie istniały relacje sąsiedzkie, codzienne obowiązki i zwyczajne ludzkie sprawy. Wołyń przed rokiem 1943 również nie był jedynie kartą historii. Był krainą zamieszkaną przez ludzi różnych narodowości i wyznań, którzy przez pokolenia żyli obok siebie – czasem zgodnie, czasem w napięciu, jak to bywa w każdej wspólnotie. Dopiero wojna, ideologie i narastająca nienawiść sprawiły, że dawny świat zaczął się rozpadać. W miejscach, gdzie wcześniej istniała codzienność, pojawiła się przemoc.

To, co łączy różne doświadczenia ludobójstwa, nie oznacza, że wszystkie wydarzenia były takie same. Historia wymaga precyzji. Każda zbrodnia ma własny kontekst, własnych sprawców, własne ofiary i własną odpowiedzialność. Nie wolno zacierać tych różnic, ponieważ prawda nie potrzebuje uproszczeń. Można jednak dostrzec wspólne pytanie, które

rodzi się z samego faktu istnienia przemocy, lecz z tego, że przemoc może stać się codziennością. Człowiek może przyzwyczaić się do rzeczy, które wcześniej wydawały się niemożliwe. Może nauczyć się nie patrzeć. Może przejść obok cierpienia drugiego człowieka i uznać je za element świata, w którym przyszło mu żyć.

Ta myśl prowadzi nas również do wiersza Czesława Miłosza **Campo di Fiori**. Obraz karuzeli stojącej w pobliżu płonącego getta jest jednym z najważniejszych literackich symboli XX wieku, ponieważ pokazuje nie tylko zbrodnię, ale także problem obojętności. Świat nie zawsze reaguje krzykiem. Czasem reaguje milczeniem. Czasem tragedia dzieje się obok codzienności, a ludzie próbują żyć tak, jakby jej nie było. Miłosz nie oskarża wyłącznie tych, którzy stoją obok. Stawia pytanie każdemu pokoleniu: czy potrafimy rozpoznać cierpienie drugiego człowieka, zanim stanie się ono tylko kolejną wiadomością, kolejnym obrazem, kolejną liczbą?

W tym miejscu literatura spotyka się z odpowiedzialnością społeczną. Pamięć nie polega jedynie na zachowaniu nazw i dat. Polega na nieustannym pytaniu, czego historia może nas nauczyć. Jeżeli po lekturze świadectw pozostajemy tacy sami, jeżeli potrafimy wzruszyć się losem ofiar sprzed dziesięcioleci, a jednocześnie obojętnie patrzeć na współczesną krzywdę, oznacza to, że nie zrozumieliśmy najważniejszej lekcji przeszłości. Bo ludobójstwo zawsze zaczyna się wcześniej niż w chwili, gdy pojawia się przemoc. Zaczyna się wtedy, gdy człowiek przestaje dostrzegać człowieka.

Świadectwo, pamięć i odpowiedzialność

Każda wspólnota prędzej czy później musi odpowiedzieć sobie na pytanie, jak opowiada własną historię. Nie chodzi jedynie o to, jakie wydarzenia wybiera do upamiętnienia, lecz również o to, na jakie pytania jest gotowa sobie pozwolić. Pamięć zbiorowa bywa bo-

wiem nie tylko przestrzenią wdzięczności i szacunku wobec ofiar. Bywa również miejscem lęku, obrony i sporów. Szczególnie wtedy, gdy dotyczy wydarzeń, w których obraz własnej wspólnoty nie jest wyłącznie obrazem cierpienia, bohaterstwa i niewinności.

Jedwabne stało się jednym z najważniejszych symboli tej trudnej rozmowy. Książka Jana Tomasa Grossa *Sąsiedzi* wywołała w Polsce debatę, która nie dotyczyła wyłącznie jednego wydarzenia z lipca 1941 roku. Stała się pytaniem o sposób, w jaki naród patrzy na własną przeszłość. Nie chodziło jedynie o ustalenie faktów, ponieważ tym zajmują się historycy. Chodziło także o coś trudniejszego – o gotowość przyjęcia prawdy, która nie wzmacnia wyłącznie pozytywnego obrazu wspólnoty. Dojrzała pamięć nie polega na odrzucaniu własnych bohaterów ani na pomniejszaniu własnych cierpień. Polega na świadomości, że żadna historia narodu nie składa się wyłącznie ze światła.

Podobne pytanie powraca w pamięci o Wołyniu. Przez wiele lat doświadczenie tysięcy polskich ofiar było dla wielu rodzin przede wszystkim prywatną raną – wspomnieniem przekazywanym w domach, opowieścią o utraconych miejscach, o bliskich, którzy nie mieli grobów. Wołyń był nie tylko wydarzeniem historycznym, ale również przestrzenią utraconego świata. Były tam wsie, które przestały istnieć, domy, do których nikt już nie wrócił, krajobrazy, które dla kolejnych pokoleń pozostały jedynie obrazem z rodzinnych opowieści. Pamięć o tej tragedii jest ważna nie dlatego, by przeciwstawiać ją innym cierpieniom, lecz dlatego, że każda ofiara ma prawo do własnego miejsca w historii.

Właśnie dlatego pamięć nie może być konkursem cierpienia. Nie można przeciwstawiać zamordowanych Żydów z Jedwabnego Polakom zabitym na Wołyniu. Nie można tworzyć hierarchii bólu, ponieważ cierpienie człowieka nie posiada narodowości. Matka, która straciła dziecko, nie cierpi mniej ani bardziej w zależności od języka, którym mówiła. Człowiek zamordowany dlatego, że należał do określonej grupy, nie traci prawa do pamięci przez to, że obok niego historia postawiła inne ofiary. Każda próba licytowania tragedii prowadzi ostatecznie do odebrania człowieczeństwa tym, których rzekomo chcemy bronić.

Dlatego tak ważną postacią tej opowieści pozostaje Zygmunt Rumel. Jego biografia wymyka się prostym podziałom. Był Polakiem urodzonym na Wołyniu, poetą wychowanym w przestrzeni dwóch kultur, człowiekiem, który wierzył, że możliwe jest porozumienie tam, gdzie narasta nienawiść. Kiedy w 1943 roku jako emisariusz Armii Krajowej udał się na rozmowy z przedstawicielami UPA, wybrał drogę dialogu. Nie pojechał tam jako człowiek szukający zemsty, lecz jako ktoś, kto próbował zatrzymać spiralę przemocy. Jego śmierć stała się tragicznym symbolem tego, jak często w czasach nienawiści giną ci, którzy próbują budować mosty.

Warto pamiętać, że Rumel nie był żołnierzem, który wyruszał do walki. Był poetą i emisariuszem Armii Krajowej, wystanym z misją podjęcia rozmów z dowództwem UPA. Świadomie wybrał słowo zamiast broni. Wierzył, że nawet w świecie ogarniętym nienawiścią istnieje jeszcze przestrzeń dla porozumienia. Nie zabrał ze sobą karabinu, lecz nadzieję, że dialog może ocalić ludzkie życie. Spotkało go jednak jedno z najbardziej okrutnych morderstw tamtej wojny – został zamordowany w sposób przywołujący najciemniejsze obrazy średniowiecznego barbarzyństwa. Do dziś nie odnaleziono miejsca jego pochówku. Przez długie lata pozostawał również nieobecny w zbiorowej pamięci, jakby jego los miał zo-

stać pogrzebany razem z nim. Paradoks tej historii jest przejmujący: człowiek, który próbował ocalić możliwość rozmowy między ludźmi, sam został pozbawiony głosu. Tym bardziej literatura ma dziś obowiązek ten głos przywracać.

Literatura przechowuje takie postacie nie tylko dlatego, że były ofiarami. Przechowuje je również dlatego, że pokazują możliwość innego wyboru. Historia XX wieku pełna jest ludzi, którzy poddali się logice przemocy, ale jest także pełna tych, którzy mimo wszystko próbowali pozostać wierni człowieczeństwu. To oni przypominają, że między obojętnością a bohaterstwem istnieje przestrzeń codziennych decyzji. Każdy człowiek w pewnym momencie wybiera, czy będzie patrzył na drugiego człowieka jak na osobę, czy jak na przedstawiciela grupy, którą można oszdić.

Kiedy sięgamy po prace historyków takich jak Jan Tomasz Gross czy Grzegorz Motyka, nie powinniśmy oczekiwać od nich potwierdzenia własnych przekonań. Rolą historii nie jest uspokajanie sumień. Jej zadaniem jest poszukiwanie prawdy, nawet wtedy, gdy ta prawda okazuje się trudna. Rolą literatury natomiast jest sprawienie, aby za tą prawdą nie zniknął człowiek. Sama wiedza o wydarzeniach nie

wystarczy. Można znać daty, nazwiska i liczby, a mimo to nie rozumieć, czym naprawdę jest utrata jednego życia.

Esaj o pamięci nie powinien być więc sądem nad przeszłością z pozycji ludzi żyjących dziesiątki lat później. Powinien być raczej próbą rozmowy z tymi, którzy zostali pozbawieni możliwości opowiedzenia własnej historii. Nie możemy oddać im życia. Możemy jednak oddać im głos. Możemy sprawić, aby nie stali się jedynie przypisem w podręczniku, symbolem na pomniku albo elementem sporu, który toczą żywi. Pamięć zaczyna się tam, gdzie kończy się wygoda.

Pamięć, która należy do przyszłości

Pisząc ten list do nieobecnych, coraz wyraźniej widzę, że pamięć nie jest wyłącznie obowiązkiem wobec przeszłości. Jest również zobowiązaniem wobec przyszłości. To, jak opowiadamy o minionych tragediach, mówi wiele o tym, kim jesteśmy dzisiaj. Można bowiem pamiętać i jednocześnie nie rozumieć. Można składać kwiaty na grobach, uczestniczyć w rocznicowych uroczystościach i powtarzać słowa o szacunku dla ofiar, a jednocześnie w codziennym języku pozwalać sobie na pogardę wobec innych ludzi. Tymczasem prawdziwa pamięć nie jest rytuałem. Jest



→ próbą zmiany własnego spojrzenia na drugiego człowieka.

ESEJ

W XXI wieku pytanie o pamięć stało się szczególnie ważne. Żyjemy w czasach, gdy informacja dociera do nas szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, ale sama obecność obrazów nie zawsze prowadzi do współczucia. Wojny, prześladowania i cierpienie innych ludzi pojawiają się na ekranach naszych urządzeń każdego dnia. Istnieje niebezpieczeństwo, że człowiek zacznie traktować cudzą tragedię jak kolejny komunikat, który można przewinąć i zastąpić następnym. Historia XX wieku pokazuje jednak, że największe katastrofy nie zaczynają się od razu od przemocy. Wcześniej pojawiają się słowa, które odbierają innym godność. Pojawiają się podziały na lepszych i gorszych, swoich i obcych,

tych, których cierpienie uznajemy za ważne, i tych, których cierpienie przestajemy zauważać.

Dlatego pamięć o Jedwabnem, Wołtynie, Zagładzie, Katyniu czy innych miejscach naznaczonych cierpieniem nie może być zamknięta w granicach jednej wspólnoty ani wykorzystywana jako narzędzie wzajemnego oskarżania. Każde z tych wydarzeń ma własną historię, własny kontekst i wymaga uczciwego opisu. Nie wolno zacierać różnic między nimi, bo prawda nie potrzebuje uproszczeń. Ale jednocześnie trzeba pamiętać o tym, co je łączy: w centrum każdej z tych tragedii znajduje się człowiek, który został pozbawiony prawa do życia, bezpieczeństwa i godności.

Pamięć nie ma narodowości w tym

sensie, że nie może być zamknięta w granicach jednej opowieści. Nie należy wyłączać do zwycięzców ani do pokonanych, do jednej grupy ofiar ani do jednego narodu. Należy do każdego człowieka, który został skrzywdzony i którego historia zasługuje na wysłuchanie. Możemy mieć różne doświadczenia historyczne, różne rodzinne pamięci i różne sposoby opowiadania o przeszłości, ale wspólnym punktem powinno pozostać przekonanie, że ludzkie życie ma taką samą wartość niezależnie od języka, religii czy pochodzenia.

Być może największym zagrożeniem dla pamięci nie jest zapomnienie. Zapomnienie przychodzi czasem powoli i łatwo je rozpoznać. Groźniejsze jest coś innego – pamięć pozbawiona człowieka. Taka, która zostawia tylko symbole, daty i hasła, ale przestaje widzieć pojedyncze istnienie. Można bowiem pamiętać o wielkich wydarzeniach i jednocześnie zapomnieć o tym, że każda historia zaczyna się od konkretnego człowieka: dziecka, matki, ojca, sąsiada, poety, kogoś, kto miał swoje imię i swoje miejsce na świecie.

Dlatego wracam do początku tego eseju, do słów Zofii Nałkowskiej: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Największa siła tego zdania polega na tym, że nie pozwala nam oddzielić historii od teraźniejszości. Nie mówi jedynie o tym, co wydarzyło się kiedyś. Pyta również o nas. O to, jak patrzymy na innych ludzi dzisiaj. O to, czy potrafimy rozpoznać moment, w którym język pogardy zaczyna zastępować rozmowę. O to, czy pamięć o ofiarach potrafi uczynić nas bardziej wrażliwymi, czy pozostaje tylko elementem sporu.

Piszę więc do Was po raz ostatni. Do tych, których imion być może nie znamy. Do tych, których groby zniknęły. Do tych, którzy zostali pozbawieni możliwości opowiedzenia własnej historii. Nie mogę prosić Was o przebaczenie, bo nie mamy prawa wypowiadać takich słów w imieniu innych ludzi. Nie mogę obiecać, że świat nigdy więcej nie powtórzy podobnych tragedii, bo historia uczy pokory wobec ludzkiej natury. Mogę jedynie prosić żyjących, aby nie zmarnowali tego, co po Was pozostało.

Pozostała pamięć. Pozostały świadectwa. Pozostały książki, wiersze i opowieści, które pozwalają prowadzić rozmowę ponad granicą czasu. Jeżeli ten list kiedykolwiek zostanie doręczony, stanie się to nie wtedy, gdy ktoś go przeczyta i odłoży na półkę. Stanie się wtedy, gdy po jego lekturze spojrzy na drugiego człowieka uważniej. Gdy zobaczy w nim nie przedstawiciela grupy, nie symbol historii, nie przeciwnika w sporze, lecz osobę równie kruchą i równie ważną jak on sam. Być może właśnie od takiego spojrzenia zaczyna się świat, w którym podobnych listów do nieobecnych nie trzeba już będzie pisać.

TOMASZ WALCZAK

Tomasz Walczak – poeta, eseista, recenzent, dramaturg, animator kultury. Pochodzi z Drezdenka w woj. lubuskim. Przez wiele lat związany był z teatrem i działalnością kulturalną, m.in. jako aktor, pedagog teatru oraz organizator wydarzeń artystycznych. Jest autorem tekstów poetyckich publikowanych w czasopiśmie literackich i przestrzeni internetowej.



Ka Klakla



KOSMOPOLITA

Założyłem chińską bieliznę,
Hiszpańskie, turkusowe skarpetki
Marki: „Don Salvadore“,
Amerykańskie spodnie: LEVIS STRAUSS
I włoskie buty.

Na maltańską koszulę
Naciągnąłem szetlandzki sweter
TRADE MARK.

Siedząc na kanapie
Design and Quality
IKEA of Sweden

Rozrzedzam greckie zaziki
Tureckim jogurtem,
Popijając to wszystko na przemian,
To niemieckim i czeskim piwem,
To rosyjską stoliczną,
To francuskim calvadosem

I szkocką whisky,
Mieszaną z wodą mineralną
Ze źródła Spa, w Belgii.

Odliczając swój czas
Na szwajcarskim zegarku „Delbana“,
Zapalam kolejnego papierosa „Marlboro“
- jakąś ukraińską podróbkę, z przemytu.
Marazm.

Za oknem moknie moja japońska „toyota“.
Na perskim dywanie plamy
Po brazylijskiej kawie „Rio“
I australijskim winie
(w szkło flaszki wtopiony był złoty kangurek),
Bo wczoraj zrobiliśmy libację...

Śpiewaliśmy:
Czerwony pas
I że ojciec coś do swej Basi.

Aż przylecieli:
Marokanka zza ściany i ten ryży Kazach, z dołu.
Nie potrafili tego zrozumieć...

I dlatego chandrę mam kurwa polską,
Zawsze polską.

Nigdy jeszcze nie miałem
Zagranicznej.



PIOTR GABRIEL SKORUPA